

**PO RAZ PIERWSZY W HISTORII.**  
NAJSŁAWNIEJSI BOHATEROWIE THRILLERÓW SPOTYKAJA SIĘ...

# TWARZA W TWARZ

DENNIS LEHANE VS MICHAEL CONNELLY

IAN RANKIN VS PETER JAMES

R. L. STINE VS DOUGLAS PRESTON ; LINCOLN CHILD

M. J. ROSE VS LISA GARDNER

STEVE MARTINI VS LINDA FARSTEIN

JEFFERY DEEVER VS JOHN SANDFORD

HEATHER GRAHAM VS F. PAUL WILSON

RAYMOND KHOURY VS LINWOOD BARCLAY

JOHN LESCROART VS T. JEFFERSON PARKER

STEVE BERRY VS JAMES ROLLINS

LEE CHILD VS JOSEPH FINDER

POD REDAKCJA DAVIDA BALDALLIEGO

# **TWARZĄ W TWARZ**

**POD REDAKCJĄ DAVIDA BALDACCIEGO**

Z angielskiego przełożył  
LECH Z. ŻOŁĘDZICWSKI



Wydanie elektroniczne

# Spis treści

[O książce](#)

[Dedykacja](#)

[Wstęp](#)

[DENNIS LEHANE i MICHAEL CONNELLY](#)

[Nocny lot \(RED EYE\)](#)

[DENNIS LEHANE i MICHAEL CONNELLY](#)

[W samą porę \(IN THE NICK OF TIME\)](#)

[R.L. STINE oraz DOUGLAS PRESTON i LINCOLN CHILD](#)

[Maskarada \(GASLIGHTED\)](#)

[M.J. ROSE i LISA GARDNER](#)

[Roześmiany Budda \(THE LAUGHING BUDDHA\)](#)

[STEVE MARTINI i LINDA FAIRSTEIN](#)

[Jeździec na panterze \(SURFING THE PANTHER\)](#)

[JEFFERY DEEVER i JOHN SANDFORD](#)

[Rym do zdobyczy9 \(RHYMES WITH PREY\)](#)

[HEATHER GRAHAM i F. PAUL WILSON](#)

[Piekielna noc \(INFERNAL NIGHT\)](#)

[RAYMOND KHOURY i LINWOOD BARCLAY](#)

[Postój \(PIT STOP\)](#)

[JOHN LESCROART i T. JEFFERSON PARKER](#)

[Cichy połów \(SILENT HUNT\)](#)

[STEVE BERRY i JAMES ROLLINS](#)

[Kości diabła \(THE DEVIL'S BONES\)](#)

[LEE CHILD i JOSEPH FINDER](#)

[Należna i sowita gratyfikacja \(GOOD AND VALUABLE](#)

[CONSIDERATION\)](#)

[Noty o autorach](#)

[Notatki](#)

Tytuł oryginału:

FaceOff

Copyright © International Thriller Writers, Inc 2014

„Red Eye” Copyright © Dennis Lehane and Michael Connelly 2014

„In the Nick of Time” Copyright © John Rebus Ltd.

and Peter James/Really Scary Books Ltd. 2014

„Gaslighted” Copyright © R.L. Stine and Splendide Mendax, Inc.

and Lincoln Child 2014

„The Laughing Buddha” Copyright © Melisse Shapiro and Lisa Gardner, Inc. 2014

„Surfing the Panther” Copyright © Paul Madriani, Inc.,

and Fairstein Enterprises, LLC 2014

„Rhymes with Prey” Copyright © Gunner Publications, LLC,

and John Sandford 2014

„Infernal Night” Copyright © Heather Graham and F. Paul Wilson 2014

„Pit Stop” Copyright © Raymond Khoury and Linwood Barclay 2014

„Silent Hunt” Copyright © Lescroart Corporation and T. Jefferson Parker 2014

„The Devil’s Bones” Copyright © Steve Berry and James Czajkowski 2014

„Good and Valuable Consideration” Copyright © Lee Child and Joseph Finder 2014

All rights reserved

First published by Simon & Schuster, Inc., New York, USA

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2016

Polish translation copyright © Lech Z. Żołędziowski 2016

Redakcja: Anna Walenko

Projekt graficzny okładki: Dark Crayon/Piotr Cieśliński

ISBN 978-83-7985-317-5

*Wydawca*

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)

## O książce

22 ULUBIENICÓW CZYTELNIKÓW THRILLERÓW NIE MIELI  
PRAWA SIĘ SPOTKAĆ, A JEDNAK STAJĄ TWARZĄ W TWARZ

**Jack Reacher**, samotnik z powieści Lee Childa, spotyka się w bostońskim barze z prywatnym detektywem **Nickiem Hellerem**, wykreowanym przez Josepha Findera. A potem robią to, w czym obaj są najlepsi.

**John Rebus**, kultowy inspektor z thrillerów Iana Rankina, i **Roy Grace**, stworzony przez Petera Jamesa, różnią się jak ogień i woda - wiekiem, pochodzeniem, a przede wszystkim metodami stosowanymi w śledztwie. Co może wyniknąć z ich współpracy? Lepiej nie pytać...

**Harry Bosch**, detektyw Michaela Connelly'ego, i **Patrick Kenzie**, który wyszedł spod pióra Dennisa Lehane'a, występują razem w słusznej sprawie... Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić.

**Komandor Gray Pierce** z cyklu Sigma Force Jamesa Rollinsa i **Cotton Malone** z powieści Steve'a Berry'ego. No, to się musi skończyć czystą demolką!

To tylko kilka przykładów tego, co znajdziecie na stronach tej książki. Każde opowiadanie jest poprzedzone wstępem przybliżającym autorów, ich bohaterów i historię powstania tekstu. Czeka was prawdziwa literacka uczta. Nie traćmy więc czasu i stańmy twarzą w twarz z bohaterami.

*David Baldacci*

*Dla Gayle Lynds i Davida Morrella,*

*wybitnych pisarzy  
i niezwykłych marzycieli*

## Wstęp

W 2004 roku dwoje znakomitych pisarzy oddało się marzeniom. Nazywali się Gayle Lynds i David Morrell. Oboje już od lat cieszyli się uznaniem, jednak czegoś im brakowało. Autorzy kryminałów mieli swoje Mystery Writers of America, specjaliści od horrorów byli zrzeszeni w Horror Writers Association, a skupiające autorów romansów Romance Writers Association od dawna liczyło tysiące członków.

Przedstawiciele każdego gatunku literackiego mieli swoje stowarzyszenie zawodowe.

Z wyjątkiem autorów thrillerów.

Gayle i David postanowili temu zaradzić.

Wszystko zaczęło się w Toronto dziewiątego października 2004 roku i w ciągu kilku lat z garstki członków założycieli rozrosło się w International Thriller Writers, liczące obecnie ponad dwa i pół tysiąca członków z czterdziestu dziewięciu krajów świata. Osiemdziesiąt procent członków to czynni autorzy thrillerów, resztę stanowią pracownicy branży wydawniczej, agenci literaccy, wydawcy i miłośnicy gatunku. Co roku w lipcu członkowie spotykają się w Nowym Jorku na festiwalu Thrillerfest. To całkiem dosłownie letni obóz dla autorów thrillerów i entuzjastów tego rodzaju literatury. Doroczne nagrody w różnych kategoriach literackich o nazwie „The Thriller” są wysoko cenionym wyróżnieniem w środowisku pisarzy.

Od początku istnienia ITW stawiało na innowacyjność, a podążanie utartymi ścieżkami nigdy nie przemawiało do jego członków. I dlatego w roku 2007, gdy członek zarządu (i wybitny brytyjski autor thrillerów) David Hewson zaproponował, aby stowarzyszenie zrezygnowało z pobierania składek członkowskich, pomysł natychmiast chwycił. Od tego momentu autor publikujący swe powieści w uznawanym przez ITW wydawnictwie (a są ich setki) był



zwolniony z płacenia składek członkowskich.

Jak zatem stowarzyszenie miało zdobywać fundusze pozwalające mu istnieć i opłacać rachunki?

Odpowiedzią było kolejne innowacyjne rozwiązanie.

Stowarzyszenie postanowiło tworzyć firmowane przez siebie książki, sprzedawać je wydawnictwom i tak zdobywać kapitał operacyjny.

Ryzykowne? Jasne. Odważne? Bez wątpienia.

Ale pomysł pasował jak ulał do sposobu myślenia w ITW.

Pierwsza książka firmowana przez ITW, *Thriller* (2006), była pierwszą w historii antologią krótkich opowiadań tego gatunku (pamiętacie ich naczelną zasadę, by nigdy nie podążać utartymi ścieżkami?). Złożyły się na nią opowiadania autorstwa trzydziestu trzech członków ITW. James Patterson (także członek ITW) zgodził się dokonać redakcji zbioru i w rezultacie powstała jedna z najpopularniejszych antologii wszech czasów, która rozeszła się na całym świecie w nakładzie ponad pół miliona egzemplarzy. Dochód z tej przełomowej publikacji nie tylko zapewnił ITW fundusze operacyjne na rozruch, ale też pozwolił na podjęcie dalszych kroków. Kolejnymi książkami z tego cyklu były *Thriller 2* (2009) i *Love Is Murder* (2012). Wierne swej polityce innowacyjności, ITW wydało pierwszego w historii audiobooka bez wersji papierowej, *Manuskrypt Chopina*, który odniósł ogromny sukces. Zbiór pod redakcją niezrównanego Jeffery'ego Deavera (członka ITW) zdobył tytuł Audiobooka Roku 2008. Sukcesem był też następny audiobook, *Miedziana bransoleta*. Wejściem w literaturę faktu była pozycja *Thrillers: 100 Must-Reads*, pod redakcją Davida Morrella i Hanka Wagnera, powitana z uznaniem przez krytykę. Inny członek zarządu ITW, legendarny R.L. Stine (autor serii „Gęsia skórka”), książką *Fear* wprowadził stowarzyszenie w świat powieści sensacyjnej dla młodzieży. Rokrocznie ITW przyciąga kolejnych młodych pisarzy w ramach Programu Debiutów. *First Thrills*, pod redakcją jednego z członków założycieli ITW, Lee Childa, to antologia opowiadań autorów, którzy debiutowali w 2011 roku.

Jakże imponująca lista osiągnięć!

A wszystko to dzięki zaangażowaniu pisarzy-redaktorów, którzy



poświęcają swój czas, oraz autorów, którzy ofiarowują swe utwory. Niemal wszystkie zarobione przez ITW pieniądze idą na cele statutowe stowarzyszenia.

Tak też będzie i z tą książką.

Zapisałem się do ITW na samym początku, zgadzając się z Gayle i Davidem, że najwyższy czas, by autorzy thrillerów mieli własne stowarzyszenie, i zacząłem czekać na okazję, która pozwoliłaby mi aktywnie się włączyć. Dlatego gdy zaproponowano mi opiekę redakcyjną nad książką *Twarzą w twarz*, bez wahania się zgodziłem.

Pomysł wręcz mnie zaintrygował.

Chodziło o zebranie w jednym tomie znanych autorów i ich ikonicznych bohaterów i zderzenie ich twarzą w twarz. W normalnych okolicznościach to niewykonalne. Każdy pisarz jest związany umową z konkretnym wydawnictwem i połączenie go w jednej publikacji z autorem wydającym gdzie indziej, jak też zderzenie różnych bohaterów jest w świetle umów wydawniczych niemożliwe. No bo które z dwóch wydawnictw miałoby to wydać i zyskać do tego prawa? Rzecz nie do przeprowadzenia. Podobnie, żadne wydawnictwo nie przystałoby na wydanie takiej książki przez kogoś trzeciego. Jediną szansę na realizację pomysłu dawał model wymyślony przez ITW, kiedy to autorzy ofiarowują swoje opowiadania, a cały zysk trafia na cele statutowe stowarzyszenia.

I dlatego niniejsza książka jest jedynym w swoim rodzaju przedsięwzięciem.

Wszyscy autorzy opowiadań są członkami ITW i wszyscy chętnie się zgodzili uczestniczyć w tym projekcie. Gdy mi powiedziano, że jeden z członków założycieli ITW, Steve Berry, który razem z Jamesem Pattersonem pracował nad zbiorem *Thriller*, zgodził się zostać redaktorem prowadzącym, powitałem to z radością. Steve okazał się klejem, który spoił to w całość. Serdeczne dzięki, Steve, za wszystko, co zrobiłeś.

I dziękuję wszystkim innym, którzy pracowali przy tym projekcie.

Jakże inaczej moglibyśmy być świadkami konfrontacji Lincolna Rhyme'a stworzonego przez Jeffery'ego Deavera, z Lucasem Davenportem, bohaterem Johna Sandforda? Lub wkroczenia Patricka Kenziego do świata Harry'ego Boscha? Fani Cottona Malone'a Steve'a

Berry'ego oraz Graya Pierce'a Jamesa Rollinsa od dawna domagali się spotkania tych dwóch postaci. W tej książce Jack Reacher Lee Childa spotyka w bostońskim barze Nicka Hellera Josepha Findera i robi wspólnie z nim to, w czym jest najlepszy. Do tego jeszcze Paul Madriani Steve'a Martiniego zostaje zamieszany w sprawę z Alex Cooper Lindy Fairstein. A chodzący jak zwykle własnymi ścieżkami Aloysius Pendergast mierzy się z przerażającym światem R.L. Stine'a.

To tylko kilka przykładów tego, co znajdziecie na stronicach tej książki. Każde opowiadanie jest poprzedzone wstępem przybliżającym autorów, ich bohaterów i historię powstania tekstu. Na końcu książki czytelnik znajdzie noty biograficzne, z których dowie się więcej o każdym z tych znakomitych pisarzy.

Czeka was prawdziwa uczta.

Nie traćmy więc czasu i stańmy twarzą w twarz z bohaterami.

*David Baldacci*  
*czerwiec 2014*

**DENNIS LEHANE**  
**i**  
**MICHAEL CONNELLY**

Na papierze wszystko wyglądało fajnie: skojarzyć w słusznej sprawie Patricka Kenziego i Harry'ego Boscha, pozwalając im wystąpić w jednym opowiadaniu. Jednak Dennis Lehane i Michael Connelly szybko zdali sobie sprawę, że łatwiej to powiedzieć, niż zrobić. Obie postacie są głęboko wrośnięte w realia swoich miejsc zamieszkania i wykonywanych zawodów. Oczywiście obie zostały wymyślane, ale ich twórcom zawsze zależało, by nie były sztuczne i papierowe. Krótko mówiąc, Harry Bosch i Patrick Kenzie żyją lub umierają z czytelnikami na zasadzie swojej wiarygodności. I żadne opowiadanie z ich udziałem – w słusznej czy niesłusznej sprawie – nie mogło się tej zasadzie sprzeniewierzyć.

Zatem jak te dwie ikoniczne postacie mogły się na siebie natknąć?

No i przede wszystkim, na czym to miało być terenie?

Czy Bosch miał się udać na wschód, do Bostonu Kenziego, czy Boston miał zjechać do Los Angeles?

Od początku wydawało się oczywiste, że to Boscha należało wysłać na wschód. Ostatnio Bosch pracuje w Jednostce do Spraw Niewyjaśnionych policji w Los Angeles, której funkcjonariusze z natury rzeczy muszą dużo podróżować. Gdy ludzie dochodzą do wniosku, że popełnione morderstwo uszło im na sucho, w sposób oczywisty starają się wyjechać daleko od miejsca przestępstwa. Ponieważ wiele spraw prowadzonych przez Boscha zmuszało go do podróżowania po kraju, postanowiono, że obowiązki służbowe rzuca go do Bostonu i tam zetknie się z Kenziem.

Michael umiejscowił początek powieści w Los Angeles i obmyślił przestępstwo, którym Bosch zajmuje się wiele lat po tym, jak je popełniono. Podążając śladami podejrzanego, trafia do Bostonu, rozpoczyna inwigilację i potajemnie zdobywa próbkę jego DNA

z wyrzuconego kubka po kawie czy niedopałka papierosa. W Bostonie jego ścieżki przecinają się ze ścieżkami Kenziego, który prowadzi obserwację tego samego człowieka, tyle że z zupełnie innych powodów.

Michael napisał pierwsze sześć stron opowiadania, na kilku dodatkowych nakreślił potencjalne zwroty akcji i wysłał całość e-mailem do Dennisa z propozycją, by ten napisał kolejne sześć stron i dokończył opowiadanie. Nic prostszego. W ten sposób szybko i łatwo wywiążą się z zobowiązania i za kilka dni każdy będzie mógł wrócić do własnej pracy.

Po czym zaczęło się czekanie na odpowiedź.

Michael czekał i czekał.

Z kilku dni zrobiło się kilka tygodni.

W końcu nie wytrzymał i wysłał Dennisowi e-maila z informacją, że jakoby ma kłopoty z internetem i chce się tylko upewnić, czy Dennis otrzymał jego e-mail z początkiem opowiadania. W odpowiedzi Dennis przysłał gotowy tekst z dopisanymi dwudziestoma stronami i mocno rozbudowaną intrygą, którą dodatkowo okraszył elementami humoru.

Oto ich pierwsze spotkanie twarzą w twarz.

## **Nocny lot (RED EYE)**

2005

Z zasady Harry Bosch zawsze starał się trzymać z dala od tuneli, jednak po przybyciu na lotnisko Logana nie miał wyjścia – przejazd którymś z tuneli, Williamsa lub Sumnera, do wyboru, był nieunikniony. GPS w jego samochodzie z wypożyczalni wybrał Williamsa, więc Harry posłusznie zanurzył się głęboko pod bostoński basen portowy. W tunelu ruch samochodowy najpierw bardzo zgęstniał, potem całkiem stanął i Bosch zdał sobie sprawę, że nocny lot z Los Angeles wpakował go w sam środek porannego szczytu.

Oczywiście tunel był dużo dłuższy, szerszy i lepiej oświetlony niż tunele z jego przeszłości i nocnych koszmarów, a w dodatku nie był w nim sam. Jezdnię od ściany do ściany wypełniały samochody osobowe i ciężarowe – masa stali pod masą wody, tyle że teraz tylko jedna z nich płynęła. Ale tunel to zawsze tunel i nie musiał długo czekać na pojawienie się pierwszych oznak klaustrofobii. Poczłł gwałtowny ucisk w klatce piersiowej, zaczął się pocić i ze zniecierpliwieniem zatrąbił. Tym swoim bezsilnym protestem udowodnił jedynie, że jest tu obcy. Miejscowi nie trąbili, wiedząc, że to i tak niczego nie zmieni.

W końcu samochody ruszyły, Bosch wyjechał z tunelu i opuścił szybę, by wpadło trochę świeżego powietrza. Pomyślał, że musi sobie kupić plan miasta i znaleźć taką drogę powrotną na lotnisko, by nie przejeżdżać przez tunel. Szkoda, że samochodowy GPS nie był wyposażony w funkcję OMIJAJ TUNELE. Będzie musiał trafić na lotnisko bez jego pomocy.

Zgodnie z zasadami obowiązującymi w Jednostce do Spraw Niewyjaśnionych policji w Los Angeles Bosch powinien się zameldować u lokalnych władz natychmiast po przyjeździe do obcego miasta. W tym przypadku było to biuro Dystryktu E-13 policji

bostońskiej na Jamaica Plain. Tam właśnie znajdował się adres Edwarda Paisleya, którego próbkę DNA przyjechał zdobyć bardziej czy mniej oficjalnie.

Tyle że Bosch często machał ręką na obowiązujący regulamin. Zwykle kierował się własnymi zasadami, a te przewidywały wcześniejsze zapoznanie się z terenem i nawet rzucenie okiem na ściganego, a dopiero potem zgłoszenie się do miejscowej policji.

Bosch zamierzał najpierw sam wyszukać adres Paisleya i jeśli się uda, wstępnie mu się przyjrzeć, potem pojechać do Courtyard by Marriott, gdzie przez serwis Expedia zarezerwował pokój. Może nawet utnie sobie najpierw drzemkę, by wyrównać utratę snu przez ten nocny lot, i dopiero wczesnym popołudniem zamelduje się w Dystrykcie E-13 i powiadomi dowodzącego nim kapitana czy majora, że przyjechał z Los Angeles w związku ze śledztwem w sprawie morderstwa sprzed piętnastu lat. Zapewne przydzielą mu do pomocy jakiegoś miejscowego śledczego, który akurat podpadł szefostwu. Nianczenie gliniarza z obcego miasta, który przyjeżdża węszyć w sprawie morderstwa popełnionego w 1990 roku, nie mogło nikogo uradować.

\*\*\*

Dwa dni wcześniej, w barze przy Warren Street w Roxbury, Dontelle Howe spytał Patricka Kenziego, czy ten ma dzieci.

Patrick niepewnie kiwnął głową, nie bardzo wiedząc, jak odpowiedzieć.

– Jedno w drodze – odparł.

– Kiedy?

– Lada dzień.

Dontelle Howe się uśmiechnął. Był dobrze zbudowanym czarnym mężczyzną po trzydziestce, z krótkimi dreadami, i miał na sobie tak świeżutkie ciuchy, że zapach krochmalu musiał docierać do sąsiedniego pomieszczenia.

– Pierwsze?

Patrick skinął głową.

– Nie jesteś trochę za stary?

Dontelle upił kolejny łyżek z jedyne go kieliszka brandy, na jaki pozwalał sobie wieczorami w dni powszednie. Co innego w weekendy.

Jak zapewnił Patricka, w piątki i soboty potrafił wyłopać tyle henneya, ile sam waży, jednak w niedziele i dni powszednie ograniczał się do jednego kieliszka na wieczór, bo następnego dnia rano siadał za kierownicą szkolnego autobusu i zwoził czterdzieścioro pięcioro dzieci z całego miasta do gimnazjum Dearborn w Roxbury, jakieś dwie przecznice od baru, w którym zgodził się spotkać po pracy z Patrickiem.

– Trochę za stary? – Patrick spojrział na swoje odbicie w lustrze za barem. Może ciut posiwiiał, ciut przybrał na wadze, może na głowie miał ciut mniej włosów, niżby sobie życzył, ale jak na czterdzieści lat wyglądał całkiem nieźle. I to lat przeżytych w takim pędzie. Albo nieźle, albo sobie wmawia, co również było możliwe. – Ty też nie wyglądasz na chłopaczka z boysbandu.

– Tylko że ja mam już dwójkę w podstawówce. Ani się z moją starą obejrzymy, jak pójdą do college’u, a my wyjedziemy gdzieś na Florydę i będziemy się byczyć. I wtedy będę w twoim wieku.

Patrick parsknął śmiechem i upił trochę piwa.

Dontelle Howe spochmurniał i spytał ponurym tonem:

– Znaczy nikt jej nie szuka? Nadal?

Patrick lekceważąco machnął ręką.

– Policja uważa, że to problemy rodzinne. Jej ojciec to prawdziwy zasraniec, w dodatku nikt nie potrafi go znaleźć. Jej też nie, czyli moim zdaniem, jak dwa a dwa cztery, ona się odnajdzie.

– Człowieku, przecież ona ma tylko dwanaście lat.

„Ona” nazywała się Chiffon Henderson, chodziła do siódmej klasy i Dontelle Howe codziennie rano zabierał ją z osiedla mieszkaniowego Bromley-Heath na Jamaica Plain i dziewięć godzin później wysadzał w tym samym miejscu. Trzy dni temu Chiffon zniknęła ze swojego pokoju na tyłach mieszkania, które zajmowała z dwiema siostrami i matką. Nie ulegało wątpliwości, że z niego wyszła, jednak czy zrobiła to z własnej woli, nie było już takie pewne. Pokój opuściła przez okno. Nie znaleziono żadnych śladów szamotaniny lub włamania. Matka powiedziała policji, że w ciepłe noce Chiffon często zostawiała okno otwarte, choć ona mówiła jej tysiąc razy, żeby tego nie robiła. Policja skupiła uwagę na ojcu, Lonniem Cullenie, kompletnie nieodpowiedzialnym próżniaku, z gromadką dzieci rozsianych



w czterech byłych rodzinach, który w ostatni weekend nie zameldował się u swojego kuratora i od paru dni nie pojawiał się w swym ostatnim miejscu zamieszkania. Mówiono, że Chiffon zaczęła się spotykać z chłopakiem mieszkającym w jednym z sąsiednich bloków na osiedlu, jednak nikt nie znał jego nazwiska i nie wiedział o nim nic bliższego.

Matka dziewczynki, Ella Henderson, pracowała na dwóch etatach. Za dnia jako recepcjonistka w przychodni położniczo-ginekologicznej czterech lekarzy w Beth Israel, a nocami przy sprzątaniu biur. Była klasyczną reprezentantką zapracowanej biedoty, która tyle czasu poświęca na to, by wyżywić dzieci i opłacić rachunki, że brakuje go na zajęcie się wychowaniem tych dzieci, aż pewnego dnia jest już za późno.

Dwa dni temu przyjmowała w przychodni żonę Patricka, Angie, która zgłosiła się na ostatnią wizytę kontrolną przed porodem. Termin przyjścia na świat potomka Kenziech był wyznaczony za tydzień. Henderson skrupulatnie sprawdziła dane ubezpieczeniowe pacjentki oraz daty urodzenia obojga rodziców, a potem się rozbeczała. Nie był to dramatyczny szloch, jej twarz nadal zdobił grzeczny profesjonalny uśmiech, oczy wpatrywały się w ekran komputera i tylko po policzkach ciekły strużki łez.

Pół godziny później Patrick przyrzekł popytać o jej córkę. Prowadząca sprawę zaginięcia Chiffon śledcza Emily Zebrowski zajmowała się obecnie dwunastoma różnymi dochodzeniami i z radością przyjęła pomoc Patricka, od razu informując go, że jak dotąd nie znalazła żadnych poszlak wskazujących na uprowadzenie. Choć tak naprawdę pokój Chiffon sam się o to prosił. Wysoki platan rósł tuż obok bloku i przesłaniał jej okno oraz okna kilku wyższych pięter; budynek stał na tyłach osiedla przy Heath Street, a władze miejskie już pięć miesięcy temu miały wymienić żarówki w okolicznych latarniach, zestrzelone przez jakichś pijanych osobników w ostatnią noc sylwestrową. Emily Zebrowski zapewniła Patricka, że wieczorem w dniu zniknięcia Chiffon Henderson nikt nie słyszał hałasów z jej pokoju. Ludzie rzadko znikają wbrew swojej roli, dodała. To się zdarza częściej w telewizji niż w realnym życiu.

– Zatem jaką masz wstępną teorię? – spytał Patrick.

– Jej ojciec – odparła śledcza Zebrowski. – Facet ma na swoim

koncie więcej wykroczeń niż niektórzy włosów na głowie.

– Po co?

– Słucham?

– Jest skończonym draniem, to rozumiem – rzekł Patrick. – Tyle że jego draństwa mają zwykle określony cel, nie? Jakiś motyw. Wykrada jedno ze swoich dzieci, bo chce na tym zarobić albo uwolnić się od jego matki, albo coś w tym rodzaju. Ale matka tej dziewczynki jest bez grosza, nigdy nie wystąpiła do sądu o alimenty, a jaki facet jego pokroju chciałby brać sobie na głowę dwunastoletnią smarkulę i od rana do nocy wysłuchiwać jej narzekań?

Śledcza Zebrowski wzruszyła ramionami.

– Tobie się zdaje, że takie łajdaki jak Lonnie Cullen wszystko z góry obmyślają? Gdyby tak było, to nie pamiętaliby numeru na swoim pomarańczowym drelichu lepiej niż własnej daty urodzenia. Zrobił to, bo jest kryminalistą i kretynem, który nad swoimi emocjami panuje gorzej niż pchła na krowim zadku.

– A co z tym jej chłopakiem?

– Przyglądam się temu.

Dwa wieczory temu Dontelle powiedział do Patricka:

– Ale ty w to nie wierzysz, tak?

Patrick wzruszył ramionami.

– Takie łachudry jak on porzucają swoje dzieci, nie uprowadzają. W każdym razie nie ojcowie, którzy, jak Lonnie, zniknęli z ich życia lata temu. A co do tego chłopaka, to niby jak? Siedzą w chałupie od trzech dni i nawet nie wyściubią nosa, żeby coś przegryźć, nie zadzwonią do nikogo?

– Wiem tylko tyle – mruknął Dontelle – że wyglądała na miłe dziecko. Nie żadna pyskata siksa, jedna z tych, co to się wiecznie pchają do przodu i wymądrzają. Była wyciszona, ale... taka uważna, rozumiesz.

Patrick pociągnął kolejny łyk piwa.

– Nie, nie rozumiem. Opowiedz.

– Wiesz, w takiej sytuacji jak moja, musisz najpierw odbyć dziewięćdziesięciodniowy okres próbny i w tym czasie twój kurator może cię zapuszkować za byle co. Potem jednak przechodzisz pod kuratelę miasta i musiałbyś naprawdę nieźle narozrabiać i stać się

miejscowym bin Ladenem, żeby miasto wzięło cię za dupę. Swoje dziewięćdziesiąt dni skończyłem parę tygodni temu i Chiffon nie tylko mi pogratulowała, ale nawet wręczyła torcik z owocami.

– Żartujesz – rzekł Patrick z uśmiechem.

– Taki kupny, ale zawsze. Miłe, nie?

– Bardzo miłe.

– Przekonasz się za dwanaście lat. Dzieci w tym wieku nie za bardzo myślą o innych. Najważniejsze dla nich jest to, co się dzieje tu – poklepał się po głowie – i tu – pokazał na krocze.

Przez chwilę pili w milczeniu.

– Nic z tego dnia nie zapamiętałeś? Nic niezwykłego?

Dontelle pokręcił głową.

– Dzień jak każdy. „Do zobaczenia jutro, Chiffon”, rzuciłem jak zawsze, a ona jak zawsze odpowiedziała: „Do zobaczenia jutro, Dontelle”. I wysiadła.

Patrick podziękował i zapłacił za nich obu. Zbierając resztę z blatu, zapytał:

– Wyznaczyli ci okres próbny?

Dontelle pokiwał głową.

– Tak, to standard.

– Wiem, ale chodzi mi o to, że zacząłeś pracę w połowie roku szkolnego. Mamy teraz maj, czyli musiałeś ją zacząć gdzieś w lutym, nie?

Ponowne skiniecie głową.

– Tak, pod koniec stycznia.

– A co przedtem robiłeś?

– Prowadziłem autobusy wycieczkowe. Stąd na Florydę, stąd do Montrealu, stąd do Portlandu, zależnie od pory roku. Cholera, to siedzenie godzinami za kółkiem było prawdziwą katorgą. Wpatrywanie się w drogę mnie zabijało. Jak się tylko trafiła ta praca, bez wahania się przeniósłem.

– Dlaczego się trafiła?

– Paisleya dopadli za jazdę po pijaku.

– Paisleya?

– Tego frajera, na którego miejsce przyszedłem. Wiem od innych kierowców, że dawał do wiwatu. Wiózł autobusem czterdziestkę

dzieciaków i miał szklany wzrok. Po ostatniej wpadce nawet kolesie ze związku mu nie pomogli. Zjechał autobusem do rowu na American Legion Highway, wyobrażasz sobie? – Dontelle aż parsknął śmiechem z niedowierzania. – Niewiele brakowało, a zaliczyłyby dachowanie. Zatrzymał się i wysiadł, żeby się odlać. O wpół do siódmej rano, kapujesz? Wraca za kółko, próbuje zjechać z pobocza i autobus rusza, tylko że w drugą stronę, do rowu. To sprawa sądowa, jeszcze jak.

– Paisley – powtórzył Patrick.

– Edward Paisley – potwierdził Dontelle. – Jak ten materiał na krawaty<sup>1</sup>.

\*\*\*

Paisley mieszkał przy Wyman Street w szarym szeregowcu z pasami łuszczącej się białej farby i niewielkim frontowym gankiem, na którym stała wysłużona kozetka. Bosch przejechał obok, nie zatrzymując się, okrążył cały kwartał, znów minął dom i zaparkował przy chodniku kawałek dalej. Ustawił boczne lusterko tak, by mieć na oku drzwi wejściowe i ganek. Lubił prowadzić taką jednoosobową obserwację. Jeśli ktoś chce sprawdzić, czy nie jest śledzony, zwykle zagląda w przednie szyby zaparkowanych samochodów. Ustawienie się tyłem do obiektu utrudnia mu wykrycie obserwatora. Być może Edward Paisley nie miał nic wspólnego z morderstwem Letitii Williams sprzed wielu lat, ale jeśli miał, nie przeżyłby ostatnich piętnastu lat bez zaglądania w przednie szyby i bycia czujnym.

Na tym etapie Bosch miał tylko nadzieję dojrzeć ślad życia w namierzonym domu i upewnić się, że Paisley rzeczywiście w nim mieszka. Jeśli dopisze mu szczęście, Paisley wyskoczy na kawę albo coś zjeść w porze lunchu. Do uzyskania potrzebnej próbki DNA wystarczy wyrzucony papierowy kubek po kawie lub kawałek brzegu pizzy. A może Paisley jest palaczem? Niedopałek równie dobrze załatwi sprawę.

Harry wyciągnął teczkę z dokumentami z zamykanej na zamek szyfrowej walizeczki, z którą zawsze podróżował, i wyjął powiększenie fotografii, którą poprzedniego dnia wydobyl z akt wydziału komunikacji w Massachusetts. Zdjęcie zrobiono przed trzema laty. Paisley był białym, łysiejącym, wówczas pięćdziesięcioletnim

mężczyzną. Obecnie nie miał już prawa jazdy. Odebrano mu je cztery miesiące temu, gdy został aresztowany za jazdę po alkoholu. Zjechał szkolnym autobusem do rowu, po czym się okazało, że ma we krwi dwa i dwie dziesiąte promila. W rezultacie stracił pracę kierowcy w miejscowym wydziale oświaty, a być może także wolność. W związku z tym jego odciski palców trafiły do policyjnej bazy i tam czekały na Boscha. Czasami dopisywało mu szczęście. Gdyby zajął się tą sprawą jedenaście miesięcy wcześniej i skorzystał z komputerowego porównywania odcisków znalezionych na miejscu zbrodni, nic by nie znalazł. Ale traf chciał, że zajął się tą sprawą cztery miesiące temu i w rezultacie był teraz w Bostonie.

Przez dwie godziny tkwienia w samochodzie nie dostrzegł śladu życia w domu Paisleya i zaczynał się już niecierpliwić. Może Paisley wyszedł na cały dzień jeszcze przed jego przyjazdem, a on traci tylko czas i obserwuje pusty dom. Postanowił wysiąść i przespacerować się. Przeczną wcześniej zauważył osiedlowy sklepik. Przejdzie koło domu Paisleya i lepiej obejrzy sobie to miejsce, po czym kupi w sklepie gazetę i baniak mleka. Wróci do samochodu, wyleje mleko do ścieku i zatrzyma pusty baniak na wypadek, gdyby zachciało mu się sikać. Obserwacja zapowiadała się na dłużej.

Gazeta też mu się przyda. Będzie mógł sprawdzić ostatecznie wyniki baseballu. Wczoraj wieczorem Dodgersi w meczu ze zniechęconymi Giantsami rozpoczęli dogrywkę w chwili, gdy musiał już wsiadać do samolotu, więc nie poznał wyniku spotkania.

Już miał wysiąść, gdy po drugiej stronie jezdni, niemal dokładnie na wysokości jego samochodu, zatrzymał się poobijany jeep cherokee. W środku siedział mężczyzna i Boscha zaintrygowało to, że zgasił silnik, lecz nie wysiadł, tylko lekko się osunął na fotelu, najwyraźniej wpatrując się w to samo miejsce co Bosch.

Bosch zauważył, że mężczyzna przez chwilę rozmawiał przez telefon komórkowy, potem jednak znieruchomiał i przez godzinę siedział beczynnym za kierownicą jeepa, gapiąc się na ruch uliczny. Był za młody na Paisleya. Mógł mieć trzydzieści parę, może czterdzieści lat, miał na sobie granatową bluzę z cienkim szarym kapturem, a na głowie bejsbolówkę. Boscha zastanowiło coś w tej czapeczce, ale dopiero po dłuższej chwili uzmysłowił sobie, że to pierwsza bejsbolówka, jaką

widzi w tym mieście, na której nie ma dużej litery B. Zamiast niej było coś na kształt wykrzywionej w uśmiechu buźki, choć patrząc z tej odległości, Bosch nie mógł być do końca pewny. Wyglądało na to, że mężczyzna w jeepie na kogoś czeka. Czyżby na tę samą osobę co Bosch?

Po pewnym czasie Bosch spostrzegł, że mężczyzna w jeepie zerka na niego równie podejrzliwie jak on na niego. Obaj siedzieli bez ruchu w swoich samochodach i z odrętwienia wyrwało ich dopiero wycie syreny wozu strażackiego, który przemknął jezdnią pomiędzy nimi. Wpatrując się w lusterko wsteczne, Bosch odprowadził wzrokiem oddalający się wóz, a kiedy zerknął na drugą stronę ulicy, stwierdził, że w jeepie nie ma nikogo. Kierowca albo skorzystał z chwilowego zamieszania i wysiadł, albo ułożył się w środku tak, że nie było go widać.

Bosch uznał, że raczej to pierwsze. Wyprostował się w fotelu i ogarnął wzrokiem drugą stronę ulicy. Nie widać było ani żywej duszy. Odwrócił głowę, by rozejrzeć się po swojej stronie, i wtedy za szybą ujrzał mężczyznę w bejsbolówce. Facet obrócił ją daszkiem do tyłu, wzorem ulicznych łobuzów w akcji. Na szyi zwiisał mu srebrny łańcuszek, którego końce niknęły pod granatową bluzą. Pewnie miał przy nim jakąś odznakę. Wybrzuszenie prawej tylnej kieszeni spodni świadczyło niezbicie, że facet ma broń. I to coś masywnego, większego niż glock. Mężczyzna nachylił się do okna i kiwnął palcem, żeby Bosch opuścił szybę.

\*\*\*

Facet siedzący w aucie z wypożyczalni Hertza, z nawigacją typu „nigdy się nie zgubisz” na desce rozdzielczej, przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Patricka, w końcu jednak opuścił szybę. Jakies pięćdziesiąt kilka lat, ale dobrze zakonserwowany. Umieśniony. Coś w jego wyglądzie mówiło: glina. Choćby czujność spojrzenia. Oczy gliny, które zdają się nigdy do końca nie zamykać. A także ułożenie ręki na udach, tak by w każdej chwili móc sięgnąć do kieszeni marynarki po glocka czy smitha, w razie gdyby Patrick miał złe zamiary. Lewej ręki.

– Dobry greps – powiedział.

– Taa?

Mężczyzna w samochodzie pokiwał głową.

– Wezwanie wozu strażackiego. Zgrabne rozproszenie uwagi.  
Jesteś z Dystryktu Trzynastego?

Prawdziwy bostończyk zawsze mówi tak, jakby walczył z katarem. A ten miał zupełnie czysty głos. Może niezbyt przyjazny, ale czysty. Czyli nietutejszy. Bez śladu bostońskiego akcentu. Ani chybi jakiś federalny. Zaczynał w Kansas, przeszedł szkolenie w Quantico i teraz go tu przysłali. Patrick postanowił prowadzić grę, jak długo się da. Pociągnął za klamkę, ale drzwi okazały się zablokowane. Facet je odblokował, przełożył walizeczkę na tylne siedzenie i Patrick wsiadł do środka.

– Trochę stąd daleko do Center Plaza, co? – powiedział.

– Może – rzekł mężczyzna za kierownicą. – Tyle że nie wiem, ani gdzie to jest, ani co tam jest.

– Czyli nie jesteś z Biura. No to skąd?

Mężczyzna znów się zawahał, jego lewa ręka nadal leżała na udzie. W końcu jednak skinął głową, jakby uznał, że warto zaryzykować.

– Z policji w Los Angeles. Zamierzałem się do was zgłosić po południu.

– A co robi gliniarz z LA na JP?

– JP?

– Jamaica Plain. Mógłbym zobaczyć twoją odznakę?

Mężczyzna wyjął portfel i rozchylił go tak, by Patrick mógł rzucić okiem na odznakę z wydziału śledczego i legitymację ze zdjęciem. Nazywał się Hieronimus Bosch.

– Niezłe masz imię. Jak się to wymawia?

– Wystarczy Harry.

– Jasne. To co tu robisz, Harry?

– A ty? Bo na tym swoim łańcuszku nie masz odznaki.

– Nie?

Bosch pokręcił głową.

– Byłoby widać zarys pod bluzą. Krzyżyk?

Patrick przez chwilę patrzył na niego w milczeniu, potem skinął głową.

– Tak, żona każe mi go nosić. – Wyciągnął rękę. – Patrick Kenzie.



I nie jestem gliną. Jestem niezależnym detektywem.

Bosch uściśnął mu dłoń.

– Interesujesz się baseballlem, Pat?

– Patrick.

– Interesujesz się baseballlem, Patrick?

– Jasne. A co?

– Bo jesteś w tym mieście pierwszym facetem w bejsbolówce bez emblematu Soxów.

Patrick zdjął z głowy bejsbolówkę, przyjrzał się jej i przygładził włosy.

– O kurczę – mruknął. – Nawet nie spojrzałem, co zakładam na głowę.

– To żelazna reguła w tych stronach? Wszyscy musicie należeć do szczepu Red Sox, czy coś w tym rodzaju?

– Nie żelazna reguła. Bardziej wytyczna.

Bosch znów spojrzał na czapkę Patricka.

– A co to za pociesznie wyszczerzona buźka?

– Zębulec – odrzekł Patrick. – Logo sklepu z płytami, do którego chodzę.

– Wciąż jeszcze kupujesz płyty?

– Kompakty. A ty?

– Też. Głównie jazz. Ale podobno to wszystko się kończy. Płyty, kompakty, cały dotychczasowy handel muzyką. Przyszłość to MP3 i iPody.

– Też tak słyszałem. – Patrick obejrzał się przez ramię. – Interesujemy się tym samym gościem, Harry?

– Tego nie wiem – odparł Bosch. – Mnie interesuje podejrzany o morderstwo z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego. Muszę zdobyć jego DNA.

– Kto taki?

– Coś ci powiem. Najlepiej będzie, jak pojedę do Trzynastki, zamelduję się u kapitana i wtedy wszystko będzie jak trzeba. Ja przedstawię się tobie, a ty przedstawisz się mnie. Gliniarz i prywatny detektyw połączą siły i zdejmą ciężar z ramion bostońskiej policji. Bo wolalbym, żeby mój kapitan w Los Angeles nie dostał telefonu od...

– Chodzi ci o Paisleya? Masz na oku Edwarda Paisleya?

Bosch przez dłuższą chwilę przyglądał się Patrickowi.

– Kto to jest Edward Paisley?

– Nie pieprz. Opowiedz mi o tej sprawie z dziewięćset dziewięćdziesiątego.

– Posłuchaj. Jesteś prywatnym detektywem, który raczej nie musi wszystkiego wiedzieć, a ja jestem gliniarzem...

– ...który nie dopełnił obowiązku i nie zameldował się od razu w miejscowej policji. – Rozejrzył się. – Chyba że kryje się tu gdzieś łącznik z Dystryktu Trzynastego tak cholernie dobry, że go nigdzie nie widać. Zajmuję się zaginięciem dziewczynki i Paisley może być w to zamieszany. Dziewczynka ma dwanaście lat i trzy dni temu zniknęła. Dlatego bardzo chciałbym wiedzieć, co się wydarzyło w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym. Powiedz mi, a będziesz miał we mnie najlepszego przyjaciela.

– Dlaczego jej nie szukają?

– Kto powiedział, że jej nie szukają?

– Bo szukasz jej ty, a ty jesteś prywaciarzem.

Patrick wyczuwał smutek w głosie policjanta z Los Angeles. Taki, którego źródłem jest nie zła nowina z dnia wczorajszego, ale złe nowiny zwałające się na głowę przez większość dni. Mimo to oczy Boscha nie straciły blasku. Widać w nich było chęć – może wręcz przymus – ścigania zła. To nie był rozleniwiony kocur, który tylko podbija kartę, do niczego się nie wtrąca, bierze pensję i odlicza dni do emerytury. To był prawdziwy gliniarz, który jak trzeba, kopie w drzwi, nie zastanawiając się, kto jest po drugiej stronie, i po dwudziestu latach służby nadal pracuje.

– Dziewczynka jest niewłaściwego koloru skóry, należy do niewłaściwej kasty społecznej, a okoliczności towarzyszące jej zniknięciu są na tyle smrodliwe, że wszyscy się zastanawiają, czy została uprowadzona, czy sama zwała.

– I myślisz, że Paisley może mieć z tym coś wspólnego.

Patrick pokiwał głową.

– Dlaczego?

– Bo już dwukrotnie stawał przed sądem za molestowanie nieletnich.

– Nieprawda. Sprawdziłem go.

– Sprawdziłeś w rejestrze krajowym. Ale nie przyszło ci do głowy sprawdzać w Kostaryce i na Kubie. A w obu tych krajach był aresztowany i postawiony w stan oskarżenia. W końcu jakoś się z tego wymigał, ale jest tam notowany.

– Jak na to wpadłeś?

– Nie wpadłem. Dyrektorka gimnazjum Dearborn, w którym Paisley pracował jako kierowca, zaczęła coś podejrzewać. Któraś z dziewczynek coś bąknęła, jakiś chłopiec coś dorzucił, inna dziewczynka też coś dodała i tak się zaczęło. Nic, co pozwoliłoby postawić mu konkretne zarzuty, ale wystarczająco dużo, by dyrektorka parę razy wezwała go na dywanik i zażądała wyjaśnień. – Patrick wyjął z tylnej kieszeni notes i przerzucił parę stroniczek. – Dyrektorka stwierdziła, że Paisley na wszystko miał zadowalające odpowiedzi i tylko zastanowiło ją, że za często wspominał o mleku.

– O mleku?

– O mleku. – Patrick zajrzał do notatek i pokiwał głową. – Podczas pierwszej rozmowy powiedział, że powinna się więcej uśmiechać, bo mu się to kojarzy z mlekiem. W tym czasie już od roku pracował jako kierowca szkolnego autobusu, ale zatrudnianie kierowców nie należy do niej; to gestia działu personalnego miejskiego wydziału oświaty. W trakcie drugiej rozmowy oświadczył, że słońce na Kubie jest bielsze od mleka i dlatego mu się tam podobało. Że biel dominuje tam nad wszystkim. Zapadło jej to w pamięć.

– Najwyraźniej.

– Ale także wzmianka o Kubie. Wyjazd na Kubę nie jest taki prosty. Trzeba polecieć do Kanady albo na Karaiby i udawać, że się tam siedzi na dupie, a tak naprawdę wskakuje się w samolot do Hawany. No więc gdy tego kierowcę, który bynajmniej nie budził w niej sympatii, przyłapano na jeździe po alkoholu, najpierw wystąpiła o jego zwolnienie, a potem zaczęła się zastanawiać, co on robił na Kubie. Zajrzała do papierów i natknęła się na dziwne luki w jego życiorysie. Niewyjaśniona sześciomiesięczna nieobecność w osiemdziesiątym dziewiątym, dziesięciomiesięczna nieobecność w dziewięćdziesiątym szóstym. Nasza droga przyjaciółka pani dyrektor, bo jak pamiętasz ze szkoły, Bosch, twoja pani dyrektor jest twoją przyjaciółką, zaczęła grzebać. Dość łatwo odkryła, że te pół roku w osiemdziesiątym

dziewiątym spędził za kratkami w Kostaryce, a dziesięć miesięcy w dziewięćdziesiątym szóstym w celi w Hawanie. Poza tym bardzo dużo kręcił się po kraju. Mieszkał w Phoenix, w Los Angeles, w Chicago, w Filadelfii i na koniec w Bostonie. Wszędzie pracował jako kierowca autobusu. Wyglądało na to, że ma tylko jedną krewną: siostrę Tashę. W obu przypadkach został przekazany z zagranicznego więzienia pod jej kuratelę. I jestem gotów się założyć, że lecąc w tamtą stronę, wiozła torbę pełną forsy, a wracała z pustą. No i w ten sposób on jest, a Chiffon Henderson nie ma. Teraz już wiesz wszystko to co ja, detektywie Bosch, i w zamian chciałbym usłyszeć coś od ciebie.

Bosch odchylił się na oparcie fotela tak zamasyście, że skóra aż zaskrzypiała, spojrzął na Patricka Kenziego i opowiedział mu historię Letitii Williams. Miała czternaście lat i w nocy uprowadzono ją z jej pokoju. Nie natrafiono na żadne ślady, nie było żadnych poszlak. Porywacz zrobił dziurę w okiennej siatce, ale jej nie usunął ani nie wyjął całego okna. Rozciął ją tylko ostrym narzędziem i wszedł do środka.

Rozcięcie siatki natychmiast wzbudziło podejrzenia co do okoliczności zniknięcia Letitii. Sprawy nie odłożono na półkę pod pretekstem, że była to ucieczka z domu, tak jak zrobiono piętnaście lat później ze sprawą Chiffon Henderson. Policjanci z wydziału śledczego zjawili się na miejscu od razu, gdy otrzymali zgłoszenie o zniknięciu dziewczynki, ale okazało się, że nie ma żadnych śladów. W pokoju ani na oknie nic nie znaleziono, co nasuwało wniosek, że porywacz czy porywacze używali rękawiczek. Ktoś wszedł do środka, szybko obezwładnił dziewczynkę i równie szybko wyniósł ją przez okno.

Niemniej podczas tych pierwszych oględzin natrafiono na pewien ślad. W alejce za domem, w którym mieszkała Letitia Williams, śledczy znaleźli latarkę. Od razu przyjęto, że należała do porywacza i że upuścił ją, gdy niósł dziewczynkę do zaparkowanego za domem samochodu. Na latarce nie odkryto żadnych odcisków palców, ale to tylko potwierdzało teorię, że porywacz był w rękawiczkach. I dopiero później się okazało, że wewnątrz, na jednej z baterii, są dwa wyraźne odciski palców.

Uznano to za istotną poszlakę, która pozwoli wykryć sprawcę porwania. Odcisk palca wskazującego i kciuka porównano z odciskami

znajdującymi się w bazie miejskiej i stanowej, ale nic nie znaleziono. Potem wysłano jeszcze oba odciski do FBI z prośbą o sprawdzenie w ich krajowej bazie danych, ale też bez rezultatu i trop się urwał.

Tymczasem znaleziono ciało Letitii Williams. Na jej zwłoki natknięto się tydzień po uprowadzeniu, na zboczu wzgórza w Griffith Park, tuż pod obserwatorium. Wyglądało na to, że morderca celowo wybrał to miejsce, by zwłoki zostały szybko odkryte przez kogoś korzystającego z obserwatorium przy dziennym świetle.

Sekcja zwłok wykazała, że ofiarę wielokrotnie wykorzystano seksualnie, a następnie uduszono. Sprawa przyciągnęła uwagę mediów i wydziału ciężkich przestępstw, ale po pewnym czasie wyłądownała na półce. Nie było żadnych śladów, żadnych poszlak, żadnych podejrzanych. W 1992 roku w Los Angeles wybuchły gwałtowne zamieszki na tle rasowym i sprawy w rodzaju zabójstwa Letitii Williams zeszły na plan dalszy. Teczka z aktami tej sprawy trafiła do archiwum i przeleżała w nim do początków nowego wieku, kiedy to powołano do życia Jednostkę do Spraw Niewyjaśnionych. W rezultacie, wraz z innymi starymi sprawami, trafiła na biurko Boscha, a jemu udało się zidentyfikować odciski palców jako należące do niejakiego Edwarda Paisleya z Bostonu.

– I dlatego teraz tu jestem – zakończył Bosch.

– Masz nakaz aresztowania?

– Nie, nakazu nie mam. – Bosch potrząsnął głową. – Same odciski palców to za mało. Pamiętaj, że latarkę znaleziono w alejce za domem, nie w pokoju Letitii, a więc nie ma formalnego związku z morderstwem. Muszę zdobyć DNA Paisleya. Zamierzam łązić za nim i czekać na okazję. Może to być kubek po kawie czy kawałek brzegu pizzy. Zabiorę próbkę do Los Angeles i sprawdzimy, czy pasuje do nasienia pobranego z ciała denatki. Jeśli tak, to dopiero wtedy będę mógł wrócić z nakazem i go dopaść.

W samochodzie zapadło milczenie. Obaj siedzieli wpatrzeni w ulicę, ale Bosch czuł, że tamten nad czymś się zastanawia. Nie był zbyt rosy, miał przyjazną chłopięcą twarz i był ubrany jak zwykły facet z sąsiedztwa – ktoś, kto należy ci piwa lub pomoże naprawić samochód. Na pierwszy rzut oka – a nawet na drugi – sprawiał wrażenie sympatycznego i nieszkodliwego młodego człowieka, którego

chętnie wita się w domu jako chłopaka siostry. Ale Bosch siedział w jego towarzystwie wystarczająco długo, by poczuć, że przebiega w tym facecie przewód pod napięciem – dla większości ludzi zapewne niedostrzegalny, ale niech Bóg ma w opiece tego, kto się o niego potknie.

Prawe kolano Kenziego zaczęło bezwiednie drgać, detektyw poprawił się w fotelu i spojrzał na Harry'ego.

– Powiedziałaś, że ciało ofiary znaleziono tydzień po uprowadzeniu.

– Tak było.

– I że zostało tam podrzucone specjalnie, by ktoś z obserwatorium od razu je zauważył.

– Tak, zwłoki podrzucono w nocy i zaraz następnego dnia rano ktoś je wypatrzył.

– Od jak dawna nie żyła?

Bosch sięgnął do tyłu po walizeczkę, otworzył wieko i wyjął grubą niebieską teczkę z aktami sprawy. Zaczął je przeglądać i jednocześnie mówić. Znał odpowiedź na pamięć, ale na wszelki wypadek wolał zajrzeć do protokołu sekcji zwłok.

– Od siedemdziesięciu dwóch godzin.

– Trzy doby. To znaczy, że facet więził ją przez cztery doby.

– Zgadza się. Na podstawie śladów stwierdzono, że w tym czasie wielokrotnie ją...

– Dziś mija czwarty dzień od zaginięcia Chiffon Henderson. Jeżeli ten drań trzyma się jakiegoś schematu, to... Kurwa, Chiffon zniknęła w poniedziałek wieczorem. – Pokazał ręką szary szeregowiec za ich plecami. – Musimy tam wejść.

\*\*\*

Kenzie stanął przed drzwiami frontowymi, Bosch zaszedł dom od tyłu. Patrick zapewnił kolegę, że jest całkiem sprawnym włamywaczem, jednak drzwi Paisleya były zaopatrzone w skomplikowany zamek, z jakim nigdy wcześniej się nie zetknął. W dodatku całkiem nowy i – sądząc po wyglądzie – bardzo drogi. Zamek za pięćset dolców na drzwiach wartych czterdzieści dolarów. Patrick wypróbował szereg szpikulców, ale żaden nie dotarł nawet do pierwszej linii cylindrów. Jego wysiłki przypominały próbę przebijania

kamienia plastikowym mieszadłem.

Schylił się po szpikulec, który po raz drugi wypadł mu z dłoni, gdy drzwi same się otworzyły i stanął w nich Harry Bosch.

Patrick znieruchomiał, wpatrując się w stojącego w progu gliniarza z glockiem luźno zwisającym w lewej ręce.

– Podobno znasz się na otwieraniu zamków – mruknął Bosch.

– Widać przeceniłem swoje możliwości. – Patrick wzruszył ramionami. – Tak bywa.

Oczekiwał zagraconego i niechlujnego wnętrza, okazało się jednak, że w środku jest całkiem czysto i dość pustawo. Nowoczesne umeblowanie w stylu skandynawskim – dużo bieli i połyskliwych chromów – mocno kontrastowało ze starą boazerią i ciemną tapetą na ścianach. Dom był wynajęty i jego właściciel zapewne nie miał pojęcia o nowym zamku w drzwiach.

– Gościowi najwyraźniej zależy, żeby nikt tu nie zaglądał – zauważył Patrick.

– Czyli musi chodzić o piwnicę. – Bosch wskazał kciukiem w głąb holu, gdzie za salonem ciągnął się przez cały dom korytarz kończący się wejściem do kuchni, a po bokach widniały drzwi do innych pomieszczeń. – Wszedłem od tamtej strony i wszystko sprawdziłem.

– Wszystko sprawdziłeś? To jak długo chciałeś mnie trzymać pod tymi drzwiami?

– Pomyślałem, że po półgodzinie się zniechęcisz i wyłamiesz drzwi. Nie mogłem tak długo czekać.

– Poczucie humoru mieszkańca Los Angeles – parsknął Patrick, ruszając w głąb holu. – Kto by pomyślał?

W połowie korytarza po prawej stronie znajdowały się drzwi równie ciemne jak otaczająca je boazeria. Patrick spojrzał pytająco na Boscha, a ten skinął głową. Nadeszła ta chwila.

Patrick wyciągnął z kieszeni colta commandera kaliber .45 i go odbezpieczył.

– Widziałeś z tyłu zejście? – zapytał.

Bosch spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Jakie zejście?

– No wiesz, do piwnicy. Schodki, masywne drzwi.

Bosch kiwnął głową.



– Tak. Zamknięte od środka. – Po czym, jakby uznając, że powinien się wytłumaczyć, dodał: – Wiesz, w Los Angeles w zasadzie nie mamy piwnic.

– Bo nie macie śniegu i mroźnych wiatrów w zimie, więc na chuj wam piwnice. – Uśmiechnął się promiennie. – Jakieś piwniczne okienka od tyłu?

Ponowne kiwnięcie głową.

– Wszystkie zasłonięte na czarno.

– To niedobrze.

– Dlaczego?

– Bo nikt nie zasłania okien w piwnicy, chyba że ma w niej kino domowe albo zabawia się z dziwkami. – Patrick rozejrzał się na boki. – A coś mi się widzi, że Edward aż takim kinomanem nie jest.

Bosch skinął głową. Czuł, jak źrenice aż mu nabrzmiwiają od adrenaliny.

– Chodźmy stąd i wróćmy tu oficjalnie.

– A jeśli właśnie teraz on tam z nią jest?

I to oczywiście był problem.

Bosch zaczerpnął głęboko powietrza, Patrick zrobił to samo. Bosch położył rękę na klamce i mruknął:

– Wchodzimy na trzy?

Patrick kiwnął głową, wytarł prawą dłoń o dzinsy i oburącz ujął rewolwer.

– Raz. Dwa. Trzy.

Bosch otworzył drzwi.

Pierwsze, co im się rzuciło w oczy, to była gruba okładzina po wewnętrznej stronie drzwi. Co najmniej piętnastocentymetrowa, obłożona elegancką skórą, tłumiąca dźwięki. Taka, jaką się widuje tylko w lepszych studiach nagraniowych. Błada poświata padająca z za ich pleców pozwalała dojrzeć schody. Poza tym wszystko tonęło w ciemnościach. Patrick wskazał ręką włącznik światła na ścianie, przy uchu Boscha, i uniósł brwi.

Bosch wzruszył ramionami.

Patrick wzruszył ramionami.

Na dwoje babka wróżyła.

Bosch pstryknął włącznik.

Schody opadały jednym stromym ciągiem, dzieląc piwnicę na dwie części. Obaj szybko zbiegli na dół. U stóp schodów stał czarny zbiornik na olej opałowy, dość stary, zardzewiały od dołu.

Bez słowa się rozdzielili: Bosch skierował się w lewo, Patrick w prawo.

Ich nie mogło już teraz nic zaskoczyć.

Tylko jego.

\*\*\*

Po stronie Patricka – od frontu domu – piwnica była stara i w większości niewykończona. W pierwszej wnęce stała pralka i suszarka, na ścianie wisiał zlew z kawałkiem brunatnego mydła do prania. Następna wnęka kiedyś pewnie mieściła podręczny warsztat, bo pod ścianą stał długi drewniany stół z przymocowanym do blatu imadłem, ale poza grubą warstwą kurzu i mysimi odchodami nie było tam nic więcej. W przeciwieństwie do pierwszych dwóch, ostatnie pomieszczenie było dokładnie obudowane płytą gipsową z jednej strony i cegłami z drugiej, od przodu znajdowały się solidne, grube drzwi. Na tyle solidne, że próba otwarcia ich kopniakiem musiałaby się skończyć wizytą w szpitalu i założeniem gipsu na stopę.

Patrick odjął lewą rękę od swojej czterdziestki i wytarł dłoni o dzinsy. Poruszył palcami i trzymając rewolwer na wysokości piersi, pod niezbyt wygodnym kątem, sięgnął do klamki. Nie wyglądało to zgrabnie, ale w ten sposób miał pewność, że jeśli przyjdzie mu pociągnąć za spust, ma dużą szansę trafić w brzuch tego, kto będzie stał za drzwiami, chyba że ten ktoś okaże się karłem lub olbrzymem.

Klamka głośno skrzypnęła, dowodząc prawdziwości słów pewnego starego gliniarza, który mawiał, że człowiek robi najwięcej hałasu wtedy, gdy stara się być cicho. Pchnął drzwi i jednocześnie padł na kolana, kierując lufę nieco do góry. Lewa ręka powróciła na rękojeść rewolweru i Patrick, trzymając go oburącz, zatoczył nim łuk od lewej strony do prawej i od prawej do lewej, i uświadomił sobie, że ma przed sobą...

...jaskinię Edwarda Paisleya.

Wsunął się do środka, stanął na wykładzinie dywanowej w barwach Arizona Cardinals i wycelował w fotel typu BarcaLounger ze

skórzanym obiciem w barwach Sun Devils. Proporczyk Phoenix Suns wisiał na ścianie obok proporczyka Phoenix Coyotes i Patrick musiał się przyjrzeć temu drugiemu, by sobie uzmysłwić, że to drużyna grająca w NHL<sup>2</sup>.

Jeśli nawet nie dowie się w tym dniu niczego więcej, to przynajmniej będzie wiedział, że w Arizonie mają zawodową drużynę hokeja.

W pokoju leżały kije baseballowe z autografami Troya Glausa, Carlosa Baergi i Tony'ego Womacka oraz piłki baseballowe podpisane przez Curta Schillinga i Randy'ego Johnsona; na ścianie wisiały oprawione w ramkę fotografie Larry'ego Fitzgeralda i Kurta Warnera, Shawna Mariona i Joego Johnsona; w kasetach z pleksiglasu umieszczono piłki do futbolu i koszykówki oraz krążki hokejowe, na których widok Patrick raz jeszcze się zadumał. W Bostonie mają też drużynę hokejową?

Wziął do ręki kij baseballowy z podpisem Shea Hillenbranda, który w 2001 roku dotarł na szczyt z Soxami, ale przeniósł się do Arizony, zanim Soxi zdobyli tytuł. Patrick był ciekaw, czy coś mu w Bostonie nie pasowało, czy też sprawiła to chęć wygrzewania się w styczniowym słońcu Arizony.

Podejrzewał, że jednak to pierwsze.

Już miał odłożyć kij pod ścianę, gdy nagle usłyszał odgłos kroków. Ktoś szybko szedł po piwnicy, a właściwie biegł.

Ale nie przed czymś uciekał, tylko jakby biegł ku czemuś.

\*\*\*

Harry przesuwiał się wzdłuż tylnej ściany piwnicy, nie napotykając na drodze nic poza nierównościami podłogi, i dopiero po chwili dotarł do ciasnej wnęki ze staromodną termą i prehistorycznym grzejnikiem olejowym. Śmierdziało tu olejem, pleśnią i zasuszonym robactwem. Gdyby nie to, że Bosch szukał nastolatki, której groziło śmiertelne niebezpieczeństwo, i miał bardzo wyostrzony wzrok, mógłby przegapić wejście z tyłu wnęki. Światło jego kieszonkowej latarki wydobyło jednak z ciemności otwór w ścianie, niemal niewidoczny pośród plątaniny rur i zwisających z sufitu kabli.

Wcisnął się za grzejniki i wszedł do długiego wąskiego korytarzyka,

gdzie z trudem zmieściłby się jakikolwiek duży czworonóg, nie mówiąc o postawnym dorosłym mężczyźnie.

Natychmiast opadło go duszne uczucie, że nie może skręcić ani w prawo, ani w lewo, i nie miałby się nawet gdzie ukryć. Wszedł w wąską kiszkę i mógł tylko posuwać się przed siebie. Gdyby ktoś chciał go tu zaatakować, Bosch byłby zdany całkowicie na jego łaskę.

Gdy dotarł do końca korytarzyka, był cały zlany potem. Znalazł się w dużym ciemnym pomieszczeniu ze ścianami z gołych cegieł i kamienną posadzką z otworem ściekowym pośrodku. Omiótł wnętrze światłem latarki i dostrzegł stojącą pod ścianą metalową klatkę, podobną do pojemników, w jakich przewozi się duże psy podczas rodzinnych wyjazdów. Klatkę osłaniała niebieska plandeka malarska, opasana dziewięcioma elastycznymi linkami.

I coś się pod nią ruszało.

Bosch opadł na kolana i szarpnął za koniec plandeki, ale elastyczne linki trzymały mocno. Trzy biegły przez długość klatki, sześć przez jej szerokość. Były zaczepione o podstawę klatki i tak naprężone, że odcięcie ich jedną ręką nie wchodziło w rachubę. Bosch położył glocka przy nodze, a klatka znów się zakołysała i spod plandeki dobiegło żałosne kwilenie.

Odczepił pierwszą z trzech linek biegnących wzdłuż, ale nadal nie był w stanie zajrzeć do środka. Wetknął latarkę w usta i zaczął się mocować z drugą i trzecią linką, gdy nagle w pomieszczeniu rozblęzło światło.

Zrobiło się tak jasno, jakby pół metra nad jego głową zaświeciło słońce albo ktoś włączył stadionowy reflektor.

Światło kompletnie go oślepiło. Wymacał ręką glocka, ale przed oczami miał tylko rozjarzoną biel. Nie widział nawet klatki, mimo iż klęczał tuż obok niej.

Usłyszał jakiś szmer z tyłu po lewej stronie i skierował tam pistolet, potem jednak szmer przesunął się w prawo. Szarpnął glocka w tamtą stronę, powoli odzyskując wzrok na tyle, by dostrzec majaczący cień. A potem usłyszał walnięcie czegoś bardzo twardego w coś mniej twardego, co zmieniło się w coś całkiem miękkiego.

Ktoś boleśnie stęknął i runął na podłogę.

– Bosch – rozległ się głos Patricka. – To ja. Zamknij na chwilę oczy.

Bosch zamknął oczy i usłyszał brzęk tłuczonego szkła – a właściwie serię pojedynczych pyknięć – po czym żar bijący mu w twarz zaczął stopniowo niknąć.

– Chyba mamy go z głowy – powiedział Patrick.

Bosch powoli otworzył oczy, kilkakrotnie zamrugał powiekami i dostrzegł na suficie rząd lamp z potłuczonymi żarówkami. Żarówki były wielkie i musiały mieć co najmniej po siedemset watów. Było ich w sumie osiem, każda tkwiła w dużej czarnej obudowie. Patrick odsunął czarną zasłonę w okienku pod sufitem i do środka wpadło łagodne światło wczesnego popołudnia, jakby modły zostały wysłuchane.

Bosch popatrzył na rozciągniętego na podłodze, cicho charczącego Paisleya. Na jego głowie widniała świeża rana, kapiąca mu z nosa krew miała kolor różowy, cieknąca z ust była ciemnoczerwona. Obok jego prawej dłoni leżał wielki kuchenny nóż.

Patrick Kenzie trzymał w ręce kij baseballowy. Spojrzał na Boscha, uniósł brwi i mruknął:

- Z autografem Shea Hillenbranda.
- Nawet nie wiem, kto to.
- Jasne. Odezwał się fan Dodgersów.

Bosch zajął się resztą linek na klatce, Patrick podszedł mu pomóc, wspólnymi siłami ściągnęli plandekę i w środku rzeczywiście była ona, Chiffon Henderson. Leżała skulona w pozycji embrionalnej, bo rozmiary klatki nie pozwalały ułożyć się inaczej. Patrick zaczął się zmagać z drzwiczkami klatki, ale Bosch, nie czekając, zdjął jej górną część.

Chiffon miała usta zaklejone taśmą izolacyjną, która również krępowała jej nadgarstki i nogi w kostkach. Widać było, że próba wyprostowania kończyn sprawia dziewczynce ból, co Bosch uznał za dobry znak. Paisley pewnie nie zdążył się jeszcze do niej dobrać. Bosch podejrzewał, że zaplanował to na dziś jako wstęp do morderstwa.

Zdejmując taśmę z ust dziewczynki, zaczęli się wzajemnie napominać: Bosch mówił Patrickowi, by uważał na jej włosy, a ten Boschowi, żeby jej nie pokaleczył warg.

Gdy wreszcie uwolnili jej usta i zajęli się kończynami, Bosch zapytał:

– Jak się nazywasz?

– Chiffon Henderson. A wy kto jesteście?

– Ja się nazywam Patrick Kenzie. A ten drugi pan? Chiffon, jego tu nigdy nie było, rozumiesz?

Bosch przekrzywił głowę.

– Jesteś gliniarzem z innego miasta – powiedział Patrick. – Ja się ledwie z tego wybronię, ale ty? Człowieku, odebrali ci odznakę. Chyba że masz w kieszeni nakaz aresztowania, którego mi nie pokazałeś.

Bosch na moment się zamyślił.

– Dotykał cię, Chiffon?

Zaczęła dygotać i płakać, ni to kręcąc głową, ni to kiwając.

– Trochę – wymamrotała – ale nie tak, wie pan. Powiedział, że na to przyjdzie czas później. Że jeszcze różne rzeczy mnie czekają.

Patrick spojrzał na rzeźącego Paisleya. Oczy miał wywrócone do tyłu, wokół jego głowy zbierała się na podłodze kałuża krwi.

– Jedyne, co czeka tego zasańca, to udar po śpiączce – powiedział.

Gdy uwolnili jej ręce i Patrick przyklęknął, aby zdjąć jej taśmę z nóg, Bosch ze zdumieniem poczuł, że dziewczynka mocno go obejmuje, a jej łzy kapią mu na koszulę. Jeszcze bardziej go zaskoczyło, że odruchowo całuje ją w czubek głowy.

– Już żadnych więcej potworów – powiedział cicho. – Nie dziś.

Patrick uporał się z taśmą, zgniótł ją w kulkę i rzucił za siebie. A potem wyjął z kieszeni komórkę.

– Muszę to zgłosić. Już wolę wykręcać się z oskarżenia o próbę zabójstwa niż z udziału w prawdziwym zabójstwie. Koleś coś za szybko sinieje.

Bosch spojrzał na leżącego mężczyznę, który przypominał podstarzałego kurdupla. Takiego, co to kręci się przed wejściem do hipermarketu i proponuje pomoc w wypełnieniu zeznania podatkowego. Jeszcze jednego pokurcza z brudnymi marzeniami i szalonymi majakami sennymi. To dziwne, jak takie potworki zawsze okazują się czymś więcej niż ludźmi. Ale Kenzie ma rację: facet wkrótce umrze w zapomnieniu.

Patrick wybrał 911, ale nie nacisnął POŁĄCZ. Zamiast tego wyciągnął rękę do Boscha i powiedział:

- Jak będę kiedyś w LA.
- Bosch pokręcił głową.
- To zabawne – odparł – ale jakoś nie widzę cię w LA.
- A ja nie widzę cię nigdzie indziej, mimo że teraz akurat stoisz tutaj. Uważaj na siebie, Harry.
- Ty też. I dzięki za... – Bosch spojrział na Paisleya – ...no, za to.
- Cała przyjemność po mojej stronie.
- Bosch ruszył do wyjścia z piwnicy. Musiał się przecisnąć przez ten sam korytarzyk, którym tu dotarł. Odwrócił się i spojrział na Patricka.
- Jeszcze jedna sprawa.
- Patrick jedną ręką trzymał komórkę przy uchu, drugą obejmował Chiffon.
- Co takiego?
- Czy jest jakiś sposób, żeby dostać się na lotnisko bez przejeżdżania przez ten cholerny tunel?

**IAN RANKIN**  
**i**  
**PETER JAMES**

Autorzy często rozmyślają o zderzeniu w jednym utworze postaci z różnych fikcyjnych światów. Robią to zwykle późną nocą, po jednym drinku za dużo, podczas konferencji lub zjazdu, a rano szybko potykają się o związane z tym trudności techniczne i ich wczorajszy „genialny pomysł” ląduje w szufladzie, by nigdy już nie ujrzeć światła dziennego. Dlatego Peter James i Ian Rankin wiedzieli, że zetknięcie ich dwóch głównych bohaterów nie będzie łatwym zadaniem.

Przede wszystkim Roy Grace i John Rebus należą do różnych pokoleń i wywodzą się z różnych środowisk. Mają też odmienne wyobrażenie o funkcjonowaniu sił stojących na straży prawa, a w dodatku działają na dwóch oddalonych o osiemset kilometrów krańcach Wielkiej Brytanii: Grace w Brighton, popularnej miejscowości wypoczynkowej na południu Anglii, Rebus w Edynburgu, stolicy Szkocji. Wprawdzie oba te kraje wchodzą w skład Wielkiej Brytanii, ale obowiązują w nich odmienne systemy prawne, przepisy i kodeksy postępowania.

Tak naprawdę ci bohaterowie różnią się od siebie jak dzień od nocy.

Jak więc można było sensownie ich zetknąć i umożliwić im wspólne działanie?

Fani Johna Rebusa wiedzą, że jest wielkim miłośnikiem muzyki i wychował się na muzyce zespołu The Who, którego członków uważa za swych idoli. Jeden z najsłynniejszych albumów The Who, *Quadrophenia*, niejako nawiązuje do Brighton z lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku, gdy rywalizujące gangi młodzieżowe modsów i rockersów toczyły z sobą boje na nadmorskich bulwarach. Zazarte i często krwawe wojny między krótko ostrzyżonymi i modnie ubranymi modsami a kudłatymi rockersami w skórzanych kurtkach do dziś wielu



mieszkańcom Zjednoczonego Królestwa kojarzą się z Brighton.

To właśnie stało się załączkiem opowiadania.

Kilkadziesiąt lat później w Edynburgu pewien starzec wyznaje na łożu śmierci, że popełnił w tamtych czasach zbrodnię. Rebus musi zdecydować, czy zajęcie się sprawą sprzed tylu lat ma sens, w końcu jednak zwraca się o pomoc do Roya Grace'a. Zmusza to obu gliniarzy do spotkania twarzą w twarz, co prowadzi do ujawnienia dzielących ich rozbieżności, i pozwala im zrozumieć, jak odmienne mają spojrzenie na świat przestępczy.

Czyli jako się rzekło.

Dzień i noc.

Była to również okazja, by współpracownicy obu bohaterów mogli wziąć w tym udział i stoczyć przyjacielską potyczkę. W rezultacie powstało opowiadanie, które wzbogaca mitologię powieści Petera i Iana, zachowując jednocześnie ducha tych książek.

## **W samą porę (IN THE NICK OF TIME)**

Mężczyzna nazywał się James King i chciał coś wyznać.

Jego żona czekała na Rebusa w szpitalnym korytarzu. Gdy szli do łóżka jej męża, powiedziała jedynie, że został mu już tylko tydzień życia, może nawet mniej.

King leżał nieruchomo na łóżku, z maską tlenową na wychudłej nieogolonej twarzy. Oczy miał podkrążone, klatka piersiowa unosiła się i opadała z wyraźnym trudem. Skinął głową na żonę, a ona bez słowa zaciągnęła zasłonę przy łóżku, odgradzając Kinga i Rebusa od pozostałych pacjentów. Umierający zsunął z twarzy maskę tlenową i położył ją sobie na piersi.

– Legitymacja – zażądał. Rebus wyjął legitymację służbową ze zdjęciem i King przez chwilę się w nią wpatrywał, po czym wyjaśnił: – Wołałem się upewnić. Znam Ellę i wiem, że byłaby w stanie namówić jakiegoś biednego frajera, żeby się podszył. Jest przekonana, że to wszystko przez prochy.

– Co wszystko? – spytał Rebus, siadając na krześle.

– Że majaczą. – King zamilkł i obrzucił Rebusa uważnym spojrzeniem. – Nie wyglądasz dużo młodziej ode mnie.

– Dzięki za miłe słowo.

– Ale to znaczy, że pewnie pamiętasz modsów? Lata sześćdziesiąte.

– Chyba nie dotarli aż tak daleko na północ. Ale co do muzyki...

– Dorastałem w Londynie. Jeździłem lambrettą, modnie się ubierałem. Wydawałem forszę na jedno lub drugie. I na weekendowe wypady do Brighton i Margate. Chociaż wołałem Brighton... – King ucichł, oczy mu się zamglily.

Wyhodował w sobie guza zbyt wielkiego, by dało się coś z nim zrobić. Rebus był ciekaw, na jakich środkach przeciwbólowych go trzymają. Diabelnie bolała go głowa, więc może mógłby skorzystać. Zza zasłony dobiegło głośnie rżenie. Któregoś z pacjentów zaczął męczyć

atak duszącego kaszlu. King zamrugał i powrócił do terażniejszości, otrząsając się z jakichś wspomnień.

– Pańska żona do nas zadzwoniła i powiedziała, że chce pan coś wyznać.

– Właśnie to robię – prychnął ze złością King. – Opowiadam.

– O byciu modsem?

– O moim ostatnim wypadzie do Brighton.

– Skuterem?

– Jasne. I stu innych takich jak ja. To była nasza religia, którą mieliśmy zabrać z sobą do grobu. – Przerwał. – A rockersów nienawidziliśmy prawie tak samo jak oni nas.

– Rockersi jeździli motocyklami, tak? – upewnił się Rebus, a King wolno skinął głową. – Toczyliście bitwy na bulwarze. Pamiętam to z *Quadrophenii* – dodał.

– W walce wszystko mogło być bronią. Ja zawsze miałem przy sobie nóż, który zabrałem mojej mamie z kuchni. Ale w użyciu były butelki, deski, cegły...

Rebus już czuł, do czego to zmierza, i nachylił się do Kinga.

– I co się stało? – spytał.

King przez chwilę jeszcze milczał, potem zaczerpnął tlenu z maski i zaczął mówić:

– Jeden z nich, w dżinsach usmarowanych olejem, z mankietami nogawek na osiem centymetrów, w skórzanej kurtce i T-shircie, zrobił błąd i odłączył się od swojej bandy. Paru z nas popędziło za nim. Wiedział, że nam nie ucieknie, więc wpadł do jednego z hoteli przy bulwarze. O ile pamiętam, zaczęliśmy się wszyscy śmiać, jakby to była zabawa w chowanego. Ale jak go dopadliśmy w magazynku obok kuchni, to zabawa się skończyła. W ruch poszły pięści i kopniaki, potem on wyciągnął nóż, ja zrobiłem to samo, tylko że byłem od niego szybszy. Gdy rzucaliśmy się do ucieczki, nóż mojej mamy wciąż tkwił w jego piersi. – King wlepił w Rebusa rozjarzony wzrok. – Zostawiłem go tam, żeby skonał. Dlatego masz mnie teraz aresztować. – Oczy nabiegły mu łzami. – Bo przez te wszystkie lata nie było jednego dnia, żebym o nim nie myślał i nie spodziewał się, że zapukacie do moich drzwi. Ale wyście nigdy po mnie nie przyszli, prawda? Nigdy nie przyszliście...

\*\*\*

Rebus wrócił do swojego mieszkania na pierwszym piętrze kamienicy, wypalił kilka papierosów i zdjął z półki album *Quadrophenia* zespołu The Who. Przerzucił dołączoną do płyty broszurkę z fotografiami i krótkim opisem, po czym sięgnął po słuchawkę i zadzwonił do inspektor Siobhan Clarke.

– No i co? – spytała.

– Prehistoria – odrzekł. – Lato sześćdziesiątego czwartego. Podejrzewam, że spadło to na mnie, bo ktoś pomylił mnie z Matuzalemem. To nawet nie zdarzyło się w Edynburgu.

– A gdzie?

– W Brighton. W czasach modsów i rockersów. Rozkwaszone nosy i amfetamina we krwi. – Wypuścił kłęb dymu. – Sprawa sprzed niemal pięćdziesięciu lat i sprawca, któremu zostało kilka dni życia. Choć wcale nie wiadomo, czy naprawdę to zrobił. Po tych prochach, którymi go faszerują w szpitalu, za chwilę może nam zacząć wmawiać, że jest dawno zaginionym bratem Keitha Moona<sup>3</sup>.

– Więc co o tym sądzisz?

– Wolalbym, żeby zamiast mnie poprosił księdza.

– Warto to przekazać tym na południu?

– Znaczą do Brighton?

– Chcesz, żebym tam poszukała kogoś z wydziału śledczego?

Rebus zdusił niedopałek.

– King podał mi nazwiska kilku facetów, którzy byli świadkami zabójstwa.

– A kto był ofiarą?

– Niejaki Johnny Greene. Pisali o tym w gazetach. Wszystko to śmiertelnie przeraziło Kinga i od razu się wypisał z modsów.

– A ci, którzy z nim wtedy byli?

– Nigdy więcej się z nimi nie spotkał. Pewnie w ramach pokuty.

– I od pięćdziesięciu lat z tym żyje...

– Z tym żyje i z tym umiera.

– Gdyby się wtedy przyznał, odsiedziałby wyrok i miałby to z głowy.

– Wolalbym mu tego nie mówić.

Usłyszał, jak Siobhan westchnęła.

– Znajdę ci kogoś w Brighton – odezwała się po chwili. – Wiesz, zawsze lepiej podzielić to na dwóch.

Podziękował i odłożył słuchawkę, potem wyjął pierwszą płytę z dwupłytyowego albumu *Quadrophenia* i położył ją na talerzu gramofonu. Nigdy w życiu nie miał nic wspólnego z modsami i nawet nie pamiętał, żeby jakiegoś widział, ale ten album znał niegdyś na pamięć. Nalał sobie szklaneczkę słodowej whisky i podkręcił głośność.

\*\*\*

Pierwszy raz od kilku miesięcy, po wyjątkowo obfitej serii morderstw, jakie zdarzyły się tej wiosny w Brighton, Roy Grace mógł wreszcie zabrać się do przeglądania akt starych, niewyjaśnionych spraw, które w wyniku niedawnego połączenia wydziału kryminalnego policji w Sussex i Surrey zostały mu przydzielone. Ledwo zdążył zasiąść przy jednym z biurk w sekcji spraw niewyjaśnionych, gdy drzwi się otworzyły i wszedł, jak zawsze bez pukania, detektyw sierżant Norman Potting. Jego splątane kudły wyglądały na bardziej oklapnięte niż zwykle, ale tak jak zwykle cuchnął dymem z fajki. W ręce trzymał otwarty notes.

– Miałem dziś rano ciekawy telefon, szefie. Inspektor Siobhan Clarke ze Szkocji. Niestety, mówiła z angielskim akcentem. Zawsze lubię posłuchać szkockiego zaciągania.

Grace podniósł na niego wzrok.

– No i? – spytał.

– Któryś z ich ludzi podobno odwiedził śmiertelnie chorego faceta w edynburskim szpitalu. Facet chciał złożyć na łożu śmierci zeznanie, że latem sześćdziesiątego czwartego zabił w Brighton rockersa.

– W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym? Tyle lat minęło, jest umierający i nie może trzymać gęby na kłódkę?

– Może uznał, że w ten sposób uniknie piekła.

Grace pokręcił głową. Religijne gadki o spowiedzi i odpuszczeniu grzechów nigdy do niego nie przemawiały.

– To chyba twoje czasy, co, Norman?

– Ha!

Potting miał dopiero pięćdziesiąt pięć lat, ale jego bezkształtne cielsko i nalana twarz powodowały, że łatwo mógł uchodzić za dziesięć

lat starszego.

– Miewałem kontakty z Edynburgiem, ale nie pamiętam nikogo o nazwisku Clarke.

Potting zajrzał do notesu.

– Jej kolega nazywa się Rebus.

– O tak, tego znam. Pracował przy sprawie zabójstwa Wolfmana w Londynie. Myślałem, że jest już na emeryturze.

– Na pewno wymieniła to nazwisko.

– I co jeszcze powiedziała?

– Zeznanie złożył niejaki James Ronald King. Należał wtedy do modsów. Ofiara nazywała się Johnny Greene.

Na jednym z wolnych biurków zadzwonił telefon, lecz Grace to zignorował. Ściany pomieszczenia były wypełnione fotografiami ofiar morderstw, których nigdy nie wyjaśniono, a także zdjęciami z miejsc przestępstw i pożółkłymi wycinkami z gazet.

– Jak go zabił? – spytał.

– Zadźgał nożem kuchennym. Twierdzi, że nosił go przy sobie dla ochrony.

– Prawdziwy żołnierz – parsknął Grace. – Sprawdziłeś w aktach, czy coś takiego faktycznie miało miejsce?

– Oczywiście, szefie – odrzekł z dumą Potting. – To jedna z rzeczy, o które inspektor Clarke prosiła. Niejaki Johnny Earl Greene zginął dziesiętnastego maja tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku podczas bójki między modsami a rockersami. Pod względem zamieszek był to jeden z najgorszych weekendów w tamtych czasach.

Grace przełożył kartkę w policyjnym notesie i coś zanotował.

– Przede wszystkim musimy odszukać protokół sekcji zwłok Greene'a i jego policyjne zdjęcie. Trzeba je przesłać do Szkocji, żeby King mógł jednoznacznie zidentyfikować swoją ofiarę. O ile nie był wtedy zbyt narąbany, żeby coś zapamiętać.

– Już się o to zwróciłem do biura koronera, szefie – odparł Potting.

– Wystąpiłem też do Królewskiego Szpitala Hrabstwa Sussex o dokumentację z tamtego okresu. Jeśli nie zginął na miejscu, to mógł do nich trafić.

– No to dzielnie się spisałeś. – Roy Grace na moment się zamyślił.

– Mój tata był w tamtych czasach policjantem. Pamiętam jego

opowieści. Jak w niektóre dni wolne od pracy Brighton zamieniało się w strefę wojny.

– Może mógłby pan go spytać, czy czegoś w tej sprawie nie pamięta?

– Świetny pomysł. Tylko najpierw musiałbym znaleźć jakieś medium.

Dopiero po chwili dotarło to do Pottinga. Stał, marszcząc brwi, aż wreszcie się odezwał:

– Przepraszam, szefie. Nie wiedziałem.

– A niby skąd miałeś wiedzieć.

\*\*\*

Dwa dni później Potting wkroczył do sekcji spraw niewyjaśnionych, niosąc pod pachą plik kartonowych teczek. Zwalił je na biurko Roya Grace'a i otworzył pierwszą z wierzchu. Teczka zawierała protokoły sekcji zwłok Earla Greene'a.

– Coś tu nie gra, szefie – powiedział lekko zdyszany. – Pan spojrz na przyczynę zgonu.

Grace zaczął czytać opis obrażeń denata. Nie była to przyjemna lektura.

Liczne pęknięcia czaszki, powodujące pod- i nadtwardówkowe krwawienie, łącznie z bezpośrednim uszkodzeniem tkanki mózgu w wyniku przemieszczenia fragmentów czaszki do masy mózgowej. Pęknięcia żeber powodujące zapadnięcie klatki piersiowej i przebicie wątroby, śledziony i płuc. Rozległe złamanie kości górnej i dolnej szczęki, powodujące obfity krwotok, zatkanie dróg oddechowych i śmiertelne zachłyśnięcie się krwią, połączone z mechanicznym urazem tchawicy, który doprowadził do przemieszczenia kręgów szyjnych. Mechaniczne urazy żeber i związane z tym poważne uszkodzenia narządów wewnętrznych w klatce piersiowej i jamie brzusznej. Liczne pęknięcia drobnych kości dłoni i nadgarstków, wskazujące, że ofiara przyjęła obronną pozycję embrionalną. Głębokie urazy w rejonie jąder i krocza. Grace spojrz na sierżanta i zmarszczył brwi.

– Nie ma słowa o ranach kłutych. Ten cały James King w Edynburgu jest pewny, że dźgnął swoją ofiarę nożem?

– Dwadzieścia minut temu rozmawiałem z Johnem Rebusem. Twierdzi, że nie ma wątpliwości. King mu powiedział, że wbił Greene'owi w klatkę piersiową nóż kuchenny i zostawił go w jego ciele, rzucając się do ucieczki.

– Chyba trudno sobie wyobrazić, żeby przeoczono rany od noża, nawet w tamtych czasach – burknął Grace.

– Też tak myślę.

– Co by znaczyło, że Johnny Greene nie był ofiarą Kinga, chyba że czegoś tu nie rozumiem.

– Nie, szefie – rzekł Potting i otworzył następną teczkę. – Dostałem to ze szpitala. Mamy szczęście. Jeszcze rok i cała dokumentacja z tamtego okresu poszłaby na przemiał. W sobotę dziewiętnastego maja tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego przyjęli pacjenta z raną kłutą klatki piersiowej. W ranie nadal tkwił kuchenny nóż do chleba marki Sabatier. Pacjent nazywał się Ollie Starr, był uczniem szkoły plastycznej i członkiem gangu motocyklowego z Essex. Cios uszkodził mu kręgosłup i pacjenta przewieziono na oddział urazów rdzenia kręgowego w szpitalu Mandeville w Stoke.

– Wiadomo, co się z nim później działo?

– Nie, ale mam nazwisko policjanta, który był na miejscu zdarzenia i towarzyszył ofierze w drodze do szpitala. Posterunkowy Jim Hopper.

Grace szybko policzył w myślach. Był rok 2013, zdarzenie miało miejsce czterdzieści dziewięć lat temu. Wielu policjantów zaczynało służbę przed dwudziestką.

– Ten Hopper może jeszcze żyć. Może mieć sześćdziesiąt kilka, siedemdziesiąt lat. Skontaktuj się z Sandrą Leader, szefową Stowarzyszenia Emerytowanych Policjantów Brighton i Hove, albo z Davidem Rowlandem, szefem miejscowego oddziału NARPO. Powinni coś o nim wiedzieć.

Skrót NARPO oznaczał National Association of Retired Police Officers<sup>4</sup>.

– Już to zrobiłem. I myślę, szefie, że bardzo to pana zacieka. Jim Hopper przeszedł na emeryturę w stopniu inspektora, ale nadal u nas pracuje. Co więcej, przez ten cały czas utrzymywał kontakt z Olliem Starrem, który mieszka w Brighton i jest podobno strasznie rozgoryczony, że napastnik nigdy nie trafił przed sąd.



- Hopper dał ci jego adres?
  - Obiecał mi go przekazać. I zaprosił nas obu na spotkanie.
- Grace zmrużył oczy.
- Jakie spotkanie?
  - Emerytowanych policjantów z Brighton i Howe. W najbliższą sobotę w pubie Sportsman na stadionie Withdean.
  - Z tego, co słyszałem o Rebusie, pewnie nie pogardziłby bezpłatnym drinkiem.
- Potting zastrzygł uszami.
- Myśli pan, że ta inspektor Clarke też by tu przyjechała?
  - Może. – Grace zajrzał do terminarza. Była środa. Do końca tygodnia nie miał nic wpisanego. Wprawdzie obiecał, że w ten weekend spędzi trochę czasu ze swoją ukochaną Cleo i ich córeczką Noah, ale gdyby nawet zorganizował spotkanie ze Szkotami w sobotę, miałby całą niedzielę wolną. Tylko czy Rebus i Clarke zechcą pracować w weekend? – Daj mi ten numer telefonu w Edynburgu.

\*\*\*

O dziesiątej trzydzieści w sobotę Grace i Potting odebrali Johna Rebusa i Siobhan Clarke z lotniska Gatwick i zawieźli ich do Brighton, nieco zbaczając po drodze, by goście mogli rzucić okiem na plażę i Pawilon Królewski.

- Byłaś tu już kiedyś? – zwrócił się Potting do Clarke, przyglądając jej się dokładnie.
- Nie – odrzekła, nie odrywając oczu od widoku za oknem.
- W weekendy bywa tu tłoczno – wtrącił Grace. – Jednodniowi turyści z Londynu.
- Całkiem jak w sześćdziesiątym czwartym – zauważył Rebus.
- Całkiem – potwierdził Grace, krzyżując z nim spojrzenie w lusterku.
- Zajmujesz się starociami?
- Dodatek do normalnych obowiązków – wyjaśnił Grace.
- Też tak miałem, póki Siobhan mnie nie wyratowała. – Powiedział to jednak takim tonem, jakby wcale nie był z tego zadowolony.
- Dużą macie przestępczość? – spytał Potting, nie przestając wpatrywać się w Clarke.

- Nie nudzimy się.
- Bo to, co mamy tutaj, to...
- Nie ścigamy się, kto ma więcej – przerwał mu Grace.

Ale oczywiście wiedział, że wszystkie komendy policji to robią, zawsze tak było i zawsze będzie. Znów napotkał w lusterku wzrok Rebusa i obaj porozumiewawczo się uśmiechnęli.

Usiedli w sali konferencyjnej wydziału śledczego komendy policji w Sussex, gdzie już czekała zaparzona kawa, i przystąpili do oglądania wideo przygotowanego przez Amy Hannah z biura prasowego. Amy zmontowała ciąg archiwalnych klipów z soboty, dziesiętnastego maja 1964 roku, uzupełniając je ścieżką dźwiękową z muzyką tamtych lat – The Dave Clark Five, Kinks, Rolling Stones, The Beatles i inni.

– Fajny pomysł. – Rebus kiwnął głową, z przyjemnością słuchając *The Kids Are Alright*.

W zaciemnionej roletami sali patrzyli na gromady modsów, którzy kręcili się na skuterach między Pawilonem Królewskim a nadmorską promenadą, ubrani w koszule, wąskie krawaty i szykowne garniturki lub kurtki z futrzanymi kołnierzami, oraz równie liczne gromady rockersów w nabijanych ćwiekami skórzanych kurtkach. Wielu spośród modsów miało noże, rockersi wymachiwali łańcuchami i innymi narzędziami walki. Ci drudzy dość mocno się różnili od współczesnych Aniołów Piekieł i tylko ufryzowane plerezy na głowach wyglądały podobnie.

Bitwa trwała w najlepsze, oddziały konnej i pieszej brightońskiej policji w białych kaskach wywijają pałkami, szarżując pod gradem butelek i kamieni.

Siobhan Clarke otworzyła usta i głośno wciągnęła powietrze.

- Nie miałam pojęcia – szepnęła.
- O tak, bywało groźnie – powiedział Grace. – Mama mówiła mi, że tata regularnie wracał do domu z podbitym okiem, zakrwawionym nosem czy rozciętą wargą.
- Plemienne zasady – dodał Potting. – Wojna dwóch wrogich plemion.
- Jedyne, co można do tego porównać u nas, na północy, to walki kibiców Celticu i Rangersów.
- Tu było inaczej – powiedział Grace. – I jeśli chcecie, to mogę

wam wyłuszczyć moją teorię.

– Chcemy.

Grace nachylił się do przodu.

– Ci młodzi byli pierwszym pokoleniem mężczyzn w naszym kraju, którzy nie uczestniczyli w żadnej wojnie. Dlatego musieli wyładowywać agresję inaczej, choćby na sobie samych.

– Nadal tak bywa w sobotnie wieczory. – Rebus wolno pokiwał głową. – Nabuzowani i szukający zwady młodzi ludzie, którzy chcą zwrócić na siebie uwagę.

– Wystarczy poczekać parę godzin – wtrącił Potting, ostentacyjnie zerkając na zegarek.

Wideo dobiegło końca i Rebus oznajmił, że musi wyjść na papierosa.

– Idę z tobą – powiedział Grace.

– To ja też. – Potting wyciągnął z kieszeni fajkę.

Siobhan pokręciła głową.

– Idźcie się truć, chłopcy – rzuciła, wycelowując pilot w odtwarzacz DVD, by jeszcze raz obejrzeć całe wideo od początku.

\*\*\*

Zjedli rybę z frytkami w Palm Court na molo, przejechali na stadion Withdean i wkroczyli do pubu, gdzie spotkanie było już w pełnym rozkwicie.

– Emerycy? – parsknął Rebus, tocząc wzrokiem po blisko stuosobowym tłumie. – W większości młodszy ode mnie.

– Prawa emerytalne przysługują po trzydziestu latach służby – przypomniał Grace.

– W Szkocji mamy tak samo – wtrąciła Clarke. – Tyle że John nie chce z nich skorzystać.

– Dlaczego? – spytał ze zdziwieniem Grace.

Rebus ruszył do baru, Potting skwapliwie podążył za nim.

– To dla niego coś więcej niż tylko praca – powiedziała Clarke, odprowadzając wzrokiem Rebusa. – Potrafisz to zrozumieć?

– O tak, doskonale. – Grace pokiwał głową.

Gdy oboje zbliżyli się do baru, usłyszeli, jak Potting przekonuje Rebusa, że najlepszym lokalnym piwem jest harveys.

– Obojętne co, byle nie sherry – parsknął Rebus.

Z kuflami w dłoniach podeszli do emerytowanego inspektora Jima Hoppera, który w tamto sobotnie popołudnie sześćdziesiątego czwartego roku zajął się ciężko rannym Olliem Starrem. Hopper był prawdziwym wielkoludem, miał ogoloną na zero głowę, która zdawała się wyrastać wprost z potężnych barów, bez szyi, i wyglądał jak podstarzały gwiazdor amerykańskiego futbolu. Ale jego oczy patrzyły ciepło i przyjaźnie. Potting wręczył mu piwo, a on bez słowa upił kilka łyków.

– Uprzedziłem Olliego, że chcecie z nim porozmawiać – powiedział, odejmując kufel od ust. – Chyba go to cholernie ucieszyło. Od czasu tamtej napaści spieprzyło mu się całe życie.

– Utrzymywałeś z nim stały kontakt? – zapytał Rebus.

– Tak. Prawdę mówiąc, zawsze czułem się trochę odpowiedzialny za to, co się wtedy stało. Gdybyśmy mieli tam więcej ludzi, można by wcześniej zauważyć, że go ścigają. – Na wspomnienie tamtego dnia Hopper lekko się skrzywił. – Wsiadłem z nim do karetki. Był przekonany, że umiera, i całkiem się przede mną otworzył, jak przed swoim ostatnim w życiu przyjacielem.

– Myślisz, że po tylu latach dałby radę zidentyfikować napastnika? – spytała cicho Clarke.

– Bez cienia wątpliwości. W dzisiejszych czasach dzięki DNA i kamerom monitoringu w ogóle by nie było takiej potrzeby. Od razu by go przyskrzynili.

– To się wydarzyło przed pół wiekiem – przypomniał Rebus. – Jesteś pewny, że pamięć go nie zawiedzie?

Na twarzy inspektora pojawił się krzywy uśmiezek.

– Najlepiej sami się przekonajcie.

– W jaki sposób?

– Odwiedźcie go, to zobaczycie.

– Jest żonaty? – spytała Clarke.

Hopper pokręcił głową.

– Dla niego życie się skończyło tamtego dnia. Ci dranie dźgnęli go w pierś i jak tchórze czmychnęli.

Na chwilę wszyscy pograżyli się w zadumie, jakby znaleźli się w szklanej bańce, odgradzeni od panującego w pubie gwaru.

– Daj nam ten adres – powiedział Rebus, pierwszy wracając do rzeczywistości.

\*\*\*

Roy Grace widział w życiu niejedną norę, ale mieszkanie Olliego Starra na parterze budynku stojącego pod murem wysypiska śmieci dla gmin Brighton i Hove należało do najgorszych. Było potwornie zawilgocone, na jednej ze ścian maleńkiego przedpokoju widniały wielkie brunatne plamy grzyba. Przecisnęli się do pokoju. Wszędzie stały puste butelki po piwie, z popielniczki wysypywały się niedopałki, na podłodze leżały rzucone w nieładzie części brudnej garderoby, na ekranie staromodnego telewizora trwał mecz piłki nożnej.

Jednak to nie mecz przyciągnął uwagę czwórki policjantów. Ich wzrok przykuły czarno-białe rysunki ołówkiem, którymi pokryty był każdy skrawek gołych ścian pokoju. Przedstawiały pozbawioną wyrazu twarz mężczyzny, tego samego na wszystkich, choć nie taką samą. Grace szybko dostrzegł, że twarz na rysunkach stopniowo się starzeje, od kilkunastoletniego chłopaka po sześćdziesięcioparoletniego mężczyznę. Zmieniały się fryzury i zarost, wąsy i broda. Roy Grace pomyślał, że rysunki bardzo przypominają policyjne portrety pamięciowe.

– O cholera – mruknął Rebus, podchodząc bliżej. – To przecież James King. Skąd pan wziął...?

– Z pamięci – rzucił beznamiętnym tonem Starr.

– Nigdy go pan nie widział?

– Od tego dnia, kiedy wpakował mi nóż w pierś, nie.

– Podobieństwo jest zdumiewające.

– Czyli macie tego drania. – Mięśnie twarzy Starra jakby odrobinę się rozluźniły. – Nigdy tej twarzy nie zapomniałem. A byłem wtedy uczniem szkoły plastycznej w Hornsey. Mówili, że mam obiecującą przyszłość, mogłem pracować w reklamie i tym podobne. Ale ja od tamtej pory rysowałem tylko jego. Rok po roku żyjąc nadzieją, że go kiedyś zobaczę.

Siobhan Clarke odchrząknęła.

– Sądzymy, że mężczyzna, który pana zaatakował, leży umierający w szpitalu.

– Dobrze mu tak.  
– To odpowiada na moje pierwsze pytanie.  
Starr zmrużył oczy.  
– Czyli jakie? – spytał.  
– Czy chce go pan oskarżyć po tylu latach. – Umilkła na chwilę. – Kogoś, kto i tak niedługo umrze.  
– Chcę go zobaczyć – burknął Starr. – Muszę go zobaczyć, stanąć z nim twarzą w twarz. Im bliżej, tym lepiej. Musi zobaczyć, co mi zrobił. Zrujnował mi życie. Jedyne, co mnie trzymało przy życiu, to marzenie.  
– Jakie marzenie? – spytał Grace.  
– Marzenie, że kiedyś się tu zjawicie i przekażecie mi taką wiadomość. – Starr zamrugnął powiekami, by rozpędzić łzy. – Wszyscy mają jakieś marzenia, nie? – Głos mu lekko zadrżał. – Ale trzeba sięgać dalej niż na długość ręki, bo inaczej na co komu niebo?  
Grace’a zaskoczyło, że ktoś taki cytuje Browninga. Żyje w gnoju, ale wyciąga ręce ku pięknu. Jakże inaczej mogłoby wyglądać jego życie, gdyby...  
Gdyby.  
Porozumiał się wzrokiem z Rebusem, potem z Siobhan Clarke. Bez wątpienia wszyscy troje myśleli to samo. Tylko Potting nie brał w tym udziału, bo był zajęty podglądaniem nóg Siobhan tak, by tego nie zauważyła.  
– Musimy jak najszybciej zabrać pana do Edynburga – powiedział Rebus. – Może pan lecieć w poniedziałek?  
– Wolę pociągiem – mruknął Starr. – Będę miał czas się zastanowić, czy najpierw napluć mu w gębę, czy od razu mu przyłożyć.

\*\*\*

Roy Grace nienawidził szpitali i starał się ich unikać. Miał zbyt wiele wspomnień związanych z odwiedzaniem umierającego ojca, potem umierającej matki. Mimo to późnym popołudniem w poniedziałek wszedł w towarzystwie Rebusa i Clarke na teren Królewskiej Lecznicy w Edynburgu. Wszystko lśniło nowością, żadnego zapachu gotowanej kapusty czy środków dezynfekcyjnych. Gospodarze czekali na przyjezdnych na dworcu Waverley i Clarke

dopilnowała, by goście mogli rzucić okiem na słynny zamek. Gdy Rebus pchnął drzwi prowadzące na oddział, Grace obejrzał się na Pottinga i Starra. Ich twarze nie wyrażały żadnych emocji.

– W porządku? – spytał.

Odpowiedzią były dwa obojętne kiwnięcia głową.

Idący przodem Rebus nagle się zatrzymał i Grace niemal na niego wpadł. Łóżko w narożniku było puste, stół obok także.

– Cholera – zaklął pod nosem Rebus, rozglądając się po sali.

Leżało na niej wielu pacjentów, jednak nie było wśród nich tego, do którego przyjechali.

– Mogę państwu w czymś pomóc? – spytała pielęgniarka z przyklejonym do twarzy profesjonalnym uśmiechem.

– James King – rzekł Rebus. – Wygląda na to, że się spóźniliśmy.

– Ojej, no tak.

– Kiedy umarł?

Uśmiech ustąpił miejsca wyrazowi zaskoczenia.

– Umarł? On wcale nie umarł – powiedziała. – Nastąpiła nagła remisja. Czasami tak się dzieje. Gdybym była religijna, to... – Zawiesiła głos. – Nieoczekiwana i niewytłumaczalna poprawa, ale się zdarza. Pan King wrócił do domu, na łono rodziny, radosny jak skowronek.

\*\*\*

Dwadzieścia minut później Rebus zapukał do drzwi bungalowu przy Liberton Brae. Otworzyła Ella King. Spojrzała lodowatym wzrokiem na stojącą przed nią grupkę.

– Mąż zmienił zdanie – burknęła. – To wszystko przez te prochy, którymi go faszzerowali. Miał halucynacje.

– Świetnie, nie ma sprawy. – Rebus uniósł ręce w geście poddania.

– Czy mimo to moglibyśmy wejść na chwilę?

Nie wyglądała na zachwyconą, ale Rebus ją wyminął i wszedł do środka, Grace i Clarke tuż za nim. James King siedział w wielkim fotelu i oglądał w telewizji wyścigi konne. Miał na sobie domowe spodnie i koszulkę polo, na jego kolanach leżała gazeta, na stoliku obok stał kubek z herbatą.

– Słyszeliście, co powiedzieli? – rzucił w ich stronę. – Nazwali to cudem, bo inaczej nie potrafią tego wyjaśnić. Ella mówiła wam

o prochach? Musiałem być mało przytomny, kiedy z wami rozmawiałem.

– Czyżby? – odezwał się Rebus. – A czy zechciałby pan teraz, całkiem przytomnie, podejść do drzwi? Przed domem czeka pański stary znajomy.

King skrzywił się, jednak gdy Rebus zdecydowanym gestem kazał mu wstać, posłuchał i szurając nogami, powłókł się do drzwi frontowych.

Na ścieżce przed domem stał Norman Potting, z dłońmi opartymi na rączkach wózka inwalidzkiego Olliego Starra.

– Panie King, przedstawiam panu Olivera Starra – powiedział Rebus.

– Ale myśmy nigdy się nie spotkali. Ja... ja go nie znam. O co chodzi?

– Znasz mnie dobrze – warknął Starr, prężąc ciało, jakby go ktoś podłączył do prądu. – Twój nóż kuchenny do dziś leży wśród dowodów rzeczowych na policji w Brighton. Matka cię nie pytała, co się z nim stało?

Grace obserwował Kinga, który wyglądał tak, jakby go ktoś spoliczkował.

– Co się tu dzieje? – spytała drżącym głosem jego żona.

– Wtedy rzeczywiście ktoś stracił życie – wyjaśniła Clarke – ale nie ten, którego zaatakował pani mąż. Mąż przeczytał o tej śmierci w gazetach i wysnuł swoje wnioski.

– Panie Starr, czy to ten człowiek zaatakował pana nożem? – zapytał Grace.

– Wszędzie bym go poznał – odrzekł Starr, świdrując Kinga wzrokiem.

– Ty stary durniu – wybuchła Ella King. – Mówiłam ci, żebyś się nie wychylał, żebyś zabrał to z sobą do grobu. Dlaczego nie mogłeś siedzieć cicho?

– Jamesie Ronaldzie Kingu – odezwał się urzędowym tonem Grace – mam tu nakaz aresztowania. Aresztuję pana jako podejrzanego o próbę zabójstwa Olivera Starra. Nie musi pan nic mówić, ale jeśli nie powie pan teraz tego, co pan ma na swoje usprawiedliwienie, może to utrudnić pańską obronę przed sądem. Wszystko, co pan powie, może



zostać użyte przeciwko panu. Czy to jest jasne?

– Nastąpiła remisja – jęknął King. – Resztką życia przede mną...

– Ale jak dotąd dobrze ci się wiodło, co?! – wykrzyknął Starr. – W każdym razie lepiej niż mnie. Lata spędzone na cholernym wózku inwalidzkim! Ani żony, ani dzieci!

– Nie możecie mu tego zrobić – jęknęła Ella King, kładąc dłoń na ramieniu męża. – On jest ciężko chory.

– Nie jest chory, pani King – odparł Rebus. – Sama nam to pani powiedziała.

– Jest chory, ale na umyśle – burknął Potting. – Tylko chory umysłowo może wpakować komuś nóż tak głęboko, że przerywa mu rdzeń kręgowy.

– To było tak dawno temu. – Ella King nie przestawała biadolić. – Wszystko się teraz zmieniło.

– Nie aż tak bardzo – mruknął Rebus, zerkając na Clarke i Grace'a. – A my zjawiliśmy się tu w samą porę.

Roy Grace pokiwał głową.

Działali w różnych miastach, wywodzili się z różnych kultur i należeli do różnych pokoleń, wiedział jednak, że coś go z Rebusem łączy: poczucie satysfakcji z dobrze spełnionego obowiązku.

**R.L. STINE**  
**oraz**  
**DOUGLAS PRESTON i LINCOLN CHILD**

Douglas Preston i Lincoln Child stworzyli postać agenta FBI A.X.L. Pendergasta niemal przez przypadek. Lincoln pracował w wydawnictwie St. Martin's Press i redagował pierwszą książkę Douga, *Dinosaurs in the Attic*, opowiadającą historię powstania Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej. Zachęteni tym doświadczeniem postanowili wspólnie napisać thriller umiejscowiony w muzeum. Doug napisał kilka pierwszych rozdziałów, w których przedstawił początek śledztwa w sprawie podwójnego morderstwa, i wysłał je do Lincolna z prośbą o opinię. Lincoln przeczytał tekst i zgłosił jedno zastrzeżenie. Wydawało mu się, że dwaj gliniarze prowadzący śledztwo są zbyt do siebie podobni, by nie powiedzieć identyczni. zaproponował, żeby połączyć ich w jedną postać (tak narodził się porucznik Vincent D'Agosta), ale stwierdził, że obok niej przydałby się ktoś jeszcze. „Jako drugiego śledczego potrzebujemy detektywa nowego typu. Kogoś nietuzinkowego, kto w Nowym Jorku czuje się jak ryba wyjęta z wody”.

Nieco zirytowany tą krytyką, Doug sarkastycznie odpisał Lincolnowi: „Tak, jasne. Na przykład agent FBI, który jest albinosem i mieszka w Nowym Orleanie”.

Na jakiś czas zapadło między nimi milczenie.

A potem Lincoln zadzwonił i powiedział:

– Wiesz, myślę, że to by mogło się udać.

W ciągu następnych piętnastu minut z ich głów, niczym Atena z głowy Zeusa, wyłonił się agent specjalny Pendergast.

I jak mówią, reszta to już historia.

W kolejnych książkach agent specjalny Pendergast musiał się zmagać z wieloma niezwykleymi przeciwnikami. Byli to seryjni

mordercy o kanibalistycznych skłonnościach, podpalacze, chirurg morderca, zbrodniczy mutant, a nawet jego własny brat, szalony geniusz. Nigdy jednak nie przyszło mu się zmierzyć z kimś takim jak Slappy, kukła brzuchomówcy.

Slappy jest jedną z bardziej złowrogich postaci R.L. Stine'a, autora ponadczasowych bestsellerów, którego powieści rozeszły się na świecie w łącznym nakładzie ponad czterystu milionów egzemplarzy. To on stworzył słynną serię „Gęsia Skórka” i to dzięki jego wyobraźni miliony dzieci zainteresowały się czytaniem. W „Gęsiej Skórcie” występuje też Slappy, który pojawia się w tak znanych opowieściach, jak *Noc lalki*, *Bride of the Living Dummy* czy *Son of Slappy*. Wyrzeźbiony z drewna starej trumny Slappy ożywa na dźwięk pewnego zaklęcia, stając się złośliwą, wredną, sadystyczną i złowrogą istotą o charczącym głosie i niesamowitej sile fizycznej, i zwykle próbuje podporządkować sobie nieszczęsne dziecko, które go przywołało do życia. Slappy zyskał tak wielką popularność, że w wielu specjalistycznych sklepach są dziś do kupienia produkowane na jego wzór kukły brzuchomówcy.

Opowiadając historię stworzenia Slappy'ego, Bob wspomina nakręcony w 1945 roku brytyjski horror *U progu tajemnicy*, który go zainspirował. Jednym z wątków filmu jest historia zbrodniczej kukły, która ostatecznie opanowuje umysł swego właściciela. Bob widział ten film jako dziecko i pamięta, że strasznie się wtedy bał. Co ciekawe, w dzieciństwie Bob miał własnego Jerry'ego Mahoneya<sup>5</sup>. Jako pisarza zafascynował go pomysł, że coś tak pozornie sympatycznego i nieszkodliwego jak drewniana lalka może okazać się takim uosobieniem zła.

Pomysł zderzenia eleganckiego i kulturalnego agenta FBI Pendergasta z morderczą kukłą wydawał się tak niezwykle – zgoła niewykonalny – że Doug, Lincoln i Bob od razu podjęli wyzwanie. W rezultacie powstał thriller psychologiczny, w którym obaj – agent Pendergast i kukła Slappy – wychodzą poza zwykłe schematy, przyjmując na siebie role, które znających ich czytelników mogą zaskoczyć i zaniepokoić.

Jedno nie ulega wątpliwości: nie jest to opowieść przeznaczona dla dzieci.

## **Maskarada (GASLIGHTED)**

Słysząc było tylko ciche stukanie i nic więcej. Czyżby tykanie zegara? Nie, dźwięk był zbyt głośny i zbyt nieregularny. Może więc skrzypienie starego domu? Lub pstrykanie w grzejniku?

Wysłuchując się w ten odgłos, stopniowo uświadomił sobie coś jeszcze, a właściwie brak czegoś. Brak światła. Brak czucia. Brak imienia.

A to już było niezwykle, prawda? Być kimś bezimiennym i pozbawionym pamięci. Być jak tabula rasa, jak puste naczynie. I jednocześnie czuć, że wie dużo. Ot, taki paradoks.

Stukanie stało się głośniejsze. Próbował to zrozumieć. Wracała mu świadomość. Nic nie widział, bo na głowie miał kaptur. Ręce i nogi były unieruchomione. Nie związane, tylko przypięte pasami. Leżał na łóżku. Spróbował się ruszyć. Pasy były elastyczne, wygodne i bardzo mocne.

Nie czuł głodu. Nie czuł zmęczenia. Nie było mu ani gorąco, ani zimno. Nie czuł lęku. Odczuwał spokój.

Stuk, stuk, stuk-stuk. Wsłuchiwał się. Pomyślał, że jeśli uda mu się rozpoznać źródło tych dźwięków, może wszystko inne wróci do normy.

Spróbował coś powiedzieć, ale z jego ust dobył się tylko świszczący oddech.

Stukanie ustało. Zapadła cisza.

A potem usłyszał skrzypnięcia. Znał ten dźwięk: ktoś idący po drewnianej podłodze. Kroki się zbliżały. Czyjaś ręka chwyciła kaptur i usłyszał trzask rozdzielanych rzepów. Kaptur ostrożnie zdjęto i ujrzał nachylającą się ku niemu twarz. Poczul na głowie chłodne powietrze i zrozumiał, że jest ogolony na łyso. A przecież kiedyś miał włosy – przynajmniej tego jednego był pewny.

Twarz jeszcze bardziej się zbliżyła i obraz się wyostrzył. W pomieszczeniu panował półmrok, ale widział tę twarz całkiem

wyraźnie. Nachylał się nad nim mężczyzna po czterdziestce, ubrany w szary flanelowy garnitur. Miał ostre rysy, wysokie kości policzkowe i orli nos. Głębokie oczodoły nasuwały skojarzenie z trupa czaszką. Do tego rude włosy i gęsta, krótko przystrzyżona bródka. Ale najbardziej przykuwały uwagę jego oczy: jedno intensywnie zielone, o bystrym i głębokim wejrzeniu rozszerzonej źrenicy, drugie bladoniebieskie, jakby czymś zasłane, o źrenicy jak mały czarny punkcik.

Widok tych oczu z czymś mu się kojarzył, z czymś potężnym. Na głowę runęła mu Niagara wspomnień, wszystkich naraz, aż się skulił pod ich zalewem. Wpatrzył się w pochylonego nad nim mężczyznę.

– Diogenes – wyszeptał.

– Aloysius – powiedział mężczyzna, z niepokojem ścigając brwi. – Bogu dzięki, że wreszcie się obudziłeś.

Aloysius. Aloysius Pendergast. Tak się nazywa. Agent specjalny Aloysius Pendergast.

– Ty nie żyjesz – wymamrotał. – Ja śnię.

– Nie – odparł niemal czule Diogenes. – Wybudziłeś się z sennego koszmaru. Teraz zaczniesz już zdrowieć. Nareszcie. – Pochylił się nad łóżkiem i uwolnił brata ze skórzanych pasków, poprawił poduszkę, podciągnął i wyrównał pościel. – Możesz usiąść, jeśli dasz radę.

– Ty mi to zrobiłeś. To jeden z twoich szalonych pomysłów.

– Przestań, proszę. Nie zaczynaj od nowa.

Kątem oka Aloysius dostrzegł jakiś ruch i odwrócił głowę. Drzwi się otworzyły i do pokoju weszła kobieta. Rozpoznał ją natychmiast. Helen Esterhazy, jego żona.

Jego świętej pamięci żona.

Z przerażeniem patrzył, jak się do niego zbliża. Wyciągnęła ku niemu rękę, ale on swoją cofnął.

– Mam halucynacje – wychrypiał.

– Nie, to prawda – powiedziała miękko.

– Niemożliwe.

Usiadła na krawędzi łóżka.

– Oboje żyjemy. Jesteśmy tu po to, by pomóc ci wyzdrowieć.

Aloysius Pendergast w milczeniu pokręcił głową. Jeśli nie śni, to musi mieć narkotyczne przywidzenia. Nie będzie uczestniczył w niczym, co będzie się wokół niego działo. W tym, co mu będą robić.

Zamknął oczy i zaczął sobie przypominać, jak się tu znalazł. Jaki ciąg zdarzeń doprowadził do jego... uwięzienia. Jednak w krótkotrwałej pamięci panowała pustka. Zatem jakie ma ostatnie wspomnienie? Starał się je odtworzyć. Ale nie było nic poza pustą czarną drogą, ciągnącą się tak daleko, jak sięgał pamięcią.

– Chcemy ci pomóc – dodał Diogenes.

Aloysius uniósł powieki i spojrzał w dwukolorowe oczy swego brata.

– Ty? Chcesz mi pomóc? Jesteś moim najgorszym wrogiem. A poza tym cię tu nie ma. Nie żyjesz.

Właściwie skąd wiedział, że jego brat nie żyje? Skoro nic nie pamiętał, to jak mógł wiedzieć? A jednak był tego pewny... chyba.

– Nie, Aloysiusie – rzekł Diogenes z uśmiechem. – To wszystko tylko twoje fantazje. Twoja choroba. Pomyśl o swoim życiu czy raczej o tym, co wydaje ci się twoim życiem. Kim według ciebie jesteś?

Pendergast się zawahał.

– Jestem... jestem agentem FBI.

Kolejny łagodny uśmiech.

– Dobrze. A teraz się zastanów. Wiemy wszystko o tym twoim tak zwanym życiu. Ostatnie miesiące upłynęły ci na opowiadaniu o nim doktorowi Augustine'owi. Słuchaliśmy twoich opowieści o szalonych wyczynach i niezwykłych przygodach. O ludziach, których podobno zabiłeś, i o twoich ucieczkach w ostatniej chwili. Słuchaliśmy o potworach wyjadających ludzkie mózgi i o prymitywnych seryjnych mordercach z jaskiń. Słuchaliśmy o armiach podziemnych mutantów i o programach szkolenia nazistów. Słuchaliśmy o młodej kobiecie, która ma sto czterdzieści lat... To właśnie z tego świata fantazji wreszcie się wybudzasz. My istniejemy naprawdę, tamtego zwariowanego świata nie ma.

Słuchając wyliczanki Diogenesa, czuł, jak wszystko po kolei rozbłyskuje w jego pamięci niczym świetlne race.

– Nie – powiedział. – Jest dokładnie odwrotnie. To ty wszystko przekręcasz. Was tu nie ma, a tamten świat jest prawdziwy.

Helen pochylila się i wbiła w niego spojrzenie swych fiołkowych oczu.

– Czy sądzisz, że FBI, to nadęte, sztywne FBI, pozwoliłoby

któremuś ze swoich agentów na takie szaleństwa? Na zabijanie ludzi na prawo i lewo? – Mówiła spokojnym, pełnym rozsądku tonem. – Jakże ten świat może być prawdziwy? Pomyśl o swoich tak zwanych przygodach. Czy jeden człowiek, samotny mężczyzna, mógłby naprawdę doświadczyć tego wszystkiego i ująć z życiem?

Diogenes znów zaczął mówić, a jego miękki południowy akcent brzmiał kojąco:

– Po prostu nie mógłbyś przeżyć tych wszystkich przygód, o których opowiadałeś doktorowi Augustine’owi. Nie rozumiesz tego? To twoja pamięć cię zwodzi, nie my.

– To czemu jestem skrupowany? Po co ten kaptur?

– Bo kiedy nastąpiło przesilenie, gdy doktor Augustine ostatecznie się przebił przez twardą skorupę twoich fantazji, wystąpiły u ciebie... pewne zaburzenia. Nie było innego wyjścia. Dla twojego bezpieczeństwa musieliśmy cię unieruchomić. Włożyliśmy ci kaptur, bo drażniło cię światło. Zawsze, już od dzieciństwa, miałeś awersję do światła.

– A ta ogolona głowa?

– Było to konieczne ze względu na zabiegi. Przykładano ci elektrody do elektrostymulacji mózgu.

– Elektrody? Na litość boską, co wy ze mną wyprawiacie?

– Postaraj się rozluźnić, Aloysiusie – powiedziała łagodnie Helen. – Wiemy, jakie to musi być dla ciebie trudne. Wybudzasz się z długiego, bardzo długiego koszmaru. Jesteśmy tu po to, by pomóc ci wrócić do rzeczywistości. Spróbuj usiąść. Napij się wody.

Pendergast usiadł, a Helen poprawiła mu poduszkę. Mógł się teraz lepiej przyjrzeć pomieszczeniu. Był to elegancki, wyłożony dębową boazerią pokój z widokiem na rozległy trawnik i kwitnące krzewy derenia. Dostrzegł, że w oknach są dyskretne kraty. Większość lśniącego parkietu pokrywał perski dywan. Na to, iż jest to pokój szpitalny, wskazywała tylko jakaś dziwaczna aparatura medyczna na ścianie obok jego łóżka, z panelami sterowniczymi i lampkami kontrolnymi oraz wiązką elektrod zwisających na długich kolorowych przewodach.

Jego wzrok wypatrzył coś dziwnego: na stojącym w rogu pokoju atlasowym fotelu z wysokim oparciem siedziała kukła, z rodzaju tych,

których używają brzuchomówcy. Miała brązowe włosy i szkarłatne usta, ubrana była w biały lekarski kitel, na szyi wisiał jej stetoskop. Wargi miała rozchylone, za nimi ział ciemny otwór. Szklście niebieskie oczy pod łukowatymi brwiami wpatrywały się nieruchomo prosto w niego. Lalka siedziała sztywno wyprostowana, jej nogi w brązowych lakierkach z pomarańczowymi sznurowadłami były wyciągnięte do przodu.

W tym momencie drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł rosły mężczyzna o dobrodusznym wyglądzie. Jego łysą czaszkę okalał wianuszek włosów. Miał na sobie granatowe ubranie z samodziału i pod szyją czerwoną muchę, a w butonierce tkwił czerwony goździk. W rękę trzymał twardą podkładkę z przypiętymi papierami.

Diogenes wstał i wyciągnął do niego rękę.

– Witam, doktorze. Tak się cieszymy, że pan przyszedł. Przebudził się i śmiem twierdzić, że jest w dużo lepszej kondycji psychicznej.

– Doskonale – rzekł doktor i spojrzał na Pendergasta. – Myślę, że osiągnęliśmy prawdziwy przełom.

– Przełom? A skąd. To jakiś stan wymuszonych halucynacji, zamach na moje zdrowie psychiczne.

– Przemawiają przez pana resztki pańskich urojeń. Ale to zupełnie zrozumiałe. Pozwoli pan, że usiądę? – Wskazał ręką krzesło obok fotela z kukłą.

– Pańska wygoda jest mi najzupełniej obojętna – odrzekł Pendergast. – Może pan sobie robić, co pan chce.

Doktor usiadł, zupełnie niezrażony jego obcesowością.

– Cieszę się, że rozpoznał pan Helen i Diogenesa. Już samo to oznacza wielki krok naprzód. Przedtem nawet ich pan nie widział, tak potężne były pańskie urojenia o ich śmierci. A teraz, korzystając z poprawy pańskiego zdrowia, chciałbym, jeśli wolno, wszystko panu wyjaśnić.

Pendergast machnął obojętnie ręką.

– Mamy tu do czynienia z głębokim i skomplikowanym schorzeniem, być może najtrudniejszym w całej mojej praktyce. To, co panu teraz przedstawię, jest wynikiem wielomiesięcznych skrupulatnych zabiegów rekonstrukcyjnych. Podczas pracy w służbach specjalnych przed dwudziestu laty uczestniczył pan w wyjątkowo



traumatycznych wydarzeniach. Omówiliśmy je szczegółowo i nie ma potrzeby do nich wracać. Dość powiedzieć, że były na tyle dramatyczne, iż zagroziły pańskiemu zdrowiu psychicznemu, może wręcz pańskiej egzystencji. Odszedł pan ze służb specjalnych, ale przeżyta trauma wywołała u pana skrajną postać stresu pourazowego, który istniał w głębokim ukryciu, nieleczony. Rozrastało się to w panu latami, niczym rak. Jako człowiek zamożny nie musiał pan pracować i niewykluczone, że bezczynność uczyniła największe spustoszenie w pańskim organizmie. Zaczął pan mieć urojenia. Pańskim głównym sposobem na poradzenie sobie ze stresem było wykreowanie we własnym umyśle postaci niezwyciężonego agenta FBI, który zwalcza zło, bez litości zabija i uwalnia świat od złooczyńców. To urojenie całkowicie zawładnęło pańską świadomością.

Pendergast przypatrywał się doktorowi. Wszystko w nim krzychało, by nie wierzyć jego słowom, musiał jednak przyznać, że jest w nich pewna niepokojąca logika. Dowodem na to była obecność Diogenesa i Helen, dwojga ludzi, co do których był pewny, że nie żyją. A oni tu byli, oddychali, mówili i sprawiali wrażenie absolutnie rzeczywistych. Przecież nie mógł podawać w wątpliwość świadectwa własnych oczu. Ale z drugiej strony... wspomnienia o służbie w FBI, które, po wcześniejszej wyliczance Diogenesa, zalały go falą, były równie rzeczywiste.

– Przebywał pan w ciemnej otchłani – ciągnął doktor, postukując długopisem w podkładkę. – Ale w końcu, dzięki mojej metodzie leczenia, nastąpił u pana prawdziwy przełom. Prawdę mówiąc, już od pewnego czasu sprawy wyglądały na tyle obiecująco, że w ubiegłym tygodniu wezwałem dwie najbliższe panu osoby, pańskiego brata i byłą żonę, żeby zobaczył ich pan zaraz po wybudzeniu. Chwilę przed wyjściem z tunelu zawsze jest najciemniej.

– Gdzie ja jestem?

– W sanatorium Stony Mountain nad jeziorem Saranac w stanie Nowy Jork.

– I jak tu trafiłem?

– Gospodyni znalazła pana zabarykadowanego w pańskim mieszkaniu w Dakocie, mającego coś o nazistach. Wezwała policję i zawiadomiła pańskiego brata, a on wraz z pana byłą żoną

zorganizowali przewiezienie pana tutaj. Było to prawie sześć miesięcy temu. Początkowo leczenie postępowało bardzo opornie, ale postęp, jakiego dokonał pan ostatnio, jest bardzo obiecujący. A teraz, po tym wszystkim, co pan usłyszał, jak pan się czuje?

Pendergast spojrział na Diogenesa i jak poprzednio zobaczył na jego twarzy wyraz głębokiej braterskiej troski.

– Ale przecież twoją życiową ambicją było mnie zniszczyć – powiedział.

Na twarzy Diogenesa pojawił się wyraz cierpienia.

– Z twoich wszystkich urojeń, Aloysiusie, to jest dla mnie najboleśniej. Zawsze cię kochałem. Oczywiście, jako dzieci często się sprzeczałyśmy. Ale którzy bracia tego nie robią? Patrzenie, jak te dziecinne sprzeczki przeradzają się potem w dorosłą paranoję, było naprawdę bolesne. Kocham cię, bracie, i już dawno pojąłem, że twoje zachowanie wynika z choroby, nie ze świadomego wyboru.

Pendergast zwrócił twarz ku Helen.

– A ty?

– Najpierw wytworem twojej chorej wyobraźni było to, że zginęłam rozszarpana przez lwa w Afryce – odrzekła, spuszczać wzrok. – A potem twoje urojenia jeszcze bardziej się nasiliły i zaczęłaś twierdzić, że to nie lew w Afryce mnie zabił, ale naziści w Meksyku. W pewnej chwili nie mogłam dłużej tego wytrzymać i wystąpiłam o rozwód. Bardzo mi przykro. Może powinnam być silniejsza. Ale w istocie nigdy nie przestałam cię kochać.

Zapadło milczenie. Pendergast rozejrzał się po pokoju. Wszystko tu było takie prawdziwe, takie realne i uspokajające. Wbrew sobie poczuł, że zaczyna się odprężyć, jakby wreszcie budził się z koszmarne snu. A jeśli to wszystko prawda? Jeśli koszmar śmierci Helen nigdy się nie wydarzył? Jeśli to wszystko działo się tylko w jego wyobraźni? Jakże cudownie byłoby uwolnić się od tych strasznych wspomnień, tego przytłaczającego poczucia winy, bólu i wyrzutów sumienia, od wszystkich potworności, których był świadkiem jako agent FBI. I mógłby się też uwolnić od udręki szaleństwa Diogenesa i jego zapiekłej nienawiści. Doktor Augustine pytał go, jak się czuje. No więc czuł się uspokojony. Gotów, by o wszystkim zapomnieć. Czuł się tak, jakby pęta fałszywych wspomnień i zmyślonych zdarzeń ostatecznie

z niego spadały, a on stawał przed drugą szansą w życiu.  
– Chyba chciałbym się teraz zdrzemnąć – powiedział.

\*\*\*

Obudził się w nocnym mroku. Usiadł na łóżku i dostrzegł Helen, która drzemała na krześle obok. Jego ruch widać ją obudził, bo otworzyła oczy i uśmiechnęła się. Spojrzała na zegarek. Światło księżycy sączyło się przez koronkowe firanki w oknie, rzucając bladą poświatę na połyskliwą boazerię ścian. Fotel kukły był pusty.

– Która godzina? – zapytał.

– Pierwsza.

Czuł się dziwnie wypoczęty i rześki.

– Zapalić światło? – spytała.

– Nie. Lubię światło księżycy. Pamiętasz nasze pełnie?

– O, tak – odrzekła. – Oczywiście. Księżyc.

Pendergast poczuł przyływ wdzięczności, że ona żyje. Że nie zginęła, a on nie ponosi winy za jej śmierć.

– Ale jeśli nie byłem w FBI, to czym się zajmowałem?

– No cóż... Poznaliśmy się po twoim odejściu ze służb specjalnych. Nigdy o nich nie opowiadałeś, a ja nigdy nie pytałam. Wiodłeś spokojny żywot, poświęcając dużo czasu starej rodzinnej posiadłości w Luizjanie. Spędziliśmy tam razem kilka cudownych lat, ale też dużo podróżowaliśmy. Do Tybetu, Nepalu, Brazylii, Afryki.

– Byliśmy w Afryce?

– Na prawdziwym polowaniu na wielkiego zwierza. Ale żaden lew mnie wtedy nie zaatakował. – Uśmiechnęła się blado. – Pozwól, że ci powiem. Chcę to wreszcie wyrzucić z siebie. Nie jestem dumna z tego, że od ciebie odeszłam, ale zaczynałam się bać o swoje bezpieczeństwo. Życie u twojego boku stawało się coraz bardziej ryzykowne. Diogenes przez cały czas zachowywał się cudownie. Skądś dowiedział się o eksperymentalnej metodzie leczenia tu, w Stony Mountain. To była nasza ostatnia szansa.

Pendergast wolno pokiwał głową

– I co teraz ze mną będzie?

– Mówią, że rekonwalescencja trochę potrwa. Będziesz musiał tu zostać do chwili, aż pan doktor uzna, że jesteś całkowicie wyleczony.

Może nawet jeszcze sześć miesięcy.

– Chcesz powiedzieć, że nie wolno mi stąd wychodzić?

Helen się zawahała.

– Musisz pogodzić się z myślą, że jesteś prawnie zobowiązany do pobytu tutaj. Ale to jedynie dla twojego dobra. W końcu budowanie tych urojeń w twoim umyśle ciągnęło się latami. Nie możesz oczekiwać, że z dnia na dzień wszystko minie. Z czasem będziesz mógł wrócić do Penumbry i od nowa podjąć spokojny żywot rentiera. – Ujęła jego dłonie. – A potem kto wie, co się wydarzy. Może nawet jest iskierka nadziei dla nas dwojga.

Uścisnęła mu dłoń, a on odwzajemnił uścisk.

Uśmiechnęła się i wstała.

– Odwiedzę cię jutro około południa.

Pendergast odprowadził ją wzrokiem do drzwi, po czym zamyślił się głęboko. W pokoju przez długi czas panowała głucha cisza. Plama księżycowego światła sunęła wolno po podłodze.

Wreszcie, po jakichś dwóch godzinach, postanowił wstać z łóżka. Na drugim końcu pokoju stała masywna metalowa szafa, niewątpliwie wstawiona tutaj, gdy adaptowano to pomieszczenie na salę szpitalną. Na drzwiach wisiała kłódka. Rozejrzał się. Na stoliku w rogu leżała sterta papierów. Podeszedł i przejrzał je, ale były to tylko prospekty reklamowe i jadłospisy szpitalne. Zdjął z nich dwa spinacze, wrócił do szafki, niemal machinalnie je rozgiął, po czym wsunął kolejno do otworu w kłódce i jednym ruchem ją otworzył.

Na moment zamarł w bezruchu. Skąd wiedział, jak to zrobić? Czyżby z czasów pracy w służbach specjalnych? Pamięć o tamtych dniach była wciąż tak straszliwie zamglona.

Zajrzał do szafy. Wewnątrz wisiał czarny garnitur, biała koszula i krawat, na półce leżały buty i skarpetki. Wyciągnął rękę. Materiał był miękki, w dobrym gatunku i znajomy jak jego własna skóra. Poczul lekkie ukłucie u podstawy szyi. Wziął się do przeszukiwania kieszeni marynarki i spodni, zaczynając od tej, w której – jak mu się zdawało – trzymał odznakę FBI w skórzanym etui. Kieszeń była pusta. Zajrzał do licznych, robionych na zamówienie kieszeni i kieszonek. Wszystkie były na miejscu i wszystkie puste. Ani portfela, ani legitymacji, niczego.

Zdjął szpitalny szlafrok i włożył koszulę, czując pod palcami miękką bawełnę. Potem włożył spodnie i krawat od Zegny, marynarkę i skarpetki. Sięgnął po buty od Johna Lobba i wtedy coś sobie przypomniał. Odwrócił lewy but podszwą do góry i odchylił obcas. W specjalnym wydrążeniu mieściła się żyłtka, zestaw maleńkich wytrychów, dwie ampułki substancji chemicznej i ciasno zwinięty banknot studolarowy.

Przez chwilę wpatrywał się w zawartość skrytki. Czy to też był wytwór jego chorej wyobraźni z czasów pracy w FBI?

Przytwierdził z powrotem obcas i włożył buty. Podszedł do okna i je otworzył. Pachnące szalejem powietrze wdarło się między pionowymi prętami okratowania za oknem. Znów spróbował wydobyć z pamięci ostatnie wspomnienie. Powiedzieli, że jest tu od sześciu miesięcy. Czy to znaczy, że przywieźli go tu w zimie? Rozpaczliwie usiłował wygrzebać coś z pamięci, ujrzeć rozciągający się przed nim ogród w śniegu, jednak na próżno.

Wyciągnął ręce, i uchwycił dwa sąsiadujące z sobą metalowe pręty. Były zrobione z kutego żelaza nie najlepszej jakości i w dodatku skorodowane. Gdy z całej siły naparł na nie, zaczęły się z wolna wyginać. Pchał tak długo, aż rozchylił je na tyle, że mógłby się między nimi prześlizgnąć. Zwolnił nacisk, ciężko dysząc z wysiłku. Ale nie było czasu na odpoczynek. Musiał się stąd wydostać. Chociaż nie, najpierw trzeba poznać odpowiedzi na kilka pytań.

Zamknął okno i zaciągnął firankę. Ostrożnie podszedł do drzwi i nacisnął klamkę. Oczywiście były zamknięte na klucz. Otwarcie zamka spinaczami zajęło mu nie więcej niż dziesięć sekund. Ponownie zdumiałały go jego odruchowe umiejętności w tym zakresie.

Uchylił drzwi i wyrzwał. Na korytarzu paliło się światło i w oddali zobaczył dyżurkę, a w niej pielęgniarzkę i dwóch sanitariuszy. Wszyscy byli czymś zajęci i czujni. Pendergast odczekał, aż ich uwaga będzie skierowana gdzie indziej, po czym wymknął się na korytarz i przywarł do sąsiednich drzwi. Czy był za nimi kolejny pacjent? Sprawnie manipulując spinaczami, otworzył zamek i wślizgnął się do środka. Pokój był niemal identyczny jak ten jego, tylko dużo mniejszy. Na łóżku leżał mężczyzna. Też miał ogoloną na łyso głowę, był chudy i wycieńczony, na gołym przedramieniu widać było ślady po ukłuciach.

Pewnie heroinista. Na ścianie przy łóżku wisiało takie samo urządzenie jak w pokoju Pendergasta.

Ostrożnie wyslizgnął się z pokoju i ruszył długim korytarzem. Zaglądając do kolejnych pokoi, stwierdził, że wszędzie leżeli pacjenci z ogolonymi głowami, niemal wszyscy wychudli i zabiedzeni.

Tylko że nic z tego nie wynikało.

Staął i zaczął się zastanawiać. Albo prawdziwa była jego wersja rzeczywistości, albo ich. Niestety, tak czy inaczej wszystko raczej wskazywało na to, że pomieszało mu się w głowie. Potrzebował więcej informacji, by zdecydować, która wersja jego wariactwa jest prawdziwa.

Wymknął się z ostatniego pokoju, wsadził ręce do kieszeni i właściwie nie wiedząc do końca, co zamierza zrobić, ale jednocześnie dziwnie pewny swego, ruszył korytarzem w kierunku dyżurki. Obaj sanitariusze – potężnie zbudowani, po metr dziewięćdziesiąt wzrostu, podobni do siebie blondyni – patrzyli na niego ze zdumieniem, które zaraz zmieniło się niemal w przestach. Pendergast zauważył, że są uzbrojeni.

– Hej... hej, ty tam! – wrzasnął jeden z nich. Widać było, że jest zupełnie wytrącony z równowagi jego pojawieniem się tutaj. – Coś ty za jeden?

Pendergast zrobił jeszcze kilka kroków i zatrzymał się.

– Pendergast, do usług. Pacjent ze stotrzynastki – odparł.

Wyćwiczonym ruchem poderwali się z miejsc i stanęli po jego bokach.

– Dobra – powiedział spokojnym tonem jeden z nich. – Teraz cicho i grzecznie odprowadzimy cię do pokoju. Jasne?

Pendergast nawet nie drgnął.

– Obawiam się, że to mi zupełnie nie odpowiada – rzekł równie spokojnie.

Obaj przysunęli się bliżej.

– Nie chcemy tu żadnej awantury, prawda?

– Wręcz przeciwnie, ja właśnie chcę awantury. A nawet bardzo mi na niej zależy.

Jeden z sanitariuszy wyciągnął rękę i delikatnie chwycił go za ramię.

– Dość tych popisów, przyjacielu. Wracamy do łóżka.

– Nie lubię, jak mnie ktoś dotyka.

Drugi sanitariusz też wyciągnął rękę i ścisnął drugie ramię Pendergasta.

– Idziemy, panie Pendergast.

W powietrzu mignęła ręka, rozległo się stęknienie człowieka walniętego pięścią w żołądek i świst wypuszczanego powietrza, po czym pierwszy z sanitariuszy zgiął się wpół i trzymając się za przeponę, runął na ziemię. Drugi zamachnął się na Pendergasta, ale już po chwili też leżał na podłodze, zwinięty z bólu.

Pielęgniarka w dyżurce rzuciła się do przycisku alarmowego i natychmiast zawyła syrena. Zaczęły migać czerwone światła alarmowe i dał się słyszeć szcęk automatycznych zasuw na drzwiach. Niemal w mgnieniu oka wyrosło nie wiadomo skąd pół tuzina roślących sanitariuszy z bronią i otoczyło Pendergasta, który stał z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Dwaj leżący na podłodze nadal kulili się w pozycjach embrionalnych, jęcząc i ciężko dysząc, niezdolni wydusić z siebie ani słowa.

– Panowie, jestem gotów wrócić do mojego pokoju – oznajmił Pendergast. – Tylko proszę, żeby nikt mnie nie dotykał. Mam na tym punkcie coś w rodzaju urazu.

– Ruszaj, do cholery – warknął jeden z sanitariuszy, zapewne ich szef. – Szybciej.

Pendergast bez pośpiechu skierował się w głąb korytarza, mając przed i za sobą po kilku sanitariuszy. Weszli do pokoju i idący przodem zapalił światło, ostatni zamknął za sobą drzwi na klucz. Szef wskazał metalową szafę, pod którą leżał zmięty szlafrok Pendergasta.

– Rozbieraj się i wkładaj szlafrok – rozkazał.

Jeden z sanitariuszy wdał się w rozmowę przez walkie-talkie i Pendergast usłyszał, jak kogoś zapewnia, że wszystko jest pod kontrolą. Syrena przestała wycić i zapadła cisza.

– Powiedziałem, rozbieraj się.

Pendergast zwrócił się twarzą do szafy i zamarł w bezruchu. Po chwili sanitariusz chwycił Pendergasta za ramię i go szarpnął.

– Kazałem ci...

Zamilkł, czując, że w skroń wbija mu się lufa trzydziestkiósemki

Smith & Wesson, należącej do jednego z powalonych sanitariuszy.

– Wszystkie radiotelefony na podłogę – powiedział beznamiętnym tonem Pendergast. – Potem broń. I klucze.

Oszołomieni widokiem broni w ręce pacjenta, sanitariusze czym prędzej zrobili, co kazał, i na perskim dywanie wyrosła sterta radiotelefonów i pistoletów. Trzymając cały czas szefa na muszce, Pendergast szybko wygrzebał ze stosu jeden telefon, z pozostałych wyjął baterie, opróżnił magazynki pistoletów i włożył naboje wraz z bateriami do kieszeni marynarki. Odszukał klucz uniwersalny i otworzył nim drzwi na korytarz, po czym obrócił w dłoni radiotelefon, znalazł przycisk „alarm” i wcisnął. Syrena znów zaczęła wyc.

– Ucieczka! – wrzasnął do słuchawki. – Pokój sto trzynaście! Uzbrojony! Wskoczyl przez okno! Biegnie w stronę lasu! – Wyłączył radiotelefon, wyjął z niego baterie i rzucił go na stos. – Żegnaj panów. – Kiwnął im posępnie głową, otworzył okno, przecisnął się między prętami i skoczył w mrok.

Stał przyciśnięty do ściany i patrzył, jak trawnik za domem i cały teren rozjaśniają się światłami reflektorów. Przez wycie syren przebijały ludzkie wrzaski. Posuwając się wzdłuż ścian i kryjąc w zaroślach, okrążył ogromną rezydencję, zamienioną w zakład dla obłąkanych. Tak jak się spodziewał, sanitariusze z latarkami pobiegli w stronę lasu.

Trzymając się tuż przy ścianie, Pendergast sunął jak cień ku frontowi budynku. Dotarł do narożnika i wyjrzał. Ciągący się łukiem przez trawnik obrośnięty szpalerem tui podjazd prowadził do portyku przy głównym wejściu. Pendergast przemknął przez zwirowany podjazd i skrył się w krzakach za portykiem.

Po kilku minutach przed dom zajechał na pełnej szybkości najnowszy model lexusa i wyrzucając spod kół fontanny żwiru, ostro zahamował.

Doskonale. Po prostu świetnie.

Kiedy drzwi auta gwałtownie się otworzyły, Pendergast wypadł z krzaków i wepchnął doktora Augustine'a z powrotem do środka. Trzymając doktora na muszce, wskoczył na fotel pasażera.

– Jedziemy – warknął, zatrzasnął drzwi.

Augustine wycofał samochód i ruszył ku bramie, gdzie musieli stać



wartownicy. Pendergast zsunął się z fotela i skulił pod deską rozdzielczą.

– Niech im pan powie, że czegoś zapomniał i zaraz tu wraca. Jedno nieostrożne słowo i strzelam.

Doktor wykonał polecenie i gdy wartownik otworzył bramę, Pendergast powrócił na fotel pasażera.

– Niech pan skręci w prawo.

Samochód wjechał na pustą lokalną drogę.

Pendergast włączył samochodowy GPS i przyjrzał się mapce.

– Widzę, że wcale nie jesteśmy nad jeziorem Saranac, za to całkiem blisko stąd do kanadyjskiej granicy. – Spojrzał na doktora Augustine'a, sięgnął do kieszeni jego marynarki i wyjął telefon komórkowy. Wpatrując się w mapkę GPS, mówił doktorowi, jak ma jechać. Po półgodzinie samochód wjechał na bity trakt, który kończył się nad brzegiem niedużego jeziora.

– Tutaj proszę stanąć.

Doktor zatrzymał samochód. Usta miał zaciśnięte w białą kreskę, jego twarz była trupio blada.

– Doktorze Augustine, czy pan wie, co grozi za uprowadzenie agenta federalnego? Mogę pana teraz zabić i jeszcze dostać za to medal. Chyba że naprawdę jestem tak stuknięty, jak pan twierdzi, to wtedy zamkną mnie w zakładzie. Ale tak czy siak, drogi doktorze, pan już nie będzie wtedy żył.

Doktor milczał.

– I zabiję pana. Chcę pana zabić. Jedyne, co może mnie od tego odwieść, to pełne, natychmiastowe i szczegółowe wyjaśnienie całej tej maskarady.

– Dlaczego pan sądzi, że to maskarada? – spytał doktor drżącym głosem. – Znowu przemawiają przez pana te urojenia.

– Dlatego, że wiedziałem, jak otworzyć zamek. Dlatego, że odebrałem broń pańskiemu ochroniarzowi z taką łatwością, jakbym odbierał dziecku cukierek.

– To oczywiste. Te umiejętności wynikają z pańskiego przeszkolenia w służbach specjalnych.

– Jestem w zbyt dobrej kondycji fizycznej, żebym mógł mieć za sobą sześć miesięcy pobytu w domu wariatów. Gołymi rękami

wygiąłem kraty w oknie.

– Na litość boską, przecież pół tego czasu spędził pan na ćwiczeniach w sali gimnastycznej! Nic pan nie pamięta?

Pendergast przez chwilę milczał.

– Wykonaliście zadanie po mistrzowsku – odezwał się w końcu. – Tak dobrze, że prawie wam uwierzyłem. Wątpliwości opadły mnie dopiero w momencie, gdy Helen nie zareagowała na moją uwagę o księżycu. Wspólne oglądanie wschodów księżyca w pełni stanowiło nasz prywatny rytuał. To obudziło moją czujność. A pewności, że to wszystko jest mistyfikacją, nabrałem w chwili, gdy Helen wzięła mnie za rękę.

– Dlaczego, na litość boską, akurat wtedy?

– Bo wciąż miała lewą dłoń. Jedno wspomnienie z dawnego życia tkwi w mojej świadomości tak głęboko, że nie może być urojeniem. Stało się to podczas naszego pobytu w Afryce. Helen zaatakował lew i widok jej zmasakrowanej dłoni z obrączką na kikutie palca wrył mi się tak mocno w pamięć, że na pewno jest prawdą.

Doktor milczał. W jezioru odbijało się światło księżyca, z oddali dobiegało wołanie nura.

Pendergast odbezpieczył pistolet.

– Mam już dość pańskich wykrętów – powiedział. – Żądam prawdy. Jeszcze jedno kłamstwo i będzie po panu.

– A jak pan pozna, że to nie kłamstwo? – spytał cicho doktor.

– Kłamstwem będzie to, w co nie uwierzę.

– Rozumiem. A jeśli powiem prawdę, co mi to da?

– Pozwolę panu dalej żyć.

Doktor westchnął.

– Zacznijmy od mojego nazwiska – powiedział lekko drżącym głosem. – Nie nazywam się Augustine. Nazywam się Grundman. Doktor William Grundman.

– Słucham dalej.

– Od dziesięciu lat prowadzę badania nad neuronami pamięci. Odkryłem gen nazwany Npas4.

– To znaczy?

– Jest to gen sterujący neuronami pamięci. Bo widzi pan, pamięć to zjawisko fizyczne. Zależy od substancji neurochemicznych i ich

potencjału elektrycznego. Dzięki genowi Npas4 nauczyłem się lokalizować obszary neuronów, w których przechowywane są określone wspomnienia. A także oddziaływać na te neurony. Wiem, jak je wymazywać. Nie usuwać, bo to doprowadziłoby do uszkodzenia mózgu, ale właśnie wymazywać. To o wiele bardziej skomplikowane.

Przerwał i spojrzał na Pendergasta.

– Jak dotąd mi pan wierzy?

– Jak dotąd pan żyje, prawda?

– Okazało się, że można na tym dobrze zarobić. Założyłem klinikę pod przykrywką Sanatorium Stony Mountain. Sanatorium jest oficjalną instytucją, ale to, co dzieje się tam naprawdę, jest ściśle tajne.

– Dalej.

– Ludzie trafiają do mojej tajnej kliniki, żeby pozbyć się pewnych wspomnień. Myślę, że łatwo może pan sobie wyobrazić różne sytuacje życiowe, które człowiek pragnie wymazać z pamięci. Ja tylko w tym pomagam, oczywiście za odpowiednią opłatą. Przez jakiś czas mi to wystarczało, potem jednak moje badania doprowadziły mnie do znacznie bardziej zdumiewającego odkrycia. Pomyślałem, że skoro mogę usuwać określone wspomnienia, mógłbym je również tworzyć. Programować pamięć zupełnie nowych zdarzeń. Rozumie pan, jaki byłby popyt na tego rodzaju usługi. Za stosowną opłatą można mieć w pamięci weekend w Cap d'Antibes z dowolnie wybraną hollywoodzką gwiazdką lub wspinaczkę na Mount Everest w towarzystwie George'a Mallory'ego, lub dyrygowanie dziewiątą symfonią Mahlera w wykonaniu orkiestry Filharmonii Nowojorskiej.

Oczy doktora rozblęły jakimś wewnętrznym blaskiem, potem jednak spojrzał na wymierzoną w niego broń i znów pojawił się w nich strach.

– Mógłby pan opuścić ten pistolet?

Pendergast potrząsnął głową.

– Proszę mówić dalej.

– Dobrze, dobrze. Potrzebowałem królików doświadczalnych, osób, na których mógłbym eksperymentować. Może pan sobie wyobrazić konsekwencje zaprogramowania niewłaściwych wspomnień. Dlatego zacząłem ściągać ludzi z marginesu, różnych narkomanów i bezdomnych, których brałem z nowojorskich szpitali.

– I to są ci biedacy, których widziałem w innych pokojach, tak?

– Tak.

– Ludzie, o których nikt nigdy się nie upomni.

– Właśnie.

– A skąd ja się tu wziąłem?

– Z panem zrobiło się straszne zamieszanie. Zdaje się, że przy okazji jakiejś sprawy, którą się pan zajmował, powziął pan podejrzenia co do Stony Mountain. Udając bezdomnego gruźlika, załatwił pan sobie przyjęcie do Bellevue, a stamtąd trafił pan tutaj. Ale ktoś coś zaważył, popełniono błąd i wraz z panem trafiły do nas pańskie rzeczy. A to nie były rzeczy bezdomnego włóczęgi. Zaniepokoiłem się, zacząłem węszyć i w końcu odkryłem, kim pan jest naprawdę. Nie można było po prostu pana zabić. Jak pan sam słusznie zauważył, pozbycie się agenta federalnego nigdy nie jest dobrym rozwiązaniem. Znacznie lepiej było przeprogramować pańską pamięć i stworzyć w niej nowe wspomnienia. Dokonać swoistej manipulacji: usunąć z pana pamięci prawdziwe powody zjawienia się u nas i zastąpić je wspomnieniami, które ostatecznie przekonałyby pańskich zwierzchników i najbliższych, że postradał pan zmysły. Od tego momentu nikt by już pana nie słuchał, bo nikt nie traktuje poważnie urojeń wariatów. Cokolwiek by pan mówił, szłoby to na konto pańskiej choroby.

– Diogenes i Helen nie są prawdziwi?

– Nie, są zjawami wykreowanymi z pańskiej pamięci przy użyciu genu Npas4. – Grundman zawiesił głos i dodał: – Wygląda na to, że w kreacji Helen wystąpiła jakaś niedoróbka.

– A ta kukła?

– Ach, kukła. Nazwałem ją doktorem Augustine'em. Stanowi kluczowy element całego procesu. Ona też nie istnieje naprawdę. Nie ma jej. Jest tylko środkiem prowadzącym do celu, instrumentem, czymś w rodzaju konia trojańskiego. Ją pierwszą wprowadzam do umysłu pacjenta. Jeśli to się uda, potem już mogę implantować pacjentowi dowolne wspomnienia.

Zapadła długa cisza, przerywana tylko dalekimi głosami nurów. Księżyc rzucał mleczone refleksy na wodę. Pendergast milczał.

Doktor nerwowo poprawił się na fotelu.

– Rozumiem, że skoro mnie pan nie zabił, to wierzy pan w moją opowieść, czy tak?

– Proszę wysiąść – rzucił sucho Pendergast.

– Chce mnie pan tutaj zostawić?

– To piękny letni wieczór, akurat na długi spacer. Do głównej drogi jest stąd około piętnastu kilometrów. Myślę, że miejscowa policja znajdzie pana, zanim pan tam dotrze. – Pomachał w powietrzu komórką doktora. – Oczywiście ominie pana akcja antyterrorystów SWAT w klinice... Udało się panu.

Grundman otworzył drzwi i wysiadł, Pendergast przesunął się na fotel kierowcy, zawrócił i wolno ruszył bitym traktem. W lusterku wstecznym widział sylwetkę Grundmana, który stał nieruchomo nad brzegiem jeziora, skąpany w blasku księżyca.

Pendergast wziął komórkę Grundmana i zaczął wybierać numer nowojorskiego biura FBI, by dać sygnał do rozpoczęcia akcji przejęcia i likwidacji Stony Mountain, jednak w połowie przerwał i odłożył telefon na kolana.

Wiedział, kim naprawdę jest, nie miał co do tego cienia wątpliwości. Był Aloysiušem Pendergastem, agentem specjalnym FBI. Pobyt w Stony Mountain jawił mu się jako nocny koszmar, majaczenie na jawie. Ale to już się skończyło. Zabiegi doktora Grundmana były piekielnie skuteczne, w końcu jednak zawiodły, bo tak musiało być. Jego umysł i jego wspomnienia były zbyt silne, by dało się je wymazać czy przez dłuższy czas nimi manipulować. Miał już teraz absolutną pewność, kim jest naprawdę. Znał swoją historię. Wreszcie to do niego wracało. Mógł się już wyzwolić z koszmaru i znów zacząć żyć swoim prawdziwym życiem.

A jednak...

Spojrzał na telefon leżący na kolanach, a potem uniósł wzrok i zauważył coś w lusterku wstecznym. Coś, czego wcześniej nie dostrzegł.

Zobaczył wlepione w siebie nieruchome spojrzenie niebieskich oczu, szkarłatne usta, biały kitel lekarski i brązowe lakierki siedzącego z tyłu doktora Augustine'a.

**M.J. ROSE**  
**i**  
**LISA GARDNER**

Stary wyjadacz w konfrontacji z młodą policjantką. Pragmatyzm zderzony z okultyzmem. Realizm kontra całkiem niemożliwe. Takie założenia stały się punktem wyjścia dla M.J. Rose i Lisy Gardner. Rezultat?

Niezwykłe błyskotliwa intryga.

M.J. Rose nie uważa, by wymyśliła Malachaia Samuelsa bardziej niż on ją, za to Samuels od chwili pojawienia się po raz pierwszy w książce *The Reincarnationist* (2007) w istotny sposób wpłynął na jej dalszą karierę pisarską. To on pchnął ją ku tematyce metafizycznej i historycznej, której pozostała wierna do dziś. Nie ulega wątpliwości, że Samuels jest kimś niezwykłym. Jungowski terapeuta, zafascynowany badaniem wędrówek w przeszłość, zwanych regresjami – na które sam nigdy się nie odważył.

Co po części tłumaczy, dlaczego stało się to jego obsesją.

Po części, bo prawdą jest też, że podobnie jak w przypadku samej M.J., jego dziewiętnastowieczni przodkowie badali mistyczne powiązania między przeszłością a teraźniejszością. Możliwość postawienia Malachaia Samuelsa twarzą w twarz z wymiarem sprawiedliwości, czego od lat skutecznie unikał, zaintrygowała M.J. Zwłaszcza że przedstawicielką owego wymiaru miała być jedna z jej ulubionych policjantek.

Śledcza D.D. Warren.

Ciekawostką jest to, że bohaterka powieści Lisy Gardner, D.D. Warren, naprawdę istnieje. Imienniczką dzielnej bostońskiej policjantki jest sąsiadka Lisy, śliczna blondynka, znana z domowych wypieków i talentów ogrodniczych. Początkowo Lisa zamierzała umieścić D.D. tylko w jednym rozdziale sensacyjnej powieści

*Samotna*, jednak bostońska bezkompromisowość i nieustępliwa zawziętość policjantki szybko zjednały jej sympatię czytelników. Nim Lisa się obejrzała, alter ego jej sąsiadki wystąpiła w półtuzinie powieści. Decyzja o wykorzystaniu postaci D.D. w tym opowiadaniu była łatwa. Bo któż mógł lepiej stawić czoło czarującemu i tajemniczemu doktorowi Malachaiowi Samuelsonowi – którego wprawdzie podejrzewano o popełnienie wielu morderstw, ale żadnego mu nie udowodniono – niż młoda i sprytna policjantka z wydziału zabójstw?

Umieścimy akcję w barwnym bostońskim Chinatown, odwołajmy się do legendy rzadkiego dzieła sztuki z przeszłości i uzyskamy idealny przepis na thriller.

A może coś całkiem innego?

Coś nieoczekiwanego.

## **Roześmiany Budda (THE LAUGHING BUDDHA)**

*Nowy Jork, 1884*

Nad miastem zapadał zmrok, spowijając je szarą mgłą. Nienawidził tej pory dnia – godziny zagubionej między światłem a ciemnością, gdy wszystko się rozmywa. Kryjąc się w mroku, obserwował posiadłość po drugiej stronie ulicy. Wielką rezydencję w stylu królowej Anny zasłaniały częściowo lipy, ale między gałęziami sączyło się światło z łukowatych okien. Przez otwarte drzwi balkonowe płynęły smętne dźwięki *Sonaty księżycowej* Beethovena, idealnie współgrając z posępnym zmierzchem.

Nawet w zapadających ciemnościach widać było imponującą architekturę: wieżyczki, ozdobne kraty z kutego żelaza i liczne gargulce pod okapami. Oznaki bogactwa.

Niestety, nie jego.

Mimo woli zacisnął szczęki, ale poczuł ucisk i rozluźnił mięśnie.

Drzwi frontowe z herbem – ogromny ptak wzlatający znad stosu pogrzebowego – otworzyły się i z domu wyszła elegancko ubrana kobieta. Nie mogła wiedzieć, co ją czeka, gdy wróci, ale on to wiedział i mógł się tylko zastanawiać, w jaki sposób – jeśli dojdzie do najgorszego – zareaguje na jego wyrazy współczucia. Czy je przyjmie i czy nigdy się nie domyśli, że to wszystko jego sprawka.

– Percy?! Esmé?! Pospieszcie się, nie możemy się spóźnić na urodziny waszej kuzynki! – zawołała.

Dzieci – dziesięcioletni chłopczyk i jego ośmioletnia siostrzyczka – wypadły z domu, pędem wyminęły matkę i podbiegły do oczekującego powozu.

Gdy śmiechy dzieci i stukot końskich kopyt na bruku zamarły w oddali, mężczyzna przeszedł na drugą stronę ulicy, cicho otworzył drzwi i wślizgnął się do środka. Bezszelestnie pokonał ogromny



westybul z marmurową posadzką w biało-czarne romby i wszedł przez uchylone drzwi do biblioteki, gdzie przy biurku zawalonym papierami siedział Trevor Talmage. Tak był pogrążony w czytaniu i robieniu notatek, że nie usłyszał wejścia brata.

– No, no, ależ z nas pracuś.

Zaskoczony Trevor uniósł głowę, zaraz jednak pogodnie się uśmiechnął.

– Skąd się tu wzięłeś? Dlaczego Peter cię nie zaanonsował?

– Sam wszedłem.

– Nie wiedziałem, że wciąż masz klucze. – W jego głosie było więcej znużenia niż zaskoczenia.

– Mam ci je oddać?

Trevor milczał, wyraźnie się zastanawiając. Ciekawe, czy drań zdobędzie się na to, by odpowiedzieć twierdząco.

– Nie, oczywiście, że nie. Napijesz się kieliszek porto? Właśnie otrzymałem nową dostawę z Madery. – Trevor machnął ręką w stronę kryształowych karafek i kieliszków na stoliku pod ścianą.

– To ten słodki kompocik? Wolę brandy.

Trevor wstał, by nalać mu trunku i przy okazji nappełnić swój kieliszek. Davenport skorzystał z okazji i rzucił okiem na papiery leżące na biurku.

– A więc w końcu widzę ten sławetny manuskrypt. Opuścił sejf na jeden wieczór. Jak ci idzie tłumaczenie?

– Zaskakująco dobrze. – W głosie Trevora zabrzmiało podniecenie.

– Według skryby, który go sporządził, zaginione Narzędzia Pamięci wcale nie są legendą. One naprawdę istniały. Widział je na własne oczy i dokładnie opisuje każdy amulet, ornament i kamień. Píše, że wszystkie wywieziono z Indii do Egiptu grubo przed rokiem tysiąc pięćsetnym przed naszą erą, co jak widzisz, dowodzi, że współcześni historycy mylą się w kwestii daty ustanowienia szlaków handlowych. Zrobi się niezłe zamieszanie, kiedy to ogłoszę.

– Nadal zamierzasz to ogłosić?

Trevor wręczył bratu kieliszek z bursztynowym płynem, który w świetle lampy lśnił jak płynne złoto.

– Oczywiście. I proszę, nie próbuj znów mnie od tego odwodzić. Nasz ojciec stworzył Fundację Talmage'ów, bo wierzył, że przeszłość

jest ważna. Ten, kto ma władzę nad przeszłością, ma też władzę nad przyszłością. I w pełni się zgadzam, że...

– Właśnie ze względu na przyszłość nie wolno ci tego zrobić. Czy nie rozumiesz, że w ten sposób sam byś z tej władzy zrezygnował? – powiedział z naciskiem Davenport, wciąż jeszcze mając nadzieję, że Trevor nie zmusi go do działania.

– Jeśli te narzędzia istnieją i mogą ludziom pomóc w poznaniu ich poprzednich wcieleń, to my, ty, ja i każdy członek Phoenix Clubu, mamy obowiązek dopilnować, by ta wiedza służyła dobru całej ludzkości, a nie tylko egoistycznym korzyściom – odparł surowo Trevor.

– Manuskrypt został znaleziony przez człowieka, który prowadził wykopaliska za pieniądze naszego ojca. Nie pozwolę ci tego zmarnować.

– Ty mi nie pozwolisz? Nie zdołasz mnie powstrzymać – parsknął drwiąco Trevor. – Nie rozumiesz, jakie to jest ważne? Jakie to ma znaczenie duchowe? Nie rozmawiamy o skrzyni ze złotem i srebrnymi monetami. Tu chodzi o możliwy dowód na to, że wracamy na ziemię w nowych wcieleniach. Tego rodzaju wiedzy nie wolno zatajać. Musi być dostępna dla wszystkich, bo jak inaczej odnajdziemy prawdziwe Narzędzia Pamięci? Koniec dyskusji.

– Decyzja o ogłoszeniu tego dokumentu nie należy tylko do ciebie – warknął Davenport.

– Mogę to samo powiedzieć o tobie – burknął Trevor.

– Niech cię szlag trafi!

Davenport grzotnął swoim kieliszkiem z taką siłą, że szkło się rozprysło i brandy chlusnęła na biurko, grożąc zalaniem rozłożonych papierów.

Zły na brata – a jeszcze bardziej na siebie, że pozwolił mu się tu dostać – Trevor zaklął pod nosem i pospiesznie zgarnawszy starożytny manuskrypt, przeniósł go w bezpieczne miejsce, na półkę z książkami za sobą. Ale na biurku zostały jeszcze notatki i Trevor zaczął je kolejno zbierać, rozkładając na innych półkach.

Stał odwrócony plecami do brata i dlatego nie mógł widzieć, jak ten wyjmując z kieszeni marynarki mały srebrny pistolet, ani też dostrzec wyrazu zaciętości na jego twarzy. Gdy byli dziećmi i w coś grali, brat

z podobną zaciętością starał się za wszelką cenę wygrać.

Impet kuli rzucił Trevora na regał z taką siłą, że część notatek wpadła za książki stojące na półce. Trevor wyciągnął rękę, próbując się wesprzeć na grubym, oprawionym w skórę tomie – jak na ironię była to tybetańska *Księga umarłych*.

Razem z księgą runął na podłogę.

Krew wypływała z niego równie szybko jak brandy z rozbitego kieliszka. Trevor konał na podłodze, patrząc, jak brat wymyka się z biblioteki z plikiem papierów pod pachą, i czując narastający lęk – do chwili, gdy przestał cokolwiek czuć – o losy bezcennego manuskryptu, który z takim poświęceniem i tak nieskutecznie próbował chronić.

### *Chinatown, Boston, współcześnie*

Księga ostatecznie nie uratowała mu życia.

Opasły tom oprawiony w skórę, o wyblakłych, wytłoczonych złotem napisach i postrzępionych brzegach stronic, nadal spoczywał w prawej dłoni nieboszczyka, który leżał na podłodze za masywnym biurkiem, pozbawiony życia jednym strzałem w pierś. Sierżant detektyw D.D. Warren z bostońskiej policji stała tuż przy zwłokach elegancko ubranego mężczyzny – głównie dlatego, że w ciasnym kantorku nie bardzo było gdzie stanąć – starając się odtworzyć przebieg wypadków.

– Chwycił księgę – wyjaśniła swoim partnerom, Neilowi i Philowi, wskazując leżący na podłodze tom. – Ujrzał wycelowany w siebie pistolet i instynktownie próbował się nią zasłonić.

Neil, najmłodszy członek ekipy i były pracownik pogotowia ratunkowego, natychmiast pokręcił głową.

– Nieee, nie ma na niej śladów prochu ani wgniecenia od kuli. Ofiara oparła się na niej, upadając. – Neil wskazał rozrzuconą stertę papierów, które niemal wisiały na krawędzi marmurowego blatu biurka. – Założę się, że książka leżała na nich. Impet kuli spowodował, że ofiara obróciła się w lewo i próbowała przytrzymać się biurka, ale trafiła na książkę i pociągnęła ją za sobą.

– Wtedy książka upadłaby dalej od ciała – sprzeciwiła się D.D. Bardzo lubiła takie rozważanie możliwych scenariuszy na miejscu

przestępstwa. Wierzyła, że nieboszczycy mają dużo do powiedzenia. – To by wskazywało na efekt niezamierzony. A nasz denat niemal kurczowo trzyma tę książkę.

– Mam ci opowiedzieć, ile razy wyjmowałem z dłoni denatów całkiem przypadkowe przedmioty? – Neil wzruszył ramionami. – Ludzie czują zbliżający się koniec i instynktownie łapią się czegokolwiek. Nie wiem po co. Może im się zdaje, że jak dość mocno chwycą się czegoś na tym świecie, to nie przeniosą się na tamten.

– Nie da się tego udowodnić – mruknął od drzwi Phil.

Był najstarszym członkiem ekipy dochodzeniowej, pięćdziesięciokilkulatkiem, miał kochającą żonę, czwórkę dzieci i gwałtownie łysiał. Stał z dala od ofiary nie dlatego, że był zbyt delikatny, by z bliska oglądać zwłoki. W drzwiach zatrzymał go widok dwóch wielkich posągów lwów chińskich z litego kamienia, po półtora metra każdy. A może jaskrawo pomalowany ceramiczny smok, na przedniej ścianie marmurowego biurka. A może armia figurek z jadeitu, które stały upchnięte pomiędzy oprawionymi w skórę tomami, oblepiając półki niczym liście.

Phil zasłonił usta maską. Nie z uwagi na smród, tylko dlatego, że kichnięcie mogłoby nieodwracalnie zniszczyć ślady na miejscu przestępstwa, a powstrzymać się od kichania w tak ciasnym i zakurzonym pomieszczeniu było praktycznie niemożliwe.

D.D. uniosła głowę i ścisnęła sobie nasadę nosa, też próbując pohamować reakcję na zatechłe powietrze.

– Dobra, zacznijmy od ofiary – powiedziała. – Kogo my tu mamy?

Prezentacji dokonał Phil.

– Zamordowany nazywał się John Wen, lat pięćdziesiąt osiem, wdowiec, nienotowany, żadnych zaległych należności. Według słów jego pracownicy, która znalazła ciało dziś rano, Wen był człowiekiem spokojnym, w pełni oddanym swojej pracy, która, jak się zapewne domyślacie po wyglądzie biura, polegała na imporcie dzieł sztuki starochińskiej. I to nie tych najtańszych. Wen był prawdziwym koneserem. Wywodził się ze środowiska handlarzy antykami, miał elitarną klientelę, sprowadzał eksponaty na indywidualne zamówienia, tego typu sprawy. Lubił wygrzebywać różne starocie i weryfikować ich autentyczność. Do obowiązków jego pracownicy należała obsługa

klientów.

D.D. pokiwała głową. To tłumaczyło lokalizację sklepu, który był schowany w cichym zaułku, z dala od zgiełku Beach Street, głównej arterii bostońskiego Chinatown. Także w odróżnieniu od sąsiednich wystaw, pełnych bogato zdobionych sukni z jedwabiu, egzotycznych artykułów żywnościowych i kolorowego barachła z importu, na wystawie sklepu Wena były tylko trzy panele z ciemnego drewna z delikatnymi płaskorzeźbami. Dopiero w środku skromna tabliczka z brązu informowała, że panele pochodzą z takiej to a takiej dynastii i mogą zmienić właściciela za jedyne sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Cena paneli tłumaczyła szykowny krój eleganckiego granatowego garnituru Wena. Mieli do czynienia z handlarzem, który obracał się w elitarnych kręgach towarzyskich i stosownie do tego się nosił. Ciekawe.

– A więc businessmen – wtrąciła D.D. – Niewątpliwie wykształcony. Cieszący się szacunkiem? Zaufaniem?

Phil kiwnął głową.

– Pewnie nie chodziło o kradzież – ciągnęła D.D., rozglądając się po ciasnym wnętrzu, gdzie nadal była fortuna w postaci figurek z jadeitu. – Ale może o jakąś transakcję handlową, w której poszło coś nie tak? Na przykład Wen uznał jakiś przedmiot za pochodzący z trzeciej dynastii, podczas gdy w rzeczywistości został tydzień temu wyprodukowany w fabryczce w Hongkongu i sztucznie postarzony przez dzieci smagające go łańcuchami.

– To niemożliwe – odezwał się jakiś głos za plecami Phila.

Phil odsunął się na bok, na ile pozwalała ciasnota wnętrza, i zobaczyli piękną Azjatkę o bardzo smutnej twarzy.

– Pani jest...? – spytała ją D.D.

– Judy Chan. Pracowałam u pana Wena od pięciu lat. Był dobrym człowiekiem. Nigdy nie oszukiwał. I nigdy się nie mylił w swoich ekspertyzach.

– Jak go pani poznała?

– Dał ogłoszenie w gazecie, że szuka pomocy biurowej, a ja na nie odpowiedziałam.

D.D. przyjrzała się asystentce Wena, odnotowując jej zgrabną sylwetkę, pięknie zarysowane kości policzkowe i kaskadę lśniących

kruczoczarnych włosów, i zadała oczywiste w tych okolicznościach pytanie:

– Proszę opisać łączące was relacje.

Kobieta spojrzała na nią z oburzeniem.

– Pracowałam u pana Wena od środy do niedzieli, od dziewiątej do siedemnastej, nic więcej. Czasami przychodziłam do sklepu poza godzinami, żeby pomóc przygotować spotkanie z jakimś specjalnym klientem. Wie pani, jednym z tych, co to chcą mieć w holu zbroję sprzed trzech tysięcy lat i są gotowi odpowiednio zapłacić.

– Ma pani listę takich klientów?

– Mam.

– I jego terminarz. Będziemy chcieli do niego zajrzeć.

– Rozumiem.

– Miał spotkanie z kimś takim wczoraj wieczór?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Powiedziałyby pani?

– Na ogół mi mówił. Jego transakcje nie były poufne. Nawet coraz częściej prosił mnie o pomoc. Doceniał moją znajomość komputera.

– Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

– Wczoraj o siedemnastej, gdy zamykałam sklep.

– Gdzie wtedy był?

– Tu, w swoim kantorze. Zwykle zostawał tutaj po zamknięciu sklepu. Nadrabiał zaległości w papierach, robił ekspertyzy. Nie miał rodziny. To – Judy zatoczyła ręką dokoła – było jego całym życiem.

– Pracował nad czymś konkretnym? – spytał stojący obok niej Phil.

– O niczym takim mi nie mówił.

– Zauważyła pani brak czegoś? – Wskazał na zagracone wnętrze.

Po raz pierwszy kobieta się zawahała.

– Nie... sama nie wiem. – Wszyscy troje zawiesili na niej wzrok. – W jego biurze panował wieczny rozgardiasz – dodała po chwili.

D.D. uniosła brwi na znak, że uważa jej słowa za niedomówienie miesiąca.

– Pan Wen zawsze powtarzał, że lepiej mu się myśli w atmosferze przeszłości. Większość rzeczy w tym kantorze pochodziła z jego prywatnych zbiorów. Prezenty od kolegów, klientów, przyjaciół. No i książki, kochał książki. Nazywał je swoimi dziećmi. Wielokrotnie

proponowałam, że je choć odkurzę, trochę poukładam, ale on nie pozwalał ich tknąć. Lubił, żeby wszystko tak leżało, nawet sterty papierów na biurku. Nazywał to poziomą archiwizacją. Nigdy go nie zawodziła.

Kobieta zamilkła, z uwagą wpatrując się w blat biurka.

– Coś tu jest nie tak – powiedziała cicho – ale nie wiem co. Czegoś tu brakuje.

D.D. także przeniosła wzrok na biurko, omiatając spojrzeniem sterty papierów, porozrzucane notatniki, drewniane korytko na biurowe drobiazgi i stojącą obok pozłacaną figurkę kobiety o kształtach dużo obfitszych niż jej własne. Na biurku zalegały też stosy zakurzonych książek.

– Nie widzę komputera – rzuciła w końcu.

– Wolał wszystko robić ręcznie – wyjaśniła Chan. – Uważał, że tak jest lepiej. Jeśli musiał czegoś poszukać, korzystał z komputera w sklepie.

D.D. spróbowała od innej strony.

– Czy rano po przyjeździe zastała pani sklep zamknięty?

– Tak.

– Alarm był włączony?

– Tu nie ma alarmu. Rozmawialiśmy o jego założeniu, ale pan Wen zawsze twierdził, że złodzieje nie interesują się antycznymi meblami. A naprawdę cenne przedmioty są tu, w kantorze... i jak państwo widzą, są duże i ciężkie.

– A te figurki z jadeitu?

– Jego prywatna kolekcja. Nie były na sprzedaż.

Pałeczkę przejął Phil.

– Ale drzwi były zamknięte na klucz. Czyli tego, kto tu wszedł, pan Wen musiał sam wpuścić. Jego lub ją.

– Pewnie tak.

– Tutaj przyjmował klientów? – spytała D.D., rozglądając się po ciasnym wnętrzu bez jednego miejsca, gdzie ktoś mógłby usiąść.

– Nie – odrzekła kobieta. – Zwykle spotykał się z klientami w salonie. Siadali przy jednym ze stołów z ekspozycji sklepowej. Uważał, że potęgą historii polega nie tylko na tym, że pewne rzeczy przetrwały, ale też na tym, że można z nich korzystać. Nie ograniczaj

się do podziwiania antyku, mawiał. Tchnij w niego nowe życie.

D.D. znów skierowała wzrok na książkę w dłoni Wena.

– Czy w sklepie miał też książki? – spytała.

– Nie, to jego...

– Prywatne zbiory, tak, wiem. Czyli jeśli spotykał się z kimś zainteresowanym książkami, siłą rzeczy musiałby...

D.D. przyklęła, próbując przyjrzeć się oprawionemu w skórę tomowi. Tłoczone złotem litery tytułu uległy zatarciu i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że tytuł jest w jakimś obcym języku, którego nie zna.

– Budda! – wykrzyknęła nagle Judy.

– Słucham?

– Budda. Brak posążka Buddy. Stał tu, w lewym rogu biurka. Był cały z jadeitu. Pochodził z osiemnastego wieku, z czasów dynastii Tang. Budda zawsze tu siedział. Pan Wen kupił go tuż po śmierci żony. Ten posążek miał dla niego wyjątkowe znaczenie.

– Jakiej był wielkości? – Phil już trzymał w ręce otwarty notatnik.

– Mmm, sam posążek miał dwadzieścia centymetrów. Wie pan, typowy siedzący Budda z dużym brzuchem, korpulentny, o uśmiechniętej twarzy. Posążek był osadzony na kwadratowej drewnianej podstawie ze złoceniami i zatopioną w niej dużą muszlą. W sumie był dość duży.

– Wartość? – spytała D.D.

– Nie jestem pewna. Musiałabym sprawdzić. Ale biorąc pod uwagę, że czysty jadeit jest obecnie droższy od złota, tej wielkości posążek... tak, musiał być cenny.

D.D. wydeła usta, myśląc z satysfakcją, że być może zna już motyw morderstwa. Złodziej został przyłapany na próbie kradzieży cennego posążka i wystrzelił. Ale w takim razie co tutaj robią te pozostałe figurki z jadeitu?

– Dlaczego akurat Budda? – mruknęła, bardziej do siebie niż do reszty.

Śliczna Judy bezradnie pokręciła głową na znak, że nie potrafi tego wyjaśnić.

– Tylko ten jeden posążek? Myśli pani, że nic więcej nie zginęło?

– Jeszcze się rozejrzę, ale nie, chyba tylko ten jeden posążek.



– A zatem chodzi o Buddę. O coś, co dotyczy Buddy.

Głos Neila wyrwał D.D. z zamyślenia.

– Zaraz. Coś tutaj jest.

Podniósł książkę z dłoni Wena i na oczach wszystkich coś upadło na podłogę. Tym razem coś całkiem współczesnego. I widocznie było tak ważne, że znalazło się w dłoni umierającego człowieka.

– Co to jest? – spytała D.D.

– Wizytówka. – Neil spojrział na drugą stronę. – Fundacja Phoenix. Jakiś Malachai Samuels.

\*\*\*

D.D. zaparkowała samochód, który wzięła z wypożyczalni na nowojorskiej Upper West Side, i przyjrzała się okazałej rezydencji po drugiej stronie ulicy. Nie była znawczynią architektury, ale wystarczająco długo mieszkała w starym amerykańskim mieście, by bez trudu rozpoznać budowlę w stylu królowej Anny, łącznie z przeciwsłonecznym daszkiem pod zwieńczonym łukowato oknem. Podobały jej się wystające spod okapów gargulce.

Nie przyjechała tu jednak, by podziwiać stare budowle. Przyjechała w sprawie morderstwa. Przystanęła przed wejściem, by przyjrzeć się wyrzeźbionemu na drzwiach herbowi, i dopiero po paru sekundach dotarło do niej, że herb przedstawia mitycznego feniksa, od którego dom wziął nazwę.

Nacisnęła dzwonek.

Po dłuższej chwili zabrzmiał brzęczyk otwierający drzwi i D.D. wkroczyła do siedziby Fundacji Phoenix.

Okazała dokumenty recepcjonistce, odnotowując przy okazji, że jej biurko jest bardzo stare i zapewne bardzo cenne. Było w nim coś orientalnego. Całkiem możliwe, że John Wen sprowadził je kiedyś do swojego sklepu i sprzedał klientowi o nazwisku Malachai Samuels.

– Sierżant detektyw D.D. Warren – powiedziała. – Chciałabym się widzieć z doktorem Samuelsem.

– Jest pani umówiona?

– Nie, ale sądzę, że mnie przyjmie.

Młoda recepcjonistka przyjrzała się policyjnej odznace D.D.,

wydeła wargi i wzięła do ręki słuchawkę.

– Zechce pani usiąść. Pan doktor ma pacjenta, ale za piętnaście minut będzie wolny.

No trudno. D.D. podeszła do pikowanej sofy i usiadła. Ostrzegano ją, że rozmowa z doktorem Samuelsem nie będzie łatwa, jako że pan doktor już nieraz był przepytywany w sprawach o zabójstwo i miał w tym niemałe doświadczenie.

Włączyła laptop, by jeszcze raz rzucić okiem na artykuły ściągnięte z internetu.

Malachai Samuels był terapeutą ze szkoły jungowskiej, który całe życie poświęcił pracy z dziećmi i zagłębianiu się w ich przeszłość. Wraz z ciotką, jako współzarządzającą fundacją, opisali ponad trzy tysiące przypadków dziecięcych powrotów do przeszłości, na podstawie badań regresji u małych pacjentów, przedstawiając liczne dowody na istnienie ich poprzednich wcieleń. Dokładność i metodologia badań były tak przekonujące, że środowisko naukowe zaakceptowało te wyniki i oboje często wygłaszali odczyty na zjazdach psychiatrów.

W ciągu ostatnich siedmiu lat Malachai kilkakrotnie uznano za „zamieszanego” w zdarzenia o charakterze kryminalnym. Sprawy dotyczyły kradzieży dzieł sztuki, w wyniku czego śmierć poniosły co najmniej cztery osoby. Wprawdzie słynnemu reinkarnacjonście nie postawiono żadnych konkretnych zarzutów, ale Lucian Glass, agent specjalny FBI, do którego D.D. zwróciła się o pomoc na wieść, że nazwisko Malachai znów jest zamieszane w sprawę kolejnego morderstwa, bardzo się zaniepokoił.

Glass był pewien, że Malachai maczał palce w co najmniej kilku z badanych spraw, i uważał, że jego miejsce jest w więzieniu. „Niestety, nigdy nie udało nam się udowodnić jego udziału w tych przestępstwach. Pozostaje mi mieć nadzieję, detektyw Warren, że pani się to uda. Naprawdę liczę na to”.

– Detektyw Warren? – przerwał jej myśli ciepły, melodyjny głos. D.D. uniosła głowę i ujrzała stojącego tuż obok niej mężczyznę. – Doktor Malachai Samuels. W czym mogę pomóc?

Samuels miał na sobie dobrze skrojony granatowy garnitur, starannie zawiązany jedwabny krawat i wykrochmaloną białą koszulę z monogramem na prawym mankiecie. Wszystko w nim – od ubioru

po sposób mówienia – wskazywało na dżentelmena starej daty, co w głowie D.D. natychmiast zrodziło pytanie: czy pan doktor tylko kolekcjonuje antyki, czy może siebie też do nich zalicza?

– Chciałabym pomówić z panem o pewnym zdarzeniu w Bostonie – odrzekła. – Możemy porozmawiać w cztery oczy?

– Oczywiście, proszę tędy.

Poprowadził ją przez korytarz z witrażowymi kinkietami, wyłożony tapetą pochodzącą z przełomu wieków, chyba z prawdziwego jedwabiu. Tapeta miała wyblakły kwiecisty wzór i żółtawe smugi, niewykluczone, że ze złota.

– Czy mogę zaproponować kawę lub herbatę? A może wodę mineralną? – spytał, otwierając drzwi pomieszczenia, w którym D.D. domyśliła się jego osobistego gabinetu.

W zgodzie z wystrojem całego biura, na ścianach gabinetu widniały rzędy starych ksiąg, na podłodze pokrytej puszystym perskim dywanem stało antyczne biurko, pod ścianą skórzana kanapa i dwa fotele. Z kanapy rozciągał się widok na ukwiecone patio, gdzie rosły drzewa i kwiaty, świadczące o wrażliwości Malachaia na piękno.

D.D. odrzekła, że chętnie napije się wody, i usiadła, nie przestając odnotowywać w myślach licznych antyków i dzieł sztuki, które wypełniały gabinet. Lekki dreszcz podniecenia wywołał w niej widok stojącego na biurku chińskiego konia z jadeitu.

Malachai wręczył jej kryształową szklankę z wodą i lodem i usiadł po drugiej stronie niskiego stolika.

– A zatem, w czym mogę pani pomóc?

– Znaleźliśmy pańską wizytówkę na miejscu morderstwa.

– To okropne. Kogo zamordowano?

– Niejakiego Johna Wena.

Na twarzy Malachaia nie drgnął ani jeden mięsień. Pozostała tak idealnie niewzruszona, że D.D. od razu nabrała podejrzeń.

– Znał go pan, doktorze?

– Jestem terapeutą, pani detektyw. Nawet gdyby tak było, nie mógłbym pani tego powiedzieć. Wszystko, co się dzieje w moim gabinecie, objęte jest tajemnicą lekarską. Na pewno pani to rozumie.

– Ten człowiek nie żyje, doktorze Samuels. A jego tajemnice leżą w kałuży krwi na podłodze.

Malachai milczał.

– Chyba pan rozumie, że odmawiając odpowiedzi na moje pytanie, praktycznie przyznaje pan, że był on pańskim pacjentem.

– Jeśli chce pani wyciągnąć taki wniosek, proszę bardzo. W każdym razie ja nie potwierdzam ani nie zaprzeczam. Nie wolno mi omawiać z panią takich spraw.

– Znalazłam pańską wizytówkę na miejscu zbrodni.

– To wielce niefortunne dla nas obojga.

D.D. zmarszczyła brwi, czując, że ogarnia ją irytacja. Samuels miał prawo tak mówić, ale wszystko się skomplikuje i spowolni, jeśli będzie musiała wystąpić o nakaz sądowy.

– Kiedy ostatni raz widział go pan żywego?

– A kto powiedział, że go w ogóle widziałem?

Agent specjalny Lucian Glass miał rację. Samuels był w tym dobry.

D.D. spróbowała od innej strony.

– Mówiąc czysto hipotetycznie, gdyby to pan był detektywem i prowadził śledztwo w sprawie zamordowania człowieka zajmującego się importem chińskich antyków, to kogo chciałby pan przesłuchać?

Samuels tylko lekko uniósł brew, po czym prawie niedostrzegalnie skłonił głowę w stronę bogato zdobionego lustra wiszącego na ścianie, nad jego lewym ramieniem.

Albo freudowska pomyłka, albo przejaw skrajnej arogancji powszechnie szanowanego dżentelmena, któremu na sucho uchodzą morderstwa, pomyślała D.D.

– Przykro mi, pani detektyw – rzekł doktor Samuels – ale w tej sprawie nie będę mógł pani pomóc. A teraz proszę wybaczyć, czeka na mnie kolejny pacjent.

Wstał z miejsca i D.D. nie pozostało nic innego, jak zrobić to samo. Koniec spektaklu, sesja odroczone. D.D. zmarnowała większą część dnia, nie mówiąc o służbowych funduszach, wydanych na całkowicie bezowocną podróż do Nowego Jorku.

– Ładny ten koń – powiedziała, wskazując figurkę z jadeitu na biurku.

– Dzięki.

– Gdzie pan go kupił?

– Nie kupilem. Jak większość dzieł sztuki w tym domu,

odziedziczyłem. Przeniosłem go do swojego gabinetu, bo uważam, że jest wyjątkowo ładny. Czy wie pani, dlaczego ludzie kolekcjonują antyki?

Ach, więc jednak. Chwila rozmowy.

– Bo lubią starocie?

– Być może też. Ale przede wszystkim dlatego, że się z nimi identyfikują.

D.D. ostentacyjnie obrzuciła wzrokiem dziewiętnastowieczny wystrój gabinetu, jednak doktor nie wydawał się ani trochę dotknięty zawartą w tym aluzją. Wyglądał raczej na rozbawionego.

Postanowiła podjąć jeszcze jedną próbę.

– John Wen nie był zwyczajnym kolekcjonerem antyków. Uważał, że ludzie powinni z nimi żyć na co dzień. Tak jak pan.

– No właśnie.

– To znaczy?

– To znaczy, że prowadząc śledztwo dotyczące człowieka tak bardzo zanurzonego w przeszłości, poświęca pani zbyt dużo czasu na teraźniejszość, pani detektyw.

Na koniec doktor Samuels wymownie się do niej uśmiechnął, po czym grzecznie, lecz zdecydowanie odprowadził ją do wyjścia.

\*\*\*

Gdy policjantka z Bostonu odeszła, Malachai wrócił do gabinetu i nalał sobie solidną porcję czterdziestoletniej whisky Macallan. Uniósł kryształową szklankę do ust i pociągnął łyk, delektując się jej smakiem, po czym opadł na fotel za biurkiem. Otworzył górną szufladę i wyjął notes od Smythsona.

Był to dziennik jego przemyśleń na temat „poszukiwań”, jak je nazywał od trzydziestu lat, czyli od chwili, gdy zajrzał do dziewiętnastowiecznej książki o mesmeryzmie, na którą natknął się w bibliotece. Z książki wypadł wtedy skrawek starego, pożółkłego papieru z odręcznym pismem pełnym ozdobnych zawijasów. Wyglądało na to, że notatka została napisana piórem maczanym w inkauscie, i Malachai uznał, że musi pochodzić z drugiej połowy dziewiętnastego wieku.

*Druga po południu w środę spotkanie z p. T. w sprawie*

*zabezpieczenia papierów. U niego, Broadway 259.* Według rodzinnej legendy, przodek Malachai, Davenport Talmage, był w posiadaniu manuskryptu z opisem amuletów, ornamentów i kamieni, składających się na zaginione Narzędzia Pamięci. Legenda głosiła, że manuskrypt wykradzono z Indii i wywieziono do Egiptu przed rokiem 1500 przed naszą erą, a zawarte w nim wskazówki pozwalały ożywić wspomnienia z poprzednich wcieleń.

Czy to Davenport napisał tę notatkę? I czy chodziło w niej o zaginione narzędzia?

Porównując charakter pisma z listami z rodzinnego archiwum, Malachai bez trudu ustalił, że autorem notatki był Davenport Talmage, jeden z członków założycieli Phoenix Clubu. Znając autora, Malachai mógł zawęzić datę jej powstania do okresu pomiędzy rokiem 1884 a 1901. Nie mogła powstać przed rokiem 1884, bo dopiero wtedy Davenport odziedziczył majątek po bracie i przejął po nim kierowanie klubem, ani po roku 1901, bo wtedy Davenport zmarł.

Pod wymienionym adresem, przy Broadway 259, mieściła się w tamtych czasach firma Tiffany & Company, sprzedająca wyroby jubilerskie własnego projektu i artykuły piśmienne.

Czy „p. T.” to sam pan Tiffany? Zapewne tak. Davenport był bajecznie bogaty. Zatem jakie dzieło sztuki jubilerskiej, mające dobrze ukryć manuskrypt, Tiffany zaprojektował i wykonał na zlecenie Davenporta? Czy owo dzieło zostało później sprzedane, czy też nadal tkwiło gdzieś w rezydencji, gdzie niemal w każdym pomieszczeniu znajdowało się wiele wyrobów Tiffany’ego, jak choćby lampy czy witraże okienne? A także liczne kominki pokryte opalizującymi płytkami wykonanymi przez słynnego jubilera i producenta wyrobów szklanych. To by znaczyło, że manuskrypt mógł być schowany w całkiem zwyczajnym miejscu. Irytująca była myśl, że może znajdować się dosłownie na wyciągnięcie ręki, a jednak pozostawać niewidoczny.

Malachai zajrzał na strony z zapiskami z ostatnich kilku tygodni, do notatek ze spotkań z Johnem Wenem.

W sumie odbyli osiem sesji, za każdym razem penetrując ten sam obszar. Jako handlarz antyków Wen zwrócił się do Malachai o pomoc w zrozumieniu, dlaczego niektóre przedmioty i miejsca tak silnie go

przyciągają. Czuł, że wręcz go prześladują, i miał na ich punkcie obsesję. Od lat próbował rozgryźć emocje, jakie nim targały na widok pewnych przedmiotów. Dwukrotnie omal nie zbankrutował, bo kupił rzeczy niewarte ceny, jaką za nie zapłacił. A zrobił to, bo czuł przemożną chęć ich posiadania. W końcu doszedł do wniosku, że jego poczynaniami rządzi wydarzenia z przeszłości, i zaczął szukać kogoś, kto zdołałby mu pomóc. Trafił do doktora Samuela i w trakcie wizyty stwierdził, że dom doktora działa na niego podobnie jak tamte antyki. I wiedział już, że w Fundacji Phoenix znajdzie pomoc.

Nie wiedział natomiast – a w każdym razie nie uświadamiał sobie czegoś, co wyjawiał Malachaiowi podczas seansu hipnotycznego – że w przeszłości, ponad sto trzydzieści lat temu, był jednym z braci Talmage, którzy stworzyli tę instytucję.

Malachai uznał, że skoro Wen jest reinkarnacją Davenporta lub Trevora, to może doprowadzi go do legendarnego manuskryptu.

Zapewne ktoś inny potraktowałby to wszystko z przymrużeniem oka, ale Malachai pracował z setkami dzieci, których wspomnienia z poprzednich wcieleń mogli z ciotką zweryfikować. Zetknął się z przypadkami, kiedy pacjent miał takie wiadomości, że przeczyło to logice i tak zwanemu zdrowemu rozsądkowi. Jego samego nigdy nie nawiedzały wspomnienia z poprzednich wcieleń i nie pomagały sesje nawet najgłębszej hipnozy czy medytacji. Jednak widział, jak jego pacjenci wyzwalały się z różnych lęków, fobii i neuroz w chwili, gdy udaje im się nazwać je i zrozumieć, że wiążą się z wcześniejszymi inkarnacjami. Mógł sam zaobserwować uzdrawiającą siłę odzyskanej pamięci i ogromną ulgę pacjentów, gdy w końcu uwalniali się od karmicznych koszmarów.

Malachai ze wszech miar pragnął poznać swe poprzednie wcielenia, do tego jednak potrzebne mu były Narzędzia Pamięci. Po to zaś, by dotrzeć do któregoś z tych legendarnych narzędzi, musiał najpierw wiedzieć, czego szuka. Manuskrypt Davenporta posłużyłby mu za przewodnik, bo zawierał kompletny wykaz wszystkich Narzędzi Pamięci. I wtedy Malachai pomyślał, że być może handlarz chińskich antyków, John Wen z Bostonu, pomoże mu odnaleźć ten dawno zaginiony manuskrypt.

A to znaczyło, że zabicie Johna Wena było nie tylko zbrodnią.

Stanowiło też okropną niedogodność.

\*\*\*

Doktor Malachai Samuels po prostu ją wykołował.

Nie było co się oszukiwać.

Po przyjeździe z Nowego Jorku D.D. przez kolejne trzy dni wciąż wracała myślami do spotkania z doktorem, analizując je na wszelkie sposoby. Zrelacjonowała rozmowę – a właściwie jej brak – kolegom z wydziału, Philowi i Neilowi, a nawet zdobyła się na to, by zadzwonić do agenta specjalnego Luciana Glassa i przyznać się do porażki.

Stała twarzą w twarz z człowiekiem zamieszonym być może w cztery inne morderstwa i... nic z tego nie wynikło. Nie wydobyła z niego ani strzępka informacji, nie uzyskała żadnych poszlak, jeśli nie liczyć jego dość prozaicznej uwagi, że handlarze antykami identyfikują się z przeszłością. Co zapewne tłumaczyło jej gwałtowną ochotę na dim sum<sup>6</sup>. Kiedy człowiek ma do rozwiązania wyjątkowo skomplikowane morderstwo w Chinatown, porcja dim sum może tylko pomóc.

Ale jeśli John Wen importował antyki dlatego, że identyfikował się z przeszłością, to co było motywem morderstwa? Tyle bezcennych przedmiotów w sklepie, a morderca zabrał tylko jeden posążek Buddy z jadeitu.

Dlaczego właśnie to?

D.D. zamówiła zestaw dim sum i dostrzegła właściciela tej popularnej chińskiej restauracji. Ubrany w nienagannie skrojony garnitur siwowłosa pan o azjatyckich rysach stał cierpliwie przy drzwiach, witając gości, których większość znał po imieniu. D.D. przyszło na myśl, że on mógłby jej pomóc. Uniosła rękę, by zwrócić na siebie jego uwagę, a on od razu podszedł do jej stolika.

– Przepraszam, że zawracam głowę – powiedziała. – Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie jest najbliższa świątynia buddyjska w Chinatown?

– Jest ich kilka, pani detektyw. Która panią interesuje?

– Skąd pan wie, że jestem detektywem?

– Prowadzi pani śledztwo w sprawie śmierci Johna Wena. Wszyscy to wiedzą.

– Znał pan Wena?



– Tak, był ciepłym, uczynnym człowiekiem. Pomógł mi zdobyć te jedwabne draperie, które wiszą w sali bankietowej. Jeśli interesują panią świątynie buddyjskie, to sugerowałbym kontakt z asystentką pana Wena, panną Chan.

D.D. obrzuciła go badawczym spojrzeniem.

– Dlaczego właśnie z nią? – spytała.

Restaurator wyglądał na lekko zaskoczonego tym pytaniem.

– Ze względu na jej wisiołek, oczywiście. Małeńki jadeitowy Budda, którego zawsze nosi na szyi. To raczej oznacza, że jest buddystką.

D.D. podziękowała właścicielowi, zapłaciła rachunek i zadzwoniła do Phila. Rozmawiali z Judy Chan kilkakrotnie, ale na szyi pięknej asystentki Wena ani razu nie widzieli jadeitowego Buddy.

Ciekawe, co jeszcze przed nimi ukrywa.

\*\*\*

Phil ją poinformował, że Judy Chan mieszka w Chinatown, na trzecim piętrze budynku stojącego dwa kroki od restauracji. D.D. bez trudu odnalazła kamienicę z czerwonej cegły, ale gdy zadzwoniła do Judy Chan, w domofonie nikt się nie odezwał. Wybrała przycisk jednego z mieszkań na pierwszym piętrze i tym razem otworzyła jej starsza Chinka w różowym kwiecistym szlafroku.

D.D. mignęła jej przed oczami odznaką i przybrała surową minę miejskiego urzędnika na służbie.

– Straż pożarna – oznajmiła ponurym głosem.

Jedną z pierwszych rzeczy, jakich nauczyła ją praca miejskiej policjantki, było to, że większość mieszkańców nie ufa gliniarzom. W odróżnieniu od nich strażacy, kojarzący się wszystkim z niesieniem pomocy i ratowaniem dobytku z ognia, cieszyli się powszechną sympatią.

Kobieta obrzuciła ją podejrzliwym wzrokiem.

– Muszę skontrolować stan schodów przeciwpożarowych. Chcę się tylko upewnić, że wszystko w porządku.

Stara Chinka zmarszczyła brwi, coraz bardziej nieufna. Tego typu prośba w sposób oczywisty klóciła się z jej przeświadczeniem, że u niej w domu na pewno wszystko jest w porządku i żadne kontrole nie są potrzebne.

D.D. nie dała się zniechęcić.

– Muszę przejść tymi schodami w górę i w dół. Wszystko zajmie najwyżej pięć minut, a pani kamienica będzie miała spokój na następne pięć lat. W przeciwnym razie będę zmuszona sprowadzić inspektora ochrony przeciwpożarowej, może nawet całą ekipę kontrolerów...

Zapowiedź – a może groźba? – pojawienia się kolejnych urzędników miejskich okazała się skuteczna i stara wpuściła rzekomą strażaczkę do mieszkania. Trzy minuty później D.D. już była na zewnętrznych schodach, zmierzając do okien Judy na trzecim piętrze.

Oczywiście nie miała żadnego wiarygodnego powodu, żeby wejść do środka, poza narastającym w niej podejrzeniem, że Judy Chan nie mówiła całej prawdy. Ale nie zaszkodzi rzucić tam okiem. A jeśli przy okazji zobaczy dwudziestocentymetrowy posążek Buddy z jadeitu albo jeszcze lepiej, dymiący pistolet, to będzie miała pełne prawo wkroczyć do mieszkania i może nawet dzięki temu zamknie śledztwo.

Z pewnym trudem wgramoliła się na podest trzeciego piętra i stanęła, lekko się chwiejąc. Dłonie piekły ją od rdzy pokrywającej poręcze schodów, serce waliło z wysiłku.

A potem uniosła wzrok.

– O jasna cholera!

Budda. Wszędzie Budda. Mieszkanie Judy Chan było pełne roześmianego Buddy. Budda na malowidłach, posążki Buddy, Budda wyhaftowany na poduszkach, a nawet maleńkie figuynki z jadeitu i srebra. Gdziekolwiek się spojrzeło, wszędzie wizerunki Buddy.

I gdy tak stała z otwartymi ustami, wpatrując się w to wnętrze, drzwi mieszkania się otworzyły i weszła była asystentka Johna Wena.

A tuż za nią doktor Malachai Samuels.

\*\*\*

Malachai uważał dzień za udany.

Dowiedziawszy się o zabójstwie Johna Wena i utracie szansy na uzyskanie wskazówek co do miejsca ukrycia listy legendarnych Narzędzi Pamięci, Malachai uznał, że musi na nowo przemyśleć strategię działania.

Wiedział, że policja – w tym ta blond detektyw D.D. Warren

z Bostonu – będzie miała go na oku, a to wykluczało wszelkie próby przeszukania sklepu czy domu Wena. Zaraz jednak uznał, że nie musi posuwać się aż tak daleko, bo może wystarczyć zwyczajny gest współczucia.

Zadzwoił do asystentki Wena, ślicznej młodej Azjatki, którą poznał w Fundacji Phoenix w Nowym Jorku, gdy towarzyszyła Wenowi, i przekazał jej swoje najszczerze kondolencje. Zapewnił pannę Chan, że jeśli w tej ciężkiej chwili mógłby jej w czymkolwiek pomóc, to chętnie służy. Przypadkiem tak się składa, że pod koniec tygodnia wybiera się do Bostonu, więc może pozwoliłaby się zaprosić na filiżankę herbaty, by razem powspominali pana Wena, którego oboje darzyli szacunkiem i podziwem.

Ojciec Malachaia już dawno wbił mu do głowy, jak ważne w życiu są dobrze skrojone garnitury, nienaganne maniery i kulturalny tembr głosu. Panna Judy Chan bez wahania przyjęła zaproszenie. Ich poranna filiżanka herbaty przerodziła się w beztroski spacer po bostońskim Chinatown – zdumiewającym, trzecim co do wielkości centrum azjatyckiej kultury w Ameryce – i zakończyła uprzejmą prośbą Malachaia, by mógł raz jeszcze rzucić okiem na sklep Wena.

Panna Chan chętnie się zgodziła, muszą tylko wstąpić do niej po klucze od sklepu...

Malachai wspiał się za nią na trzecie piętro, nie skarżąc się nawet na swoją chorą nogę. Kontuzja, jakiej doznał lata temu, za czasów wiedeńskich, spowodowała trwałą uraz, który starał się ze wszech miar ignorować. Stał obok panny Chan, czekając, aż kobieta otworzy drzwi. A potem doznał pierwszego w tym dniu szoku. Budda, wszędzie Budda. Figuryнки, posążki, obrazy, hafty, jedwabne draperie. Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie roześmiany, dobroduszny Budda.

Panna Chan, wciąż stojąc w zapiętym pod szyję beżowym płaszczu do kolan, obrzuciła go lekko spłoszonym spojrzeniem.

– Jestem kolekcjonerką – bąknęła.

– Właśnie widzę.

Malachai pomógł jej zdjąć płaszcz. Nagle przestało mu się spieszyć do sklepu Wena. Uświadomił sobie, że klucz do tajemnicy, którego od tak dawna szuka, może być tutaj, w tym mieszkaniu. Oto widział obsesję współczesnej kobiety. Dla doświadczonego terapeuty stanowiło

to szansę wejścia w reinkarnowaną duszę.

– Mógłbym poprosić o szklankę wody? – spytał. – Po tej wspinaczce po schodach zaschło mi w ustach.

– Oczywiście. – Judy odwiesiła płaszcz i różnym krokiem ruszyła do niewielkiej kuchenki.

Gdy wyszła, Malachai zaczął rozpinąć swój wełniany czarny płaszcz do pół łydki, jednocześnie bacznie się rozglądając.

Czy tylko mu się zdawało, czy za oknem coś się poruszyło? Nieważne. I tak czuł, że krew zaczyna mu szybciej krążyć, a serce mocniej bije.

Przez te wszystkie lata klucz do tajemnicy trzymał uśmiechający się tajemniczo Budda, znany ze swych nauk o karmie i reinkarnacji.

– Od kiedy zbiera pani wizerunki Buddy? – spytał, gdy Judy wróciła do pokoju ze szklanką wody.

Kiedy podawała mu szklankę, wyczuł lekkie drżenie jej palców.

– Nie bardzo pamiętam. Chyba od zawsze.

– Pan Wen o tym wiedział?

– Oczywiście. – Zarumieniła się, odruchowo kładąc rękę na piersiach. – Dał mi nawet w prezencie jadeitowy medalion z wizerunkiem Buddy. Coś w rodzaju talizmanu.

– Czy pan Wen opowiadał pani o naszych sesjach?

– Wiem, że bywał u pana w sprawie swoich... problemów kolekcjonera. Swego przymusu zdobywania pewnych przedmiotów bez względu na to, czy miało to handlowy sens, czy nie. Mówił też, że pan go uważa za reinkarnowaną duszę, która poszukuje czegoś, co utraciła lata temu.

– A pani?

Kobieta lekko odwróciła głowę i potoczyła wzrokiem po wnętrzu. Przy tym ruchu zafalowała kaskada jej czarnych włosów, zakrywając jej twarz.

– Nie wiem, dlaczego robię to, co robię – wyszeptała po chwili. – Może też jestem reinkarnowaną duszą, która stara się naprawić wyrządzone zło? To brzmi równie sensownie jak cokolwiek innego.

– Czy mogę zaproponować krótki seans hipnozy? – powiedział cicho Malachai. – To nie zajmie więcej niż trzydzieści, czterdzieści minut, a może dać odpowiedzi, których pani poszukuje. Właściwie

moglibyśmy to zrobić od razu tutaj, dzięki czemu czułaby się pani bezpiecznie.

Bez słowa zrobiła kilka kroków w stronę kanapy i po sekundzie wahania usiadła.

Nie czekając na zaproszenie, Malachai szybko zdjął płaszcz i usiadł na dziwnym bambusowym fotelu po drugiej stronie pokoju. Dziwnie świadomy obserwujących go oczu Buddy, zastosował standardową technikę liczenia wstecz, by poprowadzić pacjentkę przez splątane wstęgi czasu.

– Gdzie teraz jesteś? – spytał po kilku minutach.

Judy odrzekła, że w wielkim domu, częściowo ukrytym między lipami.

Co takiego?! Malachai pochylił się do przodu, nie do końca pewny, czy może już wysnuć wniosek, na który tak bardzo czekał.

– Opowiadaj. Co tam widzisz? Co słyszysz?

– Obok przejeżdża powóz. Słyszę stukot końskich podków. Zapada mrok i ludzie wracają do domu po dniu pracy. Słyszę *Sonatę księżycową* Beethovena.

– Poznajesz ulicę, przy której stoi ten dom?

– Oczywiście. To Osiemdziesiąta Trzecia, w bok od Central Park West.

Malachai miał już pewność, że Judy opisuje jego rodzinny dom, i poczuł narastające podniecenie. Mimo to starał się nadal mówić spokojnym, monotonnym głosem. Judy Chan powróciła do domu, w którym obecnie znajdowała się siedziba Fundacji Phoenix. Centrum Nowego Jorku, gdzieś pod koniec dziewiętnastego wieku.

Było to naprawdę ekscytujące, bo Wen podczas swej pierwszej sesji hipnotycznej też wrócił do tego miejsca i czasu. Ktoś inny mógłby to uznać za zbieg okoliczności, ale nie Malachai. Gdy ma się do czynienia z reinkarnacją, nic nie jest dziełem przypadku. Każde zdarzenie wywołuje reperkusje, każde spotkanie ma swój cel. Powracamy do spotkań z tymi samymi ludźmi w podobnych okolicznościach, by zamknąć nasz krąg karmiczny, naprawić nasze błędy, otrzymać jeszcze jedną szansę. Dusze, których losy zostały na zawsze z sobą splecione, ponownie się odnajdują, i jeszcze raz, i jeszcze, zgodnie z powtarzalnym cyklem przeznaczenia.

Za każdym razem, gdy Malachai był świadkiem wypraw pacjentów w przeszłość, czuł się wyróżniony, że może w tym uczestniczyć. Teraz jednak poczuł również przypływ wewnętrznej energii. Może historia jego rodziny – jakże skomplikowana i tajemnicza – znajdzie wreszcie rozwiązanie.

John Wen został zastrzelony w swoim biurze, zupełnie jak przodek Malachaia, Trevor Talmage, którego zastrzelono ponad sto lat temu. Według rodzinnego przekazu zginął we własnym gabinecie, zabity przez jakiegoś włóczęgę.

A jeśli nie?

Po śmierci Trevora jego brat Davenport odziedziczył dom wraz z całą zawartością, w tym jakże upragniony przez Malachaia skarb – listę zaginionych Narzędzi Pamięci.

Słuchając teraz, jak Judy szczegółowo opisuje gabinet, którego nigdy nie widziała, i czasy, których nie mogła pamiętać, Malachai czuł, że kolejny kawałek łamigłówki trafia na swoje miejsce.

– Co teraz robisz? – spytał.

– Brat się myli – powiedziała Judy Chan, jakby nie słysząc pytania.

Jej głos zabrzmiał dużo pewniej niż przed chwilą. Usiadła sztywno na kanapie i Malachai zauważył, że sprawia wrażenie bardzo poruszonej.

– Jak się nazywasz?

Puszczając jego pytanie mimo uszu, kontynuowała sprzeczkę z duchem, którego Malachai nie mógł widzieć ani słyszeć.

– Decyzja o ogłoszeniu nie należy do ciebie.

– Ogłoszeniu czego? – wtrącił Malachai. – Z kim teraz rozmawiasz?

– Z bratem – syknęła Judy Chan. – On nie ma racji.

I nagle Malachai zrozumiał. Trevora nie zastrzelił żaden włóczęga. Zrobił to jego rodzony brat, Davenport.

– Znasz pana Tiffany'ego? – spytał, łamiąc jedną z zasad hipnozy i zadając pytanie, które mogło wytrącić pacjenta z transu.

Ale uzyskał potwierdzenie swoich domysłów.

– Tak – odrzekła Judy. – Projektował lampy w tym domu. Wzory na kafelkach. Rodzinne klejnoty.

Malachai przypomniał sobie notatkę o spotkaniu u Tiffany'ego, napisaną przez Davenporta zaraz po śmierci Trevora. Czy Davenport

zabił brata dlatego, żeby przejąć starożytny manuskrypt z opisem Narzędzi Pamięci? Pewnie tak. A potem postanowił ukryć swój skarb i dowód zbrodni w skrytce wymyślonej przez Tiffany'ego. Aby zachować w tajemnicy to, czym nie miał zamiaru się dzielić. W tym ani przyszłym życiu.

A Judy zastrzeliła swego szefa, Johna Wena, po to, by znów ukraść ten manuskrypt.

I w ułamku sekundy Malachai zdał sobie sprawę, że odpowiedzi na jego pytania wcale nie tkwią w przeszłości. Że jest w tym pokoju i patrzy mu prosto w twarz.

Roześmiany Budda.

– Judy – powiedział stanowczym tonem. – Teraz mnie słyszysz. Masz opuścić dom w Nowym Jorku. Masz się przenieść do przodu. Do teraźniejszości.

Judy nawet nie drgnęła, ale widać było, że się wybudza.

– Jesteś teraz w biurze Johna Wena – rzekł Malachai surowym tonem. – Pięć dni temu. Przyszedł do szefa i widzisz posążek Buddy. Opowiedz mi o Buddzie.

– Ma dwadzieścia centymetrów wysokości, jest zrobiony z litego jadeitu – szepnęła. – Siedzi na kwadratowej podstawie z drewna ze złożonymi narożnikami i zatopioną wewnątrz muszlą. Pan Wen ma go od wielu miesięcy. I od miesięcy go błagałam, żeby podarował mi ten posążek.

– Ale on nie chciał o tym słyszeć.

– Buddę trzeba się dzielić. Błagałam go. Nie wolno tego trzymać w ukryciu przed światem. Prawdziwa potęga polega na dzieleniu się wiedzą. Na pomaganiu innym, nie na trzymaniu wszystkiego dla siebie.

Malachai zamrugał, zaskoczony słowami Judy.

– Dlatego postanowiłaś zabrać to, co do ciebie należało. Zastrzeliłaś pana Wena i zabrałaś mu Buddę. Gdzie on teraz jest, panno Chan? Proszę mi powiedzieć, a ja pani pomogę podzielić się nim ze światem.

Ciemne skośne oczy kobiety rozbłysły dziwnym blaskiem i Malachai zdał sobie sprawę, że choć nie powróciła jeszcze do teraźniejszości, tamten świat już opuściła.

– Przemoc – mruknęła. – To zawsze kończy się przemocą. Brat

przeciwko bratu, mąż przeciwko żonie, żona przeciwko mężowi, przyjaciel zdradza przyjaciela. Kochałam go i poczułam w sobie przeznaczoną dla niego kulę. Kochałam go i wymierzyłam mu śmiertelny cios. Czy naprawdę nie ma innego wyjścia?

Malachai dopiero teraz dostrzegł, że panna Chan trzyma w ręce wydobyty z fałdów sukni mały zabytkowy pistolet, którym mierzy prosto w jego pierś.

Popełnił błąd. Straszliwy, niewybaczalny błąd.

– Ty nie jesteś Davenport – szepnął. Nie, oczywiście, że nie. To John Wen był Davenportem, człowiekiem, który zabił własnego brata, by zachować legendarny manuskrypt w tajemnicy. – Ty jesteś Trevor.

Judy Chan była reinkarnacją tego z braci, który chciał się dzielić ze światem opisem Narzędzi Pamięci i zapłacił za to życiem.

Sto trzydzieści lat temu Trevor stał się ofiarą morderstwa. Ale tym razem, sądząc po pistolecie trzymanym pewną ręką przez Judy Chan, miało być inaczej.

Tajemnicą roześmianego Buddy należało się dzielić. I Trevor/Judy mieli tego dopilnować, bez względu na cenę.

– Mogę ci pomóc – usłyszał swój szept Malachai. Głos miał schrypnięty od emocji. – Pokaż mi tego Buddę. Myślę, że znam jego sekret. Pokażę ci go i będziemy mogli podzielić się nim ze światem.

Jednak palec Judy już się zaciskał na spuście.

Życie potykające się o życie. Niekończący się korowód dawnych i nowych krzywd. Wciąż nieodrobione lekcje, nieprzerwane cykle.

Lista zaginionych Narzędzi Pamięci już na zawsze poza jego zasięgiem.

Malachai skoczył do przodu.

Stary pistolet wypalił tylko raz.

\*\*\*

Zobaczywszy, że Judy Chan siada na kanapie, D.D. od razu się domyśliła, że młoda kobieta będzie miała kłopoty. Po chwili jej oczy zrobiły się szkliste, mięśnie twarzy zwiotczały. Malachai coś z nią wyczyniał. Pewnie faszerował ją prochami, mieszał świadkowi w głowie, ingerował w przebieg śledztwa. Wszystko to było dla D.D. wystarczającym powodem do działania. Zaczęła zbiegać po



przerdzewiałych schodach przeciwpożarowych, zeskoczyła z ostatniego stopnia na ziemię i sięgnęła po komórkę.

Zażądała przysłania patrolu mundurowych, ekipy śledczych i swoich kolegów z wydziału. Mieli wszyscy bezzwłocznie się stawić.

Ponownie nacisnęła dzwonek mieszkania na pierwszym piętrze i zdecydowanym głosem kazała otworzyć drzwi. Tym razem stara Chinka nie zeszła, tylko wystawiła głowę przez okno.

D.D. zrezygnowała z udawania i groźnym tonem oznajmiła:

– Jestem z policji. Lokatorka na trzecim piętrze potrzebuje pomocy. Niech pani otwiera! Szybko!

Kobieta chwilę się zastanawiała, w końcu jednak otworzyła i D.D. wparowała do środka.

Pokonała biegiem sześć zabiegów schodów, myśląc gorączkowo, że musi więcej ćwiczyć na StairMasterze<sup>7</sup>. Ale na razie w górę...

Dobiegła na trzecie piętro akurat w chwili, gdy za drzwiami huknął strzał. Cholera. Runęła na drzwi, które bez trudu ustąpiły, niezamknięte na klucz.

Wyszarpnęła z kabury pistolet, padła na podłogę i poczołgała się dalej, omiatając wzrokiem wnętrze w poszukiwaniu rannej, a może już martwej Judy Chan.

Zamiast zakrwawionych zwłok ujrzała Judy całą i zdrową. Stała na środku pokoju, trzymając w dłoni zabytkowy pistolet, z którego wciąż jeszcze wydobywał się dym.

– On kłamał – powiedziała spokojnie Judy. – Chciał zachować Buddę dla siebie. A Buddę trzeba się dzielić.

Podążyła D.D. dziwny mały pistolecik, a zza kanapy dobiegł jękliwy głos Malachaia:

– Może zechciałaby mi pani pomóc, pani detektyw. Zdaje się, że zostałem postrzelony.

\*\*\*

Malachai z trudem poprawił się na krześle. Miał pecha, że kula trafiła go w tę samą nogę, która ucierpiała przed laty w Wiedniu, podczas jego ucieczki. Na szczęście tym razem obrażenia były dużo lżejsze, bo Judy nie zaliczała się do najcelniejszych strzelców, zwłaszcza w stanie lekkiego zamroczenia. Wprawdzie swojego

pracodawcę zabiła jednym strzałem prosto w serce, ale stan oszołomienia po przebytej hipnozie uratował Malachaiowi życie.

Minęło osiem miesięcy i Judy Chan siedziała już w więzieniu, skazana za zabójstwo mimo intensywnych wysiłków obrońcy, który starał się przekonać sąd, że jego klientka jest niepoczytalna, bo w swoim postępowaniu kieruje się wizjami z tak zwanego minionego życia.

Podczas całego procesu Malachai siedział w jednym z tylnych rzędów dla publiczności. Gdyby obrońcy udało się przekonać sąd, że działanie pod wpływem wspomnień z poprzednich wcieleń oznacza niepoczytalność, wyniki pracy całego życia Malachai stanęłyby pod znakiem zapytania, a jego życiowa pasja zamieniłaby się w kpinę. Na szczęście prokurator postawił na swoim. Mimo iż ponad dwadzieścia pięć procent społeczeństwa wierzy w reinkarnację, a kilka światowych religii opiera na niej swoje nauki, obrońca nie zdołał przeforsować swego stanowiska. Ława przysięgłych odrzuciła wniosek, że Chan zamordowała Wena, by wyrównać rachunki sprzed ponad wieku, ale skazano ją za zabójstwo drugiego stopnia w trakcie włamania z bronią w rękę.

Tego dnia w sądzie reinkarnacja nie przegrała, Judy tak.

\*\*\*

– Przystępujemy teraz do licytowania pozycji numer sto dwadzieścia jeden – śpiewnie zapowiedział licytator.

Malachai obserwował, jak cena jadeitowego żółwia z kolekcji Johna Wena bez trudu przekracza cenę wywoławczą dziesięciu tysięcy dolarów. Stary handlarz antyków istotnie zgromadził bardzo cenny zbiór pięknych okazów sztuki starochińskiej i można było tylko ubolewać, że posiadanie jednego z nich przyplacił życiem.

Żółwia zdjął z postumentu młody człowiek w ciemno-brązowym uniformie, inny, identycznie ubrany młodzieniec umieścił tam kolejny eksponat.

– Przystępujemy do licytowania następnej pozycji z katalogu! – zakrzyknął z bostońskim akcentem licytator. – Roześmiany Budda, pozycja numer sto dwadzieścia dwa. Piękna rzeźba z ósmego wieku, z czasów panowania dynastii Tang.

Czekanie na to, by posążek trafił na licytację, zdawało się Malachaiowi ciągnąć w nieskończoność, jednak policja się zaparła i nie pozwoliła ruszyć niczego z masy spadkowej Wena przed zakończeniem procesu i skazaniem Chan.

– Czy słyszę dziesięć tysięcy?! – wykrzyknął licytator.

Podczas oglądania w Domu Aukcyjnym Skinner's przedmiotów zgłoszonych do licytacji Malachai musiał zachować maksymalną ostrożność. Jego nadmierne zainteresowanie posążkiem Buddy mogłoby zostać zauważone i wzbudzić zaniepokojenie. Salonik w domu aukcyjnym, gdzie wystawiono przedmioty do licytacji, znajdował się pod stałą i jawną obserwacją kamer, więc nie było mowy o rozkładaniu posążka i sprawdzaniu, czy drewniana podstawka zawiera skrytkę z listą zaginionych Narzędzi Pamięci. Malachai jednak przyjrzał się dokładnie podstawce i uznał, że jest to możliwe. Wskazywały na to jej kształt i wielkość, klasyczne złote inkrustacje Tiffany'ego i precyzyjnie zatopiona muszla. Stwierdził, że podstawka posążka mogła zostać wykonana w warsztacie Tiffany'ego, na specjalne zamówienie, wkrótce po morderstwie sprzed ponad stu lat.

– Piętnaście tysięcy po mojej prawej. Czy słyszę... tak, dwadzieścia od pana z tyłu sali. Czy słyszę dwadzieścia pięć? Dwadzieścia pięć tysięcy, dziękuję pani.

Malachai czekał, aż sytuacja się trochę uspokoi. Nie zamierzał windować ceny. Liczył, że około pięćdziesięciu tysięcy licytanci zaczną odpadać, jednak srodze się zawiódł, bo cena osiągnęła już siedemdziesiąt pięć tysięcy, a licytacja trwała w najlepsze.

Tyle że teraz, gdy cel jego wieloletnich poszukiwań był blisko i lista Narzędzi Pamięci mogła stać się jego własnością, cena nie miała znaczenia. Bardzo długo czekał na ten moment.

– Siedemdziesiąt pięć tysięcy od pana z tyłu po raz pierwszy. Siedemdziesiąt pięć po raz drugi.

Malachai uniósł plakietkę.

– Dziękuję panu! – wykrzyknął licytator, widząc nowego uczestnika licytacji. – Mam osiemdziesiąt tysięcy od pana z przodu... i... osiemdziesiąt pięć tysięcy od pana z tyłu. Pańska kolej, szanowny panie. Czy usłyszę dziewięćdziesiąt tysięcy?

Minęło parę minut i piłka znów znalazła się po stronie Malachaia.

Potwierdził swą ofertę w wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy i licytacja stanęła. Kręciło mu się w głowie. Czy Budda jest już jego?

– Po raz pierwszy. Sto pięćdziesiąt po raz drugi. – Stuknięcie młotkiem. – Dziękuję panu. Sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów od pana z przodu po raz trzeci.

Malachai zdobył swoje trofeum.

Zapłacił za posążek i zabrał go do hotelu Ritz Carlton, gdzie miał wynajęty apartament.

Ostrożnie i uroczyście rozpakował jadeitowy posążek na drogocennej podstawce ze złoceniami i zatopioną w drewnie muszlą. Autentyczność umieszczonego na niej podpisu Tiffany'ego została zweryfikowana przez dom aukcyjny i cena katalogowa samej podstawki wynosiła dziesięć tysięcy dolarów.

Ale było to nic w porównaniu z jej prawdziwą wartością.

Malachai lubił patos i doceniał znaczenie rytuału. Uważał, że warto się rozkoszować chwilami, które odmieniają życie, a to właśnie była taka chwila. Oznaczała dotarcie do końca bardzo długiej drogi.

Postawił posążek na stoliku pod oknem i wyjął z wiaderka z lodem butelkę szampana Cristal, którą tam umieścił przed wyjściem na licytację. Korek wystrzelił i Malachai napełnił wysoki kieliszek jasnożółtą ambrozją.

Zwrócił się twarzą do stolika, uniósł kieliszek w toaście i upił łyk, myśląc o Wenie, który za ten posążek oddał życie, i o Chan, która gniała teraz w więzieniu za próbę jego ochrony.

– Już czas, przyjacielu – rzekł, podchodząc do stolika.

Zbadał wszystko wcześniej i wiedział, że nie będzie musiał zdejmować posążka z podstawki. Wystarczy go wziąć do ręki i wymacać złote inkrustacje pod spodem. Eksperci zapewnili go, że jeśli odpowiednio je nacisnąć, ukaze się przemyślnie wmontowana skrytka.

Okazało się to nawet łatwiejsze, niż myślał. I tak podniecające, jak to sobie wymarzył. Dno podstawki odskoczyło i na stół posypały się drobiny pyłu, świadczące o tym, że skrytka od lat nie była otwierana. Tak jak na to liczył, w domu aukcyjnym nikomu nie przyszło nawet do głowy, że podstawka może coś kryć.

\*\*\*

Malachai nie od razu zajrzał do skrytki. Po tylu latach starań czekanie na ten moment było rozkoszne.

Pociągnął długi łyk perlistego trunku.

To była jego chwila triumfu. Po niemal stu pięćdziesięciu latach przeszłość i terażniejszość się połączyły. Malachai wsunął palce w wąskie zagłębienie i zaczął macać... gładkie drewno... trochę dalej... gładkie drewno... aksamit.

Odwrócił posążek i zajrzał pod spód. W podstawie wyżłobiono długie wąskie zagłębienie w kształcie trumienki. Nie miał wątpliwości, że właśnie tam mieścił się kiedyś skarb, którego z takim zapalem szukał. Teraz nie było tam nic.

Trzymając posążek, Malachai Samuels wpatrywał się tępo w pustą skrytkę i przez krótką chwilę zdało mu się nawet – wbrew rozsądkowi – że słyszy śmiech Buddy. A może śmiał się nie Budda, tylko Davenport Talmage, zza grobu pilnujący zaginionych Narzędzi Pamięci. Na zawsze przez niego ukrytych i już zawsze poszukiwanych przez Malachaia.

**STEVE MARTINI**  
**i**  
**LINDA FAIRSTEIN**

**Fakt:** W 1922 roku Howard Carter, buszujący w Dolinie Królów archeolog amator, natknął się na jeden z największych skarbów archeologicznych wszech czasów. Po blisko dwudziestu latach poszukiwań Carter odnalazł grobowiec faraona Tutenchamona, zwanego królem chłopcem. Grobowiec składał się z podziemnych pieczar, gdzie kryły się bezcenne skarby sztuki starożytnej, ozdoby z litego złota, szlachetne kamienie i całe rydwany z egzotycznego drewna. Jednym z najcenniejszych znalezisk była figurka króla chłopca, siedzącego na grzbiecie czarnej pantery. Wyrzeźbione w hebanie zwierzę zostało uformowane z egzotycznych żywic, których recepturę znali tylko starożytni Egipcjanie.

**Fakt:** Przez niemal dziewięćdziesiąt lat znalezione przez Cartera dzieła sztuki, w tym także pantera i siedzący na niej król ze złota, spoczywały w zbiorach Muzeum Egipskiego w Kairze. Na początku lutego 2011 roku, podczas zamieszek znanych pod nazwą arabskiej wiosny, doszło do grabieży. Wandale włamali się do muzeum i zrabowali część zbiorów, między innymi również statuetkę króla chłopca na wielkim czarnym kocie.

**Fakt:** Jedenastego września 2012 roku banda terrorystów napadła na konsulat amerykański w Bengazi, podpalając budynek i mordując czterech Amerykanów, w tym ambasadora USA w Libii. Przez wiele tygodni ruiny spalonego konsulatu niszczały, praktycznie niestrzeżone. Liczne dokumenty – niektóre ściśle tajne – wały się na pogorzeliisku.

Obudziłem waszą ciekawość?

W każdym razie dwojgu utalentowanym pisarzom, Steve'owi Martiniemu i Lindzie Fairstein, fakty te wystarczyły, by stworzyć opowiadanie.

Paul Madriani jest bohaterem dwunastu bestsellerów Steve'a Martiniego, niegdyś dziennikarza i kalifornijskiego adwokata. Linda Fairstein – z wykształcenia też prawniczka – przez trzydzieści lat była prokuratorem, kierując między innymi Zespołem Przystępstw Seksualnych w prokuraturze okręgowej w Nowym Jorku. Jej bohaterką jest przebiegła prokurator Alexandra Cooper, która jak dotąd wystąpiła w piętnastu powieściach.

Autorzy uznali, że najlepiej będzie, jeśli para ich protagonistów pozna się i skrzyżuje szpady podczas debaty prawniczej. Wcześniej młoda i przedsiębiorcza fotoreporterka wraca z Bengazi i postanawia opublikować reportaż o czymś, co znalazła na terenie spalonego konsulatu. Gdy niedługo potem zostaje zamordowana, Madriani i Cooper wspólnie zaczynają poszukiwać mordercy, a także złotego posążku króla chłopca.

To prawniczy kryminał na miarę dwudziestego pierwszego wieku.  
Pióra dwojga mistrzów gatunku.

## **Jeździec na panterze (SURFING THE PANTHER)**

- Chcesz przez to powiedzieć, że nie żal ci ofiary, czy tak?
  - Jak już wcześniej zaznaczyłem, nie wolno mi omawiać toczącej się sprawy – odrzekł Madriani.
  - Zatem wróćmy do naszego hipotetycznego przykładu – rzuciła Cooper z ironicznym uśmiechem. – Chciałam tylko wysondować twój stosunek do tej głośnej sprawy w Los Angeles. To by nam dużo wyjaśniło, bo nasz dzisiejszy przykład jest trochę do niej podobny. Bardzo chciałabym wiedzieć, skąd się to bierze, że tak obojętnie przyjmujesz śmierć tej kobiety.
  - Nie brak mi współczucia.
- Cooper pominęła jego uwagę milczeniem.
- Dlaczego niektórzy tak bezdusznie traktują ofiarę, jeśli jest nią kobieta? W naszym przykładzie chodzi o kobietę, która świetnie sobie poradziła w zawodzie zdominowanym przez mężczyzn. A może uznajesz ją za społecznie niepożądaną? Za kogoś w rodzaju pasożyta?
  - Ty to powiedziałaś, nie ja – odgryzł się Madriani.
- Nie lubił być przesłuchiwany, a pod ostrzałem pytań Alexandry Cooper czuł się trochę jak świadek na sali sądowej.
- Ale zgadzasz się z tą oceną, prawda? Lubisz zwałać winę na ofiarę. – Czują, że ma go na muszce, i nie zamierzała mu popuścić.
- Paul Madriani, adwokat specjalizujący się w prawie karnym, wiedział, że popełni błąd, jeśli da się wciągnąć w omawianie sprawy, w której obecnie występował przed sądem w Los Angeles. Byłoby to jak nadeptanie na minę przeciwpiechotną. Bardzo chciał swą oponentkę od tego odwieść, ale jednocześnie podtrzymać jej zainteresowanie rozważanym przykładem.
- Powiedzmy tyle, że ława przysięgłych nie potraktuje działania ofiary tak, jakby było podyktowane świętym imperatywem. Czy



możemy się na to zgodzić? Będzie w porządku?

– Paul, nasza ofiara stała na czele agencji reklamowej z najwyższej półki i doszła do tego sama, o własnych siłach. Dzięki swojej odwadze i inteligencji.

– Traktując po drodze więcej męskich ciał, niż da się zliczyć, Alex. Z tym się zgadzam. – Madriani skinął głową. – Nie mówiąc już, że w swoim biurze przy Park Avenue prowadziła agencję pań i panów do towarzystwa.

Ktoś na sali parsknął śmiechem, ale Cooper nie drgnęła nawet powieka. Jej wzrok przypominał dwa rozjarzone lasery, oba wycelowane prosto w jabłko Adama Madrianiego. Dla trzydziestoosmioletniej prokurator kierującej pionierskim zespołem do spraw przestępstw seksualnych, utworzonym w nowojorskiej prokuraturze, brzmiało to jak wyzwanie.

– Czyli uważasz, że zasłużyła na śmierć, tak?

– Jak już wspomniałem, trzeba wziąć pod uwagę, że śmierć ofiary mogła mieć związek z podejrzanym środowiskiem, w jakim się obracała, działając w branży seksualnej. Nie ma to nic wspólnego ze strategią biznesową mojej hipotetycznej klientki.

– Mamy pytanie od publiczności – wtrącił moderator.

Chętnie przerwałby tę grożącą kłótnią dyskusję i wrócił do sesji pytań i odpowiedzi.

– Tak naprawdę chcesz powiedzieć – rzekła Cooper, która nie była jeszcze gotowa spasować – że kobieta prowadząca legalną część działalności zawodowej nieco bardziej agresywnie od swoich męskich konkurentów sama prosiła się o napaść seksualną i zatłuczenie na śmierć...

– Nigdy czegoś takiego nie powiedziałem.

– Że zasługiwała na koniec, jaki ją spotkał, prawda? Czy tak ma brzmieć przesłanie dla tych młodych prawników na sali?

Cooper i Madriani stanęli naprzeciwko siebie w ramach panelu dyskusyjnego na temat taktyk obronnych w sprawach o morderstwo, zorganizowanego przez sekcję prawa karnego Stowarzyszenia Adwokatów Stanu Nowy Jork. Omawiany przykład dotyczył kobiety, która prowadziła legalną i nielegalną działalność biznesową i stała się ofiarą brutalnej napaści seksualnej w swoim biurze na Manhattanie.

W debacie Madriani występował w roli obrońcy hipotetycznego sprawcy, konkurencyjnego biznesmena, a linia obrony była oparta na tezie, że w ramach swej drugiej „kariery” kobieta zetknęła się z wieloma podejrzanymi typami, którzy mogli ją zamordować. Czyli innymi słowy, obrońca starał się oczernić ofiarę i w ten sposób zasiać wątpliwości co do winy swojego klienta. Alexandra Cooper, jako oskarżyciel, zdecydowanie się temu przeciwstawiała. Madriani zgodził się wziąć udział w debacie wiele miesięcy wcześniej, na długo przed tym, zanim wyznaczono mu termin rozprawy w głośnej sprawie z oskarżenia publicznego przeciwko niejakiemu Mustaffie. Sprawa była w toku i jako taka została wyłączona z dyskusji panelowej, jednak Cooper uporczywie do niej wracała, starając się podpuścić swojego oponenta. Madriani przyleciał do Nowego Jorku na weekend i już zaczął żałować swej decyzji.

– Czy na tym ma się opierać twoja żalosna koncepcja obrony? – spytała Cooper, zanim zdążył odpowiedzieć na jej poprzednie pytanie.

– Niczego takiego nie powiedziałem.

– No to może zechcesz nam to wytłumaczyć.

– Mecenase Madriani nie musi się z niczego tłumaczyć – wtrącił moderator. – Jest mistrzem potyczek sądowych. A nawiasem mówiąc, Alex, czas debaty dobiega już końca. Proponuję, żebyś wzięła naszego gościa do baru i postawiła pierwszą kolejkę. Czy nie należy to do tradycji sądowej podczas obrad ławy przysięgłych?

– Nie miałem na myśli nic osobistego, Alex – powiedział Madriani.

– Moje stanowisko nie ma żadnego związku z płcią ofiary.

Alex przywykła mieć ostatnie słowo i szykowała się do zadania końcowego sztychu, zauważyła jednak, że część uczestników już wstaje z miejsc w nadziei, że uda im się podejść do dwojga słynnych prawników, zanim wymkną się z sali konferencyjno-balowej.

Ale Madriani nie zamierzał tak tego zostawić.

– Chciałem tylko podkreślić – ciągnął – że w tej sprawie ofiara nie budzi zbytnej sympatii.

– Doprawdy? Uważasz, że ktokolwiek zasługuje na tak potworną śmierć? Wolałbyś, żeby ofiarą był mężczyzna, któremu zmiażdżono genitalia?

– Nie! – odparł. – Chociaż, bo ja wiem?

Słuchacze parsknęli śmiechem, a Madriani wyobraził sobie, co taka ofiara musiałaby poczuć. Cooper obdarzyła go pobłażliwym uśmiechem. Wytrawna oskarżycielka dała mu nauczkę, zagrywając kartą genderową.

– Mogę o coś spytać, koleżanko Cooper?

– Służę uprzejmie – odrzekła Alex.

– Zakładam, że nie zostałeś tu przysłana przez biuro prokuratora okręgowego w Los Angeles jako tajna agentka, mam rację?

Na widowni znów rozległy się śmiechy.

Cooper też się uśmiechnęła.

– Tu mnie masz! Próbowałam zbić cię z pantaląku, Paul, ale się nie dałeś. Moje szczęście, że się starałam z tobą tutaj, a nie na sali sądowej. I dziękuję, że zgodziłeś się przyjechać.

Słuchacze wstali z miejsc i część ruszyła w kierunku podium. Paul nachylił się do ucha Alex, która była zajęta chowaniem notatek do aktówki.

– W barze hotelowym za piętnaście minut? – szepnął.

– Nie.

– Nie psuj dobrej zabawy.

– Nie psuję, tylko jestem dobrą gospodynią, Paul. Pozbądź się swoich wielbicieli, to cię zabiorę do najlepszego baru na Manhattanie. Z najlepszymi stekami, bo wiem, jak kochasz czerwone mięso.

Madriani uśmiechnął się i kiwnął głową na znak, że przyjmuje zaproszenie.

– Zarezerwowałam stolik w Patroon na siódmą. To kilka ulic stąd. Spotkamy się w holu i przejdziemy piechotą.

W mężczyźnie, który pierwszy podszedł do ich stołu i stanął przed Madrianim, Alex rozpoznała prawnika, od kilku lat udzielającego się w Stowarzyszeniu Pomocy Prawnej.

– Panie mecenasie – zaczął, przedstawiając się i wyciągając rękę na powitanie. – Rozmawiamy nieoficjalnie. Chciałbym zapytać, jak pan zamierza balansować na tak cienkiej linii obrony w sprawie Mustaffy? Bo jesienią szykuje mi się coś podobnego.

– To znaczy?

– No wie pan. Chodzi o ofiarę w tej sprawie, Carlę Spinową.

Madriani spojrział na Cooper z wyrzutem, jakby chciał powiedzieć:

„To wszystko twoja wina”.

Wszyscy widzowie wiadomości telewizyjnych wiedzieli, że Spinova należała do międzynarodowego grona paparazzich.

– Ofiara wtykała obiektyw w sekrety ludzi. Żyła z grzebania w ich śmieciach. Łagodnie mówiąc, zachowywała się prowokacyjnie. Dobry obrońca musi to wykorzystać w swojej linii obrony, nie sądzi pan? – odrzekł Paul.

– Czyżby? – parsknęła Alex. Nie mogła sobie odmówić wtrącenia się do rozmowy. – Jeśli dobrze pamiętam, patolog stwierdził, że pochwa Spinovej była w czterech miejscach poszarpana ostrym narzędziem z ząbkowanym ostrzem.

– Trzymajmy się naszego hipotetycznego przykładu – upomniał ją Madriani. – W Los Angeles mam do czynienia z sędzią, który prędzej rozszarpie mnie za złamanie nakazu milczenia, niż zajmie się analizą składniową moich wypowiedzi dla prasy.

– Tak czy inaczej, kobieta z marginesu nie żyje, a ty bronisz przed sądem jej zabójcy – mruknęła Cooper.

– Gdyby istniał globalny ranking najbardziej nachalnych fotografów, którzy nękają ludzi wtykaniem obiektywu w ich prywatne sprawy, Carla Spinova niewątpliwie znalazłaby się w czołówce. – Mówiąc to, Madriani pochylił głowę tak nisko, że jego słowa dosłyszała tylko Alex i młody prawnik. – Wierzcie mi, że w tej sprawie znalazłoby się sporo podejrzanych. Ludzi chowających głęboką urazę do Spinovej. Takich, którzy też to mogli zrobić.

– Czyli nie zrzuca pan winy na ofiarę, tylko chce pan skierować śledztwo na inny trop, tak?

Madriani skinął głową, podziękował młodemu człowiekowi za pytanie i spojrzał na Alex.

– Wolałbym już pójść na tego drinka, zanim wpadnę w kłopoty z powodu omawiania sprawy Mustaffy.

– Zasłużyłeś sobie. Ale gdybym ja oskarżała w tej sprawie, oparłabym się na fotografiach z sekcji zwłok ofiary i przypuściłabym atak na twojego klienta – rzekła Cooper.

Klientem Madrianiego był Ibid Mustaffa i w chwili obecnej adwokat uważał, że broni prawdy. Przeciwno sobie miał tłum oskarżycieli z biura prokuratora okręgowego w Los Angeles i mógł

tylko dziękować losowi, że jednym z nich nie była Alex Cooper.

\*\*\*

Gdy szli do wyjścia, Madriani przywitał się z kilkoma znajomymi i odpowiedział na parę ogólnych pytań o strategię obrony. Ostatnia z pytających chciała wiedzieć, czy firma prawnicza Madrianiego w południowej Kalifornii przewiduje zatrudnienie nowych pracowników. Madriani roześmiał się i rzucił tylko: „Niech pani spróbuje za rok”.

Cooper czekała na niego przy drzwiach, ale nim Madriani do niej dotarł, drogę zastąpił mu mężczyzna, który na sali siedział w jednym z ostatnich rzędów.

– Przepraszam, mecenasie Madriani, ale chciałbym spytać, czy pańskim zdaniem śmierć tej kobiety mogła mieć coś wspólnego z jej niedawną podróżą do Afryki Północnej?

Mężczyzna mówił z lekkim akcentem brytyjskim, jakby przebywał dłuższy czas w Anglii, ale nie był rodowitym Anglikiem. Miał na sobie białe lniany garnitur, w ręce trzymał kapelusz panamę i wyglądał jak żywcem wyjęty z filmu *Casablanca*. Najwyraźniej nie chodziło mu o szefową agencji reklamowej i towarzyskiej z hipotetycznego przykładu.

– Już powiedziałem, że nie mogę się wypowiadać w sprawie Mustaffy.

Madriani wiedział o podróży Carli Spinovej do Afryki. On i jego ludzie prześwietlili ten wyjazd na wszelkie sposoby i nie znaleźli w nim niczego, co można by powiązać z jej śmiercią.

– Ale wie pan, że zginęła w przeddzień następnego wyjazdu do Afryki? – spytał mężczyzna, wodząc palcem po brzegu ronda kapelusza.

– Do czego pan zmierza?

– Że to mogło mieć związek z jej śmiercią.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparł Madriani, przyjmując, że tamten też jest prawnikiem. – Chyba że wie pan coś, czego ja nie wiem.

Mężczyzna wzruszył ramionami i bez słowa zawrócił na opustoszałą salę.

Madriani poczuł na karku dotknięcie lodowato zimnego palca.

Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z Alex Cooper.

– Mam wyschnięte gardło, Paul.

– Już idziemy.

– Wiem teraz, dlaczego jesteś taki dobry na sali rozpraw. I mam nadzieję, że nie przesadziłam z tym atakowaniem ciebie, ale zażyczyli sobie, żeby debata miała należycie wysoką temperaturę.

– Wysoka temperatura to jedno, ogień piekielny to coś całkiem innego.

Alex parsknęła śmiechem.

– Dopilnuj tylko, żeby do mojego sędziego w Los Angeles nie dotarł zapis tej debaty.

– Nie ma obaw. Gdyby ci robił wstręty, zawsze mogę zadzwonić do prokuratora okręgowego. To mój dobry znajomy. I to ja próbowałam wywieść cię na manowce. Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić.

Zjechali schodami ruchomymi, wyszli na Lexington Avenue i Alex poprowadziła Paula do eleganckiej knajpki przy Czterdziestej Szóstej Ulicy.

– Dzięki.

– Oczywiście nie zawadziłoby wiedzieć – dodała z uśmiechem – co tak naprawdę kombinujesz w tej sprawie.

– Alex, cholera, ty nigdy nie odpuszczasz?

– Całkowicie nieoficjalnie. Przecież i tak wszystko będzie wiadomo, jak zaczniecie w poniedziałek. Więc co jest grane?

Paul Madriani był za mądry, by wyłożyć karty na stół przed prokuratorem, w dodatku szcwaną babą, którą poznał zaledwie parę godzin wcześniej.

– Ibid Mustaffa jest taksówkarzem z zachodniego Los Angeles. Aktualnie nie pracuje. Carla Spinova była rosyjską emigrantką, która robiła karb na futerale swojego aparatu, ilekroć udało jej się zrobić drastyczne zdjęcie jakiegoś celebryty, często w niekompletnym stroju lub w kompromitujących okolicznościach. Została zgwałcona i zamordowana. Sprawa z oskarżenia publicznego.

– Tyle to ja też wiem. Wszyscy tyle wiedzą.

Spinova tyle razy wdzierała się do prywatnych pałaców i rezydencji członków rodziny królewskiej w Zjednoczonym Królestwie, że ochrona zaczynała podejrzewać, iż udało jej się skorumpować strażników

z Gwardii Królewskiej. Była znana z tego, że zawsze osiągała swój cel. Aż do pewnej nocy, kiedy ktoś poderżnął jej gardło.

– Nie mam ci nic więcej do powiedzenia, Alex.

– Czy to znaczy, że podczas całej wytwornej kolacji będziemy rozmawiać o bzdurach? Będzie strasznie nudno.

– Zaryzykuję – odparł Madriani. – Po powrocie do Los Angeles czeka mnie wystarczająco dużo emocji.

\*\*\*

Kierownik sali ciepło powitał Alex i wziął od niej aktówkę, a ona go przedstawiła Madrianemu. Miał na imię Stephane.

– To co zwykle, pani Cooper? – spytał Stephane, prowadząc ich do stolika w przedniej części eleganckiej sali.

– Podwójną dewar's. Mam za sobą długi dzień.

– A dla pana, panie Madriani?

– Martini z wódką, bez dodatków.

– Oczywiście. – Stephane wręczył każdemu z nich menu, a oni odłożyli je na bok i w oczekiwaniu na drinki wdali się w luźną pogawędkę.

– Twoje zdrowie, Paul – powiedziała Alex, unosząc szklanekę. – Komitet mnie zobowiązał, żebym jeszcze raz ci podziękowała, że poświęciłeś czas na udział w tym panelu. Świetnie się spisałeś.

– Praca z tobą była przyjemnością. Oczywiście ta hipotetyczna. – Madriani się uśmiechnął. – Co polecasz do jedzenia?

Nim zdążyła odpowiedzieć, przy ich stoliku ktoś stanął i oboje podnieśli głowy. Mężczyzna w białym lnianym garniturze, ten sam, który wcześniej wypytywał Madrianiego o podróż Carli Spinovej do Afryki. Pod jedną pachą trzymał aktówkę, pod drugą swoją panamę.

– Przepraszam, nie chciałbym przeszkadzać, ale czy mogę zająć państwu chwilę? – Mężczyzna spojrział na Madrianiego. – Proszę wybaczyć, że za panem siedłem, ale to naprawdę ważna sprawa.

– Czy mam was zostawić samych? – spytała Alex.

Jego niespodziewane pojawienie się w tej restauracji obudziło jej prokuratorską czujność.

– Nie, nie. Proszę zostać – rzucił szybko mężczyzna.

– Niech pan siada. – Madrianiego zaciekawiła jego natarczywość.

Mężczyzna usiadł.

– Nazywam się Samir Rashid – powiedział. – Znajomi nazywają mnie Sam.

Wręczył obojgu swoją wizytówkę, na której widniał nagłówek Organizacji Narodów Zjednoczonych i wytłoczony emblemat UNESCO. Niżej, mniejszą wytłuszczoną czcionką, było wydrukowane jego imię i nazwisko, adres i numer telefonu.

– Czym mogę panu służyć? – spytał Madriani.

– Myślę, że to raczej ja mogę się panu przydać – rzekł Rashid. – Pan jest głównym obrońcą Ibida Mustaffy, prawda?

– Tak. – Madriani skinął głową.

– Myślę, że jestem w posiadaniu cennej informacji, która pozwoli panu udowodnić, że pański klient nie zamordował Carli Spinovej.

– Chyba jednak powinnam zostawić was samych – wtrąciła Cooper.

– Nie, nie. – Rashid przytrzymał dłonią jej rękę. – To, co mam do powiedzenia, nie jest w żaden sposób poufne. Pani jest prokuratorem tu, w Nowym Jorku, prawda?

– Tak.

– Zatem też powinna pani tego posłuchać. Nie mam w tej chwili zbyt wiele czasu, bo jestem umówiony i nie mogę tego odwołać, ale powiem państwu tyle: Spinova pojechała do Afryki zrobić zdjęcia, które miały jej przynieść dużo pieniędzy. Zamiast tego przyniosły śmierć.

– Proszę mówić dalej – powiedział Madriani.

– Jedenastego września dwa tysiące dwunastego roku napadnięto i podpalamo konsulat amerykański w Bengazi. W wyniku zamachu zginął ambasador i kilku obywateli USA.

– Tak.

Paul dobrze pamiętał tę tragedię. Była szeroko opisywana w prasie, a różnego rodzaju polityczne dywagacje i oskarżenia ciągnęły się do dziś.

– Przez blisko trzy tygodnie po zamachu budynek konsulatu, a raczej to, co z niego zostało, stał niestrzeżony i był plądrowany – ciągnął Rashid. – Wiadomo też, że w ruinach walało się mnóstwo tajnych dokumentów. Wiem z pewnych źródeł, że Spinova poleciała do Bengazi po to, by obfotografować szczątki budynku i pozostałe po nim



zgliszcza. W trakcie tego natknęła się na dokument, który mógł posłużyć, jak to mówią w jej branży, do wypuszczenia soczystego śmierdziela. Zamierzała sprzedać dokument mediom wraz ze zdjęciami, ale nim do tego doszło, ktoś ją zamordował. I tym kimś nie był pański klient.

– Skąd pan to wszystko wie? – spytał Madriani.

– Zaufajcie mi. Nie mam teraz czasu, żeby o wszystkim opowiedzieć, ale może spotkalibyśmy się wieczorem w moim biurze w gmachu ONZ.

– Dziś jest sobota – przypomniała Alex. – Kompleks ONZ jest zamknięty.

Pamięć o strasznej tragedii w Bengazi brała w niej górę nad początkowym sceptycyzmem. Mogło się okazać, że morderstwo Spinovej nie jest zwykłą zbrodnią o podłożu seksualnym, a jej śmierć ma międzynarodowe reperkusje.

– Moja głowa w tym, żeby was wpuszczono. Możemy się spotkać, powiedzmy, o dziewiątej?

Madriani miał bilet na jutrzejszy poranny samolot do Los Angeles, ale dziś po kolacji był wolny, a jego ciekawość została mocno rozbudzona.

– Przyjadę do pana zaraz po kolacji – powiedział.

– A pani? – Rashid spojrzał pytająco na Alex.

– Sprawa Mustaffy mnie nie dotyczy – odrzekła. – I nie jestem pewna, czy mecenas Madriani chciałby, żebym...

– Jesteś prokuratorem, Alex – odezwał się Madriani. – I jeszcze nie tak dawno dowodziłaś, że nasz system sądowniczy to nie zabawa. To twoja mantra. Dotyczy cię wszystko, co ma związek z wymiarem sprawiedliwości, nie?

Skinęła głową.

– No właśnie. I wypowiadałaś się bardzo krytycznie o prokuratorach, którzy podczas procesu przymykają oczy na dowody mogące świadczyć o niewinności oskarżonego.

Alex wahała się jeszcze, jednak Madriani nie przestawał jej namawiać, więc w końcu skapitulowała.

– No już dobrze, dobrze. Pójdę z tobą.

Rashid dał im wskazówki, jak mają trafić na podziemny parking

w kompleksie ONZ, po czym wyjął z aktówki kartę parkingową i wręczył ją Alex.

– Przyjedziecie samochodem? Włóżcie to za przednią szybą, to strażnicy was przepuszczą – powiedział, wstając. – Do zobaczenia wieczorem.

\*\*\*

O dziewiątej dotarli do kompleksu ONZ i po zaparkowaniu ruszyli ku potężnemu gmachowi, siedzibie Sekretariatu Organizacji Narodów Zjednoczonych. Nie uszli nawet pięćdziesięciu metrów, gdy z cienia wyłoniła się jakaś postać i pomachała do nich ręką. Rashid miał na sobie wciąż to samo białe ubranie, w którym widzieli go za dnia.

– Mam nadzieję, że zaparkowaliście bez problemu – rzucił na powitanie.

– Bez żadnego – odparła Alex. – Do późna tu pracujecie.

– Nie ma odpoczynku dla utrudzonych – rzekł Rashid i powiódł ich ku bocznemu wejściu do głównego gmachu. Po drodze natknęli się na strażnika, który właśnie otwierał drzwi i wchodził do środka. – Może pan nie zamykać?! Dziękuję! – zawołał do niego Rashid. Schował do kieszeni swoje klucze i poprowadził gości do windy towarowej w głębi korytarza. Spojrzał na nich z uśmiechem i dodał: – To niezgodne z przepisami. Nie powinienem z niej korzystać, ale stąd mam o wiele bliżej do biura niż od głównych wind.

Chwilę później weszli do biura Rashida, obszernego narożnego pomieszczenia na szóstym piętrze, z oknami na dwie strony i widokiem na East River. Na biurku stała tabliczka z nazwiskiem Rashida, na ścianie wisiał jego dyplom uniwersytecki oraz rodzinna fotografia, z żoną i – jak Paul szybko policzył – piątką dzieci. Dwoje z nich wyglądało już całkiem dorośle.

Rashid usiadł za biurkiem.

– Proszę, siadajcie. – Wskazał im krzesła dla gości. – Chyba że wolicie na kanapie.

– Tu będzie dobrze – rzekł Madriani.

Pragnął jak najszybciej przystąpić do rzeczy. Chciał usłyszeć opowieść Rashida i przekonać się, czy to, co ma do powiedzenia, może faktycznie zmienić jego linię obrony. Nie zostało mu na to zbyt wiele

czasu.

W obronie Mustaffy nic nowego się nie działo. Policja dysponowała zapisem z jego samochodowej nawigacji GPS, z którego wynikało, że w porze zabójstwa taksówka Mustaffy znajdowała się tuż obok miejsca, gdzie odkryto zwłoki Spinovej. Ale i tak najbardziej obciążające były zeznania naocznego świadka, którego prokuratura powołała na głównego świadka oskarżenia, i Madriani nadal bił się z myślami, jak się do tego ustosunkować. Wiedział, że materiały dowodowe przemawiają na niekorzyść oskarżonego. Może Mustaffa będzie umiał wszystko wyjaśnić, choć Paul raczej w to wątpił. Treść zeznań głównego świadka mogła się okazać zabójcza dla oskarżonego.

– Mogę zaproponować coś do picia? Cola? Woda?

Oboje podziękowali.

– A zatem nie traćmy czasu. Jak już mówiłem, Spinova pojechała do Libii mniej więcej dwa tygodnie po zamachu na konsulat w Bengazi, jednak cała historia zaczyna się dużo wcześniej. Pod koniec stycznia dwa tysiące jedenastego roku, podczas tak zwanej arabskiej wiosny. W Egipcie trwały wówczas krwawe zamieszki, ludzie ginęli na głównym placu Kairu. Mogliście widzieć zdjęcia. Niektórzy byli tratowani przez wielbłądy, inni padali od kul.

Madriani i Cooper pokiwali głowami.

– Wszystko to, w tym także pożary wielu budynków, działo się o rzut kamieniem od kairskiego muzeum. Czy któreś z państwa w nim było?

– Ja byłam – mruknęła Alex.

– Zatem widziała pani ich ekspozycję. Mam na myśli przede wszystkim zbiory z wykopalisk Howarda Cartera, skarby z grobowca Tutenchamona.

– Tak, widziałam.

– Ale jaki to ma związek z morderstwem Spinovej? – wtrącił Paul.

– Proszę o chwilę cierpliwości – rzekł Rashid. – W nocy dwudziestego dziewiątego stycznia dwa tysiące jedenastego roku, korzystając z zamieszek i szalejących wokół pożarów, do muzeum włamała się banda złodziei i zrabowała część skarbów Tutenchamona. To, czego nie mogli wynieść, zniszczyli. A ukradli między innymi bezcenną złotą figurkę króla chłopca, który siedzi na grzbiecie pantery

wyrzeźbionej z czarnego hebanu. Figurka była jednym z pierwszych znalezisk Cartera w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku.

– Rzeczywiście – wtrąciła Alex. – To wspaniały przykład sztuki starożytnej.

– Nie da się ustalić jej wartości w dolarach. Można tylko powiedzieć, że jest bezcenna. Rabusie uszkodzili dolną część figurki, hebanową panterę. Odłamali z niej złotą figurkę i zabrali. Mamy podstawy sądzić, że do dziś jej nie odzyskano.

– Tak, ale co to ma wspólnego ze Spinową? – powtórzył Paul.

– Już do tego zmierzam. Wchodząc na pogorzelsko konsulatu w Bengazi, Spinova zamierzała je tylko obfotografować i ewentualnie napisać reportaż z miejsca zamachu. Miała nadzieję, że będzie jednym z pierwszych fotoreporterów, którzy odwiedzili to miejsce, i liczyła na duże korzyści finansowe ze swojego materiału. Wszystko jednak zmieniło się, gdy weszła przez okno do wypalonego wnętrza budynku i coś w nim znalazła.

– Co takiego? – odezwała się Alex.

– Dokument – powiedział Rashid. – Tajną notatkę służbową waszego CIA, w której wymieniono przedmioty skradzione z muzeum w Kairze.

– Wiedziałaś o tym, Paul? – spytała Alex.

Madriani bez wahania pokręcił głową.

– Proszę mówić dalej. – Teraz już i Cooper z uwagą nadstawiła uszu.

Madriani wyjął z kieszeni notatnik, rozłożył na brzegu biurka i zaczął notować.

– Z tego, co nam wiadomo, w notatce wymieniono nazwiska rabusiów z muzeum, łącznie z mózgiem całej operacji. Wyliczono w niej także wszystkie przedmioty skradzione i zniszczone podczas rabunku, co jest o tyle cenne, że muzeum do dziś nie ogłosiło oficjalnej listy strat. Według naszych informacji lista jest długa i straty ogromne.

– Jaką rolę pan odgrywa w tym wszystkim? – spytała Alex.

– Działamy w ramach UNESCO – odparł Rashid. – Agendy ONZ do spraw Oświaty, Nauki i Kultury. Konkretnie moje biuro zajmuje się wprowadzaniem w życie konwencji w sprawie walki z przemytem i nielegalnym handlem dziełami kultury. Dlatego treść tej notatki CIA,

którą Spinova znalazła w zgliszczach konsulatu, tak bardzo nas poruszyła. Sądzymy, że jej zabójcy właśnie o tę notatkę chodziło. Ale jest jeszcze jeden, dużo bardziej złowieszczy aspekt tej całej historii.

Przerwał i obrzucił ich rozjarzonym wzrokiem.

– Według naszych informacji zrabowane łupy, w tym także figurka króla chłopca, złoty posążek faraona Tutenchamona nazywany w notatce Jeźdźcem na Panterze, zostały wkrótce potem wywiezione do Libii.

Na słowa Rashida o złotej figurce i nadaniu jej kryptonimu Madriani przestał pisać i uniósł głowę.

– Przekazano je następnie pewnemu rzemieślnikowi, któremu kazano sporządzić kilka identycznych kopii – ciągnął Rashid. – Kierownictwo kairskiego muzeum twierdzi, że rabusie porzucili w budynku uszkodzoną figurkę. Oczywiście muszą tak mówić i nawet pokazują jej fotografie po renowacji. Przyznanie się do prawdy w atmosferze ówczesnych zawirowań politycznych i powoływania nowego rządu... no cóż, pewnie poleciałyby głowy, i to całkiem dosłownie, ludzi odpowiedzialnych za zbiory muzealne.

Rashid umilkł na chwilę, po czym mówił dalej:

– Bo widzicie, ilość złota w figurce jest minimalna. O jej wartości decyduje nie zawartość kruszcu, ale kontekst historyczny. Figurka jest zbyt dobrze znana, by jakiegokolwiek muzeum zakupiło ją do swych zbiorów, jednak prywatny kolekcjoner pewnie zapłaciłby fortunę dla zaspokojenia własnej pychy. Ponieważ nabywca nie mógłby oficjalnie chwalić się figurką, rabusie mogli zlecić wykonanie szeregu jej kopii i sprzedawać je nieświadomym prawdy kolekcjonerom za ogromne pieniądze, a każdy byłby przekonany, że kupuje oryginał. Nabywcy nie mogliby się przyznać, że zapłacili dziesiątki, a może setki milionów dolarów za bezwartościowe podróbki. Zostaliby oszukani bez szans na dochodzenie strat.

– Brzmi sensownie – mruknął Madriani.

– I tu docieramy do sedna, bo właśnie dlatego sprawą zainteresowały się służby wywiadowcze USA. Ustalono tożsamość jednego z potencjalnych nabywców, który zgłosił chęć kupna oryginału. Był gotów zapłacić za niego masę pieniędzy...

– Kto taki? – spytał Madriani.

– Według naszych informacji poprzedni przywódca Korei Północnej, Kim Dzong Drugi – odparł Rashid. – To spowodowało napisanie tej notatki CIA. Raz jeszcze powtórzę, że jej nie widzieliśmy, ale nasze źródła nas zapewniają, że Kim i mózg całej operacji dogadali się i uzgodnili warunki transakcji. O ile nasze źródła się nie mylą, uzgodniono cenę pół miliarda dolarów. Amerykańskich.

Madriani aż gwizdnął z podziwu.

– Chyba pracujemy w niewłaściwej branży. Ale to istotnie poważny motyw morderstwa. Pozbyć się Spinovej i w ten sposób nie dopuścić, by upubliczniła swoją opowieść i notatkę CIA.

– Otóż to – potwierdził Rashid.

– Skąd pan to wszystko wie? – Madrianiemu potrzebne były dowody.

– Na tym polega moja praca – odrzekł Rashid.

– Może udałoby się wydobyć z Departamentu Stanu kopię tej notatki CIA? – spytała Alex.

Rashid pokręcił głową.

– Departament Stanu nie dzieli się z nami informacjami. Nie w tej sprawie. Myślę, że chodzi im o zagrożenie bezpieczeństwa narodowego w razie ewentualnego konfliktu z Koreą Północną. Wiemy, że Stany Zjednoczone prowadzą bardzo delikatne negocjacje z synem i następcą Kima, Kim Dzong Unem, zwanym „małym Kimem”, w kwestii broni jądrowej w Korei Północnej. Na pewno nie chcieliby utrudniać tych negocjacji czymś takim.

Madriani uniósł głowę znad notatek. Dostawał do ręki dynamit, którym mógł rozsądzić oskarżenie Mustaffy, tyle że brakowało mu zapalnika. Musiał dysponować twardymi dowodami, bo inaczej sędzia nie dopuści, żeby choć wspomniał o tym w obecności ławy przysięgłych.

\*\*\*

O dziewiątej trzydzieści w poniedziałek rano na biurku Alex Cooper zabręczał interkom. W jej biurze przy One Hogan Place na Manhattanie, siedzibie prokuratury okręgowej stanu Nowy Jork, wrzało jak w ulu.

Głos w interkomie należał do sekretarki Cooper.

– Telefon do pani na pierwszej linii. Pan Rashid z UNESCO. Mam mu powiedzieć, że jest pani zajęta i zapisać wiadomość?

– Nie, porozmawiam z nim. – Alex podniosła słuchawkę. – Halo?

– Witam panią prokurator, czy nie przeszkadzam?

– Za dwadzieścia minut mam spotkanie, ale chwilę mogę panu poświęcić.

– Chciałem się tylko dowiedzieć... wie pani może, czy pan Madriani jest jeszcze w mieście?

– Nie, wyleciał wczoraj rano. A czemu pan pyta?

– Bo dzwoniłem do jego biura w San Diego i tam mi powiedziano, że wyjechał i przez kilka dni go nie będzie. I że nie ma z nim kontaktu. Nie chciałem zostawiać mu wiadomości. To, co mam do przekazania, jest ściśle poufne.

– Miał dziś wygłosić mowę wstępną na procesie.

– Właśnie tego się obawiałem. Czy jest jakiś sposób, żeby pani mogła się z nim skontaktować?

– Nie wiem. A to bardzo pilne?

– Jeśli chce wybronić swojego klienta, to bardzo.

– A w czym rzecz? – Cooper i tak wiedziała już więcej, niż powinna.

Dotarcie do Madrianiego zajęło Alex blisko dwie godziny. Zaczęła od jego kancelarii w Coronado. Dowiedziała się, że Madriani jest w Los Angeles, i otrzymała numer jego komórki. Zostawiła wiadomość w poczcie głosowej. Tuż po piętnastej czasu wschodniego – o dwunastej w Los Angeles – podczas przerwy w rozprawie, Madriani oddzwonił.

– Mam nadzieję, że to coś naprawdę ważnego.

– Czas cię goni?

– Nie czas, tylko dwa rekiny z tutejszej prokuratury, które mnie gryzą po nogach od kostek po kolana. Normalka.

– Rashid już od wczoraj próbuje się z tobą skontaktować. Twierdzi, że prokuratura szykuje się do frontalnego ataku na twojego klienta.

– Sądziłem, że już to zrobili – mruknął Paul.

– Świadek Terry Mirza. Mówi ci to coś?

– Mówi – odrzekł Paul. – Ale jakim cudem Rashid wie...

– Cicho bądź i słuchaj. Nie zostało ci za dużo czasu. Rashid twierdzi, że ten Mirza zezna, że widział, jak w dniu morderstwa twój

klient porzuca ciało Spinovej w jakimś zaułku w zachodnim Los Angeles.

Nazwisko Mirza znajdowało się na liście świadków oskarżenia, ale nie zostało przekazane mediom ani w żaden inny sposób upublicznione i nawet Paulowi nie udostępniono szczegółów z przesłuchań Mirzy. Wiedział tylko, że był on naocznym świadkiem porzucenia zwłok, oraz znał fragmentaryczne dane z protokołu policyjnego, który celowo był mętnie napisany. A w dniach poprzedzających proces ukryto Mirzę, żeby ludzie Paula nie mogli się z nim skontaktować. Choć Mirza pewnie i tak by z nimi nie rozmawiał.

– Dlaczego mi to wszystko mówisz, Alex?

– Bo ci ufam. Ufam twojej reputacji. Można do tego podchodzić na dwa sposoby. Ja przypadkiem wierzę, że obowiązkiem prokuratora jest dochodzenie prawdy i wymierzanie sprawiedliwości.

– O jakie dwa sposoby ci chodzi?

– Jak już ci mówiłam, tamtejszy prokurator okręgowy jest moim dobrym znajomym. Mogę do niego zadzwonić. Może mnie wysłucha i potraktuje poważnie to, czego dowiedzieliśmy się o rabunku w Kairze. Trzeba mu uświadomić, że to może stanowić dowód niewinności.

– Mam nadzieję, że ten drugi sposób zabrzmii sensowniej, bo jak dotąd twój kolega jest głuchy na wszystko.

– Posłuchaj, Paul. Nie wolno mi się zbytnio w tę sprawę angażować, nawet gdybym chciała. Ale jedna z moich najlepszych przyjaciółek właśnie odeszła z pracy i jest wolna. Jenny Corcoran. Czeka na ostateczne zaklepanie jej kandydatury na stanowisko w Departamencie Sprawiedliwości w Waszyngtonie. Na sali sądowej jest prawdziwym pitbulem. Mogłaby do ciebie dołączyć.

– Chcesz powiedzieć, że mogę jej...

– Zaufać? Absolutnie. Masz na to moje słowo.

– To co chcesz powiedzieć prokuratorowi? – spytał Paul.

– Zdaniem Rashida ten cały Mirza zezna, że w noc śmierci Spinovej widział, jak twój klient wyciąga z tylnego siedzenia taksówki wielki plastikowy toboł i porzuca go w uliczce przy Lankershim Boulevard. To, że na tylnym siedzeniu taksówki nie znaleziono śladów krwi, świadczy tylko o tym, że ofiara została zamordowana gdzie indziej i przywieziona już po śmierci.



– Taką mają teorię – potwierdził Paul. – Mówiąc wprost: czy Mirza zamierza zidentyfikować Mustaffę jako mężczyznę, który prowadził taksówkę i podrzucił zwłoki?

– Rashid twierdzi, że absolutnie tak.

– Muszę wiedzieć, jak bardzo Mirza jest pewny swego. Czy mam szansę nim potrząsnąć w trakcie mojego przesłuchania.

Mirza zidentyfikował Mustaffę, wskazując na jego fotografię wśród wielu innych. Tyle Paul wiedział. Mógł tylko mieć nadzieję, że uda mu się doprowadzić świadka do tego, że się zacznie plątać w zeznaniach na temat tożsamości sprawcy. Że zdoła podważyć jego wiarygodność. W końcu Mirza to prawdopodobnie przypadkowy świadek, który nie jest osobiście zainteresowany sprawą. Zatem czy absolutnie, na tysiąc procent, jest pewny, że tym, kogo widział, był Mustaffa? Nikt nigdy w żadnej sprawie nie ma tysiącprocentowej pewności. „To mógł być on, ale tak nie jestem do końca pewien”. Paulowi wystarczyłoby tylko cień wahania. Coś, czym mógłby zonglować przed ławą przysięgłych i ciągnąć jak gumę – w nadziei, że w końcu pęknie.

– Według Rashida Mirza jednoznacznie zidentyfikuje twojego klienta i nie będzie miał żadnych wątpliwości.

Serce podeszło Paulowi do serca.

– Nie mów, że Mirza ma jakieś fotografie z miejsca porzucenia zwłok. I skąd Rashid wie to wszystko?

– Nie, nie ma żadnych fotografii – powiedziała Alex. – Rashid twierdzi, że Mirza będzie kłamał w żywe oczy.

– Co takiego?

– Posłuchaj uważnie. Masz pod ręką notatnik? Oto co mi Rashid przekazał. Będziemy musieli działać bardzo szybko.

\*\*\*

Od pierwszej chwili procesu Madriani wyczuwał w budynku sądu karnego przy Temple Street w centrum Los Angeles złowieszczą atmosferę i nawet sala rozpraw wydziału numer 123, na dwunastym piętrze, zrobiła na nim odpychające wrażenie. Gdyby był przesądny, to za gorszy uznałby już tylko satanistyczny numer 666.

Złą wiadomością było też to, że prokurator poczuł się urażony wtrącaniem się Alex Cooper do jednej z jego najważniejszych spraw.

Alex zaskoczyła jednak Paula, bo wzięła sobie tydzień wolnego, przyleciała do Los Angeles i zasiadła w ostatnim rzędzie sali rozpraw wśród publiczności, mieszając się z bywalcami sądowymi. Zrobiła to po tym, jak jej przyjaciółka, Jenny Corcoran, stwierdziła, że jej obecność może pomóc Madrianemu w dotarciu do prawdy.

Tego ranka na stanowisku dla świadków pojawił się świadek oskarżenia, Terry Mirza, który na pytania oskarżyciela odpowiadał tak, jakby miał wszystko napisane, wykute na pamięć i wyreżyserowane na Broadwayu dla dwunastoosobowej publiczności. Spektakl przebiegał gładko i zgodnie z planem, a owa publiczność, złożona z dziewięciu kobiet i trzech mężczyzn, wszystkiego uważnie słuchała i robiła notatki. Mirza bez wahania zidentyfikował Ibida Mustaffę jako człowieka, którego widział tamtej nocy, jak w bocznej uliczce wyciąga z tylnego siedzenia żółtej taksówki owinięte w folię, zakrwawione ciało Carli Spinovej.

Mirza zapamiętał nawet numer boczny taksówki i tablice rejestracyjne. Właściwie wiedział wszystko, poza numerem fabrycznym silnika. Na pytanie, czy jest absolutnie pewny, że tamtej nocy widział Mustaffę, odpowiedział, że nie ma co do tego cienia wątpliwości. Poinformował przysięgłych, że w świetle latarni ulicznych widział oskarżonego z różnych stron, jak ten wlecze ciało pod ścianę budynku, gdzie w końcu je zostawia i odjeżdża.

Świadek zeznał też, że oskarżony miał na rękach rękawiczki, co tłumaczyło brak odcisków palców na folii, w którą zawinięto zwłoki.

Gdy oskarżyciel wbił ostatni gwóźdź do trumny Mustaffy i przekazał świadka do dyspozycji obrony, przysięgli popatrzyli na oskarżonego takim wzrokiem, jakby chcieli powiedzieć: „No i spróbuj się teraz z tego wyplątać”.

Paul przedstawił się świadkowi i rozpoczął przesłuchanie.

– Panie Mirza, zacznijmy od ustalenia pańskiego prawdziwego imienia. Bo nie brzmi ono Terry, prawda?

– Nie. Mam na imię Tariq.

– Skąd pochodzi to imię? Bo nie jest ono angielskie, irlandzkie ani niemieckie.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie. Jakie to ma znaczenie?

– Myślę, że przysięgli mają prawo wiedzieć nieco więcej o świadku

i jego korzeniach – odrzekł Paul.

– Zezwalam. Ale proszę się streszczać, mecenasie Madriani – rzekł sędzia.

– Panie Mirza, skąd pochodzi pańska rodzina?

– Moi rodzice byli Beduinami. Mieszkali na pustyni, pierwotnie w Arabii Saudyjskiej.

– Czy obecnie ma pan jeszcze rodzinę w Arabii Saudyjskiej?

– Mój wuj tam mieszka.

– Czy urodził się pan tu, w tym kraju?

– Nie. Miałem trzy lata, jak tu przyjechałem z matką, ojcem i dwoma braćmi.

– Czy poza Arabią Saudyjską ma pan jakichś krewnych na Bliskim Wschodzie?

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie. Pytania obrony nie mają związku ze sprawą! – wykrzyknął oskarżyciel, znowu zrywając się z miejsca.

– Czy możemy podejść do ławy sędziowskiej? – spytał Madriani.

Sędzia przyzwolił ruchem ręki. Mówiąc ściszone głosem, tak by Mirza nie słyszał, Paul wyjaśnił, że jego pytania służą ustaleniu wiarygodności świadka, co zawsze ma związek ze sprawą. Przypomniał też, że to oskarżenie powołało tego świadka.

– Dam panu trochę luzu w przepytывaniu świadka, panie Madriani, ale proszę pamiętać, że pańskie pytania muszą odnosić się do sprawy – orzekł sędzia, odchylając się na oparcie swego fotela.

Paul wrócił na miejsce i powtórzył ostatnie pytanie.

– Tak – potwierdził Mirza. – Jeden z moich braci i dziadkowie mieszkają w Szubra al-Chajma.

– Gdzie to jest? – spytał Paul.

– To miasteczko tuż pod Kairem, w Egipcie.

– Czyli pańska rodzina mieszka w kraju pochodzenia mojego klienta, czy tak?

– Jeśli pan tak twierdzi – mruknął Mirza.

– Kiedy ostatni raz miał pan kontakt z egipską rodziną?

– Nie wiem. Nie pamiętam.

– Miesiąc temu?

– Dawniej.

– Dwa miesiące?

– Nie wiem. Już mówiłem, że nie pamiętam.

– Panie Mirza, czy nie jest tak, że zeznanie, które dziś złożył pan tutaj przed ławą przysięgłych, było fałszywe? Czy nie jest tak, że tamtej nocy w ogóle niczego takiego pan nie widział, a treść tych zeznań została panu podsunięta przez osoby trzecie, które zagroziły, że jeśli nie zgodzi się pan tak zeznawać, to pańskiej rodzinie w Egipcie stanie się krzywda?

– Nie, to nieprawda.

– Czy nie jest tak, panie Mirza, że doręczono panu do domu list, napisany na maszynie, w którym polecono panu obciążyć winą mojego klienta, poinstruowano dokładnie, co ma pan powiedzieć, i podano wszystkie szczegóły, łącznie z numerami taksówki, miejscem znalezienia ciała i innymi detalami, jak pora rzekomego zdarzenia, oraz zagrożono, że jeśli nie zastosuje się pan do tych poleceń, członkowie pańskiej rodziny w Egipcie zostaną zabici? Czy nie tak było?

– Nie. Nie wiem, o czym pan mówi. – Widać było, że świadek zaczyna się niepokoić.

Madriani wziął do ręki plik kartek, pod którymi leżało kilka dużych błyszczących fotografii oraz kserokopie listu i koperty. Rozdzielił plik na dwie części i podał woźnemu sądowemu, który jedną część wręczył sędziemu, a drugą oskarżycielowi.

– Czy mogę podejść do świadka, Wysoki Sądzie?

Sędzia kiwnął przyzwalająco głową i zaczął czytać.

– Panie Mirza, to nie oryginał, ale jedynie kopia listu, o którym mówimy. Na zlecenie obrony oryginał trafił do laboratorium, gdzie go zbadano. Niecałą godzinę temu został przekazany policji, aby zweryfikować wyniki w laboratorium policyjnym. Pragnę pana poinformować, że nasi eksperci zidentyfikowali pańskie odciski palców na oryginale listu i koperty. Powinien pan wiedzieć, że krzywoprzysięstwo jest poważnym przestępstwem. Przypominam, że zeznaje pan pod przysięgą.

Mirza rzucił okiem na papiery.

– Wysoki Sądzie, nigdy wcześniej tego nie widzieliśmy! – wykrzyknął oskarżyciel, zrywając się na równe nogi i wymachując kartkami.

– Ani ja, Wysoki Sądzie. Aż do wczoraj rano – powiedział Madriani.  
– Dopiero wczoraj udało nam się odnaleźć ten list w należącej do pana Mirzy skrytce depozytowej w oddziale banku Fontana. Był w dużej kopercie z polisami ubezpieczeniowymi.

– Nigdy przedtem tego nie widziałem – jęknął Mirza, trzymając kopię drżącymi rękami.

– Prosimy o przerwę! – zawołał oskarżyciel.

– Może więc zechce pan wyjaśnić sądowi i przysięgłym – powiedział Madriani, jakby nie słysząc słów prokuratora – jak to się stało, że list z pańskimi odciskami palców trafił do pańskiej skrytki bankowej?

– Niech świadek odpowie na to pytanie – zarządził sędzia.

Wiadomo, że sędziowie są szczególnie wyczuleni na krzywoprzysięstwo.

Mirza spojrzał na sędziego, potem przeniósł wzrok na oskarżyciela, w końcu na Madrianiego. Na jego twarzy malował się wyraz osłupienia.

– Nie wiem! Naprawdę nie wiem!

\*\*\*

Laboratorium policyjne potwierdziło, że na liście i kopercie widnieją odciski palców Mirzy, i po sześciu dniach procesu oskarżyciel i obrońca przystąpili do wygłoszenia mów końcowych.

W wypełnionej po brzegi sali rozpraw Alex Cooper usiadła przy stole obok Madrianiego. Opierając się na tym, że zeznania głównego świadka oskarżenia okazały się niewiarygodne, w trwającej nieco ponad godzinę mowie końcowej Madriani rozbił w puch argumentację oskarżyciela. Poza wątplą poszlaką w postaci danych GPS, które potwierdzały obecność taksówki Mustaffy w pobliżu miejsca znalezienia zwłok, jedynym mocnym dowodem łączącym oskarżonego z morderstwem było zeznanie Mirzy. Teraz ten dowód odpadł, a w dodatku wszystko wskazywało na to, że istniał spisek osób trzecich, które próbowały obciążyć winą Mustaffę.

Paul zapewnił przysięgłych, że aczkolwiek nie pochwała zachowania Mirzy jako świadka, jest w stanie zrozumieć, że nie chce się on przyznać do krzywoprzysięstwa. W końcu jego egipska rodzina

znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie i Mirza miał powody obawiać się o jej los.

Mirza do ostatniej chwili zaprzeczał, by kiedykolwiek widział ten list. Twierdził też, że nic mu nie wiadomo, by ktokolwiek groził jego rodzinie, oraz że nikt nie instruował go w sprawie zeznań na rozprawie. W swoich zaprzeczeniach był bardzo stanowczy, choć zapewne poza salą rozpraw prokurator próbował mu uświadomić konsekwencje krzywoprzysięstwa, jeśli nie zdoła przekonać ławy przysięgłych. Mimo to Mirza nadal nie potrafił wyjaśnić, w jaki sposób na liście znalazły się jego odciski palców, a list trafił do jego skrytki bankowej.

Przysięgli udali się do bocznej salki i okazało się, że najwięcej czasu zajął im wybór przewodniczącego. Co do samego werdyktu nie było większych sporów i jeszcze przed południową przerwą powrócili na salę z uzgodnioną decyzją. „Co do zarzutu z paragrafu 187 Kodeksu Karnego, to jest popełnienia morderstwa pierwszego stopnia, my, ława przysięgłych, uznajemy, że oskarżony Ibid Mustaffa jest niewinny”.

Gdy sędzia ogłosił wyrok uniewinniający, na sali wybuchła głośna wrzawa. Madriani umówił się z Mustaffą na następny poniedziałek w swojej kancelarii w San Diego, po czym ten opuścił salę, by wziąć z depozytu rzeczy odebrane mu w dniu aresztowania.

Paul, Alex i Jenny Corcoran wyplątali się z tłumu reporterów i poszli do knajpki na lunch i lampkę wina. Było piątkowe popołudnie i Alex musiała wracać do Nowego Jorku, ale Jenny mogła jeszcze zostać. Ustalili, że spotkają się później w San Diego z Paulem, jego dziewczyną, Joselyn Cole, i współnikiem, Harrym Hindsem.

Po lunchu, krótkim zwiedzaniu miasta i obfitej kolacji Paul odwiózł Alex na lotnisko. Żegnając się, wyznała, że wciąż jest nieco zmieszana werdyktem sądu, bo wcześniej święcie wierzyła, że to Mustaffa jest sprawcą tej odrażającej zbrodni.

Paul wrócił do swojego hotelu. Zamierzał zostać jeszcze jedną noc, rano się wymeldować, podjechać po Jenny do jej hotelu i ruszyć na południe do San Diego.

Jenny czuła się kompletnie skonana. Zaraz po powrocie do hotelu wzięła prysznic i runęła do łóżka, przekonana, że natychmiast uśnie, jednak podświadomie coś ją niepokoiło. Chyba z zeznaniami Terry'ego

Mirzy było coś nie tak.

Choć na prawdziwych rozprawach sytuacje jak z *Perry'ego Masona* – kiedy to w końcowej scenie zeznający załamuje się i przyznaje do winy – prawie się nie zdarzają, jednak często świadek, w obliczu niepodważalnych dowodów na jego krzywoprzysięstwo, wycofuje się ze swoich fałszywych zeznań. Zwłaszcza wówczas, gdy przesłuchująca go strona i sędzia surowo zwracają mu uwagę, że krzywoprzysięstwo jest poważnym przestępstwem, za które może wylądować w więzieniu. Mirza był kilkakrotnie napominany, a mimo to z uporem podtrzymywał swoją wersję. Powtarzał, że nigdy nie widział listu zawierającego groźby pod adresem jego rodziny i instrukcji, jak ma zeznawać.

Ten list, wyciągnięty niczym królik z kapelusza, odznaczał się czymś jeszcze. Samir Rashid jakimś cudem zdołał uzyskać informacje o Mirzy i jego rodzinie w Egipcie. Według niego śmiercią grozili im ci sami ludzie, którzy obrabowali kairskie muzeum i skradli złotą figurkę Jeźdźca na Panterze. Oni zabili też Carlę Spinową, by przejąć znalezioną przez nią notatkę CIA, w której identyfikowano mózg całego napadu na muzeum oraz opisywano porozumienie z północnokoreańskim dyktatorem w sprawie kupna figurki. Z tych samych źródeł Rashid dowiedział się też o liście dostarczonej Mirzy i o groźbach pod adresem jego rodziny. Rabusiom z Kairu dlatego tak bardzo zależało na skazaniu Mustaffy za morderstwo Spinowej – i zainscenizowali je jako brutalną napaść na tle seksualnym – by sprawa szybko się zakończyła, a oni nadal mogli swobodnie upłynniać zrabowane łupy. Morderstwo wyjaśnione, koniec sprawy. Wszystko brzmiało sensownie. Tak jakby.

W końcu grzebanie we własnej podświadomości ją znużyło i Jenny zapadła w sen, z którego wyrwał ją natarczywy dźwięk tuż przy głowie. Budząc się w obcym, ciemnym otoczeniu, była tak zdezorientowana, że nie bardzo umiała określić, gdzie jest i jak długo spała. Otworzyła oczy, dostrzegła migającą lampkę i rozpoznała elektroniczny brzęczyk telefonu. Po omacku sięgnęła po słuchawkę i za drugą próbą ją pochwyciła.

– Halo?

– Cześć, Jenny, tu Paul Madriani. Przepraszam, że cię budzę.

– Co się stało?

Spojrzała na budzik na szafce nocnej. Czwarta trzydzieści.

– Musimy porozmawiać. Dziesięć minut temu miałem telefon z policji. Ibid Mustaffa nie żyje.

– Co takiego?

– Potracony przez samochód, kierowca zbiegł. Wypadek miał miejsce dwie godziny temu w zachodnim Los Angeles. Policja znalazła przy Mustaffie moją wizytówkę i kartkę z numerem telefonu hotelu. Podobno był pijany, zatoczył się na jezdnię i wpadł prosto pod koła. Według relacji świadka kierowca tylko dodał gazu i uciekł.

Pograżona w półśnie Jenny milczała, próbując ogarnąć to wszystko.

– Corcoran, jesteś tam?

– Tak, jestem.

– Mustaffa był pobożnym muzułmaninem. Modlił się pięć razy dziennie. I co ważniejsze, nie brał do ust alkoholu.

\*\*\*

Dwie godziny później oboje, z oczami czerwonymi od niewyspania, siedzieli w pokoju hotelowym Madrianiego, pochyleni nad stolikiem, siorbiąc kawę kupioną w całonocnym barze za rogiem.

– Nie wierzę w zbiegi okoliczności – mruknęła Jenny. – Chcesz wiedzieć, co o tym myślę?

– No?

– Myślę, że Mirza nie kłamał. Myślę, że naprawdę nigdy nie widział tego listu. Złapałeś go za gardło i przygwoździłeś twardymi dowodami. A on nadal trwał przy swoim. Dlaczego? W końcu, jeśli nawet jego rodzinie grożono, przestało to już być tajemnicą.

– To jak jego odciski palców mogły znaleźć się na liście i kopercie?

– Ktoś podsunął mu czystą kartkę – powiedziała Jenny. – Ktoś mógł włamać się do jego domu. Wszyscy trzymamy zapas papieru w drukarkach. Ktoś mógł wyjąć ostatni arkusz z podajnika. Albo jeszcze prościej: ktoś wręcza Mirzy kopertę z czystym arkuszem papieru w środku. Mirza ją otwiera, wyjmuje papier i wtedy ten ktoś mówi: „O kurczę, nie ta koperta. Pomyliłem się”. Zabiera ją i daje mu coś innego. Mirza ani przez chwilę niczego nie podejrzewa. Na tej czystej kartce piszą list, a ty walisz go nim w sądzie jak obuchem.



– O czymś zapominasz. Jak ten list znalazł się w jego skrytce bankowej?

– Jeśli jest pomysł, to jest też sposób na jego realizację. Powiedziałeś, że list tkwił w kopercie z polisami ubezpieczeniowymi, tak?

– Tak.

– Skąd były te polisy?

– Nie mam pojęcia. Pewnie z jakiejś firmy ubezpieczeniowej.

– I wszyscy automatycznie założyli, że Mirza albo celowo ukrył tam list, albo przypadkiem włożył go do niewłaściwej koperty. Pozwól, że cię spytam: kto czyta treść polis ubezpieczeniowych?

Paul spojrział na nią.

– Nikt – odrzekł.

– No właśnie. Dostajesz polisę od agenta i chowasz ją w jakimś bezpiecznym miejscu. Ktoś mógł bez trudu zajrzeć do koperty z polisami i wsunąć do niej cokolwiek, zanim koperta trafiła do Mirzy. Poszperaj w niej jeszcze trochę, to może znajdziesz też fotografię Mirzy, jak strzela z trawiastego pagórka przy Dealey Plaza<sup>8</sup>.

Paul przez chwilę milczał.

– A od kogo dowiedzieliśmy się, gdzie szukać tego listu? – rzucił w końcu.

– Od Rashida. – Jenny spojrzała na zegarek, podniosła słuchawkę i zaczęła wciskać klawisze, zaczynając od kodu wyjścia na miasto.

– Do kogo dzwonisz?

– Do Alex. Muszę się z nią naradzić, ale, niestety, odzywa się tylko jej poczta głosowa.

– Może jeszcze być w samolocie – zauważył Paul.

Jenny ponownie wybrała numer i poprosiła o połączenie z informacją.

– Poproszę o numer telefonu w Nowym Jorku. Gmach ONZ, biuro UNESCO, jeśli mają oddzielną linię.

– Nie możesz sprawdzić na jego wizytówce? – spytał Paul.

Potrząsnęła głową.

– Jeśli się nie mylę, jest to zapewne numer serwisu zgłoszeniowego. Przedstawiają się taką nazwą, jaką klient im poda.

Po dziesięciu minutach dostali numer. Dobrą wiadomością było to,

że UNESCO miało własną centralę z oddzielną linią; złą to, że w biurach UNESCO nie pracował nikt o nazwisku Samir Rashid. W całym wykazie zatrudnionych nie było takiego nazwiska.

Jenny rzuciła słuchawkę na widełki.

– Zagrał na Alex i na tobie jak na dwóch fortepianach. Tylko jakim cudem dostał się wtedy do gmachu? Niby to do swojego biura?

– Było po godzinach, sobota wieczór – rzekł Paul. – I trafiliśmy na strażnika, który właśnie wchodził do środka bocznym wejściem. Same zbiegi okoliczności. Pojechaliśmy windą towarową, a nie jedną z tych w głównym holu. Powinienem być się kapnąć, że wszystko idzie za gładko.

– I ominęliście ochronę.

– Właśnie. Pewnie przekupił tego strażnika, żeby nas wpuścił. Wystarczyło powiesić na ścianie kilka fotografii i dyplomów, na biurku postawić pudełko z wizytówkami, na drzwiach umieścić tabliczkę z nazwiskiem i sprawa załatwiona. Widzieliśmy to, co chcieliśmy widzieć. Wszystko opiera się na zaufaniu. Wystarczy odpowiednio zaaranżować scenerię, stworzyć pozory władzy, i można wcisnąć każdy kit.

– Dwojgu łatwowiernym prawnikom poszukującym prawdy – dodała Jenny. – Daliście się wpuścić w maliny. Alex dostanie szału.

– Nie bądź dla nas aż tak surowa. Stanowiliśmy idealny cel. Występowałem w przegranej sprawie, a on wiedział, jak z tego wybrnąć. Miał rozwiązanie wszystkich moich problemów. Wykorzystał nasze poczucie sprawiedliwości. Obojgu nam zależało na tym. Zwłaszcza gdy okazało się, że ktoś wrabia Mustaffę.

– Dlaczego tak bardzo chciał wybronić Mustaffę? – spytała z namysłem Jenny.

– Mustaffa zabił Spinovą – odrzekł Paul. – Miał coś, na czym Rashidowi bardzo zależało, a Mustaffa nie chciał mu tego dać, dopóki Rashid nie pomoże mu wyplątać się z oskarżenia.

– Co takiego?

– Tę notatkę CIA – rzekł Paul.

– Co? Myślisz, że ona naprawdę istnieje?

– Wszystkie najlepsze mistyfikacje zawierają ziarno prawdy. Mustaffa zabił Spinovą i zabrał jej notatkę. Tylko że został

zdemaskowany. Mirza widział, jak pozbywa się ciała. Gliniarze go zwinęli i wtedy Mustaffa wykorzystał treść notatki, która, o ile się nie mylę, identyfikuje Rashida jako mózg kierujący napaścią na muzeum w Kairze. Mustaffa zaczął szantażować Rashida: „Pomóż mi, bo inaczej cię wydam”. W ostateczności zapewne powiedziałby o niej w sądzie, żeby wynegocjować mniejszy wyrok.

– I właśnie wtedy na scenę wkracza dwoje napalonych prawników – wtrąciła Jenny. – W tym Alex, przejęta losem brutalnie zamordowanej kobiety. Musi dopilnować, by nie został skazany niewłaściwy człowiek. Wciąż prześladowały ją te potworne fotografie z sekcji zwłok.

– A teraz Mustaffa nie żyje, notatka CIA zaginęła i tylko Bóg jeden wie, gdzie jest Rashid – rzekł Paul. – Oczywiście zakładając, że to jego prawdziwe nazwisko, a pewnie oboje czujemy, że nie. Można zarzucić mu wiele rzeczy, ale na pewno nie jest głupi.

– Nienawidzę być tak wykorzystywana – parsknęła Jenny.

– Myślisz, że ja nie? Miałem obowiązek bronić Mustaffy najlepiej jak potrafię, ale na pewno nie obejmowało to namawiania go do składania fałszywych zeznań.

– To co teraz zrobimy? – spytała.

– Sam nie wiem. Możemy pójść do sędziego i prokuratury i wszystko wyjaśnić. Opowiedzieć, co się stało. Tylko co nam z tego przyjdzie? Nawet gdyby Mustaffa żył, to i tak byłby poza zasięgiem, bo nie można sądzić kogoś dwa razy za to samo. Ale tak czy siak sprawa jest bezprzedmiotowa, bo już nie żyje.

– Ale współwinnym jest Rashid – mruknęła Jenny. – I on żyje.

– To spróbuj go znaleźć – rzucił Paul. – Nie zapominaj, że ma do zbycia swoje złote figurki.

– Tak, słyszałam o tym. – Przez chwilę zastanawiała się i nagle oczy jej rozbliły. – Mam!

– Co masz?

– Sposób.

– Jaki sposób?

– Zranioną kobietą ambicję. Alex będzie chciała się odegrać. Może tym razem pan prokurator jej wysłucha.

\*\*\*

Osiem dni później smukły gulfstream G650 wylądował na pasie pilnie strzeżonego lotniska na przedmieściach Pjongjangu, stolicy Korei Północnej. Przez chwilę kołował, po czym zatrzymał się przy wielkim hangarze, gdzie podjechały do niego schodki. Drzwi samolotu otworzyły się i stanął w nich mężczyzna. Trzymał pod pachą niewielką drewnianą skrzyneczkę.

Podający się za Samira Rashida pasażer popatrzył na oficjalny komitet powitalny u stóp schodków i nieco dalej sznur lśniących czarnych limuzyn oraz samochodów służby bezpieczeństwa, które miały eskortować kawalkadę do gmachu rządu, zwanego oficjalnie Wielkim Domem Ludowej Nauki.

Sprężystym krokiem zszedł po schodkach i wyciągnął na powitanie rękę do stojącego w pierwszej linii generała. Zanim oficer zdążył odwzajemnić gest, zza jego pleców wysunął się jeden z ochroniarzy i szybkim ruchem zatrzasnął na nadgarstku Rashida zimną stalową bransoletkę kajdanek. Inny ochroniarz wyjął mu spod pachy drewnianą skrzyneczkę i zatrzasnął kajdanki na jego drugim przegubie.

– O co chodzi? Co wy robicie?

– Milczeć! – warknął generał. – Pójdiesz ze mną. To jest ta figurka? – Generał wskazał skrzyneczkę.

– Owszem. I wasz przywódca bardzo się na was rozgniewa za to, jak mnie traktujecie. Nic was nie tłumaczy. Byłem umówiony z jego ojcem, a teraz kontaktuję się z waszym Drogim Przywódcą. Zapewniam was, że będzie bardzo zły, kiedy mu o tym opowiem.

– Tak – powiedział generał. – I może przy okazji wyjaśnisz mi, co znaczy to. – Wyciągnął rękę i jeden ze stojących obok podwładnych coś mu podał.

Złożoną na pół gazetę, a ściślej mówiąc dwie: egzemplarze „New York Timesa” i „Los Angeles Timesa”, oba z poprzedniego dnia. Tuż pod winietą nowojorskiej gazety widniał wielki tytuł:

**ZUCHWAŁA KRADZIEŻ W KAIRSKIM MUZEUM PRÓBA  
SPRZEDAŻY FAŁSZYWYCH FIGUREK  
TUTENCHAMONA**

Tytuł w „Los Angeles Times” głosił:

**PROKURATOR DEMASKUJE OSZUSTWO W SPRAWIE  
MORDERSTWA SPINOVEJ  
JEDEN ZE SPISKOWCÓW  
UCIEKA**

Rashid przebiegł wzrokiem teksty, próbując w pełni pojąć ich znaczenie. Poczł gwałtowny przypływ adrenaliny, gdy przemknęły mu przed oczami obrazy własnego losu, wywoływane czytanyimi sformułowaniami: „pozlacane fałszywe kopie”, „oszustwo”, „morderstwo”. Ten ostatni zarzut brzmiał najmniej groźnie. Człowiek podający się za Samira Rashida wiedział, że i tak już nigdy nie opuści żywy terytorium Korei Północnej.

Prawdą jest, co mawiają prawnicy: „Sprawiedliwość to śmieszna rzecz. Może przybierać bardzo różne formy”.

**JEFFERY DEAVER**  
**i**  
**JOHN SANDFORD**

Połączenie Lincolna Rhyme'a i Lucasa Davenporta w jednej intrydze mogło zdawać się niewykonalne. Rhyme, bohater serii powieści Deavera, którą zapoczątkował *Kolekcjoner kości*, cierpi na czterokończynowe porażenie i z konieczności trzyma się swojego domu w Nowym Jorku. Davenport, bohater serii książek Johna Sandforda ze „zdobyczą” w tytule, jest słynnym detektywem z Minnesoty, obecnie zatrudnionym w Stanowym Biurze do Walki z Przestępczością.

Jak ci dwaj mogli się spotkać?

Na szczęście pragmatyczne podejście Davenporta, bezkompromisowego gliniarza, przywiodło go już wcześniej do Wielkiego Jabłka. W powieści *Silent Prey* (1992) śledcza nowojorskiej policji, Lily Rothenburg, zwraca się do Davenporta o pomoc w ujęciu psychopatycznego zabójcy, doktora Michaela Bekkera, grasującego na Manhattanie. Jako że Rhyme też ma partnerkę, śledczą Amelię Sachs, Jeff i John wpadli na pomysł, by wszyscy czworo wspólnymi siłami rozwiązali sprawę rzeźbiarza mordercy, dla którego sztuka i śmierć są splecione w jeden nierozzerwalny – i jakże makabryczny – węzeł.

Połączenie wysiłków tej czwórki było doskonałym pomysłem, ponieważ Lucas Davenport i Lily Rothenburg są dobrzy w pracy operacyjnej w terenie i umieją profilować przestępców, a specjalnością Lincolna Rhyme'a i Amelii Sachs są techniki kryminalistyczne. Wzajemnie się uzupełniając, próbują rozwikłać tajemnicze układy w światku sztuki Dolnego Manhattanu, gdzie giną kolejne osoby.

Opowiadanie powstawało gładko i szybko, jako że John i Jeff są mistrzami procesu twórczego. Zaczęli od uzgodnienia ogólnego zarysu fabuły, podzielili ją na osiem scen i zabrali się do wspólnego napisania każdej z nich. Jeff wziął na siebie aspekt kryminalistyczny, John zajął

się tajnymi operacjami i śledztwem w terenie. Zdumiewające było to, że postanowili tworzyć równolegle, a nie pisać scena po scenie i wysyłać sobie kolejne fragmenty. Po napisaniu pierwszego szkicu całości przystąpili wspólnie do wygładzania tekstu, wymieniając się uwagami redakcyjnymi, i chwilę potem mieli już gotowe opowiadanie.

To mroząca krew w żyłach opowieść, pełna zaskakujących zwrotów akcji, typowych dla obu autorów. Po jej przeczytaniu pomyślicie dwa razy, nim wejdziecie do kolejnej galerii sztuki.

I niech opatrzność ma was w swojej opiece, jeśli postanowicie nawiązać rozmowę z nieznanym w barze.

## **Rym do zdobycy<sup>9</sup>** **(RHYMES WITH PREY)**

Noc była gorąca i letnie zapachy z zachodniej części Central Parku – woń roztopionej gumy balonowej zmieszana z odorem pleśniejących precli, gnijących bananów i różnych innych rzeczy – docierały na tylne siedzenie taksówki, która z Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy skręciła na północ.

Taksówkarzem był Pakistańczyk z Karaczi, szczupły uprzejmy mężczyzna, lekko zalatujący kuminem i wodą kolońską Drakkar Noir. Słuchał przez radio czegoś, co mogło być pakistańskim jazzem lub afgańskim rapem, lub czymś jeszcze bardziej egzotycznym, ale para na tylnym siedzeniu i tak nie dostrzegłaby różnicy, o ile jakaś różnica w ogóle istniała. Na pytanie pasażera, jak duże jest Karaczi, taksówkarz odpowiedział: „Bardziej większe jak Nowy Jork miasto, ale bardziej mniejsze jak Nowy Jork i podmiasto”.

– Naprawdę? – W głosie pasażerki słyhać było nutkę powątpiewania.

Pakistańczyk widać to zauważył, bo dodał:

– Ja patrzę do Wiki i w Wiki tak pisze.

Pasazerem był mieszkaniec Minnesoty, który albo niezbyt znał tutejsze zwyczaje, albo miał tyle forsy, że było mu wszystko jedno, bo po dotarciu na miejsce dał taksówkarzowi o wiele za duży napiwek. On i kobieta wysiedli i popatrzyli za odjeżdżającą taksówką.

– Chętnie bym teraz wyskoczył do podmiasta na solidnego burgera. Z keczupem i frytkami.

– Mówisz tak, bo się nie palisz do spotkania z Rhyme’em – odrzekła kobieta. – Jesteś przy nim spięty.

Lucas Davenport spojrział na willę Lincolna Rhyme’a, wiktoriańską budowlę z oknami wychodzącymi na park i staromodną lampą nad wejściem, rzucającą słabe światło.



– Już trochę przywykłem. Ale za pierwszym razem nie mogłem się zmusić, żeby patrzeć mu w oczy. Dostrzegł to i wyraźnie był wkurzony. A ja poczułem nawet coś w rodzaju wyrzutów sumienia.

– Ale jakoś bez trudu patrzyłeś w oczy Amelii – zauważyła Lily Rothenburg.

– Zachowuj się – parsknął Lucas, ruszając w stronę wejścia. – Jestem szczęśliwie żonaty.

– Co ci nie przeszkadza badać rynek.

– Nie sędzę, żeby Amelia była na rynku. – Lucas zakręcił kółko palcem wskazującym. – Jak myślisz, czy oni mogą...?

– Nie wiem – odrzekła Lily. – Najlepiej sam ich spytaj. Tylko zrób to, jak mnie przy tym nie będzie.

– Może lepiej nie. Trochę się już z tym oswoiłem, ale nie do końca. Facet nie należy do najmilszych pod słońcem.

– Ktoś mógłby powiedzieć to samo o tobie.

– Zaraz, zaraz. Nie pamiętam, żebyś zgłaszała jakieś reklamacje po naszych igraszkach w porsche.

Lily parsknęła śmiechem i lekko się zarumieniła. Dawno temu, gdy oboje byli jeszcze wolni, trochę z sobą romansowali. Lucas ostro ją wtedy poobracał we wnętrzu swojego porsche 911, co zdawałoby się niewykonalne, zwłaszcza przy ich posturach.

– Dawno, dawno temu, kiedy byliśmy piękni i młodzi – mruknęła, wchodząc na schodki przed wejściem do domu Lincolna. – Byłam wtedy szczuplutka.

Lucas był roslym mężczyzną o szerokich barach, orlim nosie i niebieskich oczach. Jego czarne włosy były na skroniach lekko przyprószone siwizną, od czoła przez brew aż do policzka biegła cienka blizna – pamiątka po wypadku na rybach. Drugą bliznę miał na gardle i ta nie wiązała się z żadnymi rozrywkami, choć też była efektem zdarzenia na wolnym powietrzu. Pewna dziewczyna strzeliła do Lucasa ze starej dwudziestkidwójki i tylko cudem przeżył.

Lily miała ciemne włosy i pełną figurę, wiecznie się odchudzała i wciąż natrafiała na coś ciekawego do zjedzenia. Nigdy nie przytyła na tyle, by można ją było uznać za tęgą, ale też nigdy nie schudła tak, by uchodzić za szczupłą. I nigdy w życiu nie była szczuplutka. Pracowała w nowojorskiej policji na stanowisku kapitana, ale w istocie była kimś

więcej: wpływową policjantką po cywilnemu, obracającą się w najwyższych kręgach policyjnych i prowadzącą sprawy, które nie miały prawa trafić do mediów. Jak ktoś kiedyś powiedział, była nie tyle dziadkiem, co babką do orzechów, które naprawdę należało zmiażdżyć.

Tak jak teraz. Zwróciła się do Stanowego Biura do Walki z Przestępczością w Minnesocie o oddelegowanie Lucasa jako „konsultanta”, bo nie była pewna, komu z własnego biura może zaufać. Możliwe, że mieli do czynienia z seryjnym mordercą policjantem lub, co gorsza, z całą sitwą policyjnych przestępców. A jeśli tak, nie byli to zwykli stójkowi, którzy stracili nad sobą kontrolę i zeszli na złą drogę. Byli to ważni gliniarze do spraw narkotyków, zniechęceni bezsenssem i nieefektywnością walki z mafią narkotykową.

Ofiarami były cztery nielegalne imigrantki z Meksyku. Wszystkie torturowano przed śmiercią i wszystkie miały powiązania z rynkiem narkotykowym, choć w przypadku dwóch związek ten – zdaniem Lucasa – stał pod znakiem zapytania. Niemniej, jeśli mordercami byli ludzie z kartelu narkotykowego i jeśli trwała wojna o wpływy terytorialne, kobiety mogły zostać zabite w ramach ostrzeżenia. Tortury zaś były dla karteli czymś tak powszednim, jak dla zwykłych ludzi partyjka kart.

Jednak możliwe, że kobiety torturowano nie za karę, tylko żeby wydobyć z nich informacje. Komisarz policji wyrażał obawę, że być może ktoś chciał ostatecznie pozbyć się problemu narkotykowego, z naciskiem na „pozbyć”. Pojawiały się kolejne ofiary, więc komisarz wezwał na pomoc „babkę do orzechów”, a ta wezwała Lucasa. Zaczęli razem penetrować ulice, rozglądając się i wypytując wywiadowców ze sławnego Oddziału Czwartego do spraw Narkotyków. Lub niesławnego, jak twierdzili niektórzy. Troje wywiadowców z zespołu – dwóch mężczyzn i kobieta – uzyskało najwyższą w mieście liczbę wyroków skazujących na dealerów narkotykowych, stosując, jak szeptano po kątach, metody nie do końca zgodne z prawem. Ostatnio ich działania skupiały się w rejonie, w którym znaleziono martwe Meksykanki.

Lily nacisnęła dzwonek.

Drzwi otworzyła Amelia Sachs, żująca łydę selera. Ta wysoka, szczupła, rudowłosa kobieta, była modelka, wywoływała u Lucasa

podświadome prężenie mięśni, choć wzajemnie za sobą nie przepadali, może z powodu jego pierwszej reakcji na Lincolna i jego kalectwo.

Lincoln siedział na wózku inwalidzkim Storm-Arrow, przed wielkim ekranem o wysokiej rozdzielczości. Nie odwracając głowy, rzucił obojętnie:

– Niczego się nie dowiedzieliście.

– Niezupełnie – odparł Lucas. – Wszystkie trzy niechlujnie się ubierały.

Lincoln odwrócił się i wlepił w niego wzrok.

– Niby dlaczego to ma być ważne?

Lucas wzruszył ramionami.

– Bo ktoś niechlujnie ubrany musi się liczyć z tym, że będzie zwracał na siebie uwagę.

Sam miał na sobie garnitur Ralphi Laurena, z linii Purple Label, jasnogranatowy, z cienkiej wełny, do tego elegancką białą koszulę, jeden z bardziej stonowanych krawatów Hermès'a i półbuty robione na zamówienie u londyńskiego szewca.

Amelia pogardliwie prychnęła, a Lucas skwitował to uśmiechem. Czy w każdym razie obnażeniem zębów.

– Spokój – mruknęła Lily. – W zasadzie masz rację – zwróciła się do Lincolna. – Niczego nowego się nie dowiedzieliśmy. Wprawdzie rozmawiali z nami, ale wszyscy mieli jedną odpowiedź: nic o tym nie wiem. Jakby to była trudna łamigłówka, której nie rozumieją.

– Udawali? – spytał Lincoln.

– Trudno stwierdzić – rzekł Lucas. – Większość gliniarzy umie dobrze kłamać. Ale gdyby ktoś przystawił mi pistolet do głowy, to powiedziałbym, że nie, nie udawali. Nawet nie bardzo wiedzieli, o co nam chodzi.

– Hm, ten pomysł mi się podoba – wtrąciła Amelia.

– Jaki pomysł? – spytał Lucas. – Kłamanie?

– Nie. Przystawienie ci pistoletu do głowy.

Lily wywróciła oczami.

– Amelio! – jęknęła.

– Tylko żartuję. Przecież wiesz, że kocham go jak brata.

– I mam nadzieję, że tak zostanie – burknął Lincoln. – W każdym

razie, kiedy wy wałęsaliście się po mieście, my poczyniliśmy znaczne postępy. Na zdjęciach z sekcji zwłok odkryliśmy dziwne szczegóły, które warto wyjaśnić. Ciała ofiar były nagie, więc oczywiście na ich skórze pozostały wprasowane drobiny ziemi i piasku, a także betonu. Jednak, badając to dokładniej, zauważyłem, że niektóre z tych drobinek odbijają więcej światła, niż należałoby się spodziewać po ziemi, piasku i betonie. Zdjęcia robiono z użyciem flesza, czyli przy bardzo intensywnym błysku. Silniejszy odblask niektórych drobin był niedostrzegalny w normalnym oświetleniu stołu prosektoryjnego. Wysłałem Amelię, żeby się tym zajęła.

– Okazało się – podjęła Amelia – że wszystkie cztery ofiary miały wprasowane w skórę maleńkie opiłki metalu. Ich krawędzie lśniły i dlatego Lincoln mógł je dojrzeć na ekranie o wysokiej rozdzielczości. Nie było ich zbyt wiele, ale każda z ofiar miała ich po kilka. Wydłubałam je z naskórka...

– ...i przyniosła tutaj – dokończył Lincoln. – Były jednakowej wielkości i mniejsze od mrówki faraona. Poddaliśmy je badaniu spektrometrem plazmowym GDS 400A, chromatografem gazowym Hewlett Packard i mikroskopem elektronowym JEOL. To przyrządy służące do analizy składu płynów, gazów i ciał stałych...

– Wiem, do czego służą – burknął Lucas. – Jestem gliniarzem, nie zasranym tępakiem.

Lincoln mówił dalej, jakby nie słyszał tego wtrętu.

– ...i na tej podstawie ustaliliśmy, że to drobiny brązu.

– Brązu – powtórzyła Lily. – Wspaniale, nie? Wystarczy już tylko znaleźć zakład obróbki brązu.

– To naprawdę ważne – wtrąciła Amelia. – Brąz w dzisiejszych czasach stał się bardzo specjalistycznym metalem. Używa się go do produkcji dzwonów, cymbałów, niektórych śrub okrętowych i medali olimpijskich. Czasami przy zbrojeniu drewna wełna brązowa zastępuje wełnę stalową. Na przykład stosuje się ją do uszczelniania ekskluzywnych drzwi z wyższej półki...

– Tak, tak, tak – przerwał jej niecierpliwie Lincoln. – Tylko że te drobiny nie pochodzą z wełny brązowej i są kuliste, a nie spłaszczone, jak przy uszczelnieniach i temu podobnych. Nie są też opiłkami, jakie powstają przy obróbce śrub okrętowych czy cymbałów, bo ich wielkość

jest zbyt jednorodna.

– A co z rzeźbami? – spytał Lucas.

Lincoln na chwilę zamilkł, po czym rzekł:

– Założyłem, że skoro drobiny mają tak jednorodną wielkość i tak ostre krawędzie, najprawdopodobniej są opiłkami z ręcznej obróbki metalu. A jest ona najczęściej stosowana podczas... rzeźbienia.

– Od razu mi to przyszło do głowy, gdy tylko wspomnieli o brązie – mruknął Lucas do Lily.

– No właśnie – potwierdził Lincoln.

– Czyli szukamy odlewni – bąknęła Lily.

– Albo i nie – odparł Lincoln. – Jest jeszcze jeden aspekt, który warto wziąć pod uwagę. Ilość tych opiłków brązu była bardzo niewielka. Dlatego przypuszczam, że morderstwa dokonano nie w pobliżu odlewni, gdzie należałoby oczekiwać dużo większej różnorodności odpadów produkcyjnych, a my poza tymi drobinami nie mamy innych odpadów brązu, i nawet nie w sąsiedztwie stanowisk przecinania i szlifowania wyrobów. Podejrzewam, że opiłki zostały przeniesione na miejsce morderstwa, choć musiało się ono znajdować niedaleko stanowiska obróbki, bo inaczej liczba ziarenek na skórze byłaby jeszcze mniejsza.

– Czyli interesuje nas pomieszczenie obok pracowni – powiedział Lucas. – Może nawet zwykłe mieszkanie.

– Nie zwykłe mieszkanie. Myślę, że powinniśmy szukać loftu z betonową podłogą. Wszystkie drobinę betonu miały na skórze cztery ofiary, a dwie z nich znaleziono na asfalcie, nie na betonie. Chodzi o duże, puste pomieszczenie. Może jakiś dawny magazyn.

– Skąd ty to wszystko bierzesz? – zdziwił się Lucas.

Lincolnowi drgnęły barki, co u niego równało się wzruszeniu ramion.

– Kobiety nie były zakneblowane, a więc mordercy nie lękali się ich krzyku. Albo im to nie przeszkadzało, albo sprawiało satysfakcję. I mimo wrzasków ofiar czuli się bezpieczni.

Lucas z uznaniem pokiwał głową.

– Ciekawe – powiedział.

Lily zaczęła odliczać na palcach.

– Przypuszczalnie szukamy mężczyzny, bo to mężczyźni robią takie

rzeczy; rzeźbiarza lub jego pomocnika, z pracownią lub warsztatem w porzuconym magazynie.

– Chyba że morderca skorzystał z opuszczonego budynku, nie wiedząc nic o opiłkach – zauważyła Amelia. – Nie miał nic wspólnego z obróbką brązu i tylko przypadkiem wybrał miejsce zanieczyszczone opiłkami. Mogły tam leżeć od dawna.

– Wątpię – rzekł Lincoln.

– Logicznie rzecz biorąc, jest to możliwe – powiedziała Lily.

– W tej sprawie myślę tak jak Lincoln – wtrącił Lucas.

– Dlaczego? – spytała Lily.

Lincoln spojrzał na Lucasa.

– Ty im powiedz.

– Bo ziarenka tak lśnią, że Lincoln dojrzał je na ciałach ofiar. A to znaczy, że są świeże.

Lily pokiwała głową, Amelia mruknęła: „No, dobra”.

– I jest zbokiem. Sadomasochistą, który wie, czego chce. Musi być notowany – dodał Lucas. – Czas zajrzeć do komputera.

Komputer został odpalony, ale nie przez Lucasa, Lily, Amelię czy Lincolna, tylko przez technika w podziemiach gmachu FBI w Waszyngtonie. Lily wcześniej szepnęła co trzeba szefowi wydziału śledczego, Stanowi Markowitzowi, on przekazał to koledze z szefostwa FBI, ten zaś napisał notatkę służbową, która spłynęła kilka stopni niżej i wylądowała na biurku miłośnika wojennych gier komputerowych, niejakiego Barry’ego.

Barry przeczytał notatkę, wklepał kilka haseł i stwierdził, że, o dziwo, w Stanach Zjednoczonych jest aż czterech artystów rzeźbiących w brązie, którzy w minionych latach byli aresztowani za przestępstwa seksualne z użyciem przemocy fizycznej. Dwóch z nich miało pracownie w Nowym Jorku.

Jeden już nie żył.

Drugim był niejaki James Robert Verlaine.

\*\*\*

„James Robert Verlaine”, odczytała głośno Lily następnego dnia rano. Siedzieli wszyscy czworo w laboratorium kryminalistycznym Lincolna, które niegdyś było salonem.

- Albo Jim Bob, bo pod taką ksywą występuje – rzekł Lucas.
- Miłośnik kokainy, dwukrotnie aresztowany za posiadanie niewielkich ilości narkotyków, ale uniknął wyroku. Wiele lat temu stawał przed sądem za posiadanie LSD i wtedy odsiedział dwa miesiące. Cztery lata temu aresztowano go za posiadanie trzydziestu tabletek ekstazy, ale zdążył zwinąć saszetkę i przerzucić ją do sąsiedniej kabiny w toalecie, gdzie wpadła do miski klozetowej i jakiś czas przeleżała niezauważona. Co znaczy, że przez ten cały czas nikt nie spuszczał tam wody. Prokurator nie uznał tego za wystarczający dowód przestępstwa z racji braku ciągłości zdarzeń. W zeszłym roku został aresztowany w zakazanej dzielnicy miasta przy okazji nalotu na producentów metamfetaminy, ale go zwolniono, bo okazało się, że prawdziwą producentką tego świństwa jest właścicielka mieszkania, które on tylko wynajmował. Verlaine utrzymywał, że jest nieświadomym niczego lokatorem, i prokurator znów odstąpił od oskarżenia z braku wystarczających dowodów.
- Przejdź do seksu – mruknął Lucas.
- Nigdy nie aresztowano go za przestępstwo na tle seksualnym, ale bywał sprawdzany – powiedziała Lily, odczytując fragment raportu FBI. – Jest znany z rzeźb o tematyce dominacyjnej, w tym scen fizycznego zniewolenia, bicia i maltretowania kobiet na różne sposoby. Niejaka Tina Martinez, zwróćcie uwagę na latynoskie nazwisko, zawiadomiła policję, że pobił jej przyjaciółkę, Marię Corso, która miała mu pozować do jednej z dominacyjnych rzeźb. Corso odmówiła wniesienia skargi, twierdząc, że przyjaciółka źle ją zrozumiała. Śledczy podejrzewali, że jej milczenie zostało kupione.
- Niezły gagatek – wtrąciła Amelia.
- Bardzo zły – rzekł Lincoln. – Poważnie uzależniony od narkotyków.
- I z mózgiem zlasowanym od metamfetaminy – dodał Lucas.
- Masz plan działania? – spytał Lincoln.
- Zamierzam poświęcić mu dzisiaj trochę czasu. Poobserwować go. Amelia i Lily mogłyby mi pomóc. Chcę się dowiedzieć, co robi, z kim się zadaje, gdzie bywa.
- Wiemy, gdzie mieszka? – zapytał Lincoln.
- Wiemy – potwierdziła Lily.

– Obie mogłyby się czynnie włączyć do inwigilacji, oczywiście informując cię na bieżąco – rzekł Lincoln.

– Nie widzę przeszkód – powiedział Lucas. – W trójkę zawsze różnie. A co?

– Bo mam pewien pomysł, ale muszę go z tobą omówić w cztery oczy. Żeby się nie narazić na zarzut organizowania spisku.

– O cholera – parsknęła Lily.

\*\*\*

No, z tej to naprawdę ślicznotka.

Bardzo apetyczna.

Już ją widzi, jak leży na plecach, z rękami rozrzuconymi na boki, o tak, tak, leży na czymś twardym i szorstkim, na betonie albo deskach. Albo na metalu.

Metal zawsze się sprawdza.

Krople potu na jej czole, krople potu na cycach, cała mokra od potu. Jęczy, dyszy, błaga.

Na jedną rozkoszną chwilę wszyscy obecni w klubie zniknęli z myśli i pola widzenia Jamesa Roberta Verlaine'a, a on w swej artystycznej wizji już się wtapiał w brunetkę siedzącą przy końcu baru.

Apetyczna...

Kruczoczarne włosy z refleksami czerwieni, błękitu, zieleni i fioleto od reflektorów. Wystrój dyskotekowy, muzyka punkowa. Właściciele klubu Rasta nie mogli się zdecydować.

Włosy. Ten aspekt cielesności zawsze go fascynował. Rzeźbiąc w twardych tworzywach, umiał oddać wygląd zewnętrznych i wewnętrznych fragmentów ciała, ale włosy zawsze mu się wymykały.

Zerknęła na niego, ale w jej wzroku brak było komunikatu. Potem jednak spojrzała ponownie i to mogło już coś znaczyć.

Patrzył na jej owalną twarz, zmysłową figurę, prowokacyjne pochylenie nad barem i komórkę, przez którą z kimś rozmawiała.

Poczuł złość, że poświęca uwagę jakiemuś palantowi kilometr, dziesięć czy sto kilometrów stąd. Uśmiechnęła się, ale nie do niego.

Jak Mona Lisa, pomyślał. Właśnie z nią mu się kojarzyła. Co oczywiście nie było dla niej komplementem. Kobieta na obrazie Leonarda da Vinci była pogardliwie uśmiechniętą suką. I Bóg mu



świadkiem, zachwyty nad nią uważał za mocno przesadzone.

Hej, Mona, spójrz tu.

Nie spojrzała.

Verlaine skinął na barmana i złożył zamówienie. Zawsze – tutaj, jak i w innych barach, w których bywał – pił burbona. Czystego, bo dziewczyny lubią, jak mężczyźni piją męskie drinki, nierozcieńczone. Piwo nadaje się dla smarkaczy, wino jest dobre w łóżku po rżnięciu.

Mona znów spojrzała w jego stronę, jednak ich oczy się nie spotkały.

Ogarniała go coraz większa złość. Z kim ona tak ciągle gada?

Ponownie ją zlustrował. Krótkie czarne sukienki zwykle świadczą o strachliwości. Noszą je kobiety, które boją się dać wyraźny sygnał. Ale Monie był gotów wybaczyć. Jedwab sukienki przylegał i marszczył się w odpowiednich miejscach, zmysłowo uwypuklając jej ponętne kształty.

I te jej dłonie! Długie palce, zakończone czarnymi paznokciami.

Włosy trudno jest oddać, ale dłonie zawsze wymagały od rzeźbiarza najzłudniejszej pracy. Michał Anioł był w tym względzie geniuszem. Umiał wyczarować w marmurze idealny kształt dłoni, palców i paznokci.

I James Robert Verlaine, który czuł się, jeśli już nie biologicznym, to na pewno artystycznym spadkobiercą wielkiego mistrza, potrafił wyczyniać takie same cuda, tyle że nie w kamieniu, lecz w metalu.

Co tak naprawdę było jeszcze trudniejsze.

Skład gości w śródmiejskim klubie Rasta był typowy dla tej pory dnia. Pozujący na artystów faceci, którzy tak naprawdę byli menedżerami średniego szczebla w agencjach reklamowych; maniacy komputerowi, prawdziwi artyści w swojej dziedzinie; hipsterzy, rozpaczliwie czepiający się resztek mijającej młodości, niczym kół ratunkowych; gracze giełdowi z Wall Street. Już było tłoczno, a wkrótce tłum jeszcze bardziej zgęstnieje.

W końcu udało mu się pochwycić wzrok Mony. Zamrugła. To mogło równie dobrze znaczyć „poflirtuj ze mną”, jak i „spadaj, frajerze”.

Jednak Verlaine nie sądził, by chodziło o to drugie. Przypuszczał, że spodobało jej się to, co zobaczyła. Bo właściwie czemu nie? Miał

pociągłą drapieżną twarz, która wyglądała młodziej niż na jego czterdzieści lat. Zmierzwiona czupryna była gęsta i czarna. Dokładał zawsze starań, by włosy pozostawały w kontrolowanym nieładzie. Oczy patrzyły przenikliwie jak dwa lasery. No i biodra, w obcisłych czarnych markowych dżinsach. Robocza koszula DKNY, odpowiednio wyplamiona i zmiętoszona. Dwa górne guziki rozpięte, by było widać tyle ile trzeba umięśnionej klatki piersiowej. Verlaine często dźwigał odlewy i pręty metalowe po swojej pracowni i na składowiskach złomu, skąd brał surowiec do rzeźb. Zdarzało mu się też targać butle z tlenem i gazem.

Raz jeszcze spojrzął na Monę. Czując dobrze znany dreszcz, od klatki piersiowej po krocze, wiedział już, że zaczyna tracić kontrolę.

Wziął swoją szklaneczkę z basilem haydenem, odsunął się od baru i zaczął się przesuwać w stronę Mony. Spróbował ominąć grupkę młodych biznesmenów w garniturach, którzy w ogóle nie zwrócili na niego uwagi. Verlaine nienawidził takich typów. Drażniła go ich układna pewność siebie i całkowita ignorancja w zakresie sztuki. Oceniali ją na podstawie wywieszek z ceną. Verlaine był gotów się założyć, że mógłby sobie podetrzeć tyłek kawałkiem płótna, potem spryskać płótno lakierem i wycenić je na sto tysięcy dolarów, a na aukcji w Christie's ustawiłaby się kolejka takich jak oni snobów.

*L'art du merde<sup>10</sup>.*

Przepchnął się przez grupkę młodzieńców.

– Ej, ty – burknął któryś. – Rozlałeś mi drinka, zasrańcu.

Verlaine gwałtownie się do niego odwrócił i przeszył go takim spojrzeniem, jakby strzelał sprejem pieprzowym. Młody biznesmen zamilkł, choć był wyższy i masywniejszy od Verlaine'a. Jego koledzy popatrzyli na nich, żaden jednak nie zdecydował się pospieszyć z odsieczą i wszyscy spokojnie powrócili do przerwanej rozmowy o meczu.

Gdy już było jasne, że miłośnik ciuchów od Brooks Brothers nie popełni głupstwa i nie zaryzykuje złamania palca, pokiereszowania twarzy lub czegoś jeszcze gorszego, Verlaine obdarzył go protekcyjnym uśmiechem i ruszył dalej.

Staął obok Mony i na moment się zawahał. Nie miał ochoty bawić się w podchody z cyklu: „udawajmy, że się wzajemnie ignorujemy”. Był

na to zbyt podminowany.

– Mam jedną przewagę nad tym, z którym rozmawiasz – szepnął, pokazując głową komórkę.

Przestała mówić i spojrzała na niego.

Verlaine się uśmiechnął.

– Ja mogę ci postawić drinka, a on nie może.

Z grubej rury. Kupi to czy go oleje?

Mona zlustrowała go wzrokiem. Bez pośpiechu. I bez uśmiechu.

A potem rzuciła do słuchawki: „Muszę kończyć” i rozłączyła się.

Skinął palcem na barmana.

– No więc, James jestem.

Oczywiście gramy nieśmiałego. Odpowiedziała coś, ale nie dosłyszał. Muzyka w klubie Rasta – mieszanka utworów sprzed dwudziestu lat, największy obciach z gatunków country, blue grass i bluesa – waliła z natężeniem co najmniej stu decybeli.

Nachylił się i poczuł bijący od niej piękny owocowy zapach.

Cholera, ależ jej pragnął. Chciał ją związać. Chciał, żeby oblała się potem. Chciał, żeby krzyczała.

– Co powiedziałaś?! – wykrzyknął.

– Spytałam, czym się zajmujesz, James! – odkrzyknęła.

No pewnie. Przecież byli na Manhattanie, a tu zawsze od tego się zaczyna.

– Jestem rzeźbiarzem.

– Naprawdę?

W jej głosie słyhać było lekki brooklyński zaśpiew, ale mógł się z tym pogodzić. Z niedowierzaniem w jej wzroku też.

Wyjął z kieszeni iPhone’a, podsunął jej pod nos i przesunął palcem kilka fotografii.

– Rany, ty faktycznie jesteś rzeźbiarzem.

A potem Mona spojrzała poza niego. Podążył za jej wzrokiem i ujrzał wysoką rudowłosą kobietę, która z uśmiechem na twarzy przepychała się w ich stronę. Przeprowadził szybki trzypunktowy sprawdzian: twarz, cycki, tyłek. I wcale mu nie przeszkadzało, że ona to widzi.

Równie apetyczna jak Mona. I żadna tam mała czarna. Skórzana minispódniczka i nisko wycięty, czarny, przyozdobiony cekinami top

bez ramiączek.

Nowa odgarnęła z twarzy burzę rudych, lśniących od potu włosów, cmoknęła Monę w policzek i spojrzała z uśmiechem na Verlaine'a.

– To James – powiedziała Mona. – Jest prawdziwym rzeźbiarzem. Jest sławny.

– Ekstra – odrzekła ruda, obrzucając Verlaine'a pełnym podziwu spojrzeniem, z rodzaju takich, jakie najbardziej lubił u ślicznotek.

Podali sobie ręce.

– A ty jak masz na imię? – spytał.

– Amelia.

Okazało się, że Mona to w rzeczywistości Lily.

Verlaine zamówił kieliszek białego pinot gris dla Amelii i burbona dla siebie.

Zacząła się rozmowa o niczym, ale tego wymagał protokół i Verlaine wiedział, że przez chwilę musi go przestrzegać, nim będzie mógł przejść do rzeczy. Należało działać ostrożnie. Zbyttna niecierpliwość mogła wszystko zepsuć. Bo z samotną dziewczyną było dużo prościej. Zwykle udawało się ją upić na tyle, by bez większych ceregieli zgodziła się skosztować „czegoś innego” u niego w domu.

Ale dwie? To wymagało dużo większego sprytu.

Tak naprawdę wcale nie był pewny, czy w ogóle mu się to uda. Obie sprawiały wrażenie wyluzowanych lasek, które znajdują się na rzeczy. Nie nabiorą się na gadkę w rodzaju: „Mogę przed tobą otworzyć całkiem nowy świat”.

Na pewno nie. Może nawet będzie musiał spisać ten wieczór na straty. Cholera.

I właśnie wtedy Lily nachyliła się ku niemu i szepnęła:

– To co cię najbardziej rajcuje, James?

– Masz na myśli moje hobby?

Dziewczyny spojrzały po sobie i parsknęły śmiechem.

– No jasne, hobby. Masz jakieś hobby?

– Pewno. A kto nie ma?

– Jak ci opowiemy o naszym hobby, opowiesz nam o swoim?

Gdy ponętna kruczoczarna laska w obcisłej małej czarnej zadaje takie pytanie, może być tylko jedna odpowiedź.

– Pewno.

Ruda sięgnęła do torebki i wyjęła kajdanki.  
No dobra, może jednak ten wieczór przebiegnie łatwiej, niż sądził.

\*\*\*

Amelia musiała w duchu przyznać, że James Robert Verlaine posiada swoisty urok.

Ubrany był dość dziwacznie – jakby *Nocny kowboj* spotkał Versacego – i miał chyba jeszcze bujniejsze włosy od niej, ale swoją skrzącą się dowcipem uwagę poświęcał całkowicie jej i Lily.

Jako życiowa i zawodowa partnerka Lincolna Rhyme'a, Amelia była wolna od stresu związanego z relacjami męsko-damskimi, jednak z dawnych czasów pamiętała liczne wieczory w restauracjach i barach w towarzystwie mężczyzn, których jakby wcale nie było. Głowy mieli zajęte myślami o tkwiących w kieszeniach marynarek nokiach i blackberry, o papierach zostawionych na biurku i o dziewczynach lub żonach, o których zapomnieli jej nadmienić.

Kobieta wie natychmiast, czy mężczyzna siedzący obok niej jest też obecny duchem.

I nie miała wątpliwości, że Jim Bob – bardzo jej się ta wymyślona przez Davenporta ksywka podobała – na pewno jest obecny. Wwiercał się w nią spojrzeniem snajpera, dotykał jej dłoni, zadawał pytania i rzucał żarciki. Podrywał ją.

Oczywiście nie tracili czasu na typowe barowe dyrdymały o rodzinie i eksmałżonkach, o meczach Metsów i Knicksów, o polityce i najnowszych hollywoodzkich remake'ach. O nie, tematem rozmowy były bardzo osobliwe sprawy, na przykład jakimi sznurami najbardziej lubi wiązać dziewczyny, gdzie można kupić najlepsze kneble czy jakie pejcze i szpicruty najbardziej boją i zostawiają najmniej śladów.

Omawiając wcześniej plan akcji, wszyscy czworo uznali, że najłatwiej będzie dotrzeć do Verlaine'a przez rozporek, a kluczem do niego będą jego dawne przygody sado-maso. Hołdując zasadzie, że pojedyncza żarówka bardziej przyciąga ćmę, Lily podeszła do baru sama i sprawdziło się bez pudła. Potem na scenę wkroczyła Amelia w stroju, który specjalnie na tę okazję kupiła godzinę wcześniej i który miał postawić kropkę nad i. Ustalenie, że Verlaine zwykle wpadał najpierw do Rasty i dopiero stamtąd wyruszał na obchód swych

ulubionych spelun sado-maso, zajęło im całe sześćdziesiąt sekund.

Serdeczne dzięki, Facebooku.

W dłoni Verlaine'a znów pojawił się iPhone, rzeźbiarz wprowadził hasło i na ekranie ukazał się album z prywatnymi zdjęciami. Nachylił się ku towarzyszkom, by mogły lepiej podziwiać przedmiot jego dumy.

Amelia walczyła z sobą, by nie okazać obrzydzenia. Słyszała, jak Lily z trudem łapie powietrze, ale doświadczonej policjantce udało się to zamaskować pełnym podziwu poświstywaniem i Verlaine niczego nie zauważył.

Pierwsze zdjęcie ukazywało nagą kobietę, której jedynym ubiorem było sznurowadło na szyi. Kobieta miała zasłonięte oczy i związane na plecach ręce i klęczała na betonowej płycie. Ciekawe, pomyślała Amelia, rzucając Lily ukradkowe spojrzenie. Na betonie, jak tamte ofiary. Kobieta na zdjęciu musiała być wcześniej bita i płakać, bo na twarzy miała rozmazany makijaż, na piersiach widać było paskudne pręgi.

Najwyraźniej rozochocony Verlaine z dumą pokazywał kolejne fotografie, na które Amelii coraz trudniej było patrzeć. Musiała bardzo się starać, by na widok brutalnego okrucieństwa reagować oznakami podniecenia.

Verlaine opatrywał swój pokaz komentarzem o „partnerkach”, które w uszach Amelii zamieniały się w „ofiary”.

Dziesięć minut.

Piętnaście.

Verlaine przerwał i pogodnym tonem oznajmił:

– Przepraszam panie, ale muszę wyskoczyć do przybytku dla chłopców. Zachowujcie się beze mnie. Albo i nie. – Parsknął śmiechem. – Wracam za sek.

– Zaczekaj – rzuciła Lily.

Verlaine się zatrzymał.

– Zawsze coś mnie zastanawiało.

Uniósł pytająco brwi.

– Jak brzmi liczba mnoga od sek?

\*\*\*

– To skurwysyn – powiedziała Lily, bez cienia uśmiechu.

– Boże, to było straszne – jęknęła Amelia. – Jak myślisz? – Wskazała głową toalety, gdzie Jim Bob zapewne opróżniał teraz pęcherz, ale pewnie też napełniał sobie nozdrza.

– Obrzydliwy i oślizgły. Mam ochotę się wykąpać, choćby w umywalce.

– Ja też. Ale czy według ciebie jest mordercą?

– Te koszmarne zdjęcia – szepnęła Lily. – Pracowałam w przestępstwach seksualnych, ale to chyba najgorsze foty, jakie w życiu widziałam. Ręczę, że kilka z nich trafiło po tych sesjach do szpitala. – Wróciła do pytania Amelii. – Tak, bez trudu sobie wyobrażam, jak posuwa się o krok dalej i którąś z nich zabija. A ty?

– Też tak myślę.

– Miejmy nadzieję, że tak – dodała Lily. – Kurczę, naprawdę na to liczę. Nie chciałabym, żeby się okazało, że ludzie z narkotykowej czwórki mają z tym coś wspólnego.

Amelii było akurat obojętne, co się stanie z funkcjonariuszami z elitarnego oddziału czwartego, bo należący do niego Martin Glover, Danny Vincenzo i Candy Preston mieli ego rozdęte jak balon. Ale to zrozumiałe, że żaden gliniarz nie chce przyjąć do wiadomości, że jego koledzy mogą torturować i zabijać podejrzanych po to, by poprawić sobie statystykę. Bez względu na to, jak bardzo szlachetne pobudki nimi kierują.

Amelia spojrzała na koleżankę.

– Przyznaj się. Ciebie i Lucasa coś kiedyś łączyło, prawda?

– Dawno temu, w Minnesocie. I potem, jak tu przyjechał, naprawdę coś między nami zaskoczyło. I wciąż trwa. Ale nie w sensie dosłownym. To mamy już za sobą. A ty i Lincoln też się dobraliście.

– U nas podobnie. Też coś zaskoczyło. Nie umiem tego wyjaśnić i w ogóle o tym nie myślę.

– Lucasowi trudno się do niego przyzwyczaić. Wiesz, do tego jego kalectwa.

– Na niektórych tak to działa – parsknęła Amelia. – A Lincoln potrafi być bardzo obcesowy, więc ludzie szybko się do niego zrażają. „Ależ z ciebie dureń”, potrafi powiedzieć. Albo „spierdalaj”. Zapominają wtedy, że jest sparaliżowany. Ale lody zostają przełamane i wszystko się układa.

– Myślę, że u Lucasa to coś więcej. Ale nie chce o tym mówić. – Lily ściszyła głos. – Muszę przyznać, że nasze relacje z Lucasem były głównie fizyczne. Potrzebowałam tego. A jak z tobą i Lincolnem?

– No cóż, możesz mi wierzyć lub nie, ale jest dobrze. Oczywiście inaczej, ale dobrze... Oho, nadchodzi nasz pan i władca.

Ściskając nozdrza palcami, Verlaine przepychał się ku nim przez tłum. Amelia była pewna, że celowo obraca się to w jedną, to w drugą stronę, by otrzeć się o czyjś tyłek.

Jedna z takich „przypadkowych” ofiar – drobna rudowłosa dziewczyna w skórzanej spódniczce i czarnej bluzce – natychmiast zareagowała i wbijając w niego wściekłe spojrzenie, wrzasnęła coś, czego nie dosłyszały. Błyskawicznym ruchem, niczym kurek rewolweru spadający na spłonkę, Verlaine obrócił się na pięcie i uderzył twarzą w jej twarz.

– Boże święty – jęknęła Amelia, sięgając po torebkę, w której tkwił jej mały damski glock. – On jej zrobi krzywdę.

– Zaczekaj. Jak teraz się wtrącimy, szlag trafi całą operację.

Wlepily wzrok w rozgrywającą się opodal scenę. Dziewczyna spojrzała na napastnika w niemym zdumieniu, a on zimno się uśmiechnął. Dziewczyna była atrakcyjna i miała świetną figurę, ale w młodości musiała cierpieć na trądzik czy jakąś inną chorobę skórą, która zostawiła na jej twarzy wyraźne ślady.

W ciągu paru sekund, podczas których Verlaine, wciąż zimno się uśmiechając, coś do niej powiedział, jej mina wyrażała kolejno zaskoczenie, szok i przerażenie. Amelia była pewna, że musiał rzucić jakiś komentarz na temat jej cery. Stał pochylony, mierząc ją szyderczym spojrzeniem tak długo, aż dziewczyna chwyciła torebkę i z głośnym szlochem ruszyła w stronę toalet.

– Widziałaś tę jego minę? – spytała Amelia. – Z czym ci się ona kojarzy?

– Jakby właśnie skończył uprawiać seks i miał ochotę zapalić.

Verlaine przepchnął się do nich i stanął przy barze.

– Witam panie – rzucił pogodnie. – Bardzo się za mną stęskniłyście?

\*\*\*



Sprawa z włamaniami przedstawia się tak, że sprytnego włamywacza rzadko kiedy nakrywa właściciel. Niemal zawsze jest to zasługa jakiegoś wścibskiego sąsiada, który łapie włamywacza na gorącym uczynku.

Lucas siedział na pograżonym w mroku podeście domu naprzeciwko budynku Verlaine'a, obserwując i nasłuchując. Ta dzielnica w pobliżu East River wyglądała odpychająco i moda na rewitalizację jeszcze tu nie dotarła. I nie wiadomo było, czy w ogóle dotrze, bo mury mogły okazać się zbyt przegniłe, budynki za małe, a cała dzielnica zbyt oddalona od śródmieścia. Budynek z pracownią Verlaine'a sprawiał dziwne wrażenie. Miał zaledwie dwie kondygnacje, był za to wyjątkowo szeroki i głęboki. Chyba zbyt obszerny jak dla jednego lokatora, pomyślał Lucas. Do zagłębionych w ścianie drzwi prowadził szeroki schodek, a po obu ich stronach widać było prostokąty gołych cegieł, którymi zamurowano otwory okienne. Pewnie na parterze mieścił się sklep, na piętrze mieszkał właściciel. Gdyby budynek stał bliżej śródmieścia, już by w nim działał jakiś nocny klub czy restauracja, jednak na razie był tylko zapuszczoną rudera, w której nie świeciło się żadne światło – ani za zakratowanymi szybkami w drzwiach, ani w oknach na piętrze. Czy mieszka tu ktoś jeszcze? Bo o tym, że Verlaine siedzi w jednym z barów w śródmieściu, Lucas wiedział.

Choć wszędzie panowała martwa cisza, Lucas wciąż czekał.

Po wyjściu obu kobiet przeprowadzili z Lincolnem poufną rozmowę.

– Jak podejdziesz do tej czarnej szafki pod oknem – powiedział Lincoln – to na dole po lewej znajdziesz szufladę.

Lucas podszedł do szafki, otworzył dolne drzwiczki i wyciągnął szufladę. Wewnątrz leżał elektryczny wytrych.

Wyjął go i nacisnął spust. Przyrząd nie zadziałał.

– To pamiątka z mojego dawnego życia – rzekł Lincoln. – Na pewno działa, tylko trzeba wymienić baterie. Dwie typu A.

– Chcesz, żebym się włamał do mieszkania Verlaine'a?

– Lily mi mówiła, że czasem stosujesz niekonwencjonalne metody.

– Rzucę tam okiem. Ale nawet jeśli to działa, mogą wystąpić inne problemy. Ktoś może się w pobliżu kręcić, a zamki są teraz dużo

bardziej skomplikowane.

– To nie wejdiesz. – Lincoln skrzywił się. – Po prostu uważam, że dobrze byłoby się rozejrzeć. Oczywiście i tak nie da się tego użyć jako dowodu w sądzie.

Lucas pokiwał głową.

– Pewnie. Ale jak się coś wie, wszystko robi się łatwiejsze. – Zamilkł i po chwili dodał: – Słuchaj, wiem, że cię rozzłościłem, bo nie umiałem sobie poradzić z twoim kalectwem.

– To prawda. Rozzłościłeś mnie.

– Tak, no cóż. – Lucas podrapał się po szyi. – To nie ma nic wspólnego z tobą. To ze strachu. Ta moja blizna... – ponownie dotknął szyi – ...młoda dziewczyna strzeliła mi kiedyś w gardło z dwudziestkidwójki. Kula przebiła kołnierz płaszcza, tchawicę i doszła do kręgów szyjnych, ale ich nie naruszyła. Gówniara chciała mnie zabić. I pewnie by się jej udało, gdyby nie to, że akurat na miejscu była lekarka. Zrobiła tracheotomię, co pozwoliło mi oddychać do czasu, aż znalazłem się w szpitalu. Ale gdyby ta smarkata miała inną spluwę czy gdyby pocisk nie trafił najpierw w kołnierz, rozwaliby mi kręgosłup i albo bym zginął na miejscu, albo byłbym teraz w twojej sytuacji. Zabrakło pół centymetra lub spluwy większego kalibru. Patrzę na ciebie i widzę siebie.

– Ciekawe – mruknął Lincoln.

– Czy po swoim wypadku myślałeś o samobójstwie?

– Tak. Całkiem poważnie. I czasami nie wiem, czy podjąłem wtedy słuszną decyzję, żeby żyć dalej. Przy życiu trzyma mnie ciekawość. Wciąż coś się dzieje. Bogu niech będą dzięki za tych wszystkich kryminalistów – dodał z uśmiechem.

– No i za Amelię.

– Tak. I za Amelię.

– Masz szczęście, chłopie – rzucił Lucas.

Lincoln parsknął śmiechem.

– Już od dawna nikt mi tego nie powiedział.

\*\*\*

Po godzinie spędzonej na podeście Lucas uznał, że albo musi zacząć działać, albo dać sobie spokój i wycofać się. Wstał, otrzepał dzinsy

i zobaczył, że zbliża się jakiś przechodzień. Mężczyzna splunął do rynsztoka, zrobił kilka kroków i zatrzymał się przed Lucasem.

– Masz wolnego dwudziestaka? – powiedział.

– Nie.

– To naprawdę nie jest prośba.

– Lepiej popatrz na mnie – odrzekł Lucas.

Mężczyzna popatrzył, mruknął: „Chuj ci w dupę” i ruszył dalej. Jeszcze się obejrzał, potem skręcił za róg i zniknął. Lucas odczekał chwilę, by upewnić się, że facet nie wróci, po czym przeszedł na drugą stronę i przyświecając sobie komórką jak latarką, sprawdził zamek. Stary model. Dobry, gdy był nowy, ale teraz był już stary. Lucas rzucił okiem dokoła, wyjął z kieszeni wytrych i wetknął końcówkę w dziurkę od klucza. Wytrych zazgrzytał, Lucas zwiększył nacisk i zamek ustąpił.

Wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi i zawołał:

– Jest tu kto?

Poza lekkim chrobotem nad głową – zapewne szczurem buszującym na piętrze – nie słyhać było żadnych dźwięków.

– Halo? Jest tu kto?

Nikt się nie odezwał. Lucas wyjął z kieszeni latarkę i zaświecił. Znajdował się w obszernym holu, ze schodami na górę po prawej stronie i dwuskrzydłowymi drzwiami po lewej. W powietrzu wisiała woń palonego metalu, jak po spawaniu. Był we właściwym miejscu.

Nacisnął klamkę i drzwi od razu ustąpiły. Za drzwiami na ścianie ciągnęła się cała bateria wyłączników. Zamknął drzwi i zapalił światło. Był w przestronnej pracowni rzeźbiarskiej, z kilkoma ponadmetrowymi rzeźbami z brązu na masywnych drewnianych postumentach. Wokół leżały rozrzucone narzędzia do obróbki metalu – pilniki, szlifierki, polerki, ręczne dłuta.

Wszystkie rzeźby nawiązywały do tematyki sadomasochistycznej. Nagie kobiety, skrępowane i batożone. W sam raz dzieła sztuki do salonu, pomyślał Lucas.

W głębi pracowni znajdowało się coś w rodzaju drewnianego przepierzenia wysokości około trzech metrów, które kończyło się jakiś metr od sufitu. Za nim widać było bardzo szerokie łóżko, komodę z szufladami, dużą szafę ubraniową, wejście do łazienki, drugą szafę, niedużą pralkę i suszarkę, ustawione jedna na drugiej, oraz wnękę

kuchenną z małym stolikiem i dwoma krzesłami. W nogach łóżka stał telewizor na ruchomym ramieniu. Lucas pokręcił się trochę po części mieszkalnej, ale nie znalazł nic ciekawego i zawrócił do pracowni. W głębi natknął się na kolejne drzwi, obite stalową blachą, osadzone o stopień niżej od poziomu podłogi. Pomyślał, że to musi być wejście do piwnicy. Przyjrzał się zamkowi i szybko stwierdził, że jego wytrych sobie z nim nie poradzi. Zamek miał nie więcej jak rok i był marki Medeco.

Okrążył pracownię, pogasił światła i wyszedł do holu. Przyświecając sobie latarką, ruszył po schodach na górę. Całe pierwsze piętro było jedną wielką graciarnią i składało się z korytarza i szeregu niewielkich pomieszczeń – najwyraźniej niegdyś służyło to za noclegownię. W każdym pokoju stało rozlatujące się wyrko lub leżał wyplamiony materac, na podłodze wały się fragmenty zdezelowanych mebli. Wszędzie czuć było szczury i choć nie dojrzał żadnego, słyszał ich chrobotanie.

Nie miał tu nic do roboty.

Zszedł z powrotem do pracowni, zamknął drzwi, znów zapalił światła i jeszcze raz obejrzał wejście do piwnicy. Nie miał szans na otwarcie tego zamka. Walnął parę razy w blachę i przyłożył ucho, ale zza drzwi nie dobiegł żaden dźwięk. Pomyślał, że to, czego szukają, jest za tymi drzwiami, a on nie może się tam dostać.

Spędził tutaj już pięć czy sześć minut i czas zaczynał naglić.

Wyjął z kieszeni plastikową torbę, a z niej kilka zamykanych dociskowo torebek, każda z białym gąbczastym tamponem w środku. Instrukcje Lincolna brzmiały prosto: jeśli chcesz coś zebrać, po prostu przytknij do tego tampon, schowaj do torebki i zaciśnij. Lucas przeszedł po pracowni i zebrał na tampony drobiny brązu z podłogi, blatu i pilników do metalu. W kącie z butlami znalazł parę rodzajów drutów spawalniczych i wziął po kawałku z każdego rodzaju. Sięgnął też do kosza na śmieci i wyjął kilka zużytych drutów.

Zebrał próbki z plam na podłodze, które mogły być śladami krwi, ale cała podłoga była tak wyplamiona olejem i smarami, że zaczynał się w tym gubić. Schylając się nad jedną z plam, zauważył, że w niewielkiej wnęce z boku coś błyszczy. Podeszedł bliżej i stwierdził, że na wbitych w ścianę haczykach wisi sześć łańcuszków z krzyżykami, naszyjnik

z niebieskich kamieni, sznur drobnych perełek, pierścionek na łańcuszku i trzy pary kolczyków przymocowanych do ściany pinezkami. Czyżby to jego trofea? Jeśli tak, to było ich dwanaście. Był to jedyny taki zbiór w całym pomieszczeniu i Lucas obfotografował go komórką.

Należało się zwijać. Idąc do wyjścia, raz jeszcze prześlizgnął się wzrokiem po skończonych już rzeźbach z brązu i glinianym modelu kolejnej i dostrzegł, że każda z wyrzeźbionych kobiet ma na sobie coś z biżuterii. Pewnie po to, by tym bardziej uwypukliła się nagość. Czyli może biżuteria we wnętrzu to nie zdobyczne trofea, tylko zwyczajne rekwizyty dla modelek?

Właśnie się nad tym zastanawiał, gdy zadzwoniła Lily.

– Jedzie tam – oznajmiła.

– Już mnie nie ma – rzucił.

Nie, to nie mogą być rekwizyty, pomyślał. To są trofea mordercy. I było ich dwanaście.

\*\*\*

– Dasz wiarę? – powiedział Lucas Davenport, wchodząc do willi Lincolna, i pokazał plastikowe torebki. – Ten szajs wypadł z okna akurat w chwili, gdy przechodziłem koło domu Verlaine’a.

Lincoln wykonał gwałtowny zwrot na elektrycznym wózku i z napięciem, niemal łapczywie, wbił wzrok w torebki z tamponami.

– Czasami człowiek ma szczęście – mruknął. – Znalazłeś coś ciekawego?

– Żadnych stert ludzkich kości ani pręgierzy. Są stalowe drzwi, które dokądś prowadzą, zapewne do piwnicy. Bardzo chciałbym tam zajrzeć – dodał i wyjaśnił, że jego wytrych nie radzi sobie z nowoczesnym zamkiem, więc żeby tam wejść, będzie im potrzebny nakaz rewizji i młot pneumatyczny.

Lincoln zaczął oglądać tampony.

Lucas opadł na trzcinowy fotel przed jednym z wielkich ekranów HD, które świeciły jak billboardy reklamowe na Times Square.

– Lucas? – W drzwiach stanął Thom Reston, opiekun Lincolna. Szczupły młodzieniec, ubrany w lawendową koszulę, ciemny krawat i beżowe spodnie. – Mogę ci coś zaproponować? Piwo? Coś innego?

– Może później, dzięki.  
– Dla mnie whisky – powiedział Lincoln.  
– Wypiłeś już dwie – obruszył się Thom.  
– Bardzo podziwiam twoją świetną pamięć. Mógłbyś mi nalać whisky? Proszę i dziękuję.

– Nie.  
– Nalej mi... – zaczął, ale w drzwiach nie było już nikogo. Skrzywił się i powiedział: – No dobra, zabierajmy się do roboty. Co tu mamy, Mel?

Mel Cooper wyglądał jak mól książkowy, którym zapewne był, jako najwybitniejszy na Wschodnim Wybrzeżu – a może i w całym kraju – spec od kryminalistyki laboratoryjnej. Był chudy i kościsty, miał bladą pociągłą twarz, mocno przerzedzone włosy i nosił okulary Harry’ego Pottera, które wiecznie zjeżdżały mu na czubek nosa, a on je wiecznie poprawiał.

Cooper włożył rękawiczki chirurgiczne i czepek oraz jednorazową plastikową kurtkę, wziął od Lucasa torebki i umieścił tampony na arkuszu wysterylizowanego papieru gazetowego.

– Dobra robota – mruknął pod nosem, widząc, jak szczelnie zamknięte są torebki. – Zdejmował pan już kiedyś ślady z miejsca przestępstwa?

– Nie – odparł Lucas. – Ale zdarzyło mi się nie uzyskać skazania w sprawie o gwałt i morderstwo, bo jakiś dureń się potknął i wrzucił but sprawcy do jeziora. Był to nasz jedyny dowód łączący podejrzanego ze zbrodnią, a mieliśmy do czynienia z wyjątkowo sceptyczną ławą przysięgłych. Drań wyszedł z sądu wolny jak ptak.

– To boli – przyznał Lincoln.  
– Na szczęście bydlak nie wytrzymał i miesiąc później spróbował powtórzyć swój wyczyn. Tylko że źle trafił. Dziewczyna trzymała pod materacem magnum super redhawk, kaliber trzysta pięćdziesiąt siedem, nie czterdzieści cztery, ale wystarczyło.

– Coś z faceta zostało?  
– Powyżej szyi niewiele. Sprawiedliwości stało się zadość, ale byłoby dużo czyściej, gdyby palant z ekipy kryminalistycznej nie zaprzepaścił wtedy dowodu. To mnie nauczyło obchodzić się z dowodami jak z jajkiem.

Cooper i Lincoln zaczęli od oględzin gołym okiem drobinek i wiórków brązu oraz innych metali.

Następnie Lincoln porównał je pod mikroskopem z opiłkami metalu wydobytymi z ciał ofiar. Dokładnie obejrzał kształt drobiny, a także rysy i wgniecenia pozostawione na powierzchni większych fragmentów metalu przez narzędzia użyte do obróbki, zapewne przy tworzeniu jednej z rzeźb.

– Ślady po narzędziach wydają się bardzo podobne – skonstatował.

Lucas podszedł do ekranu monitora HD, podłączonego kablem HDMI do mikroskopu.

– No, też tak myślę – potwierdził.

Następnym krokiem było porównanie składu chemicznego drobin metalu z miejsc przestępstw z tymi, które Lucas zebrał w pracowni Verlaine'a. Cooper wziął się do pracy, analizując kolejne cząstki przy użyciu spektrometru plazmowego, chromatografu gazowego i mikroskopu elektronowego z funkcją skanowania.

– Skoro już przy tym jesteśmy – powiedział Lucas, wskazując na jeden z tamponów. – To chyba ślady krwi. Zdjęte z podłogi obok jego sypialni.

Cooper spryskał próbkę luminolem z dodatkiem utleniacza.

– Zgadza się, to krew.

Potraktowanie próbki odczynnikami pozwoliło ustalić, że mają do czynienia z krwią ludzką, i laborant ustalił nawet jej grupę. Nie pasowała do grupy krwi żadnej z wcześniejszych ofiar.

Zbadali też zebrane przez Lucasa próbki betonu i porównali z drobinami znalezionymi na plecach kobiet.

– Blisko – ocenił Cooper. – Ale nie identyczne.

– Do diabła – rzucił Lincoln i zerknął ku drzwiom, bo usłyszał cichutki chrobot klucza w zamku.

Chwilę potem obie panie wkroczyły do pokoju.

– Jak poszło? – zwróciła się Lily do Lucasa.

– Znalazłem trochę śladów, które przypadkiem spadły z ciężarówki – odrzekł, wzruszając ramionami. Wskazał głową stos torebek z tamponami, po czym spojrzał na Amelię i dodał: – Cholera, powinnaś częściej chodzić na tajne misje.

Lily szturchnęła go w ramię.

– Zachowuj się.

Lucas zapytał, jaki wydał im się Verlaine.

– Niebezpieczny – odparła Amelia.

– Facet patrzy na ciebie tak, jakbyś była naga, a on nie może się zdecydować, gdzie cię najpierw liznąć – dodała Lily.

– A potem przylać ci pejczem.

– Czyli podejrzenia o sado-maso się sprawdziły, tak?

– W pełni. To zdecydowany sado. Chce sprawiać ból, ale nie żeby jemu sprawiano.

Lily opowiedziała o jego zakodowanym albumie prywatnych zdjęć.

– Jezu, musiałam przywołać całą siłę woli, żeby nie kopnąć go w jaja. Powinniście zobaczyć, co on wyprawiał z niektórymi z tych kobiet.

– Próbował was, śliczne panie, zaciągnąć do siebie? – spytał Lucas.

– Oczywiście, ale musieliśmy odłożyć nasz trójkącik. Jakoś tak się działo, że jego szklanka wciąż była pełna, aż w końcu, po tej ilości wypitego burbona, nie nadawał się już do wiązania kogokolwiek. Miałam nawet ochotę pozwolić mu, by sam polazł do domu, w nadziei, że po drodze jakiś zbir spuści mu zdrowe manto, ale Amelia się uparła i wsadziłyśmy go do taksówki.

Sachs spojrzała na torebki z tamponami.

– Co wynika z tych śladów? – spytała.

– Za chwilę się dowiemy – odrzekł Lincoln, po czym burknął do Coopera: – Dobrze mówię, Mel? Bo jakoś strasznie długo się to wlecze.

Nachylony nad ekranem monitora Mel nie zareagował na zaczepkę. Poprawił okulary na nosie i powiedział:

– To ciekawe.

– Dużo nam to nie mówi – parsknął Lincoln.

– Już kończę. Lucas zebrał próbki pięciu różnych gatunków brązu. Jeden jest typowym stopem: osiemdziesiąt osiem procent miedzi, dwanaście procent cyny. Jest też brąz alfa, z zawartością czterech do pięciu procent cyny. W jednych próbkach jest wyższa zawartość miedzi i cynku, w innych ołowiu. To brąz architektoniczny. Są jeszcze ślady brązu bizmutowego. To stop z dużą zawartością niklu i śladami bizmutu. Ale jedna próbka mnie zaskoczyła. Ma twardość Vickersa na poziomie dwustu.



– Z takiego brązu robi się miecze – powiedział Lucas.

Wszyscy spojrzeli na niego zaskoczeni.

– Miecze w grach RPG, które wymyślam. Przy ich pisaniu dobrze jest znać dawną broń. Rzymscy oficerowie mieli miecze z brązu, zwykli wojownicy z żelaza.

– Myślisz, że używa brązu do broni? – spytała Amelia.

Lucas pokręcił głową.

– Nie, myślę, że to znaczy, że zdobywa surowiec, gdzie się da. Pewnie na dziesiątkach złomowisk i placów budowy.

– Też tak sądzę – potwierdził Lincoln.

– No i mamy też trójetanoloaminę, kwas fluoroborowy i fluoroboran kadmu – dodał Cooper.

– To topniki używane przy mosiądzowaniu i lutowaniu – wyjaśnił obojętnie Lincoln.

– Dobra, Mel – powiedział Lucas. – Najważniejsze pytanie brzmi: czy mamy jakieś skojarzenia?

Podczas badania śladów z miejsca przestępstwa jedynie nieliczne dowody do siebie „pasują”, to znaczy są idealnie takie same. Do dokładnej identyfikacji służą ślady DNA, odciski palców i niewiele ponadto. Można natomiast zebrane dowody z sobą „kojarzyć”, doszukując się podobieństw. Jeśli podobieństwo jest odpowiednio duże, ława przysięgłych może uznać, że pochodzą z tego samego źródła. W tym konkretnym przypadku należało udowodnić, że drobiny znalezione na skórze ofiar mogą być skojarzone ze śladami zebranymi przez Lucasa w pracowni Verlaine’a.

Cooper w końcu oderwał wzrok od ekranu, ale nie wyglądał na zbyt uradowanego.

– Tak jak beton, również topnik i druty spawalnicze wykazują podobieństwa do śladów z miejsc zbrodni – oznajmił.

Na twarzy Lincolna pojawił się grymas niezadowolenia.

– To może wskazywać na każdego, kto zajmuje się mosiądzowaniem, spawaniem czy obróbką brązu – syknął. – Nam chodzi o ustalenie tożsamości za pomocą samych drobin.

– Rozumiem. I tu mamy problem – odrzekł Cooper.

Wyjaśnił, że cztery drobiny brązu z pierwszego miejsca przestępstwa różnią się całkowicie od próbek zebranych przez Lucasa.

Jedna próbka Lucasa ma taki sam skład chemiczny, jak kilka drobin z tego miejsca przestępstwa, inne są podobne, ale „nieco różnią się pod względem składu”.

– Jak bardzo podobne? – warknął Lincoln.

– Mógłbym tylko powiedzieć, że drobiny znalezione na skórze ofiar mogą pochodzić z loftu Verlaine’a. Ale nie byłbym skłonny posunąć się dalej.

A więc ślady mogły wskazywać, że Verlaine jest mordercą, ale tego nie dowodziły.

– Podobnie jego profil behawioralny i historia ekscesów seksualnych – dodała Lily. – Mówię o jego sado-maso. To może oznaczać, że byłby w stanie zabić, ale dla ławy przysięgłych to za mało.

Myślała o irytującym wymogu stawianym przysięgłym: „ponad wszelką wątpliwość”.

Lucas poinformował panie o tajemniczych drzwiach do piwnicy.

– Jestem gotów się założyć, że za tymi drzwiami znaleźlibyśmy obciążające dowody, ale bez nakazu rewizji tam nie wejdziemy.

Cooper umieścił na ekranie HD zdjęcia naszyjników.

– Myślę, że to jego trofea – mruknął Lucas.

– Głównie krzyżyki – zauważył Lincoln. – Cholera, to by znaczyło, że jest jeszcze siedem czy osiem ofiar, o których nie wiemy. Jak dotąd nie znaleziono ich ciał.

– Albo że należą do ofiar, na które dopiero się zasadza – zauważył Lucas.

– Musimy powstrzymać tego skurwiela – warknęła ze złością Lily.

– I to zaraz.

– Trofea, garść dowodów, pasujący profil behawioralny – zreasumowała Amelia. – To musi być on, nawet jeśli na razie nie potrafimy udowodnić tego ponad wszelką wątpliwość. Natomiast pocieszające jest, że jeśli to on, znaczy to, że nikt z naszych nie maczał w tym palców. Verlaine jest typowym psychopatycznym samotnym wilkiem.

– Nie byłbym taki pewny – rzekł Lucas. – Bo istnieje też inna możliwość.

Lincoln w lot się domyślił.

– Że narkotykowa czwórka używa Verlaine’a do torturowania

i zabijania kobiet, by w ten sposób zdobywać potrzebne informacje.

– Właśnie.

Amelia zmarszczyła brwi.

– Jasne. Verlaine to drań, który ma dużo na sumieniu. Któryś z narkotykowców może go zmuszać szantażem, by wydobywał informacje od kobiet. W ten sposób sami mieliby czyste ręce.

Lily westchnęła.

– Chyba będę musiała położyć głowę pod topór.

Spojrzeni na nią pytająco.

– Muszę powiadomić Markowitza, że po pierwsze, nie mamy wystarczających dowodów, by móc zatrzymać naszego głównego podejrzanego, i po drugie, że jego sławnego oddziału do walki z narkotykami nie da się uznać za całkowicie oczyszczony z podejrzeń.

– Popatrzyła po twarzach kolegów. – No, chyba że ktoś z was chciałby mnie zastąpić.

Wszyscy tylko się uśmiechnęli.

\*\*\*

– Mamy kolejną ofiarę, szefie. Dwudziestoparoletnia kobieta.

Była ósma trzydzieści i szef wydziału śledczego Stan Markowitz sączył ze starego kubka – błękitnego, z postaciami starogreckich sportowców – pierwszą kawę tego dnia. Usłyszawszy wiadomości, z miejsca stracił na nią ochotę. I na leżącą przed nim drożdżówkę też.

A niewiele rzeczy na świecie potrafiło odebrać mu apetyt na drożdżówkę z kremowym orzechowym nadzieniem.

– Dwudziestoparoletnia? – warknął. – Znaczą konkretnie ile lat?

– Miała dwadzieścia dziewięć lat i była Latynoską – skwapliwie uzupełnił młody śledczy włoskiego pochodzenia. – Ciało znaleziono na pustej parceli w NoHo. – Chłopak stał w drzwiach, jakby się obawiał, że Markowitz ciśnie w niego zszywaczem, co już się zdarzało.

– Nie cierpię tej nazwy. Nic takiego jak NoHo nie istnieje. Ostatecznie mogę się zgodzić na SoHo, ale już nawet TriBeCa to przesada<sup>11</sup>.

Chłopak nie odpowiedział, bo właściwie nie było co odpowiedzieć.

– Zajął się tym wydział kryminalny – dodał tylko.

Markowitz pogładził się po wydatnym brzuchu, opiętym białą

koszulą w paski, którą żona przygotowała mu dziś rano. Zawinał w papier ociekającą nadzieniem drożdżówkę i ostentacyjnie wrzucił ją do kosza. Wpadła z zaskakująco głośnym plaśnięciem: pierwszy celny strzał tego dnia.

– Czas zgonu?

– Lekarz mówi, że około północy. Na razie brak śladów. Żadnych poszlak. Wszystko tak jak przedtem. Brała crack i herę. Znaleziona w miejscu znanym z aktywności dealerskiej.

– To sprawka jakiegoś psychola, nic więcej. Nie ma nic wspólnego z narkotykami. Uważaj, żeby nie rozpowszechniać takich plotek.

– Jasne. Tylko że...

– Tylko co?

Chwila zawahania.

– Tak, w porządku.

Markowitz zerknął na leżącą na jego biurku teczkę.

OPERACJA CZERWONY HAK. TAJNE.

Policja też miewa tajne operacje. CIA nic na nas nie ma, pomyślał.

– To wszystko – powiedział do chłopaka. – Chcę mieć na biurku raport z miejsca przestępstwa, nim atrament zdąży na nim wyschnąć, jasne?

– Jasne. – Młody śledczy jeszcze chwilę stał w miejscu, ale wystarczyło jedno spojrzenie szefa, by wprowadzić go w ruch.

Miejskie linie gwałtownie ożyły i na aparacie telefonicznym zapłonęło sześć lampek równocześnie, jak na choince.

Jeden reporter, drugi reporter, trzeci, czwarty.

Sprawdził, czy w drzwiach nikt nie stoi, i wysłał SMS-a, po czym wcisnął guzik interkomu.

– Tak, szefie?

– Nie łącz żadnych rozmów.

– Tak jest, szefie, znaczy z wyjątkiem...

– Powiedziałem: żadnych.

– Pan komisarz na dwójce.

No tak, oczywiście.

– Stan, jeszcze jedna? – Jego zwierzchnik nie miał silnego irlandzkiego akcentu, ale Markowitzowi często się zdawało, że komisarz policji Patrick O'Brien mówi tak, jakby dopiero co zszedł ze

statku, na którym przyplłynął ze starego kraju.

– Niestety, Pat.

– To jakiś koszmar. Dzwonią do mnie z Gracie Mansion<sup>12</sup>. Dzwonią do mnie z Albany<sup>13</sup>. – Ściszył głos, by przekazać najbardziej przerażającą wiadomość. – Dzwonią do mnie z „Daily News” i z „Timesa”. I z „Huffington Post” też, na litość boską.

Jeden reporter, drugi reporter...

– Ofiary należą do etnicznych mniejszości, Stan. Te morderstwa są dla wszystkich bardzo nie na rękę.

Szczególnie dla nich samych, pomyślał Markowitz.

W końcu komisarz przestał jęczeć i zaczął go wypytywać.

– Co ci się udało ustalić, Stan? – W jego głosie dźwięczała stal. – Bo musisz coś ustalić. To bardzo ważne. Słyszysz, co mówię, Stan? To naprawdę cholernie ważne.

Ty musisz ustalić. Nie policja. Nie miasto. TY!

– Mamy podejrzanego – powiedział szybko.

– Dlaczego nikt mi o tym nie mówi? – rzucił komisarz ze złością, ale i z wyraźną ulgą.

– To się dopiero co stało.

– Siedzi?

– Jeszcze nie, ale to coś więcej niż tylko podejrzany.

W słuchawce zapadła cisza, co oznaczało, że komisarz nie tego się spodziewał.

– To jest tym sprawcą czy nie?

– Musi być. Trzeba tylko dopracować jeszcze parę szczegółów, zanim będziemy mogli go zamknąć.

– Co za jeden?

– Rzeźbiarz. Mieszka na Manhattanie. I mamy na niego silne dowody.

– Stan, posłuchaj. – Komisarz powrócił do jękliwego tonu. – W tej sprawie za dużo śmieci trafia w wentylator. – Patrick O’Brien skłonny był raczej przekręcić porzekadło, niż wydusić z siebie niecenzuralne słowo. – Zajmij się tym.

– Mmm, to znaczy jak, Pat?

– Nie sądzisz, że mieszkańców Nowego Jorku ucieszyłaby wiadomość, że mamy podejrzanego?

– Pat, my naprawdę mamy podejrzanego. Ale to za mało, żeby go aresztować. Albo dać komunikat do prasy.

– Sam powiedziałaś, że macie na niego silne dowody. Słyszałem na własne uszy. Obywatele naszego miasta poczuliby się o wiele lepiej, słysząc, że panujemy nad tą sprawą. Byłoby świetnie, gdyby mogli o tym przeczytać w następnej aktualizacji „Timesa” online.

Wiadomości w „Timesie” online aktualizowano mniej więcej co pół godziny.

– Ja też bym się poczuł dużo lepiej, Stan.

Pomimo kilkunastu lat nienagannej służby Stana w policji komisarz mógł go przenieść na nic nieznaczące stanowisko w dziale PR szybciej, niż mikrofalówka odgrzewa mrożoną pizzę.

– Rozumiem, Pat.

Markowitz jeszcze przez chwilę zmagał się z myślami, a potem wziął swoją komórkę i wybrał numer.

– Rothenburg.

– Właśnie się dowiedziałem, Lily. Jeszcze jedna.

– Niestety, Stan. Właśnie jesteśmy na miejscu. Amelia już się tym zajmuje. Tak jak poprzednio, ofiarę najpierw torturowano.

– Chciałem cię uprzedzić, że wkrótce przeczytasz w gazetach, że mamy podejrzanego.

W słuchawce zapadła cisza, po czym Lily spytała:

– Tak? A kogo?

– No, tego rzeźbiarza. Verlaine’a.

– Verlaine jest naszym podejrzanym, Stan. Nie jest podejrzanym dla prasy. A to wielka różnica. W tej chwili Verlaine nie nadaje się do publicznego wykorzystania.

– A co ci mówi przecucie, Lily?

– Że jest skończonym zasrańcem i sadystą. Stroną aktywną w relacjach sado-maso.

– Jak byś określiła jego winę procentowo?

– Procentowo? Chryste Panie, nie mam pojęcia. Co byś powiedział na dziewięćdziesiąt sześć przecinek trzy dziesiąte?

Szef zignorował jej sarkazm.

– To bardzo uspokoi mieszkańców, Lily.

Lily przez chwilę milczała, zapewne próbując zrozumieć, dlaczego

muszą uspokajać mieszkańców.

– To nie należy do moich obowiązków, Stan – rzekła wreszcie. – Do moich obowiązków należy łapanie przestępców i wsadzanie ich za kratki.

Markowitz uniósł głowę i dostrzegł kobietę w garsonce, czekającą w jego sekretariacie, aż skończy rozmowę. To do niej kwadrans wcześniej wysłał SMS-a.

– Przemyślałem też twoją drugą teorię.

– To znaczy? – rzuciła nieco zadziornie.

– To, o czym mówiłaś wczoraj wieczorem. Że może ktoś inny, na przykład ktoś z sekcji narkotykowej, wykorzystuje Verlaine’a do zabijania tych kobiet. Nie zwracaj sobie tym głowy.

– Dlaczego?

Teraz w głosie Markowitza pojawiła się zadziorność.

– Dlatego, pani śledcza, że zajmowałem się profilowaniem przestępców w czasach, gdy ty dostawałaś linijką po łapach za gadanie na lekcji. Verlaine to samotnik. Jego profil psychologiczny jest tak wyrazisty, jak pierwsza strona „Postu”. Koniec, kropka.

– Chyba o czymś zapominasz, Stan. Jeśli to dacie do prasy, Verlaine podpali swoje pieprzone mieszkanie, wszystkie ślady znikną i cała nasza praca pójdzie na marne. A on się ulotni... po czym niedługo zabije następną ofiarę.

Problem z babkami do orzechów polega na tym, że miażdżą wszystkie orzechy, jakie im się nawiną, nie tylko te, które się im podsuwa do zmiażdżenia.

– Śledcza Rothenburg – warknęła. – Informuję was, że za pół godziny dowiecie się z mediów, że w sprawie seryjnych zabójstw kobiet policja ma podejrzanego. Jeśli to oznacza, że trzeba się bardziej sprężyć i zacząć pracować szybciej i wydajniej, to do roboty.

Pyknięcie w słuchawce.

Spojrzał na kobietę w kostiumie i skinął głową.

Kobieta była przy kości, po czterdziestce, miała blond włosy, suchą cerę i taki wyraz oczu, jakby nigdy w życiu się nie śmiała. Jej kostium nie należał do najelegantszych.

Weszła do gabinetu i rozejrzała się, sprawdzając, czy są sami. Markowitz wskazał głową drzwi i śledcza Candy Preston zamknęła je

za sobą.

– Mamy problem – burknął.

– Słyszałam.

Ona też umiała miażdżyć orzechy, choć z pozoru przeczył temu jej wyjątkowo łagodny i melodyjny głos. Markowitz wyobrażał sobie, jak tym głosem czyta dzieciom bajki.

– Trzeba zrobić to, co zaplanowaliśmy.

– Już? Myślałam, że się nam nie spieszy.

– Nie możemy sobie pozwolić na dalszą zwłokę.

Szef wydziału śledczego otworzył kluczem dolną szufladę biurka i wyjął z niej kopertę. Była gruba, ale nie aż tak, jak można by się spodziewać. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów w studolarówkach wcale nie zajmuje dużo miejsca.

– Zajmę się tym – powiedziała Preston, należąca do wyższych rangą funkcjonariuszy z oddziału czwartego.

Schowała kopertę do torebki i ruszyła do drzwi. Patrząc za nią, Markowitz pomyślał, że ma stopy równie delikatne jak głos.

Już kładła rękę na klamce, gdy usłyszała za plecami głos Markowitza.

– Mogę coś doradzić, pani detektyw?

Zmarszczyła brwi, bo zabrzmiało to tak, jakby uważał ją za żółtodzioba.

– Robiłam już takie rzeczy w przeszłości, Stan. Znam się...

– Nie w tym rzecz. Moja rada brzmi: nie spieprz tego.

\*\*\*

Amelia siedziała przed telewizorem, skacząc z WABC na WNBC i z powrotem. To ona pierwsza powiedziała głośno to, o czym wszyscy myśleli.

– Załatwili nas.

– Być może – rzekł Lucas. Spojrzał na Lincolna. – Koledzy z biura w Minnesocie mówili mi, że ogień niszczy ślady DNA, czy tak?

– Tak – potwierdził Lincoln. – Jeśli facet wyleje parę galonów benzyny w piwnicy i podpali, to większość istotnych dowodów ulegnie zniszczeniu. Nie da się wtedy pozyskać próbek DNA, chyba że natrafilibyśmy na ciało ofiary. O ile, oczywiście, w piwnicy je



mordował.

– Wiesz, co pomyślałem – zwrócił się Lucas do Lily. – Jeśli te wisioriki na ścianie to jego trofea...

– To są trofea – wtrącił Lincoln.

– ...to znaczy, że mamy do czynienia z dużo większą liczbą ofiar. I musimy się tam dostać, nawet bez nakazu rewizji.

Lily pokręciła głową.

– Bez nakazu nie możemy.

– Lincoln, wypowiedz się – rzucił Lucas.

– Mamy próbki z betonowego podestu przed wejściem, a do ich pobrania nakaz nie był potrzebny. Okazało się, że gatunek betonu pasuje do śladów na plecach ofiar. Znaleźliśmy też brąz, pod względem chemicznym taki sam jak ten na ich plecach.

– Ale... – zaczęła Amelia.

– Spokój! – mruknął ostrzegawczo Lincoln.

– Tak, to w zupełności wystarczy do uzyskania nakazu. – Lily kiwnęła głową. – W każdym razie jeśli udam się do właściwego sędziego, a mam taki zamiar. Przygotujcie mi załączniki i za godzinę będę miała nakaz.

– Zaraz to zrobimy – rzekł Lincoln i zwracając się do Lucasa, dodał: – Gdybyś zechciał pójść tam jeszcze raz, to zbierz dla mnie te próbki. Antydatuj je na dziś rano. Może tam nie być brązu, a my mamy już wystarczającą kolekcję, więc weź z sobą trochę drobinek. Wiesz, tak na wszelki wypadek.

Wszyscy popatrzyli po sobie, a Lucas mruknął:

– Co najmniej dwanaście trofeów.

– Jak już zbierzesz te próbki, to poczekaj tam na mnie – wtrąciła Lily. – Zdobyć nakazu nie zajmie mi długo.

– Jadę z Lucasem – zdecydowała Amelia. – Przydam się, jeśli trzeba będzie obstawić tyły budynku albo potrzebna mu będzie jakaś pomoc.

– Może powinnaś wezwać odpowiednią ekipę, żeby tam weszła – powiedział Lucas do Lily.

– Ekipę? Wezwę wszystkich, kogo tylko się da. Zadzwonię nawet do FBI, bo pewnie zechcą wysłać swojego obserwatora.

– Ja też tam pojadę – oświadczył Lincoln. – Nie mogę pozwolić,

żeby twoi ludzie zatarli wszystkie ślady.

Pojechali samochodem Amelii, rdzawoczerwonym fordem torino cobra z 1970 roku, następcą słynnego fairlane'a. Silnik miał moc czterystu pięciu koni mechanicznych przy ponad dwustu kilogramach momentu obrotowego. Dwudziestominutową drogę pokonali w dwanaście minut. Po ośmiu minutach jazdy Amelia zerknęła na Lucasa i powiedziała:

– Widzę, że nie trzymasz się kurczowo.

– Wiesz, co robisz. Jesteś w tym prawie tak dobra jak ja.

– A czym ty jeździsz? – parsknęła.

– Dziewięćsetjedenastką.

– Zawsze słyszałam... – przerwała, by gwałtownie skręcić w lewo, tuż przed nosem wielkiej limuzyny – ...że ci, co jeżdżą porsche...

– Tak, wiem, mają małe penisy. Słyszę tę gadkę zawsze, gdy spotykam kogoś, kogo nie stać na dziewięćsetjedenastkę. Pytam go wtedy, na jak dużej próbie to badał.

Uśmiechnęła się i odparła:

– No więc coś ci powiem. W uczciwym wyścigu połknęłabym żywcem twoją dziewięćsetjedenastkę.

– Nie podoba mi się słowo „uczciwy” – mruknął Lucas. – „Uczciwy” zawsze znaczy „korzystny dla mnie”, więc to nieuczciwe. Jeśli kiedyś losy rzucą was do Minneapolis, to przyjedźcie samochodem. Mam kawałek wyścigowej drogi tuż za granicą stanu, w Wisconsin. Wąski asfalt, niewidoczne wzniesienia. Na odcinku trzydziestu paru kilometrów jest ze dwieście zakrętów z ostrym hamowaniem.

– To nieuczciwe. – Skrzywiła się, ale zaraz znów się uśmiechnęła.

Skręciła w wąską uliczkę i pognęła nią, nie zważając na to, że po bokach auta zostaje nie więcej jak pół metra, ścięte do piętnastu centymetrów pod stronie Lucasa w chwili, gdy szarpnęła kierownicą, żeby ominąć pojemnik na śmieci.

– Obudź mnie, jak dojedziemy. – Lucas ziewnął i rozparł się na fotelu, po czym dodał: – A tak na marginesie, jestem jednym z najlepszych strzelców w okolicy.

Amelia wysadziła go pod domem Verlaine'a. Lucas był ubrany w dzinsy, koszulkę polo i trampki, na plecach miał pożyczony od Amelii plecak. Na całej ulicy po obu stronach widać było tylko czterech

pojedynczych przechodniów.

Amelia skręciła w pierwszą przecznicę i zatrzymała się za domem Verlaine'a. Lucas usiadł na podeście przed drzwiami. Był zbyt dobrze odżywiony jak na bezdomnego włóczęgę, ale z plecakiem u nóg i z pewnej odległości od biedy mógł za takiego ujść. Przed wyjazdem umieścili po kilka drobin brązu w torebkach i Lucas kolejno je teraz wyjmował i wytrząsał takim ruchem, jakby wytrząsał papierosa z paczki. Wcisnął opiłki w podest, zebrał pięć próbek na tampony i schował je do torebek, które szczelnie zamknął.

Potem wstał, powoli ruszył chodnikiem i wyjąwszy z kieszeni komórkę, kolejno zadzwonił do Lily, Lincolna i Amelii. Każdemu z nich przekazał tę samą wiadomość:

– Wszystko gotowe, możemy zaczynać.

– Za czterdzieści minut – odrzekła Lily.

– Dlaczego tak długo? Coś się stało?

– Nic. Po prostu dojechałeś szybciej, niż było to przewidziane. Mam już gotowy wniosek, spotykam się z sędzią za parę minut, ekipa się zbiera. Tak że wyluzuj, kolego.

Lucas minął skrzyżowanie, przeszedł jeszcze kawałek i zawrócił. Pod domem Verlaine'a nadal nic się nie działo, więc skręcił w najbliższą przecznicę, by obejść cały kwartał. Tam natknął się na forda Amelii i stojącego tuż za nim chryslera vana Lincolna. Na widok Lucasa Amelia wysiadła z vana.

– Chcesz zostawić plecak? – spytała.

– Mhm. – Spojrzał na zegarek. – Jeszcze pół godziny. Znajdę sobie jakieś miejsce, żeby usiąść, i poczekam.

– Bądź w kontakcie – rzucił Lincoln z tylnego siedzenia.

– Wziąłem z domu kilka kanapek – powiedział siedzący za kierownicą Thom. – Tych dwoje potrafi godzinami marudzić na miejscu przestępstwa. Więc jeśli masz ochotę na szynkę z serem...

– Nie tylko mam ochotę, ale też pozwoli mi to czymś się zająć – odrzekł Lucas. – Świetny pretekst, żeby sobie gdzieś przysiąść.

Trzymając papierową torbę, Lucas ruszył dalej i z pięćdziesiąt metrów od domu Verlaine'a znalazł jakiś ganek, gdzie usiadł. Wyjął z torby kanapkę, odgryzł kęs i z uznaniem mruknął: „To się nazywa kanapka z szynką i serem”.

Jedząc, pomyślał ze smutkiem, że w Twin Cities<sup>14</sup> praktycznie nie da się kupić przyzwoitej kanapki z szynką i serem, podczas gdy w Des Moines czy Chicago oferują pyszne kanapki. Właśnie zaczął dumać nad zasłużoną reputacją Chicago jako „światowej stolicy wieprzowiny”, gdy drzwi za jego plecami otworzyły się i wyrzwał jakiś mężczyzna.

– Czy to ci wygląda na stołówkę? – warknął. – Spieprzaj stąd, zasrańcu.

Lucas spokojnie połknął kęs, potem wyjął z kieszeni komórkę, wybrał numer Lily i ostentacyjnie wcisnął przycisk głośnego mówienia.

– Czepia się mnie facet po drugiej stronie ulicy od obiektu, dom numer dwieście dziewiętnaście. Jak długo potrwałoby przysłanie tu paru ludzi z inspekcji budowlanej? Bo ten dom nie wygląda zbyt solidnie.

– Mogą być za godzinę – odrzekła Lily.

Lucas podniósł wzrok na faceta w drzwiach.

– Za godzinę będzie dobrze? – spytał.

– Może pan siedzieć, jak długo pan chce – mruknął facet i wycofał się do środka, zamykając za sobą drzwi.

Pięć minut później pod domem Verlaine’a pojawił się biały van, mężczyzna na fotelu pasażera spojrzał na Lucasa i skinął głową. Lucas odpowiedział tym samym, van się oddalił i po paru minutach nadjechał z przeciwnego kierunku. Tym razem to kierowca skinął głową.

Dziesięć minut później zadzwoniła Amelia z wiadomością, że ekipa obstawiająca tyły jest na stanowisku, a ona z Lincolnem zajadą od przodu.

Następna wiadomość od Lily:

– Za minutę.

Ekipa policyjna podjechała dwoma nieoznakowanymi białymi vanami, zaraz potem zjawiała się Lily, samochodem o równie anonimowym wyglądzie, a chwilę później Amelia i dwa policyjne radiowozy. Na koniec wyłonił się z za rogu van Lincoln. Lucas potruchtał w stronę domu Verlaine’a, vany z ekipą zatrzymały się przed domem i z pierwszego wysiadło dwóch policjantów z taranem do wyważenia drzwi. Podążyli w stronę wejścia, a za nimi sunęło czterech

gliniarzy w pełnym rynsztunku bojowym. Lucas dobiegł w chwili, gdy dwaj pierwsi zdążyli już wyłamać drzwi i cała szóstka wpadła do środka.

Lucas i Lily także wparowali do holu, gdy nagle idący przed nimi policjanci znieruchomieli, dały się słyszeć podniecone głosy, po czym dowódca grupy zawołał:

– Mamy sztywniaka.

Lucas i Lily precyzyjnie się do przodu, tuż za nimi Amelia. Weszli do pracowni.

Pod ścianą siedział Verlaine, wpatrując się martwym wzrokiem w jedną ze swych rzeźb. Jego głowa była krwawą miazgą, na podłodze, obok jego dłoni, leżał półautomatyczny pistolet.

– Mamy łuskę – powiedziała Amelia chłodnym, rzeczowym tonem, jakby prowadziła wykład na zajęciach z kryminalistyki. Lucas dostrzegł łuskę obok stopy Verlaine’a. – Trzeba opróżnić budynek – zwróciła się Amelia do dowódcy ekipy policyjnej. – Proszę zostawić dwóch ludzi na parterze, reszta niech wyjdzie.

Dowódca skinął głową i zaczął wykrzykiwać rozkazy.

Lincoln na swoim wózku wcisnął się do środka i popatrzył na ciało.

– To może rozwiązać wiele problemów – mruknęła Lily.

– To prawda, może – potwierdził Lincoln. – Jednak ze statystyk wynika, że prawdopodobnie niczego nie rozwiąże.

– Co masz na myśli?

– Seryjni mordercy rzadko popełniają samobójstwo. Pławią się w rozgłosie, jaki im dają ich zbrodnie. Co innego psychopaci, którzy wpadają w szal mordowania. Ci niemal zawsze na końcu się zabijają, jeśli tylko mają taką szansę. Ta śmierć oznacza albo kłopot, albo okazję.

– Okazję?

– Jeśli nie zabił się sam, będziemy mieli kłopot – rzekł Lincoln. – Jeśli to zrobił, będę miał temat na ciekawą dysertację.

\*\*\*

– Jak to wygląda, Sachs?

– Bywało gorzej – stwierdziła, rozglądając się po mieszkaniu Verlaine’a.

Rozmawiała przez zestaw słuchawkowo-mikrofonowy ze znajdującym się na ulicy Lincolnem.

Jej ocena nie dotyczyła krwawej miazgi i odłamków kości, zaściełających podłogę wokół ciała (rany głowy powodują minimalny krwotok). Miała na myśli to, że pomieszczenie było w stanie raczej nienaruszonym. Jeśli miejsce przestępstwa zostaje od razu odpowiednio zabezpieczone, technicy kryminalistyki, badający ślady, mają dużo łatwiejsze zadanie. Niestety, nie zawsze się tak dzieje. Gapie, kolekcjonerzy pamiątek, złodzieje i pogrążeni w żałobie członkowie rodziny potrafią skutecznie spustoszyć miejsce przestępstwa, zacierając odciski palców i niszcząc wszystko – od mających znaczenie dowodowe drobin naskórka po narzędzie zbrodni. Do najgorszych wandalii należą jednak ci, którzy zostają wezwani jako pierwsi. I można to zrozumieć, bo dla nich najważniejsze jest ratowanie życia ofiary i pogoń za sprawcą. W rezultacie, w wyniku działań jednostek taktycznych i ekip ratunkowych, niejeden istotny ślad uległ zatarciu, a niejeden przestępca uniknął kary z braku twardych dowodów.

Jednak tym razem, gdy tylko uznano, że Verlaine zginął z własnej ręki, ekipa policyjna się wycofała, pozwalając przejąć dowodzenie Lily i Amelii, które natychmiast kazały opróżnić całe mieszkanie. Obie wiedziały, jak się poruszać, by nie zniszczyć żadnych śladów.

Chwilę później Lily też postanowiła się wycofać i ustąpić pola specjalistce. Amelia, ubrana w kombinezon z kapturem i wysokie ochraniacze na nogi, zaczęła ostrożnie penetrować wielką, ponaddwustumetrową przestrzeń pracowni.

– Wygląda tu jak na złomowisku – zameldowała Rhyme'owi.

Na stołach leżały porzucane narzędzia oraz kawałki metalu i kamienia, a także maski spawalnicze, rękawice i kurtki z tak grubej skóry, że zdawały się kuloodporne. Podłoga była gęsto zastawiona drewnianymi skrzyniami z odlewami metalu oraz paletami z kamiennym i metalowym złomem. Na całej długości jednej ściany stały butle z gazem, ręczne wózki i podnośniki oraz elektryczne piły i wiertarki. Pod sufitem, na wysokości około czterech i pół metra, ciągnęły się stalowe prowadnice, na których zamontowano suwnice i wielokrążki z napędem elektrycznym, służące do przenoszenia

surowca i gotowych rzeźb. Z urządzeń zwisały pokryte rdzą łańcuchy z hakami.

Jakże miłe miejsce do mieszkania, pomyślała Amelia.

No i wszędzie stały rzeźby Verlaine'a z metalowych prętów i kawałków metalu, zespawanych, zlutowanych lub skręconych na śruby. Przeważał brąz, ale widać też było fragmenty z żelaza, stali i miedzi. Wyglądało to niemal tak, jakby na każdym skrawku wolnego miejsca musiały stać jego metalowe kobiety.

Ukazane w przejmujących pozach.

Choć rzeźby miały charakter impresjonistyczny, nie ulegało wątpliwości, że każda przedstawia cierpiącą kobietę. Wszystkie postacie, nienaturalnie wygięte lub skulone na czworakach, z rękami skrępowanymi na plecach, zdawały się płakać i błagać o litość. Niektóre były przebite na wylot kawałkami prętów zbrojeniowych.

Usiłując omijać wzrokiem metalowe potworności, Amelia przeszukiwała pomieszczenie. To, że śmierć Verlaine'a wyglądała na samobójstwo, nie zwalniało jej z obowiązku dokładnego przejrzania wszystkiego. W końcu, z formalnego punktu widzenia, samobójstwo jest też zabójstwem, a to, że ofiara i sprawca są jedną osobą, oznacza tylko, że śledczy nie muszą tak bardzo się starać jak w przypadku morderstwa. Ale starać się muszą.

A tutaj wiele rzeczy wymagało wyjaśnienia, nawet po śmierci Verlaine'a. Amelia wiedziała, że rzeźbiarz mógł uprowadzić i ukryć gdzieś kolejną ofiarę, która zakuta w łańcuchy, uwięziona w podziemnym lochu, umiera może z pragnienia lub z upływu krwi – jeśli już zdążył się z nią zabawić na swój zboczony sposób.

Dlatego Amelia podchodziła do sprawy jak najskrupulatniej.

Zacząła od dokładnych oględzin ciała, sfotografowania go i sfilmowania kamerą wideo, po czym zajęła się zbieraniem wszelkich śladów materialnych, począwszy od glocka i dziewięciomilimetrowej łuski. Przetarła też dłonie denata tamponami, które włożyła do plastikowych torebek, by później sprawdzić, czy na jego rękach były ślady prochu.

Spakowała do torby laptopa, telefon komórkowy i iPada Verlaine'a. Przy zwłokach nie było żadnego listu, ani w formie pisemnej, ani elektronicznej. Nie tak dawno zetknęła się z samobójstwem

mężczyzny, który przed skokiem z mostu przy Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy wysłał z komórki pożegnalnego tweeta.

Przeszukując podłogę, Amelia jak zwykle poruszała się niczym po szachownicy. Oznaczało to, że przemierza podłogę od ściany do ściany po linii prostej, odwraca się, przesuwa nieco w bok i idzie z powrotem. A później zaczyna w taki sam sposób chodzić w poprzek pomieszczenia.

Zbieranie śladów zajęło jej ponad godzinę. Z wnętrza wzięła łańcuszki i krzyżyki, które zdawały się wyglądać znajomo. I po chwili już wiedziała. Na zdjęciach, które Verlaine pokazywał w barze, wszystkie kobiety nosiły takie łańcuszki. Tak, Lucas miał rację. To były trofea. Tyle że oznaczały nie morderstwa, ale ekscesy seksualne.

Na koniec podeszła do stalowych drzwi, o których wspominał Lucas. W chwili wejścia ekipy drzwi nie były zamknięte na klucz i wtedy obie z Lily tylko szybko zerknęły do środka. Teraz postanowiła obejrzeć piwnicę nieco dokładniej, pod kątem śladów. Piwnica była nieduża, miała ściany z gołych cegieł i betonową posadzkę. Bił stamtąd odór oleju opałowego, pleśni, zatęchłej wody i potu. Może woń potu tylko sobie wymyśliła, ale uznała, że jednak nie.

Zauważyła haki wystające ze ścian i plamy na podłodze. Zeszła ostrożnie po chwiejnych schodkach do wnętrza odrażającej piwnicy. Wykonała szybki test fluorescencyjny na kilku ciemnych zaciekach i wynik potwierdził jej podejrzenia. To były plamy krwi. Nie miała też wątpliwości co do ciemnych elastycznych strzępów, które schowała do torebek na dowody. Wiedziała od razu, że to wyschnięte tkanki ludzkiego ciała.

Wcisnęła w komórkę POŁĄCZ i usłyszała poirytowany głos Lincolna.

- Sachs! Gdzie ty się, u diabła, podziewasz?
- Za stalowymi drzwiami. W piwnicy Verlaine’a.
- No i?
- Jesteśmy prawie w domu.
- To jak być prawie w ciąży. Ale tym razem ci wybaczę twoją mizerną metaforę. Zbierz dowody i wracaj jak najszybciej.

Rozłączył się bez słowa pożegnania.



\*\*\*

Lucas, który mieszkał w hotelu Four Seasons przy Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy, leżał jeszcze w łóżku, szorując paznokciami stóp po powłoczce kołdry i dumając, czy nie powinien obciąć paznokci, a potem wybrać się na Madison Avenue i kupić sobie coś na jesień, gdy zadzwoniła jego komórka.

– Przyjeżdżaj tu. Natychmiast – powiedziała Amelia.

– Co się dzieje?

– Niedobrze. I lepiej nie rozmawiajmy o tym przez komórkę.

Postanowił jednak najpierw się umyć, uznając, że jeśli w willi Lincolna nie trwa właśnie strzelanina, na tyle może sobie pozwolić. Piętnaście minut później już wychodził z hotelu. Przed wejściem złapał taksówkę, która właśnie kogoś przywiozła. Wsiadł i podał adres Lincolna, a taksówkarz zrobił zbolalą minę.

– Na taki kurs nie opłaca mi się nawet włączać licznika – burknął.

– Jest mi obojętne, co pan zrobi. Płacę dwadzieścia za dowieszenie mnie na miejsce.

Taksówkarz ruszył ze zdwojonym zapałem i w rezultacie dwadzieścia minut po telefonie Amelii Lucas stał już pod drzwiami Lincolna i naciskał dzwonek.

– Co się stało? – spytał, gdy Amelia mu otworzyła.

– Ludzie z Wydziału Spraw Wewnętrznych zatrzymali Lily. Za chwilę mogą też przyjść po nas.

– Co?

– Lepiej niech Lincoln ci wszystko powie.

Na widok Lucasa Lincoln rzucił z uśmiechem:

– Zaczyna się robić ciekawie.

– Mów.

Dowody zebrane przez Amelię pod kierunkiem Lincolna okazały się „całkiem niezłe” i zamiast do niego trafiły do miejskiego laboratorium.

Na ich podstawie sformułowano wniosek, że kobiety były najpierw torturowane, a potem mordowano je w ciasnej piwnicy pod pracownią rzeźbiarza. Dowodów nie było zbyt wiele, ale drobne plamki krwi, otarcia naskórka i ślady moczu dowodziły, że ofiary tam przebywały.

Zbadano też broń i tu zaczął się problem.

– W zeszłym roku mieliśmy w mieście psychopatę, który nie

odznaczał się wybitną inteligencją. Seryjny morderca, który zabijał swoje ofiary strzałami z pistoletu. Facet nazywał się Levon Pitt i był właścicielem złomowiska. Właśnie tam porzucał ciała. Lily kierowała zespołem, który go namierzył. Sprowadziła ekipę i włamali się do jego mieszkania, jednak nikogo nie zastali. Urządzili zasadzkę i czekali na niego pod domem. I rzeczywiście, wkrótce się zjawił ze swoim dorosłym synem. Gdy policjanci wyszli z ukrycia, facet zobaczył, co się święci, wyciągnął pistolet i próbował użyć syna jako zakładnika. Doszło do szarpaniny, facet raz wystrzelił, Lily wpakowała w niego trzy kulki i gość wykorkował w drodze do szpitala. Gdy padły strzały, Lily wstrzymała akcję i wezwała ludzi z wydziału kryminalnego. W mieszkaniu było siedem sztuk broni. Do popełnienia znanych policji morderstw użył czterech różnych pistoletów, ale po zbadaniu znalezionej broni, okazało się, że są tam tylko trzy z nich.

Lincoln przerwał i Lucas go ponaglił.

– I co dalej?

– Pistolet, który znaleziono wczoraj przy zwłokach Verlaine’a, był tym czwartym.

– Co takiego? – Lucasa na moment zatkało. – Czy to znaczy, że Verlaine miał jakiś związek z Levonem Pittem?

– Ich podejrzenia idą w inną stronę – powiedział Lincoln. – Po pierwsze, brak jakichkolwiek widocznych związków. Po drugie, łuska jednego z pocisków z pistoletu Verlaine’a miała na sobie odcisk palca Lily.

Chwilę trwało, nim to do Lucasa dotarło.

– To znaczy, że podejrzewają... że co? Że zabrała ten pistolet z mieszkania Pitta, ukryła go, a wczoraj w nocy poszła do Verlaine’a, zastrzeliła go i upozorowała samobójstwo?

– Tak sugerują.

– Przecież to absurd – prychnął Lucas.

– Ci ze spraw wewnętrznych są innego zdania – zauważyła Amelia.

– Rzecz w tym, że nie potrafią wymyślić, jak inaczej odcisk palca Lily mógł się znaleźć na tej łusce. Bo będąc w mieszkaniu Verlaine’a, nawet nie dotknęła tego pistoletu.

– Ale dlaczego miałyby coś takiego zrobić? Dlaczego miałyby zabijać Verlaine’a? Po mojej wizycie u niego już wiedzieliśmy, że go

mamy.

– Ale brak nam twardych dowodów i to jest wszystko, co tamci wiedzą na ten temat. Sama Lily to wczoraj przyznała. Nie możemy im powiedzieć, że mamy dowody, bo wtedy musielibyśmy przyznać, że nielegalnie wszedłeś do jego mieszkania. Dlatego sądzą, że Lily знаła tożsamość mordercy, ale nie mając na niego twardych dowodów, postanowiła go sprzątnąć. Pozbyć się go na dobre.

– Kurczę, ludzie, toż to kompletnie bez sensu – jęknął Lucas.

– Jest jeszcze jeden aspekt sprawy – oznajmiła Amelia. – Lily uczestniczy w akcjach, doprowadza sprawy do końca, ale przy okazji nadeptuje na liczne odciski. Wszystko jest w porządku do chwili, gdy ma się poparcie góry. Ale w tej sprawie, no cóż, ktoś spowodował, że wyniki z laboratorium niemal natychmiast wyciekły. Pewnie dopilnował tego jakiś jej biurowy wróg. Teraz w lokalnej telewizji nie mówią o niczym innym. I głośno żądają jej głowy.

– Nie zapomnij mu powiedzieć, co się jeszcze szykuje – wtrącił Lincoln.

– A, tak. – Amelia wyjęła komórkę i sprawdziła godzinę. – Ludzie z WSW chcieliby wiedzieć, czy któreś z nas nie maczało w tym palców. Jedzie do nas dwóch gliniarzy z kryminalnego. Chcą z nami porozmawiać. Znam obu. Są twardzi i nieustępliwi.

Lucas wzruszył ramionami.

– Nie wspominamy nic o włamaniu ani o wczorajszym zbieraniu dowodów i mówimy o całej reszcie. I zapewniamy, że ktoś ich wpuszcza w maliny, bo Lily nie mogła tego zrobić. Że ktoś próbuje zrobić z nich wała.

– Wściekną się – powiedziała Amelia.

– I bardzo dobrze. Niech przejdą do defensywy. Mają się od nas odzepić, żebyśmy mogli zająć się wyjaśnieniem tego, co się naprawdę wydarzyło. I to im powiemy.

\*\*\*

– Pytanie brzmi – rzucił Lucas Davenport – kto chce ją w to wrobić?

Lincoln potwierdził, że to jedyne istotne pytanie. Lucas, Amelia i Lincoln nie mieli cienia wątpliwości, że Lily jest niewinna.

Bez względu na to, jakim skurwielem był Jim Bob Verlaine i ile sadystycznych morderstw popełnił, a także jak zawziętą i bezwzględną śledczą jest Lily Rotheburg, było wykluczone, by mogła coś takiego zrobić.

Cały zespół powrócił do willi Lincolna – oczywiście z wyjątkiem Lily, którą nadal trzymano pod kluczem.

I której nieobecność bardzo im doskwierała.

– No więc – znów odezwał się Lucas. – Kto za tym stoi?

– Ktoś, komu się naraziła? – podsunęła Amelia.

– To możliwe – potwierdził Lucas. – W swoim czasie narobiła sobie niemało wrogów. Albo może jakiś zasraniec próbuje jej przeszkodzić w doprowadzeniu tej sprawy do końca.

– A co z Verlaine’em? – wtrąciła Amelia. – To on zabił te kobiety? A może jego też w to wrobiono. I po co to wszystko?

Lincoln zawsze uważał, niekiedy dość krótkowzrocznie, że na pytania typu „kto i dlaczego” najlepsze są odpowiedzi „jak i co”, czyli konkretne dowody.

– Po cholerę tracić czas na jałowe domysły? Przyjrzyjcie się faktom.

– Lincoln, czy ty czasami miewasz dobry humor? – rzucił Lucas.

Pełne złości chrząknięcie mogło oznaczać, że odpowiedź brzmi: nie. Jednak Lucas widać uznał, że Lincoln ma rację, bo spytał:

– Jakie mamy dowody na to, że samobójstwo zostało ukartowane?

Przeglądając zrobione przez Amelię zdjęcia ciała, Mel Cooper powiedział:

– Ślady spalonego prochu i wgniecenie od muszki sugerują, że strzał rzeczywiście oddano z przyłożenia.

Lucas wziął do ręki fotografie.

– Potwierdzają to również ślady tkanki, krwi i kości na osłonie. Ale strzelono w skroń, a to przy strzałach samobójczych rzadkość. Zwykle samobójca wsadza sobie lufę do ust.

– Co znaczy, że ktoś mógł wyciągnąć broń w chwili, gdy Verlaine był odwrócony, zająć go od tyłu lub z boku i strzelić. To by świadczyło, że Verlaine znał zabójcę.

– Ale na jego rękach są ślady prochu – przypomniał Cooper.

Strzał z broni krótkiej i z większości karabinów powoduje, że na ręce trzymającej broń odkładają się ślady spalonego prochu i gazów.

Jednak Lucas tylko prychnął.

– Kurwa, to proste. Były dwa strzały.

– Tak! Dobrze! – wykrzyknął z entuzjazmem Lincoln. – Verlaine wpuszcza kogoś do domu, a ten lub ta podchodzi z boku i rozwala mu łeb. Morderca wkłada pistolet w dłoń Verlaine’a i znów pociąga za spust. Trach... Odciski palców Verlaine’a zostają na spluwie, na jego dłoni odkładają się ślady po wystrzale. Morderca zabiera drugą łuskę i porzuca spluwę przy ciele denata.

– To gdzie jest ten drugi pocisk? – spytał Cooper.

Lucas podenerwowany tym, że ktoś próbuje zrobić jego przyjaciółkę, warknął ze złością:

– Chryste Panie, przyjrzyj się tym cholernym zdjęciom! Cała ta pieprzona pracownia jest jak jeden wielki wychwytywacz pocisków na strzelnicy. Wszędzie są tysiące kawałków metalu. Połowa tych jego tak zwanych dzieł sztuki wygląda, jakby mała waliła w nie młotkiem. W życiu nikt nie znajdzie pojedynczego pocisku.

– No dobrze, mogło tak być – powiedziała Amelia. – Ale pozostaje kluczowe pytanie: skąd odcisk palca Lily na łusce wystrzelonego pocisku? Jakim cudem sprawca mógłby coś takiego zaaranżować? – Odrzuciła do tyłu swe długie rude włosy i Lincoln z rozbawieniem patrzył, jak Lucas odprowadza je wzrokiem. To, że ktoś jest wiernym mężem jeszcze nie znaczy, że musi być ślepy.

– Ludzie z WSW uważają, że Lily zabrała pistolet wtedy, gdy strzeliła do Levona Pitta, ratując jego syna. Jak on miał na imię?

– Ten chłopak? – Cooper przerzucił kartki. – Andy.

Nagle Lucas pstryknął palcami i wykrzyknął:

– Zaraz, moment, coś tu nie gra. To spluwa Levona Pitta i zapewne przez niego została załadowana. Dlaczego Lily miałaby ją od nowa ładować swoją amunicją? Przecież to bez sensu. Nie mówię wcale, że byłaby do tego zdolna, ale gdyby miała taki zamiar, to przecież nie jest głupia.

– Ktoś podprowadził jeden z jej pocisków i włożył do magazynka tej spluwy – powiedziała Amelia.

– I zrobił to w rękawiczkach.

– Albo wcisnął kłykiem – uzupełnił Lucas.

Broń można ładować, trzymając amunicję między kłykami

palców, dzięki czemu opuszki w ogóle nie stykają się z łuską i pociskiem.

Lincoln pokiwał głową.

– Nasz drogi przyjaciel Markowitz nie jest zachwycony tym, że na jego ludziach od narkotyków ciąży jakieś podejrzenie. Natomiast mnie coraz bardziej to przekonuje.

– Ale ci z WSW nie uwierzą nam na słowo – zauważył Cooper. – Jak możemy udowodnić, że ktoś podkradł Lily łuskę wystrzelonego pocisku?

Lincolnowi przyszło coś do głowy.

– Zadzwoń do balistyki. Niech kontrolnie wystrzelą pocisk z pistoletu znalezionego przy Verlainie. Chcę mieć trójwymiarowe porównanie tej łuski z łuską, na której wykryto odcisk palca Lily. I chcę je, kurwa, na wczoraj.

– Już się robi.

Na wczoraj się nie udało, ale i tak było nieźle, bo po godzinie obrazy trafiły na wielki ekran ich monitora.

Lincoln popatrzył na Lucasa i Amelię.

– Wy jesteście specami od strzelanek. Co o tym sądzicie?

Wystarczyło im jedno spojrzenie. Popatrzyli po sobie i pokiwali głowami.

– Łuska z odciskiem palca Lily została celowo obrobiona tak, żeby pasowała do lufy pistoletu Pitta. Sprawca podmienił jeden z pocisków.

– Mhm – potwierdziła Amelia. – Czyli wiadomo, że ten, kto to zrobił, zna się na broni palnej i obróbce metalu. Bo to naprawdę precyzyjna robota, o bardzo ścisłych tolerancjach.

– Dobra. To dowodzi, że ktoś ją wrabia. Tylko że nie przybliży nas ani o krok do ustalenia, kim on jest – powiedział Cooper.

Zapadło milczenie i dopiero po dłuższej chwili przerwał je Lucas.

– A może? Amelio, znasz kogoś z sekcji dowodowej nowojorskiej policji?

– Czy kogoś znam? – parsknęła Amelia. – Ja tam praktycznie mieszkam.

\*\*\*

Stan Markowitz stał na podium, obok komisarza policji, jakiegoś

urzędasa z biura burmistrza i paru oficerów z sekcji prasowej komendy policji.

Znajdowali się w sali konferencyjnej budynku Police Plaza One, przed nimi stał las mikrofonów, kamer, aparatów fotograficznych i telefonów komórkowych ustawionych na nagrywanie, wycelowanych w nich jak pistolety. Choć tak naprawdę można było odnieść wrażenie, że głównym celem wszystkich jest Markowitz.

– To chyba nie najlepszy dzień dla twojego szefa – powiedział Lincoln do Amelii.

Siedzieli wpatrzeni w wielki ekran telewizyjny w rogu jego salonu.

Lucasa nie było, bo akurat zajmował się czymś innym.

– Chyba nie. Ale trudno mu się dziwić – odparła. – Pół miasta go ogląda.

– Pół kraju – poprawił ją Lincoln. – Od dawna nie mieliśmy dobrych seryjnych morderców. Wszystkie reki się zebrały, żeby wyszarpać kawałek dla siebie.

Wyglądało na to, że poza telewizją satelitarną i hiszpańskojęzycznym Telemundo są tu wszyscy.

– „Szanowni państwo” – zaczął przymilnie Markowitz, choć z jego tonu można było wnioskować, że rzeczywiście uważa ich za reki.

Powitanie utonęło w morzu wykrzykiwanych pytań.

– „Dlaczego je torturowano?”

– Jakie znaczenie ma to, że ofiary należały do mniejszości etnicznych?

– Czy wiąże się to ze sprawą Bekkera sprzed paru lat, którą zajmował się Lucas Davenport?

– Co pan może nam powiedzieć o życiu seksualnym Verlaine’a?”

Pytających ogarnął amok.

Markowitz najwyraźniej miewał już z czymś takim do czynienia, bo zaczął mówić bardzo cicho. Stara sztuczka odniosła skutek. Reki nagle sobie uświadomiły, że jeśli nie przestaną wrzeszczeć, to nie usłyszą ani słowa, więc wszystkie zamknęły paszcze.

Szef wydziału śledczego jeszcze chwilę odczekał, po czym podjął:

– „Jak zapewne państwu wiadomo, skrupulatne przebadanie zebranych dowodów oraz analiza behawioralna podejrzanego doprowadziła śledczych do wniosku, że mieszkaniec Manhattanu,

James Robert Verlaine, może być sprawcą niedawnej serii zabójstw kobiet w naszym mieście. Wszystko wskazywało na to, że prowadzone śledztwo skłoniło Verlaine'a do targnięcia się na swoje życie, a dowody zdawały się to potwierdzać”.

– Och, jakże miło słyszeć, że w Akademii Policyjnej wciąż uczą używać dziesięciu słów tam, gdzie starczyłoby jedno – mruknął Lincoln.

Amelia parsknęła śmiechem i cmoknęła go w szyję.

– „Zapewne wiedzą też państwo, że zaistniało podejrzenie, iż jedna z funkcjonariuszek policji nowojorskiej zastrzeliła Verlaine'a, starając się nadać zabójstwu pozory samobójstwa. Wnikliwe śledztwo wykazało jednak, że podejrzana o to śledcza Lily Rothenburg w rzeczywistości nie miała ze śmiercią Verlaine'a nic wspólnego i że ktoś celowo podrzucił sfałszowane dowody, chcąc zrzucić na nią winę. Pragnę oświadczyć, że śledcza Rothenburg została w pełni oczyszczona z podejrzeń. Wygląda też na to, że Verlaine nie był sprawcą śmierci tych kobiet. Śledcza Rothenburg powróciła do kierowania grupą roboczą, której zadaniem jest wykrycie prawdziwego sprawcy. Spodziewamy się, że podejrzany trafi wkrótce za kratki. Nie mam obecnie nic więcej do dodania.

– Szefie, czy to znaczy, że Verlaine'a zamordował ten sam podejrzany...”

W gąszczu przed podium pojawił się mikrofon z nowym logo. Telewizja Telemundo dołączyła do reszty.

– „Czy może pan powiedzieć, nad czym teraz pracuje śledcza Rothenburg?”

– Czy może pan zapewnić mieszkańców Nowego Jorku, że zagrożenie już minęło?”

Markowitz przez chwilę wpatrywał się w tłum takim wzrokiem, że Lincoln pomyślał, iż za chwilę głośno powie to, co naprawdę myśli: „Jakimi pieprzonymi kretynami musicie być, żeby nie rozumieć, że nie mam nic więcej do dodania?”.

– „Dziękuję państwu” – powiedział Markowitz i zszedł z podium.

\*\*\*

Amelia obdzwoniła kilka stacji telewizyjnych i udając rozsierdzoną



policjantkę, przekazała im, że Lily Rothenburg siedzi sobie jakby nigdy nic w willi Lincolna Rhyme'a.

– A jest winna jak diabli. Ona to zrobiła i należy ją dopaść.

W ciągu godziny pod dom Lincolna zajechało sześć ekip telewizyjnych i zebrał się tłum gapiów. W końcu ktoś się zdecydował i załomotał do drzwi. Amelia otworzyła i spytała, czego sobie życzą.

Życzyli sobie Lily.

Po krótkich targach Lily wyszła przed dom i oznajmiła, że wygłosi tylko krótkie oświadczenie na użytek mediów, nic więcej.

– Mam dość wyrobione zdanie o tym, jak to się mogło stać – zaczęła.

– Czy jest pani winna?! – wykrzyknął ktoś.

– Oczywiście, że jestem niewinna – odrzekła Lily. – Moją jedyną winą jest to, że próbuję wykryć mordercę torturującego swoje ofiary. Logicznych wariantów pojawia się tu kilka i będę je kolejno sprawdzać i eliminować, aż w końcu ujmiemy tego szaleńca. Jestem pewna, że stanie się to w ciągu paru najbliższych dni.

Spotkanie z reporterami potrwało jeszcze ze trzy minuty, po czym Lily oznajmiła, że nie ma nic więcej do powiedzenia, i wycofała się do środka. Ekipy telewizyjne zwinęły sprzęt i rozjechały się, gapie się rozeszli i na posterunku został tylko jeden reporter radiowy.

Godzinę później Lucas uchylił drzwi i poinformował reportera, że jeśli czeka na Lily, to na próżno, bo już pół godziny temu wyszła tylnymi drzwiami.

O dziesiątej wieczorem Lucas i Lily pojechali na West Side, w rejon Trzydziestek na zachód od Dziewiątej Alei. A za nimi dwa samochody, w każdym po dwoje policjantów, jedną z policjantek była Amelia.

Lily odebrała telefon i przekazała wiadomość Lucasowi.

– Już jedzie. Powinien wysiąść na Penn Station i pójść dalej pieszo, chyba że coś mu się odmieniło.

– Trochę się niepokoję – powiedział Lucas. – To wariat. Jeśli się na ciebie rzuci, to może nawet...

– Pracuje w szpitalu. Wątpliwe, żeby był uzbrojony. A mam na sobie nożoodporną kamizelkę.

– Nie ma rzeczy w pełni nożoodpornych – rzekł Lucas. – Chyba powinniśmy trochę odpuścić.

– Nie zgadzam się – powiedziała Lily. – Trzeba iść za ciosem. Musi czuć presję. Jeśli będzie miał zbyt dużo czasu na myślenie, może zacząć zacierać ślady. Jak się nad tym zastanowi, na pewno zrozumie, że nie mogę działać sama. Nie wolno dopuścić, żeby zaczął myśleć.

Andy Pitt mieszkał w bloku obłożonym płytami piaskowca, któremu zdaniem Lucasa potrzeba było co najmniej pięćdziesięciu yuppie i dwóch pokoleń, by mógł się stać obiektem zainteresowania deweloperów. Siedzieli przecznicę dalej, nieliczni przechodnie kręcili się po ulicy i dopiero po chwili Lily i Lucas dostrzegli, że w zaparkowanych samochodach siedzą ludzie. Minęła ich jakaś para i rozradowany mężczyzna z białym psem na smyczy.

Odezwał się policyjny radiotelefon i Lily przytknęła go do ucha.

– Już jest, idzie chodnikiem w waszą stronę – usłyszała.

– Drut działa – mruknął Lucas.

Lily miała założony podsłuch, przez co wyglądała nieco pękato, ale pękaty wygląd był niczym w porównaniu z tym, co mogłoby się zdarzyć.

Odebrali wiadomość do Amelii, która z trójką policjantów siedziała w piwnicy po drugiej stronie ulicy.

– Jesteśmy gotowi – zameldowała.

Chwilę później dostała następną wiadomość: „Minął Dziewiątą Aleję i nadal idzie w waszą stronę. W ręku ma torbę z zakupami”.

Kolejne dwie minuty i znów komunikat: „Jest dwie przecznice od was”.

– Ruszamy – powiedziała Lily.

Podeszli do schodków przed drzwiami bloku. Były zamknięte na klucz, ale otwarcie ich wytrychem zajęło tylko chwilę i Lucas wślizgnął się do środka. Hol był oświetlony jedną słabą żarówką. Lucas podszedł i wykręcił ją paroma szybkimi ruchami, bo szklana bańka parzyła mu palce. Potem wyjął pistolet, przeładował i oparł się plecami o ścianę. Widział stojącą tuż za szybą Lily i słyszał, jak gdacze jej radiotelefon:

– Za dziesięć sekund wyjdzie z za rogu. Dziewięć. Osiem.

Lily uchyliła drzwi i podała mu słuchawkę. Oboje zaczęli liczyć w myślach. Siedem. Sześć. Pięć. Cztery.

Andy wyszedł z za rogu. Spoglądając ponad głową Lily, Lucas rzucił:

– Zauważył cię. Udawaj, że dobijasz się do drzwi.

Walnęła pięścią.

– Nadchodzi – rzucił Lucas. – Jest trzydzieści metrów za tobą.

Lily odwróciła się od drzwi, jakby zrezygnowana, jej wzrok pobiegł ku Andy'emu i jego torbie na zakupy. Andy zatrzymał się pod jedyną latarnią w okolicy. Lily zeszła ze schodków i zawołała:

– Policja. To ty, Andy? Zaczekaj tam na mnie.

Jeśli rzuci się do ucieczki, trzeba będzie zmienić plan.

Nie rzucił się.

– Ty jesteś tą gliniarą, co zabiła mojego ojca – powiedział.

– Zgadza się. Chcę ci zadać kilka pytań. Próbujemy ustalić, jak to się stało, że pewien dziewięćmilimetrowy nabój znalazł się w pistolecie użytym w innym zabójstwie. Mogłeś o tym słyszeć. Po namyśle doszłam do wniosku, że jest tylko jedna możliwość. Że ty zabrałeś łuskę. Wstrzymaliśmy wtedy akcję i wszystkich usunęliśmy, ale ty jeden zostałeś przy ojcu. Jak to było? Nadepnąłeś na nią? Ukląkłeś na niej? Bo klęczałeś obok ojca.

Obserwujący całą scenę Lucas dostrzegł, że Andy gmera lewą ręką w kieszeni marynarki. Z tej odległości nie widział dokładnie, co on robi, ale Lily nie wyglądała na zaniepokojoną. Tyle że mogła tego nie zauważyć, bo nie przestawała mówić.

– Odkryliśmy miejsce zbrodni i znaleźliśmy ślady DNA, których nie powinno tam być. Niezbyt dużo, tylko kilka otarć naskórka, ale to nam wystarczy. Dlatego mam nakaz. Potrzebna nam próbka twojego DNA. To nic nie boli. Mam tu zestaw do pobierania próbek. Wystarczy przesunąć wacikiem po dziąsłach.

– Ukląkłem – powiedział Andy.

– Słucham?

– Ukląkłem na tej łusce. Nie zrobiłem tego celowo. Po prostu przypadkiem ukląkłem. Spojrzałem, co mnie uwiera, i schowałem do kieszeni.

– A potem zrobiłeś z niej nabój i załadowałeś do magazynka.

– Jasne. Tata i ja ładowaliśmy wszystko. Jak się dużo strzela, to nie można nic marnować. Odzyskaliśmy ponad połowę, tylko że jeszcze więcej wystrzelaliśmy.

– Kto zabijał te kobiety? Ty czy Verlaine?

– Verlaine? – Andy parsknął śmiechem i postawił torbę z zakupami

przy nodze. – Mieliliśmy podobne zainteresowania, ale jemu brakowało jaj, żeby naprawdę coś z tymi laskami zrobić. Chciał je tylko zmuszać do pozowania w niewolniczych pozach i dłubać te swoje rzeźby. Potem łąził po klubach i się nimi przechwalał. Ale miał też piwnicę, w której trzymał gotowe prace. Założył do niej pancerne drzwi, bo cholerni złomiarze kradną i przetapiają każdy kawałek metalu, jaki im się nawinie. I to było dobre, bo mogłem sprowadzać tam dziewczyny i robić z nimi, co mi się podobało. To wszystko, o czym on tylko marzył. Miałaś kiedyś niewolnika? Nie znam nic lepszego.

– Dlaczego go zabiłeś?

– Przez ciebie. Nie wiedziałem, jak blisko jesteście, żeby go namierzyć, mimo tych wszystkich poszlak, które wam podrzucałem. Różnych opiłków brązu. Ale miałem też pocisk, a pocisków się nie marnuje. Zabiłaś mi ojca. Pomyślałem, że wsadzą cię za to do pierdła, więc będziesz miała dość czasu, żeby wszystko przemyśleć.

– Dlaczego właśnie one, Andy? Dlaczego akurat te kobiety?

Nie odpowiedział, tylko zrobił krok do przodu. Z kieszeni marynarki wyfrunęła jego zwinięta w pięść dłoń.

Lucas wypadł zza drzwi, z pistoletem gotowym do strzału.

– Lily, on ma coś w ręce! – krzyknął. – Coś w niej trzyma!

Lily spróbowała odskoczyć, ale Andy chwycił ją za kołnierz, szarpnął do tyłu i rozejrzał się.

– Nie podchodzić! Nie podchodzić! – wrzasnął. – Mam tu skalpel. Porznię jej twarz.

Amelia i pozostali gliniarze wybiegli z domu po drugiej stronie ulicy i rozsypali się w tyralierę.

– Odejść! Odejdźcie, bo poderżnę jej gardło! Przysięgam na Boga. Poderżnę jej to pieprzone gardło!

Ponownie szarpnął Lily do tyłu, a ona krzyknęła w stronę Lucasa:

– Nie mogę dosięgnąć broni. Zakleszczyła mi się pod tą cholerną kamizelką.

– Dasz radę paść na ziemię?! – zawołał Lucas.

– Może.

– Niczego nie próbuj. Ja chcę tylko stąd zniknąć. Dojdę z nią do przecznicy i...

Lily chwyciła jego rękę ze skalpelem i odepchnęła od siebie na dwa

centymetry, i w tym samym momencie wyrzuciła przed siebie nogi i opadła na chodnik. Amelia i Lucas strzelili niemal równocześnie i głowa Andy'ego eksplodowała.

Lily klapnęła na pupę i odturlała się od padającego ciała. Skalpel z brzękiem wylądował na chodniku dwa metry dalej.

– To nie był najlepszy pomysł – mruknęła, podnosząc się z ziemi i spoglądając na ciało.

Dalej już wszystko poszło rutynowo: sprawdzono nagranie i uznano chodnik za miejsce przestępstwa. Andy Pitt miał w głowie dwie rany postrzałowe: jedną z wlotem na czole i wylotem z tyłu głowy; drugą z wlotem przez jedną skroń i wylotem przez drugą.

Gdy ogrodzono miejsce taśmą policyjną, Lucas podszedł do Amelii i spytał:

– U ciebie wszystko w porządku?

– U mnie tak. A u ciebie?

– Też – odrzekł, po czym dodał: – Wiesz, że jak pociągasz za spust, to się uśmiechasz?

\*\*\*

Usiedli na krzesłach z państwowego rozdzielnika i jednym wózku inwalidzkim przed obliczem szefa wydziału śledczego. W jego gabinecie.

Lucas, Lily, Amelia i Lincoln. Przybyli, by wziąć udział w czymś, co Lincoln żartobliwie nazwał prosekcją zwłok. Może niezbyt elegancko, ale żadne z nich nie przejmowało się zbytnio tym, że Andy Pitt leżał obecnie w kostnicy.

Markowitz rozmawiał przez telefon, cały czas kiwając głową, z czego należało wnioskować, że rozmawia (a ściślej mówiąc, tylko słucha) ze swoim szefem, komisarzem policji. Lincoln rozejrzał się po gabinecie. Był elegancki i przestronny, z okien roztaczał się ładny widok, choć akurat widoki Lincolnna nie interesowały. Na przykład z okien jego willi roztaczał się piękny widok na Central Park, on jednak zawsze kazał Thomowi zaciągać kotary.

Widoki go rozpraszały.

W końcu Markowitz odłożył słuchawkę i potoczył po nich wzrokiem.

– Góra cała szczęśliwa. Niepokoilem się, oni też się niepokoiili. No cóż, wasz plan był dość ryzykowny, ale wypalił.

Lincoln wzruszył ramionami – był to jeden z niewielu ruchów, jakie mógł wykonać – i obrócił swój wózek w stronę Markowitza.

– Plan był logiczny, realizacja kompetentna – powiedział.

W jego ustach była to jedna z największych pochwał.

Lucas pierwszy wpadł na to, kto mógł zabić Verlaine’a i próbować to zrzucić na Lily.

„Amelio, znasz kogoś z sekcji dowodowej nowojorskiej policji?”

Odtworzył w myślach okoliczności, w jakich mogło dojść do pozostawienia przez Lily odcisku palca na łusce pocisku: podczas strzelaniny z Levonem Pittem. I rzeczywiście, po sprawdzeniu rejestru w sekcji dowodowej okazało się, że podczas akcji Lily wystrzeliła trzy pociski, ale znaleziono tylko dwie łuski. Najprawdopodobniej ktoś znalazł i zabrał trzecią.

– No więc tak, pistolet znaleziony u Verlaine’a należał do Levona Pitta, łuska po naboju do Lily, ale tkwiący w niej pocisk został wystrzelony podczas obławy na Pitta – stwierdził Lucas, gdy się o tym dowiedzieli. – Jak można połączyć te dwie sprawy? Tylko przez kogoś, kto był zamieszany w obie. To Andy Pitt, syn Levona. Chłopak, którego własny ojciec chciał użyć jako zakładnika. Ale jeśli nie? Jeśli chłopak był nie zakładnikiem, tylko współnikiem ojca w tych seryjnych morderstwach? I śmierć ojca zrodziła w nim nienawiść do Lily?

Lincoln przyznał, że brzmi to sensownie, po czym dodał, że Andy i Verlaine mogli się poznać na składowisku złomu, gdzie Verlaine szukał surowca do swoich rzeźb.

Ustalili adres młodego Pitta i rozpoczęli obserwację jego bloku.

Jednak nie uzyskali żadnych obciążających dowodów. Potrzebne było coś więcej. Należało go sprowokować, zmusić do działania.

I to Lincoln obmyślił cały plan. Użycie Lily w roli przynęty. Przekonali Markowitza, że jest niewinna, i wymogli na nim wydanie odpowiedniego komunikatu dla prasy. Potem Amelia rozesłała wici wśród ludzi mediów i Lily złożyła swoje oświadczenie.

To praktycznie gwarantowało, że Andy się zorientuje, iż policja jest na jego tropie, i będzie musiał wykonać jakiś ruch.

– Nie umiem wręcz wyrazić swojej wdzięczności – powiedział

Markowitz. – Szczególnie tobie, Lucas, że chciało ci się przyjechać taki kawał drogi z Minneapolis. To naprawdę wykraczało poza twoje obowiązki.

– Cieszę się, że mogłem pomóc.

– No i możesz teraz wracać.

Markowitz myślami był już chyba gdzie indziej, bo wlepił wzrok w notatnik, gdzie zapisał uwagi, które przekazał mu przed chwilą komisarz. Całe ich mnóstwo.

Jednak nikt się nie ruszył. Lincoln spojrział na Lily, która była wśród nich najwyższym stopniem oficerem policji.

– Stan, jest coś jeszcze – powiedziała. – Taka jedna niezakończona sprawa.

– Niezakończona sprawa? – powtórzył Markowitz, odhaczając coś ptaszkami.

– Pamiętasz nasze podejrzenia? Że ktoś może manipulować Verlaine'em w sprawie tych morderstw? A jeśli to nie Verlaine'em manipulowano, tylko Andym Pittem?

– Co? Nie rozumiem.

– Bo oczywiście miał motyw, żeby się na mnie mścić – ciągnęła Lily. – Ale to jeszcze nie znaczy, że ktoś go nie zmusił lub nie wynajął do zabicia tych kobiet. Oraz Verlaine'a.

– Na przykład ktoś z narkotykowej czwórki – wtrąciła Amelia. – Pitt nie zdążył nam powiedzieć, dlaczego mordował te kobiety. No bo właściwie dlaczego? Może dlatego, że stanowiły dobre źródło informacji o operacjach narkotykowych w mieście. Może to Andy'ego zwerbowano do współpracy z czwórką?

– I zastanowiliśmy się nad czymś jeszcze – podjął Lincoln. – Kto konkretnie starał się tak zażarcie osłaniać funkcjonariuszy? Kto twarzą się upierał, że morderstwa kobiet są dziełem psychopaty i nie mają nic wspólnego z policją?

– Tym kimś mogłeś być tylko ty, Stan – powiedziała Lily.

Jeśli nawet jej słowa nie wywołały na Markowitzu większego wrażenia, na pewno dokonał tego glock, który równocześnie pojawił się w jej dłoni.

\*\*\*

– O jasna cholera! – Markowitz westchnął.  
– Co tu jest grane, Stan? – spytała zimno Amelia, odrzucając włosy do tyłu.

Lucas wpatrywał się w niego w milczeniu.

Zapadła cisza.

– No dobra – mruknął w końcu szef wydziału śledczego. – Rzeczywiście starałem się odwrócić waszą uwagę od sprawy narkotyków...

– Niech zgadnę – przerwała mu Lily. – Bo te kobiety torturowano, żeby wydobyć z nich informacje o siatce narkotykowej w mieście, a następnie zabijano. Dzięki temu narkotykowa czwórka mogła robić za najjaśniejszą gwiazdę na policyjnym niebie.

– Zgaduj sobie dalej, koleżanko śledcza. – Z ust Markowitza wydobył się chrapliwy rechot. – Nie przyszło ci do głowy, że czwórka mogła mieć rekordową liczbę zatrzymań z jakiegoś innego powodu? Że niekoniecznie musiała w tym celu werbować psychopatę do torturowania i zabijania narkomanek?

Nikt się nie odezwał.

– A może było tak dlatego, że pierdolony szef czwórki dał się przekupić?

– Marty Glover?

– Nie kto inny. Podejrzewaliśmy to już od pół roku. Rzeczywiście czwórka zgarniała dostawców, importerów i producentów amfy z całego miasta, poza jednym rejonem. Chodziło o wielką siatkę heroinową z bazą w Red Hook na Brooklynie. – Postukał palcem w teczkę z dokumentami. – Glover był na ich liście płac i wykorzystywał swój zespół do eliminowania ich konkurencji. Pozostali członkowie czwórki nie mieli o tym pojęcia. Wiedzieli tylko, że Glover ma dobre źródła informacji.

Markowitz machnął ręką na wymierzony w niego pistolet, jakby odganiał uporczywą muchę.

– Mogłabyś? Bądź tak miła.

Lily wsunęła glocka do kabury, jednak rękę trzymała w pobliżu.

– Operacja Red Hook, prowadzona przez WSW przeciw Gloverowi, nie miała nic wspólnego z Verlaine'em i Pittem ani z torturowaniem i zabijaniem kobiet. Zupełnie przypadkowo ofiary były narkomankami.



Kiedy zaczęliście szukać powiązań i węszyć, Glover się wystraszył. Bałem się, że przez to zerwie kontakty i spróbuje zniszczyć wszelkie dowody. Dlatego wam wtedy powiedziałem, żebyście dali spokój. I tyle.

– Co się stało z Gloverem? – zapytał Lucas.

– Nie chciałem tak szybko przystępować do akcji, ale już nie miałem wyboru. Wezwałem Candy Preston z narkotykowej czwórki i zastawiliśmy na Glovera pułapkę. Kazałem wykorzystać jednego z jej kapusiów, by zaoferował mu łapówkę. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Właściwie nie sądziłem, że się na to złapie, ale nie zdołał się oprzeć. Mamy go na wideo, jak przyjmuje łapówkę. Nie tak wyobrażałem sobie jego aresztowanie, bo chciałem przy tej okazji zwinąć też paru drani z Red Hook. Teraz prokurator już go magluje. Pomacha mu przed nosem grożącym mu wyrokiem i wycisnie z niego wszystkie nazwiska.

Lincolnowi wydało się to wiarygodne, choć nie był do końca przekonany.

Podobnie jak Lucas, który powiedział:

– To ciekawa historia, Stan. Chyba jednak wolelibyśmy uzyskać potwierdzenie z jakiegoś innego źródła. Z kim moglibyśmy w tej sprawie porozmawiać?

– Jest ktoś, kto od początku był informowany o operacji Red Hook.

– Kto taki?

– Burmistrz.

Lincoln spojrzał na Lucasa.

– Mnie to wystarczy – mruknął.

\*\*\*

Wyszli z budynku i skierowali się do vana. Na ich widok siedzący za kierownicą Thom otworzył pilotem tylne drzwi, opuścił platformę i wysiadł z szoferki.

Lincoln podjechał i obrócił wózek tyłem do platformy.

– Czy ktoś ma ochotę na aperitif u mnie w domu? – zapytał. – Zbliża się pora koktajlu.

– Trochę za wcześnie – burknął jego opiekun, istna kwoka.

– Thom, nasi goście mają za sobą bardzo traumatyczne przeżycia. Porwania, wymachiwanie nożami, strzelaniny. Jeśli ktoś zasługuje na chwilę relaksu, to właśnie oni.

– Bardzo chętnie – rzekł Lucas. – Tylko że wracam na łono rodziny. Za godzinę mam samolot.

– Dopilnuję, żeby zdążył na lotnisko – oznajmiła Lily. – I nie wpakował się po drodze w jakieś kłopoty.

Podali sobie ręce. Lincoln wjechał na platformę, jego opiekun przypiął wózek brezentowymi pasami.

– Powinniśmy pomyśleć, Davenport – rzucił Lincoln – żeby to powtórzyć.

Thom uniósł brwi.

– Mówi ci po nazwisku – zauważył. – Znaczy, że cię lubi. A nie ma takich wielu.

– Nie mówiłem nic o lubieniu – parsknął Lincoln. – Skąd takie przypuszczenia? Powiedziałem tylko, że nasza współpraca nie zakończyła się katastrofą, na jaką się zanosilo.

– Mogę tu nie wrócić tak szybko – odparł Lucas, przekrzywiając głowę. – A ty bywasz w Minnesocie?

– Kiedyś często bywałem.

– Bywałeś? – zdziwiła się Amelia.

– Oczywiście. Pochodzę ze Środkowego Zachodu, nie pamiętasz? Chodziłem na szczupaki nad jezioro Swan i nad Minnetonkę.

– Łowiłeś ryby? – zdumiał się Thom. Był wyraźnie zaskoczony.

– I byłem w Hibbing. Na pielgrzymce z Bobem Dylanem.

– Tam się mieści ta największa na świecie kopalnia odkrywkowa rudy żelaza, tak? – upewnił się Lucas.

Lincoln skinął głową.

– Pamiętam, że moją pierwszą myślą było, że to świetne miejsce na pozbywanie się ciał.

– Też tak pomyślałem.

– No to uzgodnione – mruknął Rhyme. – Jeśli natkniesz się tam na jakąś dobrą sprawę, coś naprawdę ciekawego, daj znać.

– Lily też już tam przyjeżdżała, żeby nam pomóc. Moglibyśmy się spotykać w pełnym składzie – dodał i spojrzał na Amelię. – I wybralibyśmy się na strzelnicę. Nauczyłbym cię strzelać.

– I moglibyśmy przejechać się po tej wyścigówce, o której mówiłeś. Troszkę bym cię podszkoliła, jak jeździć tą twoją zabaweczką.

– Ruszajmy, Sachs – burknął Lincoln. – Czeka nas pisanie raportu

z akcji.

## HEATHER GRAHAM

i

## F. PAUL WILSON

Jack Repairman należy do prawdziwie wyjątkowych bohaterów literackich. F. Paul Wilson stworzył go w 1984 roku w powieści *The Tomb* jako miejskiego najemnika, którego można zaangażować do załatwienia sprawy, gdy oficjalny system nie umie lub nie chce sobie z nią poradzić. Książka odniosła ogromny sukces, mimo to Paul przez następne czternaście lat nie umieścił Jacka w żadnej ze swych kolejnych powieści. Dlaczego? Autor mówi, że obawiał się, iż Jack Repairman zawładnie całą jego twórczością. W końcu, w roku 1998, Jack powrócił, by wystąpić – jak Paul wówczas twierdził – w jednej tylko powieści.

Potem Paul napisał następną. I jeszcze jedną

Dwadzieścia dwie powieści później można chyba przyznać, że Jack Repairman istotnie zawładnął twórczością Paula.

I jakoś nikt nie narzeka.

Autor i jego bohater świetnie do siebie pasują.

Heather Graham to gejzer niezmordowanej energii pisarskiej, autorka ponad stu powieści. Pisze romantyczne thrillery, romanse historyczne, historie o wampirach, podróżach w czasie i okultyzmie, a nawet opowieści bożonarodzeniowe. Cokolwiek wymienicie, ona już o tym pisała. Najlepiej jednak czuje się wówczas, gdy elementy paranormalne mieszają się z realnym ludzkim złem. I choć Heather jest ostatnio najbardziej znana jako autorka powieści o Krewe z Hunter, pomysł cyklu z Cafferty i Quinnem od dawna chodził jej po głowie. Po raz pierwszy Michael Quinn i Danni Cafferty pojawili się w książce *Let the Dead Sleep* (2013), by wkrótce potem powrócić w *Waking the Dead*.

Michael Quinn jest postacią nietuzinkową. Jako gwiazdor uczelnianej drużyny futbolowej zdobywa ogromną popularność

i prowadzi szaleńczy tryb życia, co kończy się jego śmiercią na oddziale ratunkowym w szpitalu. Grupie lekarzy udaje się przywrócić go do życia i w efekcie Quinn staje się zupełnie innym człowiekiem, który nie jest do końca pewien, co wyniósł z tamtego świata. Kiedy poznaje Danni Cafferty, która właśnie odziedziczyła po ojcu sklep z osobliwościami w Nowym Orleanie, stwierdza, że przyda jej się pomoc przy tworzeniu własnej kolekcji. Quinn pod wieloma względami jest podobny do Jacka Repairmana. Nie uznaje żadnych zasad, jakich przestrzegają zwykli stróże prawa. Oczywiście wie, gdzie przebiega granica, jednak świadomie ją ignoruje.

Jak zatem mogło dojść do ich spotkania?

Heather wymyśliła intrygę z Michaelem Quinnem i grobowcem mieszczącym pewien tajemniczy przedmiot, problem jednak w tym, że Jack Repairman praktycznie nie rusza się z Nowego Jorku. Paul musiał wymyślić, jak wysłać go do Nowego Orleanu.

I tu pojawia się Madame de Medici.

Kto to jest?

Sami zobaczycie.

## **Piekielna noc (INFERNAL NIGHT)**

Jack słuchał, nie przestając się rozglądać po pokoju.

No dobra, więc Jules, ostatni żyjący potomek rodu Chastainów, jest krezusem. Nawet jeśli prywatny gulfstream V, który zabrał go z lotniska LaGuardia, oraz maybach z szoferem w liberii, przysłany po niego na lotnisko w Nowym Orleanie, by go o tym nie przekonały, wystarczyło spojrzeć na posiadłość, do której go przywieziono.

Samochód minął grupę dębów z kołyszącymi się na wietrze sznurami mchu, które obrastały rezydencję po obu stronach, i zajechał pod główne wejście. „To Garden District”, wyjaśnił po drodze szofer i choć Jackowi nic ta nazwa nie mówiła, po wyglądzie mijanych domów domyślił się, że mieszkają w nich ludzie bogaci od pokoleń, czas płynie tu godnie i leniwie, a mury pamiętają stare dobre czasy. Jack podejrzewał, że i ta rezydencja należała kiedyś do właściciela plantacji. Kolumnada przed wejściem kojarzyła mu się z Tarą z *Przeminęło z wiatrem*.

Nim zgodził się przyjechać, przeprowadził krótkie rozpoznanie i wiedział, że Jules Chastain wszedł w posiadanie fortuny w tradycyjny sposób: odziedziczył ją.

Facet znał mnóstwo ludzi. Sławnych ludzi. Na ścianach wisiały zdjęcia z gazet i oryginalne fotografie Chastaina z George'em W., Obamą i Streisand, a nawet Little Richardem, a to już naprawdę było coś. I wszędzie widniały pamiątki z całego świata. Jack w swoim mieszkaniu też miał wiele pamiątek, jednak głównie z lat trzydziestych i czterdziestych ubiegłego wieku. Te wyglądały bardziej jak z czasów sprzed piramid.

To rzeczywiście może robić wrażenie, pomyślał.

Zapewne wrażenie byłoby jeszcze większe, gdyby facet mówił z sensem. Jack przestał się rozglądać i spojrzął na Chastaina, który

siedział za biurkiem na czymś w rodzaju tronu wcale niewyglądającego na rekwizyt z planu filmowego. Chastain, z cienkim wąsikiem w okularach z grubymi szklami i w idiotycznej jedwabnej bonzurce, przypominał Percy'ego Dovetonsilsa, tyle że po cracku, a nie po martini<sup>15</sup>.

– Chciałbym to dobrze zrozumieć. Sprowadził mnie pan tutaj aż z Nowego Jorku, żebym z pańskiej rodzinnej krypty wykradł coś, co i tak do pana należy?

– Tak – powiedział Chastain lekko wibrującym głosem. – Właśnie tak.

– No dobrze. Ale skoro nic nie wskazuje na to, żeby pan był inwalidą, czemu nie może pan zrobić tego sam?

– Jak już mówiłem, ten przedmiot należał kiedyś do kogoś innego, kto chce go odzyskać.

– Bo pan go ukradł.

– Panie... jak pan się nazywa?

W ciągu minionych lat Jack posługiwał się wieloma nazwiskami.

– Wystarczy Jack.

– Doskonale, Jack. Zapewniam, że stać mnie na zapłacenie za wszystko, co pragnę posiadać. Za wszystko.

– Chyba że ktoś nie chce tego sprzedać.

Chastain odwrócił wzrok.

– Cóż, czasem człowiek napotyka ośli upór...

– I wtedy musi ukraść.

Chastain lekceważąco machnął ręką.

– Och, no więc dobrze. Tak, wszedłem w posiadanie tego przedmiotu bez zgody drugiej strony.

– I teraz ta druga strona chce go mieć z powrotem.

– Tak, właścicielka odkryła brak przedmiotu.

Słowo „kradzież” chyba nie mogło mu przejść przez gardło.

– Ach, więc chodzi o kobietę. Wcześniej pan o tym nie wspominał.

– Madame de Medici. Słyszałeś o niej?

– Do pańskiego telefonu o panu też nie słyszałem, więc skąd miałbym słyszeć o niej?

– Tak tylko pytam. Znasz powiedzenie „piekło nie zna furii takiej”?

– „Niebo nie zna wściekłości takiej jak miłość w nienawiść

zmieniona ni piekło nie zna furii takiej jak kobieta wzgardzona”<sup>16</sup>.

– Ach, więc mamy miłośnika poezji – rzekł Chastain, unosząc brwi.

– Niezupełnie. Ale lubię wiedzieć, co jest co. Kiedyś studiowałem filologię angielską.

– Doprawdy? Na jakiej uczelni?

– Nazwa uczelni przestaje się liczyć, kiedy człowiek z niej wylatuje. Ale do czego pan nawiązywał?

– No więc o ile prawdziwy cytat brzmi: „piekło nie zna furii takiej jak kobieta wzgardzona”, o tyle w tym przypadku powinien brzmieć: „piekło nie zna furii takiej jak de Medici, której zginęło coś z kolekcji”. Gdy ją zapewniłem, że nie mam tego przedmiotu, wynajęła płatnego mordercę, by mnie zabił.

Jack musiał parsknąć śmiechem.

– Co to za jedna? Żona jakiegoś mafiosa?

– Wbrew swojemu nazwisku pochodzi chyba z Bliskiego Wschodu. Ważne jest to, że zażyczyła sobie mojej śmierci.

Jackowi zdarzyło się, podczas różnych spraw, odebrać paru osobom życie, ale nigdy nie zrobił tego w roli płatnego zabójcy.

– Mam nadzieję, że nie liczy pan na to, że ją załatwię. Takimi rzeczami się nie zajmuję.

– Ależ nie! Jak już mówiłem, potrzebny mi tylko ktoś, kto wydobędzie ten przedmiot z mauzoleum mojej rodziny.

– I do tego potrzebuje pan kogoś aż z Nowego Jorku? Czemu nie kogoś miejscowego?

– Powiedziano mi, że jesteś... jak oni cię nazwali?... miejskim najemnikiem. Tak, miejskim najemnikiem, który ma opinię człowieka sprawnego i dotrzymującego słowa.

– Kto to panu powiedział?

– Nie jestem pewny, czy ten ktoś chciałby, żebym zdradzał jego nazwisko. Poprzestańmy na tym, że wystawił ci świetne referencje.

Jack był ciekaw, kto to może być. W Nowym Orleanie nie znał nikogo. Wzruszył ramionami. W dobie internetu ten ktoś mógł mieszkać gdziekolwiek.

– No dobrze. Ale na pewno jest tu ktoś, kto...

– Masz również opinię człowieka, który nie boi się przemocy



fizycznej. To znaczy na atak odpowiada kontratakami, a nie ucieczką.

– Och, zostawmy to. Dość się w życiu nauciekałem. Co jeszcze pan o mnie słyszał?

Chastain zmarszczył brwi.

– Bardzo mało. Pytałem w wielu miejscach. Wygląda to tak, jakbyś oficjalnie w ogóle nie istniał. Zresztą niektórzy nawet tak twierdzili. Że nie istniejesz. Że Jack Repairman to jedynie miejska legenda. – Mars na jego twarzy przeszedł w uśmiech. – Masz ciekawe przezwisko.

Jack tak naprawdę nigdy go nie lubił, ale sprawy zaszły już tak daleko, że nie mógł nic w tej sprawie zrobić.

– Nie ja to wymyśliłem. Ktoś kiedyś tak mnie nazwał i już przylgnęło.

A co do miejskiej legendy, Jackowi bardzo to odpowiadało. Jego ulubionym sposobem działania było prowadzenie z kimś rozgrywki tak, by się nawet nie zorientował, że to rozgrywka. Tacy nigdy nie mówili o Jacku Repairmanie, tylko skarżyli się na swojego wyjątkowego pecha. Oczywiście sprawy nie zawsze przebiegały zgodnie z planem i czasem robiło się gorąco. Ludzie czasem uciekali się do przemocy i czasem umierali. A wtedy już na pewno nie mówili o Jacku Repairmanie.

Chastain wstał z fotela i podszedł do okna, które musiało mieć ze cztery metry wysokości.

– Dobrze, nieważne – powiedział, wpatrując się w mrok wieczoru. – Rzecz w tym, że mając na karku płatnego zabójcę, potrzebuję kogoś, kto pokona ewentualne trudności, wydobędzie rzeczony przedmiot i mi go dostarczy. Zbyt wielu miejscowych mogłoby zapomnieć o tym ostatnim.

– Mając na karku płatnego zabójcę, nie powinien pan tak stać w oknie.

Chastain cały zeszywniał i pospiesznie odsunął się na bok.

– Czasami tak głupio postępuję – mruknął, zaciągając kotary. – Nie przywykłem do takich sytuacji. Dlatego potrzebuję ciebie.

Jack nadal mu nie dowierzał.

– Najprostszym rozwiązaniem byłoby zadzwonić do tej Medici, powiedzieć jej, gdzie to jest, i niech sama to sobie zabierze.

Chastain gwałtownie zamachał rękami.

– Zrobiłbym to, gdybym tylko mógł! Próbowałem wielokrotnie, ale ona zniknęła z radarów! Brak kontaktu! A obawiam się, że im dłużej to potrwa, tym krócej pożyję. Jeśli ta rzecz trafi z powrotem w moje ręce, będę mógł wynegocjować ugodę. Ale teraz boję się wystawiać nos za drzwi.

Coś tu jednak nie gra, pomyślał Jack.

Zdarzało się już, że klienci próbowali wpuszczać go w maliny. Czy tym razem też tak jest?

– Skąd mam wiedzieć, że nie wrabia mnie pan w kradzież?

Mężczyzna parsknął śmiechem.

– Przecież znajduje się to w mauzoleum Chastainów. Nad wejściem do krypty widnieje moje nazwisko. Pokażę ci, jak można tam wejść od tyłu...

– Dlaczego mam wchodzić od tyłu, skoro mauzoleum należy do was?

– Jeśli wolisz, możesz wejść od przodu. Po prostu obawiam się, że rewolwerowiec Madame de Medici może liczyć, że się tam zjawię, i czekać na mnie w krzakach.

Jack wyciągnął swojego glocka z futerału przy pasku – możliwość latania z bronią była jedną z zalet prywatnych odrzutowców – i wycelował w głowę Chastaina.

– Nie musi siedzieć w krzakach, skoro sam kazałeś go tu przywieźć z lotniska.

Chastain wlepił wzrok w pistolet i zaczął się cofać.

– Co? Nie!

– Madame de Medici zaoferowała mi dwa razy większe honorarium. – Jack wzruszył ramionami. – Zostałeś wykołowany.

– To niemożliwe.

– Całkiem możliwe. – Jack schował pistolet do nylonowego futerału. – Tyle że tym razem nieprawdziwe!

Chastain oparł się ciężko o biurko.

– Dlaczego to zrobiłeś? – sapnął.

– Miałem swoje powody.

Był ciekaw jego reakcji, jednak nie takiej się spodziewał.

– To było okrutne – jęknął Chastain, opadając na fotel za biurkiem.

– Nieee. Po prostu zaserwowałem panu dawkę realizmu. Więc co to

za przedmiot? – Jack wskazał stojącą w rogu ogromną kamienną głowę z czasów Olmeków. – Mam nadzieję, że nie coś w tym rodzaju?

Głośny wybuch śmiechu Chastaina miał lekko histeryczne zabarwienie.

– Boże święty, nie! Chodzi o pierścień. Bardzo stary pierścień. Narysowałem plan wnętrza mauzoleum, tak że bez trudu trafisz do skrytki.

Cała sprawa zdecydowanie się Jackowi nie podobała, jednak Chastain zadzwonił w czasie, gdy Gia i Vicky pojechały odwiedzić jej rodzinę w Iowa, i Jack czuł potrzebę zmiany otoczenia. Nie bez znaczenia było też sowite honorarium oraz podróż do Nowego Orleanu, tam i z powrotem, prywatnym odrzutowcem. Wszystko brzmiało zbyt dobrze, by mogło być prawdziwe.

No i teraz na to wychodziło.

Płatny zabójca. Cholera! Tego się nie spodziewał. Ale jeśli uda mu się po cichu wejść do mauzoleum i wyjść stamtąd, to nic się nie stanie. Potem wpadnie jeszcze do Dzielnicy Francuskiej na po'boya<sup>17</sup> ze smażonymi ostrygami i wróci do domu.

– No dobra, to do roboty. Tylko płatne z góry. Co do grosza.

– Oczywiście. – Chastain sięgnął po kopertę leżącą na podręcznym stoliku w kształcie słonia. – Setkami, tak jak uzgodnione. – Kolejny uśmiezek z repertuaru Percy'ego Dovetonsilsa. – Jak mniemam, Wuj Sam nie będzie w tym partycypował.

Jack bez słowa wsadził kopertę do kieszeni. Nie rozpoznałby zeznania podatkowego, nawet gdyby ktoś walnął go nim prosto w nos.

– Obawiałem się, że możesz nie mieć broni – powiedział Chastain. – Ale teraz już jestem spokojny. Jeden z moich ludzi zawiezie cię na plantację i...

– Pokażesz mi, jak się tam dostać, i twój człowiek zawiezie mnie na postój taksówek – rzucił obcesowo Jack.

Miałby podjeżdżać srebrnym maybachem landauletem? Tylko tego brakowało.

– Zgoda. Tylko bądź gotowy na ostre starcie.

– Mhm. Co z tą mapką?

Jack przyglądał się, jak Chastain wytycza drogę wzdłuż koryta

Missisipi aż do miejsca, gdzie przy River Road ciągnęła się dawna plantacja Chastainów. Potem wyszedł przed dom, by poczekać na samochód. Gdy stał między dwiema potężnymi kolumnami, w głowie wciąż dźwięczał mu refren starego przeboju zespołu The Clash *Should I Stay or Should I Go?*, mam zostać czy mam odejść, i pojawiała się odpowiedź: odejdz natychmiast.

Coś tu śmierdziało. Facet z płatnym zabójcą na karku nie staje sobie w oknie. Ktoś taki trzymałby kotary szczelnie zasłonięte, drzwi zabarykadowane. Jack wyciągnął broń, żeby sprawdzić reakcję Chastaina. Gdyby ktoś rzeczywiście dybał na jego życie, to na widok wycelowanej w siebie lufy Chastain nie krzyknąłby: „To niemożliwe!”.

Natomiast mógł to łatwo zrobić, jeśli nikogo takiego nie było.

Chastain kłamał, i to zapewne nie tylko w tej sprawie. Najrozsądniej byłoby machnąć ręką i zmyć się. Ale ciekawość Jacka została podrażniona. O co w tym wszystkim chodzi? W końcu odbył daleką podróż i otrzymał niemałe pieniądze, więc wypadało dotrzeć do sedna sprawy.

Zamknął oczy i głęboko odetchnął. Powietrze było tu inne. Cięższe niż w Nowym Jorku. Manhattan był stary i w jego zakamarkach kryły się różne sekrety, jednak tu pachniało zgnilizną mrocznych starych tajemnic, może nawet z lekkim dodatkiem magii. Jack zetknął się już z magią i szczerze jej nienawidził.

„Tylko bądź gotowy na ostre starcie”.

Miał nadzieję, że do niego nie dojdzie, ale był gotowy.

\*\*\*

Michael Quinn stał w krypcie rodziny Boudreaux na cmentarzu przy dawnej plantacji Chastainów, przyklejony do ściany, i nasłuchiwał. Słuch miał wyostrzony i wychwytywał nawet najcichszy szelest. Sierp księżycy rzucał skąpe światło, ale to mu nie przeszkadzało. Opanował sztukę widzenia po ciemku.

Całą kryptę wypełniały butwiejące trumny i skremowane przez upał szczątki, nie mógł więc schować się w środku. Nie mówiąc o tym, że jej drzwi były na głucho zamknięte. Potomkowie rodziny Boudreaux już dawno się stąd wynieśli i należało wątpić, czy krypta zostanie jeszcze kiedykolwiek otwarta. Ale tego wieczoru los tej rodziny w ogóle go nie

interesował.

Nie był jednak na tyle zdesperowany, by dać się ponieść emocjom i czekać w środku mauzoleum Chastainów. Sypiącą się ze starości kryptę zdobiły gargulce i anioły – bądź co bądź dziwaczne połączenie – i było to dobre miejsce, by się tu zaciąć. Nawet gdyby ktoś dojrzał w ciemnościach zarys jego głowy, mógł ją łatwo uznać za fragment gargulca.

Mauzoleum Chastainów miało ogrodzenie z furtką i dalej wchodziło się do kaplicy z ołtarzem i rzędami krzeseł. Pod ścianami stały trumny, a po obu stronach krzeseł dwa sarkofagi. Gdy podczas wojny secesyjnej stara plantacja Chastainów doszczętnie spłonęła, cała rodzina przeniosła się do Nowego Orleanu. Od tej pory już tylko co parę lat kolejny członek rodu dołączał do swych przodków.

Michael znał dobrze to mauzoleum. W zmarnowanych latach młodości bywał tu często z kolegami. Młodzi ludzie uwielbiali się wymykać i buszować w ruinach starej plantacji Chastainów i po starym cmentarzu, opowiadając sobie historie o duchach i upiorach oraz wzajemnie się strasząc i podpuszczając do spędzenia nocy w mauzoleum. Cmentarz leżał kawałek od Dzielnicy Francuskiej i najstarszej części miasta, gdzie nadgryzione zębem czasu budynki w stylu francuskiej i hiszpańskiej architektury kolonialnej nadawały miastu wspaniałą aurę przyblakłej elegancji, tworząc jego niepowtarzalny klimat. Z dala od jazzowych orkiestr i komercyjnego blichtru klubów przy Bourbon Street.

Jednak to tutaj, na obszarze rzecznych rozlewisk, Michael najsilniej jednoczył się z duchem nowoorleańskiej gminy. To tutaj cykady pocierały skrzydełkami i tu słyszeć było szelest wiatru wśród nagich gałęzi drzew na cmentarzu. W bladym świetle księżyca czuło się powiew śmierci i historii, czegoś samotnego i zarazem smętnego.

Pod względem wielkości tutejszy cmentarz nie umywał się do cmentarza St. Louis, jednak i on był tradycyjnym „miastem umarłych”, tak charakterystycznym dla południowej Luizjany. Rzędy mniejszych i większych grobowców, w nocy budzących dreszcz przerażenia, tworzyły prawdziwe miasto i łatwo można było sobie wyobrazić, jak otwierają się furtki z kutego żelaza i drzwi niezliczonych krypt i wyłaniają się z nich upiorni mieszkańcy tego miasta, by rozpocząć

tany w srebrzystej poświacie księżyca.

Czekanie ciągnęło się w nieskończoność i mimo parnej nocy płyta grobowca, o którą stał oparty, zaczynała go nieprzyjemnie ziębić. Czuł, jak z wolna sztywnieją mu mięśnie.

Jest. Coś się poruszyło.

Quinn dojrzał postać ubraną na ciemno, niemal niewidoczną w mroku, która sunęła bezszelestnie niczym widmo. Z daleka wydawało się, jakby postać przeniknęła przez furtkę w ogrodzeniu i ogromne drzwi mauzoleum. Ktoś musiał je wcześniej zostawić otwarte. Ale w jaki sposób? Kto?

Quinn czekał, klnąc w duchu, że serce wali mu tak głośno w nocnej ciszy. Dostrzegł tylko jedną osobę. Od dwóch godzin starczał tu po to, by zobaczyć, kto przyjdzie.

Nie ruszył trawiastą ścieżką do drzwi mauzoleum. Dobrze znał to miejsce. Do diabła, przecież kiedyś spędził tam noc. Widać martwi Chastainowie nie zamierzali się mścić, bo nic się wtedy nie wydarzyło. A teraz czuł nawet coś na kształt wdzięczności, że dzięki temu poznał wnętrze ich krypty.

Wiedział o niewielkich tylnych drzwiczkach za ołtarzem. Widocznie któryś z członków rodu Chastainów lubił dyskretnie wchodzić do środka i oddawać się modlitwom za zmarłych.

Quinn szybko podszedł do krypty, ani na moment nie odrywając wzroku od wejścia.

Cisza.

Powoli obszedł kryptę i ostrożnie uchylił żelazne drzwiczki z tyłu, wstrzymując oddech i modląc się w duchu, by nie zaskrzypiały. Były od dawna nieużywane, jednak gąszcz chwastów i dzikiego wina, który powinien całkowicie je zarastać, ktoś niedawno przetrzebił.

Coś tu się święciło, ale był pewien, że uda mu się wejść i zaskoczyć tego, kto jest w środku.

Uchylił drzwiczki ledwie na tyle, by się przez nie przecisnąć. Padł na posadzkę i błyskawicznie przetoczył się za ołtarz. W tylnej ścianie kaplicy były stłuczone witrażowe okienka i przez resztki kolorowego szkła w dziwacznym fioletowym kolorze sączyło się nieco księżycowego blasku. W powietrzu pachniało stęchlizną, ale nic dziwnego.

Pod ciężarem lewej stopy Quinna odchyliła się jedna z płytek. Czy

obluzował ją przechodzący tędy intruz? Jeśli tak, to gdzie jest teraz? Coś mu mówiło, że powinien się zainteresować tą płytką, zajrzeć pod nią...

Może później.

Wstrzymał oddech, nasłuchując. Żadnego dźwięku. Nawet oddechu intruza. Czyżby też wstrzymywał oddech?

Nie. Mauzoleum sprawiało wrażenie pustego. Ale jak to możliwe? Przecież widział, jak tamten wchodził do środka.

Wyjął rewolwer, wysunął się zza ołtarza i skradając się, zaczął penetrować wnętrze. Nie było nikogo, choć to przecież niemożliwe...

Nagły ruch za plecami kompletnie go zaskoczył. Ktoś ruszył na niego z szybkością błyskawicy. Quinn spróbował się odwrócić, ale coś twardego i zimnego wbiło mu się w podstawę czaszki, i to niezbyt delikatnie.

– Tylko drgnij, a mózg wypłynie ci nosem.

Czując, że muszka pistoletu na jego potylicy czyni tę groźbę całkiem prawdopodobną, Quinn znieruchomiał. Był wściekły na siebie. Odgrywał w życiu całą plejadę ról znanych człowiekowi – od bohaterskiego idioty po twardego gliniarza, a teraz jeszcze badacza cmentarnych tajemnic – jednak nie przywykł do takiego traktowania.

Ale na Boga, przecież nauczył się zonglować słowami i grać na czas, by złapać okazję do podjęcia walki – i teraz właśnie należało tak zrobić.

– Dobra, dobra – mruknął.

Intruz wyjął mu z ręki pistolet i parsknął.

– Ładny mi rewolwerowiec.

To zaskoczyło Quinna.

– Co... co ty powiedziałaś?

– Słyszałeś.

– Nazwałaś mnie rewolwerowcem.

– Na kolana. Muszę cię trochę spętać.

– Zaraz, chwila. Myślisz, że kto ja jestem?

– Chłoptasiem tej Madame de Medici. Na kolana, bo ci je przestrzelię z twojej własnej spluwy.

„Madame de Medici? Myślisz, że ja dla niej pracuję?”

– Nie mam z nią nic wspólnego. Nigdy nie miałem. Nie wiem, skąd ci to przyszło do głowy. Zostałem zaangażowany przez właściciela tej

krypty, Julesa Chastaina.

Poczuł, jak stojący za nim mężczyzna tężeje.

– Gówno prawda.

– Nie, sama prawda, bez śladu gówna. – Zaczął pospiesznie mówić:

– Sięgnij mi do kieszeni marynarki i wyjmij mój dowód. Nazywam się Michael Quinn. Jestem prywatnym detektywem z Nowego Orleanu.

Muszka pistoletu jeszcze boleśniej wcisnęła mu się w potylicę, gdy mężczyzna przeszukiwał jego kieszenie. Wreszcie znalazł portfel.

– Tu i tak jest za ciemno, żebym mógł coś odczytać.

– Chcesz powiedzieć, że przyszedłeś tu bez latarki?

– Nie chcę – burknął. – Ale tak się składa, że ręce mam akurat zajęte czymś innym.

Pchnął Quinna w stronę krzeseł.

– Siadaj. Muszę chwilę pomyśleć.

Quinn wykonał polecenie. Tamten wyglądał na niebezpiecznego, ale on jakoś nie czuł strachu. Dziwne. Zaczynało mu świtać, że pewnie obaj zostali wpuszczeni w maliny. Miał tylko nadzieję, że myśli tamtego biegną podobnym torem.

Rozbłysło światło latarki, Quinn przez moment dostrzegł niewyraźny zarys sylwetki, po czym strumień światła padł mu prosto na twarz.

– To może być fałszywka.

Quinn przysłonił oczy dłonią.

– Może. Ale nie jest.

Portfel z dowodem poszybował w strumieniu światła i wylądował na kolanach Quinna.

– Nie wiem, dlaczego ci wierzę, ale wierzę. Do czego Chastain cię najął?

– Żebym chronił to miejsce przed złodziejem, który się tu zjawi. Domyślałam się, że chodziło o ciebie.

Skrzywił się w duchu. To miało być tak banalnie proste zadanie, że nawet nie wspomniał o nim Danni. Chastain był bogaty, a on i Danni często potrzebowali dużych sum na swoją działalność. Zgarnięcie z góry tłustego czeku za parę godzin pracy w czasie, gdy ona akurat uczestniczyła w pewnej uroczystości, wydało mu się świetnym pomysłem.



Powinien był się domyślić, że tkwi w tym jakiś haczyk. Na przykład, że może przy tej okazji zginąć.

Tamten głośno parsknął.

– Nie, nie jestem złodziejem. Chastain wynajął mnie, żebym zabrał stąd pierścień.

– Co takiego?

– No właśnie. Więc co tu, kurwa, jest grane?

Zapadła cisza i dopiero po dłuższej chwili Quinn powiedział:

– Możesz mi oddać mój pistolet.

– To jest rewolwer, a rewolwer i pistolet to nie to samo.

Quinn nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

– Chcesz powiedzieć, że dostałem się w ręce maniaka broni?

– Fakty są faktami. I nie, nie mogę ci oddać. W każdym razie jeszcze nie teraz.

– Jeszcze nie teraz, w porządku. Ale w jaki sposób, do cholery, tak mnie załatwiłeś?

– Chastain powiedział mi o tylnym wejściu. Nie wzbudził mojego zaufania, więc wolałem wejść od przodu, ale od razu wymknąłem się z tyłu i zacząłem. Zobaczyłem, jak tamtędy wchodzisz, więc poszedłem za tobą.

Quinn musiał przyznać, że facet zachował się bardzo sprytnie, choć sam był na siebie wściekły, że dał się tak zaskoczyć. Przecież zauważył, że ktoś rozgarnął chwasty i dzikie wino, a mimo to jak idiota wszedł do środka.

– Zdajesz sobie sprawę, że obaj zostaliśmy wrobieni?

Tamten znów parsknął.

– Tak myślisz? Czuję, że coś tu śmierdzi.

– Nie mówisz jak miejscowy.

– Fakt. Chastain uprzedził mnie, że mam być gotowy na ostre starcie. Jakby wiedział, że do czegoś dojdzie. Zaczynam podejrzewać, że to ja miałem być stroną atakującą. Czymś mu się naraziłeś?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Prawie go nie znam. Ale i tak znam go lepiej od ciebie. Jestem tutejszy. Wiesz, jak się nazywam. A ty?

– Jack.

– A dalej?

– Wystarczy Jack. Czyli wychodzi na to, że mam cię zabić.

Quinn sprężył się w sobie, gotowy do skoku. Już raz uznano go za martwego i nie bał się śmierci.

Ale z całą pewnością nie miał ochoty umierać.

– No i? – spytał obojętnym tonem.

Jack wzruszył ramionami.

– Nie widzę powodu. – Wyjął z kieszeni złożoną kartkę i podał Quinnowi. – To ma być miejsce ukrycia pierścienia, który miałem stąd zabrać. Pewnie to też podpucha.

Quinn spojrzał na rysunek i opis.

– Nie poświęcić ci? – spytał Jack.

– Nie trzeba – odparł Quinn, nie odrywając wzroku od rysunku. – Wynika z niego, że u dołu pierwszej krypty, tej najstarszej, powinna być jakaś szpara.

Jakby zapominając, że Jack wciąż trzyma go na muszce, a on sam jest bezbronny, Quinn odwrócił się plecami, podszedł do krypty i przykucnął. Ponownie rzucił okiem na rysunek i sięgnął dłonią do nieregularnego pęknięcia w najniższej półce ze szczątkami Antiocha Chastaina, nestora klanu. Tak jak wskazywał rysunek, znajdowała się tam niewielka drewniana szkatułka. Quinn wyjął ją wraz z kłębem pajęczyn, kilkoma pająkami i warstewką kostnego pyłu. Spojrzał na Jacka i otworzył wieczko.

– Pusta – powiedzieli niemal jednocześnie.

– Nie dziwi mnie to – dodał Jack. – Wszystko od początku było ustawką.

– Ale po co? Z jakiegoś powodu chciał nas tu obu sprowadzić.

– Dlaczego tu? A tak przy okazji, nie słyszeliście w tych stronach, że ludzi grzebie się w grobach?

Quinn się roześmiał.

– Poziom wód podskórnych jest tu zbyt wysoki. A poza tym nasze cmentarze powstały za rządów Hiszpanów i zostały urządzone zgodnie z ich zwyczajami. I całe szczęście. Spróbuj zakopać kogoś w ziemi, to przy pierwszym rześistym deszczu zobaczysz jego trumnę, jak sobie płynie ulicą.

– I dlatego upychacie zmarłych w tych klitkach? Czy po jakimś czasie nie zaczyna wszystko gnić? I co będzie, jak zapelnicie wszystkie półki i zabraknie miejsca?

– U nas w Luizjanie obowiązuje zasada „rok i jeden dzień”. Upały są tu takie, że przez ten czas zwłoki ulegają prawie całkowitej kremacji. W grobowcu jest jak w piecu. Po roku krewni zgarniają z półki resztki szczątków do wspólnego pojemnika na dole i robią miejsce dla następnego członka rodziny na kolejny rok i dzień lub do chwili, gdy miejsce na półce będzie potrzebne dla kogoś nowego.

– To straszne. Co to za kraj?

– Stany Zjednoczone Luizjany. Mamy tu swoje zwyczaje.

– Właśnie widzę. – Jack rozejrzał się po kaplicy. – Świetny plener dla filmowego horroru. Zaraz, a może dlatego nas tu sprowadził? Żeby sfilmować naszą walkę. Nakręcić dla zбочeńców z YouTube wideo, na którym naprawdę ktoś ginie?

– Myślisz, że gdzieś tu jest ukryta kamera?

– Nie ściągnął mnie z Nowego Jorku po to, żebyśmy mogli sobie pogawędzić. Musi być jakiś powód, dla którego tu jesteście.

Quinn nie dostrzegł nigdzie kamery, przypomniał sobie natomiast o obluzowanej płytce.

– To pewnie nic takiego, ale... – zaczął, po czym wszedł za ołtarz, schylił się i podważył płytkę.

Pod spodem była tylko ziemia, ale całkiem miękka. Pogrzebał palcami i tuż pod powierzchnią wyczuł coś metalowego. Poszukał nieco głębiej i wyciągnął bransoletę z dziwnego metalu i o jeszcze dziwniejszym wyglądzie. W centralnym jej punkcie znajdował się wtopiony w metal zielony kamień wielkości dziesięciocentówki. Quinn od razu ją rozpoznał.

– Wiem, co to jest. To Cidsev Nelesso – powiedział.

– Brzmi jak nowy smak lodów – mruknął Jack.

– Znaleziono ją szczelnie opakowaną w zalanej wodą świątyni ku czci niezidentyfikowanego dotąd bóstwa, w zatopionym mieście Herakleion koło Aleksandrii.

– To skąd się tu wzięła?

– Dobre pytanie. Bransoletę i fragment znalezionego przy niej zwoju skradziono i sprzedano na czarnym rynku. Kupcem zapewne był Chastain.

– Skąd to wszystko wiesz?

Quinn się zawahał.

– Jestem prywatnym detektywem. I przez pewien czas pracowałem w nowoorleańskiej policji. Ale ostatnio...

Przerwał. Zawsze starał się zachowywać ostrożność, zwłaszcza wobec obcych, a już szczególnie wobec nowojorczyków. Ale ku jego ogromnemu upokorzeniu akurat ten nowojorczyk mógł go zabić.

I nie zrobił tego.

– Ostatnio współpracuję z pewną kobietą – powiedział cicho. – Danni Cafferty. Jej ojciec za życia był właścicielem sklepu, a ja z nim współpracowałem. I teraz Danni i ja... zajmujemy się kolekcjonerstwem. Zbieramy różne osobliwości. Angus Cafferty był prawdziwym naukowcem i z racji swych zainteresowań wiedział bardzo dużo o historii i... różnych innych sprawach.

– Jakich sprawach?

– O artefaktach przynoszących nieszczęście. Możesz mi wierzyć lub nie, ale istnieją przedmioty przekłete lub sprowadzające zło, a także ludzie, którzy umieją z tego korzystać i osiągają dzięki temu władzę nad innymi. I podejrzewam, że mamy do czynienia wcale nie z rekwizytem filmowym, tylko z czymś, co może przynosić nieszczęście.

Quinn przerwał, niemal pewny, że Jack powie mu, że zwariował.

Jack niczego takiego nie powiedział.

– A co ta Madame de Medici ma z tym wspólnego? – zapytał.

– Ona też jest zagorzałą kolekcjonerką, ale wygląda na to, że o niczym nie wie. Chastain wspomniał o niej, żeby cię zmylić.

Jack wziął do ręki bransoletę i we wpadającym przez witrażowe okienka bladym księżycowym świetle obejrzał ją ze wszystkich stron.

– Jest cenna? – zapytał.

– Powiedziałbym raczej, że bezcenna. Absolutnie wyjątkowa. Prawdopodobnie jest jednym z siedmiu Znaków Piekieł.

Widać było, że Jack sztywnieje.

– Znaków Piekieł? – powtórzył i oddając bransoletę Quinnowi, dodał: – Masz, zabieraj to.

– Słyszałeś o Znakach Piekieł?

– Niestety. Z jednym się nawet zetknąłem.

Z jego tonu wynikało, że spotkanie musiało być przerażające. Jack ani przez chwilę nie powątpiewał w słowa Quinna, podobnie jak Quinn nie wątpił w słowa Jacka.

– Ale prawie nikt nie słyszał o Znakach Piekieł. Nawet Danni...

– Danni to ta twoja współpracowniczka kolekcjonerka, tak?

– Jej sklep nazywa się Kot z Cheshire i mieści się przy Royal Street. Sprzedaje tam dzieła sztuki, biżuterię i niewinne ciekawostki dla kolekcjonerów. W podziemiu ma oddzielną kolekcję przedmiotów, które są całkowicie wyłączone ze sprzedaży. – Zawahał się. – Zdarza się również, że niszczyliśmy pewne rzeczy, jeśli tego wymagają. A gdy pojawia się coś, co mogłoby... budzić przemoc lub zakłócać porządek, ludzie przychodzą z tym do niej, a ściślej do Kota z Cheshire. – Wzruszył ramionami. – Zazwyczaj pracujemy razem, ale dziś musiała z naszą przyjaciółką, kapłanką voodoo, uczestniczyć w pewnej uroczystości.

– Czyli dziś chałturzysz na boku.

Quinn obrzucił Jacka ostrym spojrzeniem.

– Coś mi się zdaje, że właśnie ty to robisz, nie?

– W ten sposób zwykle zarabiam na życie. Tyle że nie aż tak daleko od domu.

– Górna część zwoju, który Chastain kupił razem z bransoletą – podjął opowieść Quinn – została skopiowana jeszcze przed kradzieżą. Kopię tę oraz oryginał dolnej części przekazano Danni w komis.

– Kto przekazał?

– Jakiś tajemniczy starzec. Odmówił podania nazwiska. Powiedział, że się zgłosi, gdy Danni już znajdzie kupca. Nic w tej sprawie nie obudziło naszych podejrzeń. – Znów się zawahał i dodał: – Zwykle mamy nosa do takich rzeczy. Kiedy coś jest nie tak.

– Aż tak jej zaufał?

Quinn wzruszył ramionami.

– Danni cieszy się nieskazitelną opinią – oświadczył z dumą.

– Znalazła kupca?

Quinn lekko się zmieszał. Pamiętał, jak Danni poinformowała go o sprzedaży.

I o nabywcy.

– Tak. Madame de Medici.

– Mówiłeś chyba, że jej nie znasz – mruknął Jack.

– Bo tak jest. Tylko o niej słyszałem. Sama nigdy nie fatyguje się do sklepu. Przysłała swojego fagasa.

Jack się roześmiał.

– Fagasa? Ma swojego fagasa?

– Nawet kilku. Wcześniej wielokrotnie kupowała coś od Danni i nigdy nie było żadnych kłopotów.

– Czyli jednak występuje w tej sprawie.

– Cholera wie, może tak. Ale nadal uważam, że Chastain postanowił obu nas wpuścić w jakiś kanał.

– Zajmiemy się tą Madame de Medici później – powiedział Jack i wskazując bransoletę, spytał: – To o co z nią chodzi?

– W górnej połowie zwoju jest napisane, że Cidsev Nelesso obdarza właściciela mocą odczytywania cudzych myśli. „Nikt nie ukryje swych myśli przed tym, kto ją nosi”.

– Wyobrażam sobie, że mogłoby to być przydatne podczas negocjacji handlowych.

– Dla takiego kolekcjonera jak Chastain, który wiecznie się targuje, to bezcenne.

– A jakie są zagrożenia?

Pytanie zaskoczyło Quinna.

– Dlaczego sądzisz, że są jakieś? – spytał nieco zmieszany.

Może należało wyczuć, że coś im grozi.

– Znaki Piekieł zawsze niosą z sobą jakieś zagrożenia.

– Skąd to wiesz?

– Podobno istnieje siedem Znaków Piekieł. Jeden z nich omal nie zabrał mi na zawsze dwojga ludzi, którzy znaczą dla mnie więcej niż cokolwiek innego na świecie.

– W jaki sposób?

– Za długo by teraz o tym opowiadać.

– No dobra. I co się z nim stało, z tamtym znakiem?

– Nie ma go. I nie pytaj, gdzie się podział, bo sam nie wiem. Ale nie odszedł sam. Kogoś z sobą zabrał.

Z tonu Jacka wynikało, że Quinn nie powinien go więcej wypytywać.

Jack odchrząknął.

– Ale dość o mnie – powiedział. – Co mówi dolna część zwoju?

– Że bransoleta nie pochodzi ani z Grecji, ani z Egiptu. Zwój nazywa ją „jednym z siedmiu Znaków Piekieł z pierwszego wieku”.

Oczywiście nie muszę ci tego tłumaczyć. Ale jego magiczną moc nazywa przekleństwem, więc może na tym polega zagrożenie.

Jack pokręcił głową.

– Jeśli czytasz komuś w myślach, ten ktoś nie może nic przed tobą ukryć. Prawda może być ohydna i może boleć, ale lepiej wiedzieć, co cię czeka, niż być zaskakiwanym.

Quinn pomyślał, że płynące stąd korzyści w biznesie i w życiu osobistym są oczywiste.

– Ale tak czy siak, po jaką cholere nas tu przysłano? – dodał Jack.

– Zgodnie z tym, co mówi zwój, żeby klątwa zaczęła działać, Cidsev Nelesso, tak jak inne Znaki Piekieł, trzeba najpierw uaktywnić.

– Tak, wiem – mruknął posepnie Jack.

Quinn był ciekaw, co takiego mu się przydarzyło.

– Z zapisu wynika, że do aktywowania bransolety potrzebny jest akt przemocy – powiedział.

– To już wiemy, dlaczego tu jesteśmy. Może dlatego miałem cię zabić.

– Według zwoju śmierć nie jest konieczna, wystarczy przemoc.

Jack zaczął chodzić w kółko, mrużąc pod nosem:

– Klątwa. „Nikt nie ukryje swych myśli przed tym, kto ją nosi”.

Przemoc.

Nagle okręcił się i uderzył Quinna prosto w żołądek, aż ten z bólu i zaskoczenia zgiął się wpół.

– Co ci, do cholery...

Prawy podbródkowy wyprostował go i odrzucił mu głowę do tyłu.

No nie, dość tego. Jeśli ten sukinsyn chce bójki, to zaraz ją będzie miał. Quinn ruszył na Jacka z nisko opuszczoną głową, walnął go bykiem w klatkę piersiową i odrzucił na półki z prochami.

– Ty skurwysynu! – sapnął Jack, ledwie łapiąc oddech.

Po czym złapał Quinna za rękę i tak szarpnął, że Quinn z hukiem klapnął na tyłek.

Jasna cholera, pomyślał Quinn, gramoląc się na nogi.

Wstał i runął na Jacka, ale na jego twarzy pojawił się uśmiech.

\*\*\*

– Wszystko idzie zgodnie z planem? – odezwał się łagodny kobiecy

głos za jego plecami.

Jules Chastain gwałtownie drgnął, zaraz się jednak uspokoił. Nawet w skąpym blasku księżyca bez trudu rozpoznał Madame de Medici. Znalazł sobie dobry punkt obserwacyjny, pięćdziesiąt metrów od rodzinnego mauzoleum, i czekał, by zasiane przez niego ziarno wydało plon w postaci przemocy. Jak ona go tu znalazła?

– Nie bardzo. Skąd ty się tu wzięłaś?

– Jako zainteresowana strona mam prawo, tak?

Od chwili gdy wiele lat temu pojawiła się w Nowym Orleanie, próbował umiejscowić jej akcent, ale jak dotąd bezskutecznie.

– Ty zaproponowałaś tylko najemnika z Nowego Jorku, nic więcej.

Powiedziała mu, że słyszała o kimś nazywanym Jackiem Repairmanem, którego można najmować do załatwiania różnych spraw. Zapewniła Julesa, że jest solidny i rzetelny, choć zdarzają mu się napady agresji, i dała mu jego numer telefonu. Julesowi spodobała się wzmianka o napadach agresji, namówił Jacka do przyjazdu, po czym zaangażował Michaela Quinna na jego przeciwnika. Wszyscy w Nowym Orleanie wiedzieli, że Quinnowi nie należy wchodzić w drogę. Zderzenie Jacka Repairmana z Michaeliem Quinnem musiało stworzyć mieszankę wybuchową.

Wlepiała w niego wzrok.

– Ja również interesuję się bransoletą Cidsev Nelesso. W końcu kiedyś należała do mnie.

Ach, te jej oczy. Można w nich było zatonać. I uwierzyć, że ona żyje od tysięcy lat.

Jules wolał jej ustąpić, niż się sprzeciwiać. Cidsev Nelesso znaleziono w Herakleionie, które w trzecim wieku przed naszą erą zalała powódź. Twierdzenie Madame de Medici, że bransoleta należała kiedyś do niej, było czymś więcej niż wymysłem. To już zatrać o psychozę.

A chorych psychicznie nie należy drażnić.

– Liczę, że nie planujesz żadnego podstępu – powiedział tylko.

– Drogi Julesie, nawet nie przyszło mi to do głowy. Z radością ujrę ją na twojej ręce. Utraciłam ją w wyniku zamieszek. O tym, u kogo teraz wyląduje, rozstrzygnie los.

„Cokolwiek się z nią działo, moja droga, teraz wylądowała u mnie”.



Historię o tym, że ukradł ją Madame de Medici, zmyślił na użytek Jacka. Całkiem sprytnie, jego zdaniem. Naprawdę kupił ją na czarnym rynku i teraz po prostu należała do niego.

Boże, ależ ta kobieta jest piękna. Wyemigrowała z Kairu podczas tak zwanej arabskiej wiosny i trafiła do Nowego Orleanu z prawdziwym skarbem w postaci zbioru antyków. Miała zwyczaj ubierać się w cienkie powiewne szaty, które wszystko zasłaniały, niczego nie ukrywając. Setki razy próbował zaprosić ją na kolację, ale ona za każdym razem odmawiała. „Nie interesują mnie żadne związki”, brzmiała zawsze jej odpowiedź.

„Podobnie jak mnie, moja droga. Interesuje mnie tylko jedna noc z tobą”.

Odgłosy strzelaniny w mauzoleum spowodowały, że aż podskoczył.

– Ach, teraz już jestem szczęśliwy! – wykrzyknął.

– To powinno ją aktywować – powiedziała Madame de Medici, odwracając się plecami. – Tylko nie zapomnij jej od razu włożyć na rękę, bo inaczej straci moc – rzuciła na odchodnym.

Z trudem zdusił wybuch śmiechu. Jakby potrzebował jej zachęty.

Rozsiadł się wygodnie, by poczekać na policję i pogotowie. Patrzył, jak ekipa ratownicza wynosi na noszach Jacka, za nimi idzie Michael Quinn. Czyżby obaj przeżyli? *Quel dommage*. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że śmierć nie była niezbędna do aktywacji bransolety.

Gdy wreszcie wszyscy sobie poszli, przemknął przez otwartą furtkę, wszedł do kaplicy i podważył płytkę za ołtarzem. Chwilę pogrzebał w ziemi i wymacał swój skarb: Cidsev Nelesso.

Z radością stwierdził, że zielony kamień zmienił barwę i teraz lśnił na czerwono, co oznaczało, że tajemna moc bransolety została aktywowana.

– Jules, jesteś geniuszem – szepnął.

Wsunął bransoletę na lewą rękę i zaskoczeniem poczuł, jak sama zaciska mu się na przegubie. Blisko ciała, ale nie za ciasno. W porządku, nie ma problemu. Robiona na miarę biżuteria zawsze mu pasowała. Zresztą i tak nie zamierzał jej zdejmować. Jeśli ta ozdóbka choć w części spełni obietnice, będzie mu się żyło po królewsku.

Wyszedł z kaplicy i w ciemnościach usłyszał dochodzący skądś głos:

„Dwa dolce, dwa dolce, potrzebuję jeszcze jednego na flaszkę, małą

flaszeczkę. To zawsze lepsze niż nic”.

Rozejrzał się i obok krypty Boudreaux dostrzegł bezdomnego obszarpańca. W pierwszym odruchu chciał na niego huknąć, ale nagle uzmysłowił sobie, że włóczęga nic do niego nie mówi, on zaś słyszy to, co dzieje się w jego głowie. Słyszy jego myśli!

Boże święty, to działa. To naprawdę działa!

Do jego uszu napłynęły inne głosy.

„Jeszcze jeden drink i będzie gotowa”.

„O Boże, żebym się tylko nie porzygała. Umrę ze wstydu, jak się porzygam”.

Para smarkaczy w nocnym mroku? Ciekawe, gdzie się kryją. Ale nie zdążył się zastanowić, bo runęła na niego lawina innych głosów.

„Krzyknąć że skończone Jim bardzo mnie nastraszył z najgorszego snu i zaraz wszyscy inni nigdy nie myślałem że on będzie przeciw mnie naprawdę tak myślisz? ale że to będzie na jutro w tym stylu bardzo się starałam zobaczyć następnego dnia jak dożyje ale on potem nie miał czasu i chyba stary znalazł teczkę z dokumentami ciągle jeszcze...”.

Zakrył uszy dłońmi, ale to nie stłumiło kakofonii głosów – myśli, które płynęły do niego szerokim strumieniem z całego miasta. Ze stanu. Z kraju. Ze świata. Mieszały się, zlewały w jeden rwący potok i docierały wprost do jego świadomości.

– Dość tego! – wrzasnął.

Ale głosy nie ucichły. Wręcz przeciwnie, narastały i atakowały go coraz mocniej.

„Twoja kolej ta sprawa mais ce style que j'ai eu mieux s'efforce de laisser plonie w nim grozi mu poważny podskórny muszę powiedzieć że wiemy że nie ma chwili us and arms make coil must grunt Wir wurde mit einem guten Namen sicher glücklich skórne choroby dają się to nie była moja może mu się uda przeżyć i opanować ból serca jeżeli...”.

Zaczął szarpać bransoletę, chcąc zsunąć ją z nadgarstka, ale nie chciała przejść przez dłoń. Ciągnął z całej siły, jej brzeg werznął mu się w ciało aż do krwi, ale była zbyt ciasna i nie dawała się zdjąć. Za ciasna! Ale przecież musi jej się pozbyć!

Wzywając głośno pomocy, Jules Chastain puścił się biegiem przez pogrążony w ciemnościach cmentarz.

\*\*\*

Karetka zatrzymała się przed wejściem na oddział ratunkowy w Centrum Medycznym Tulane.

Jack usiadł i spojrzał na sanitariusza.

– Dzięki za podwiezienie – powiedział.

– Nie ma sprawy – odrzekł młodzieniec. – Jak dzwoni Quinn, to mi wystarczy.

Przydatny koleś z tego Quinna, pomyślał Jack. Warto takich znać.

Jack wysiadł z karetki i w tym momencie podjechał samochód z Quinnem za kierownicą. Jack kiwnął głową i usiadł obok niego.

Quinn, zanim ruszył, rozmasował sobie podbródek.

– Walisz tym hakiem jak z armaty – mruknął.

– Tobie też nic nie brakuje – odparł Jack. – Żebra mam całe obolałe.

Quinn się roześmiał.

– Ucieszyłem się, widząc, jak ten kamień z zielonego zrobił się czerwony. Trudno to wyjaśnić. No cóż, myślę, że spuściliśmy sobie niezłe lanie.

– I chyba o to właśnie chodziło. Żeby Chastain mógł zabrać zaktywowaną bransoletę. Jeśli naprawdę wiąże się z tym jakaś klątwa, to gość w pełni na nią zasługuje.

Quinn uśmiechnął się kwaśno.

– Obyś miał rację. To znaczy w sprawie tej klątwy.

Poprzednie zetknięcie się Jacka ze Znakiem Piekieł skończyło się tragicznie, ale i tak mogło być dużo gorzej. Nie bez kozery nazywano je Znakami Piekieł.

– Tak przypuszczam – powiedział. – „Nikt nie ukryje swych myśli przed tym, kto ją nosi”. To znaczy, że wszyscy ujawniają swoje myśli posiadaczowi bransolety. A przymus słuchania myśli wszystkich ludzi dokoła byłby prawdziwym przekleństwem.

– Niezłe pomyslane. – Quinn kiwnął głową. – Mówię o tym strzelaniu w podłogę po naszej bijatyce. I zagrzebaniu bransolety w tym samym miejscu, żeby Chastain mógł ją znaleźć po naszym wyjściu.

– Całe szczęście, że jesteś zaprzyjaźniony z połową gliniarzy

i karettek pogotowia w mieście.

– Już ci mówiłem, że kiedyś sam byłem policjantem. Nadal z nimi współpracuję, zwłaszcza z jednym starym gliniarzem, moim dawnym partnerem. Nazywa się Larue i nie będzie zbyt dociekliwy w sprawach kłatw i Znaków Piekieł. Zechce tylko, żebym się tym zajął.

– Staram się unikać gliniarzy. Nie bierz tego do siebie, ale wychodzę z założenia, że im mniej o mnie wiedzą, tym lepiej.

– Ścigają cię jakimiś nakazami?

Jack wzruszył ramionami.

– Żeby wystawić nakaz, trzeba znać nazwisko adresata, nie?

– Jasne.

– No to sam widzisz. Czyli pewnie nie mam żadnych nakazów. A co do tej sprawy, to powinniśmy poczekać do jutra i zobaczyć, co się będzie działo. Znasz jakieś miejsce, gdzie mógłbym przenocować?

Quinn znów się uśmiechnął, tym razem całkiem pogodnie.

– Jest takie jedno miejsce. W samym centrum, przy Royal. A jak Danni spyta, dlaczego jestem taki poobijany, będę mógł jej powiedzieć: „Obejrzyj sobie tego drugiego”.

Jack parsknął śmiechem. Czuł, że chyba mógłby polubić tego Quinna.

Dotarcie do Dzielnicy Francuskiej nie zajęło dużo czasu. Jack z podziwem przyjrzał się starej historycznej budowli z szyldem KOT Z CHESHIRE.

Ale nie weszli drzwiami frontowymi. Quinn nacisnął guzik na desce rozdzielczej auta, otworzyła się brama i wjechali do ogrodu za domem, po czym weszli do środka bocznymi drzwiami.

Czekała na nich kobieta, wysoka i szczupła, z ogromnym psem przy nodze.

– To jest Wolf – rzekł Quinn i poklepał psa, który spojrzał pytająco na swojego pana i od razu zaakceptował obcego.

Quinn sprawiał wrażenie nieco zmieszanego, gdy witał się z kobietą.

– Wcześniej dziś wróciłaś, Danni – odezwał się niepewnie.

– Wcześniej – powiedziała, przenosząc wzrok z jednego na drugiego. – Powinniście się chyba umyć i doprowadzić do porządku. I opatrzeć. I pewnie usłyszę, że powinnam zobaczyć, w jakim stanie są

tamci, tak?

Jack spojrział na Quinna i obaj się uśmiechnęli.

– Obaj jesteśmy tamci – odparł.

– A to ciekawe. W takim razie zaparzę herbatę i wyjmę whisky. Chętnie posłucham waszej opowieści.

Normalnie Jack wolałby piwo, jednak po takiej nocy whisky zdecydowanie pasowała.

\*\*\*

Rano Quinn zadzwonił do komisariatu i usłyszał, że Larue jest w szpitalu. Wziął Jacka i pojechali do szpitala. Recepcjonistka podała im numer sali i weszli na górę.

Były partner Quinna stał przy łóżku, na którym leżał Chastain, zamroczony środkami przeciwbólowymi. Jego lewa ręka była mocno obandażowana i wyraźnie krótsza od prawej.

– Tak coś czułem, Quinn, że się tu zjawisz – powiedział Larue, kręcąc głową. – Najgłupsza sprawa pod słońcem. Krezusowi Chastainowi nagle coś odbiło i uciął sobie kawałek ręki. Wiesz coś o tym? I kim jest twój znajomy?

– To Jack. Jack, przedstawiam ci śledczego Larue.

– Jack, a dalej?

– Wystarczy Jack.

Larue przez chwilę przyglądał mu się w milczeniu, po czym wzruszył ramionami.

– Czy powinienem się czymś martwić? – zwrócił się do Quinna.

Quinn spojrział na śmiertelnie bladego Chastaina.

– Wylize się z tego? – zapytał.

– Tyle że bez dłoni i nadgarstka.

– Jak się tu znalazł?

– Ma szczęście, że żyje. Natknął się na niego gliniarz z ulicznego patrolu. Facet zataczał się po ulicy i mamrotał coś bez sensu. Z początku nawet pomyślałem, że w mieście grasuje jakiś psychol, który ucina ludziom dłonie. Jednak załoga karetki zeznała, że Chastain im powiedział, że sam sobie odciął dłoń, bo go „oszukała”. Nie bardzo wiem, co to znaczy. Gość nie był pijany ani nic w tym stylu. Badanie toksykologiczne też niczego nie wykazało.

– Znalazł ktoś tę dłoń?

Larue potrząsnął głową.

– Ani śladu. Może porwał ją pies. Albo duży szczur.

– A nie znaleziono jakiejś biżuterii? – spytał Jack. – Na przykład czegoś w rodzaju bransoletki?

Larue przyjrzał mu się badawczo.

– Co za bransoletki?

Cholera. To znaczy, że Cidsev Nelesso wciąż gdzieś tam leży.

– Nie, nie, tak się tylko zastanawiamy – wtrącił szybko Quinn. – Bo jak ktoś odcina sobie dłoń w nadgarstku, to może znaczyć, że ma na ręce coś, czego nie może inaczej ściągnąć. Wiesz, coś zdradliwego...

– Kazałem chłopakom przejrzeć pojemniki na śmieci, ale żadnej dłoni nie znaleźli – powiedział Larue. – Wszystko to jest cholernie dziwne, nie? Uważacie, że powinienem zacząć szukać bransoletki?

– Myślę, że jak znajdziesz dłoń, to znajdziesz też bransoletkę – rzekł Quinn.

Larue znów spojrzał na nich badawczo.

– Powiedz mi, Quinn, czy jest coś, czym powinienem się martwić. Panie... panie Jack, życzę miłej wizyty w naszym mieście. – Wyminął ich i wyszedł z sali.

Quinn zobaczył, jak Jack podchodzi do łóżka i wpatrując się w leżącego, mruczy:

– Tak to bywa.

– No. – Quinn skinął głową. – Nikt nie zginął i to mi pasuje.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, dlaczego nie dostrzegł niczego niezwykłego w tej bransoletce. Bo niczego niezwykłego w niej nie było, póki nie została aktywowana.

– Jak myślisz, gdzie się mogła podziać ta cholerna dłoń z bransoletką? – spytał Jack.

Quinn miał pewne podejrzenia, ale wolał zachować to dla siebie.

– Odwieźć cię na lotnisko?

Jack pokręcił głową.

– Nie jestem za bardzo zaprzyjaźniony z ochroną lotnisk – mruknął.

To zabrzmiało interesująco.

– No cóż, obawiam się, że nie dysponuję prywatnym odrzutowcem,

tak jak Chastain.

– Nie podejrzewałem cię o to. Chyba wynajmę samochód.

Quinn pomyślał, że Jack zapewne posługuje się fałszywymi dokumentami.

– Chcesz powiedzieć, że twoje papiery są wystarczająco dobre dla Hertza, ale nie dla ochrony lotniska, tak?

Jack przez chwilę patrzył na niego w milczeniu.

– Moje papiery przechodziły już kontrole lotniskowe, ale wolę nie kusić losu – rzekł w końcu.

– To długa podróż.

– I nie mogę powiedzieć, żebym się na nią cieszył. Ale przy okazji zobaczę kawałek kraju.

– Rozumiem, że nieczęsto się ruszasz z Nowego Jorku?

Jack wzruszył ramionami.

– A po co?

Quinn musiał się roześmiać. Dokładnie to samo myślał o Nowym Orleanie.

Ruch na ulicach był niewielki i pół godziny później Quinn wysadził Jacka pod biurem Hertza na lotnisku.

– Gdybyś jeszcze kiedykolwiek odwiedził Nowy Orlean... – zaczął.

Jack pokręcił głową.

– Lepiej nie czekaj z zapartym tchem.

\*\*\*

Madame de Medici stała bez ruchu, z zachwytem wpatrując się w Cidsev Nelesso. Bransoletka wciąż opasywała nadgarstek Julesa Chastaina i razem z nim i jego dłonią leżała na metalowej tacce w jej prywatnym muzeum.

Powiedziała wczoraj Julesowi, że z radością ujrzy bransoletę na jego ręce, i to była prawda. Udało się i teraz już zawsze będzie mogła ją podziwiać. Oczywiście kawałek ręki Chastaina trzeba będzie odpowiednio zakonserwować, ale Madame de Medici знаła starożytne sposoby balsamowania ciał. Potem umieści całość w szklanej szkatułce, którą specjalnie w tym celu zamówiła.

Sama ani myślała zakładać bransoletę – wykluczone. Nie była głupia. Ale z radością witała ją w swojej kolekcji.

Odgarnęła swe piękne długie czarne włosy. Była w pełni usatysfakcjonowana.

Chastain tak bardzo chciał mieć tę bransoletę na rękę.

I teraz ją ma.

Już na zawsze.



**RAYMOND KHOURY**  
**i**  
**LINWOOD BARCLAY**

Decyzja Raymonda Khoury'ego, by wykorzystać swego bohatera, Seana Reilly'ego, w tym opowiadaniu, nie była trudna. Tego agenta FBI powołał do życia w roku 1996, gdy był początkującym scenarzystą i napisał swój trzeci (niezrealizowany) scenariusz – nowoczesny thriller spiskowy, nawiązujący do czasów wypraw krzyżowych, zatytułowany *Ostatni templariusz*.

I wtedy jeden z wiodących nowojorskich wydawców całkiem nieoczekiwanie zaoferował mu istną fortunę za przerobienie scenariusza na powieść, tyle że zażyczył sobie wprowadzenia pewnych „drobnych zmian”.

„Dajmy sobie spokój z religią, bo to nudne. Zastąpmy tajemnicę templariuszy złotem i klejnotami, prawdziwym skarbem”.

Raymond uznał, że propozycja jest nie do przyjęcia, i z kontraktu nic nie wyszło.

Zachował się sprytnie? Odważnie? Niemądrze?

Pewnie wszystkiego po trosze.

Jednak zainteresowanie jego scenariuszem dało początek karierze scenopisarskiej i przez kilka następnych lat Sean Reilly spał twardym snem na dysku komputera Raymonda, podczas gdy on sam pracował dla filmu i telewizji. W końcu, w roku 2006, Sean Reilly ożył, i to ponownie, w *Ostatnim templariuszu*. Raymond postanowił przerobić scenariusz na powieść po swojemu, nie rezygnując z niczego, łącznie z religią. Powieść odniosła światowy sukces, została przetłumaczona na ponad czterdzieści języków i ukazała się w łącznym nakładzie ponad pięciu milionów egzemplarzy.

Co raz jeszcze dowodzi, że nie wszystkich rad warto słuchać.

Dla Linwooda Barclaya decyzja o wykorzystaniu Glena Garbera była trochę bardziej skomplikowana. Linwood nie stworzył bohatera,

któremu poświęciłby cały cykl książek od czasu, gdy w latach 2004–2007 napisał cztery żartobliwe thrillery z Zackiem Walkerem. Potem wszystkie jego kolejne powieści miały już różnych bohaterów, a Zack Walker niezbyt nadawał się na partnera Seana Reilly’ego. Zapewne zwałby z opowiadania od razu na pierwszej stronie, zostawiając Reilly’ego, żeby dalej radził sobie sam. Za to idealnym partnerem dla Reilly’ego wydawał się Glen Garber, budowlaniec (od remontowania domów, nie od budowy nowych) z powieści Linwooda *The Accident* (2011). Jest twardym, prostolinijnym facetem, który wie, co znaczy przegrana, i nie boi się nadstawić karku w obronie najbliższych. I choć nie został tak wszechstronnie wyszkolony jak Sean Reilly, potrafi odważnie walczyć po stronie prawa.

Pomysł opowiadania powstał z jednej linijki e-maila Linwooda do Raymonda, i to ona legła u podstaw całej intrygi. Obaj panowie zasiedli do pisania, tworząc na przemian kolejne fragmenty i sugerując partnerowi ciąg dalszy, jednak zostawiając mu decyzję, jak ma pokierować akcją.

Rezultat?

Płynąca wartkim strumieniem i zaskakująca pomysłami opowieść dwóch autorów.

## **Postój (PIT STOP)**

Glen Garber dostał już swoją kawę, ale wciąż jeszcze czekał na nuggetsy z kurczaka dla córki, Kelly, gdy do baru wbiegła kobieta, krzycząc, że na parkingu ktoś się pali.

Zjechali z autostrady mniej więcej w połowie drogi. Glen jechał obejrzeć wiejski dom, znajdujący się dwie godziny drogi od Milford, i złożyć ofertę na jego remont, a ponieważ była sobota, wziął z sobą Kelly. Nie tylko dlatego, że dobrze się czuł w jej towarzystwie, ale też nie chciał zostawiać dziesięciolatki na cały dzień samej w domu. Był wystarczająco walnięty na jej punkcie za życia Sheily, a teraz jego opiekuńczość jako samotnego ojca jeszcze się wzmogła.

Zawsze chciał wiedzieć, gdzie Kelly jest i co robi. W każdej minucie każdego dnia. Wyobrażał sobie, jak bardzo córka to doceni za parę lat, jako nastolatka.

Gdy Kelly zauważyła tablice informujące o pobliskim centrum obsługi podróżnych, od razu oznajmiła ojcu, że jest tak głodna, że za chwilę może umrzeć.

– Nie możemy do tego dopuścić – odparł ojciec. – Zresztą sam też chętnie napiję się kawy. Zrobimy sobie krótki postój.

Postój wcale nie okazał się krótki. Był środek lata, sobota, więc parking wypełniały samochody, a w barze stała długa kolejka. Kiedy Glen w końcu złożył zamówienie, dziewczyna za ladą uprzedziła, że na nuggetsy trzeba będzie chwilę poczekać, ale kawę poda mu zaraz. Glen chwycił papierowy kubek z kawą i szybko cofnął rękę.

– Au! – Skrzywił się i położył palec wskazujący na dolnej wardze. – Zanim to się będzie nadawało do picia, zdążymy dojechać na miejsce.

– A moje nuggetsy? – przypomniała Kelly.

– Pani powiedziała, że trzeba będzie chwilę...

I właśnie w tym momencie rozległ się krzyk kobiety:

– On się pali! Człowiek się pali!

W pierwszej chwili Glen pomyślał, że to niemożliwe! Mógł się palić samochód, to tak. Przegrzanie silnika na autostradzie zdarzało się dość często, zwłaszcza gdy upał dochodził do trzydziestu pięciu stopni Celsjusza. Ale człowiek? To się nie zdarza.

A w następnej chwili przypomniał sobie, że w swoim pick-upie – fordzie F-150 z wymalowanym na drzwiach szoferki napisem GARBER REMONTY DOMÓW, MILFORD – ma gaśnicę. Czy powinien pobiec do samochodu, wyjąć zza oparcia swojego fotela gaśnicę i rzucić się facetowi na ratunek – zakładając oczywiście, że kobieta mówi prawdę?

No, może tak. Tylko nie zostawi Kelly samej w zatłoczonym przydrożnym barze szybkiej obsługi, skąd ktoś mógłby ją wyprowadzić, potem wciągnąć do samochodu i w parę minut wywieźć Bóg wie gdzie.

– Kochanie, biegniemy do samochodu! – zawołał.

– A co z moimi...?

Jednak po tym, jak tata szarpnął ją za rękę, Kelly poznała, że dzieje się coś złego. Nie tylko usłyszała krzyk kobiety, ale zauważyła też poruszenie w barze. Ludzie wahali się, jak mają postąpić. Czy przyskoczyć do okien i zająć dobry punkt obserwacyjny, czy wybiec z baru i obejrzeć wszystko z pierwszego rzędu.

Glen szybko pociągnął za sobą Kelly, przepychając się wśród tłumu, który rzucił się do wyjścia. Wybiegli z klimatyzowanego wnętrza i upał południowych godzin otulił ich jak elektryczny koc.

– Tam! – wykrzyknęła Kelly, pokazując ręką.

W odległości kilkunastu metrów od dystrybutorów zebrał się już spory tłum, a w powietrze buchały fale gorąca. Glen puścił rękę Kelly i sięgnął do kieszeni po pilota do swojego pick-upa.

Podprowadził Kelly do drzwi po stronie pasażera i choć była wystarczająco duża, by sama wsiąść, ojciec na wszelki wypadek ją podsadził i zrobił to tak energicznie, że prawie wpadła do środka, po czym sięgnął ponad nią i umieścił kubek z kawą w jednym z wgłębień między fotelami.

Przebiegł na drugą stronę, otworzył drzwi i wyjął zza fotela czerwoną gaśnicę, którą zawsze z sobą woził. Przy pracach remontowych człowiek bywa narażony na ogień równie często jak w samochodzie.

– Siedź tu – polecił. – I zamknij się od środka.  
– Przy zamkniętych oknach się uduszę – zaprotestowała – Tu jest milion stopni.

Wsadził głowę do szoferki i przekręcił kluczyk w stacyjce, by opuścić elektryczne szyby. Nie odpalając silnika, zostawił kluczyk w stacyjce i rzucił do córki:

– Ale i tak zamknij się od środka.

Chwycił gaśnicę w prawą rękę i ruszył biegiem w stronę dystrybutorów.

Ludzie krzyczeli.

Wyciągnął zawleczkę, podtrzymał gaśnicę od spodu lewą ręką i zaczął się przepychać wśród gapiów.

Boże święty!

Przez płomienie trudno było dojrzeć, ale rzeczywiście ktoś się palił – chyba trzydziestoparoletni mężczyzna, około stu dziesięciu kilo wagi, ubrany w sandały, T-shirt i typowe szoferskie szorty z ogromnymi kieszeniami.

W każdym razie nie tybetański mnich, który postanowił się podpalić na znak protestu.

Jeśli nawet mężczyzna wcześniej próbował walczyć z płomieniami, teraz już się chyba poddał, bo leżał skulony na chodniku i tylko czekał, by ogień dokończył dzieła. Mimo to Glen podbiegł, skierował na leżącego wylot gaśnicy i kilkakrotnie nacisnął dźwignię.

Ludzie stali z ustami otwartymi ze zgrozy. Ale w pewnej chwili kilka osób przeniosło wzrok gdzie indziej i zaczęło się w coś wpatrywać z nie mniejszym przerażeniem.

Glen na moment oderwał wzrok od płonącej ofiary. Był ciekaw, co odciągnęło ich uwagę od tak koszmarne widoku. W końcu ludzie nie płoną codziennie.

Z męskiej toalety, mieszczącej się w dobudówce z boku baru, wytoczył się mężczyzna. Twarz miał zakrwawioną, jedną ręką trzymał się za skroń i szedł, ślaniając się na nogach. Ale nawet z daleka Glen widział, że na twarzy mężczyzny maluje się zawzięty upór.

Nie miał jednak czasu na rozważania, bo w tej sekundzie usłyszał coś, przez co serce podeszło mu do gardła.

Był to dobrze mu znany dźwięk.

Rozrusznik forda F-150.

Jego forda.

Oderwał wzrok od rannego mężczyzny i zobaczył, jak jego pick-up rusza z miejsca i pędzi w stronę wyjazdu na autostradę.

\*\*\*

Sean Reilly ledwo co widział.

Oczy zalewała mu krew, a odbierane przez nie skąpe sygnały ze świata zewnętrznego były z trudem przetwarzane przez wstrząśnięty mózg.

Cios prosto w głowę pokrywą spłuczki sedesowej zwykle tak się kończy.

Parł przed siebie, rozglądając się na boki w nadziei, że zbieranie nowych informacji pomoże mu szybciej odzyskać jasność widzenia i myślenia. Widział tłum ludzi po swojej lewej stronie, słyszał okrzyki grozy i szloch. A potem poczuł okropny smród, który od razu rozpoznał. Obrzydliwy, słodko-mdlący, jedyny w swoim rodzaju smród, bez trudu rozpoznawalny dla każdego, kto kiedykolwiek się z nim zetknął. Na szczęście większości ludzi to nie dotyczyło. Ale większość ludzi nie jest agentami operacyjnymi FBI, dla których stykanie się z najgorszymi potwornościami należy do codzienności.

Reilly dojrzał buchający dym i natychmiast odgadł, co się musiało wydarzyć. I ani przez chwilę nie miał wątpliwości, kto za to odpowiada. Ten sam, który zostawił go w męskiej toalecie, przeświadczony, że Reilly już nie żyje. Czując, jak fala wściekłości zalewa jego z wolna powracający do życia mózg, usłyszał rozpaczliwy męski krzyk:

– KELLY!!!

Zobaczył, jak z tłumu wyskakuje mężczyzna z gaśnicą w ręce i rusza pędem przez parking. Reilly instynktownie oderwał wzrok od tłumu i skupił uwagę na biegnącym mężczyźnie. Puścił się za nim, apelując w duchu do swoich nóg, by zechciały szybciej go nieść.

Mężczyzna zatrzymał się przy zaparkowanych pod barem samochodach i ponownie zawołał, a zabrzmiało to tak rozpaczliwie, jakby krzyk wyrwał się z samego dna duszy. Przez chwilę stał zwrócony twarzą do wyjazdu na autostradę, po czym zaczął gorączkowo rozglądać się na boki. I właśnie wtedy Reilly się z nim zrównał.

Mężczyzna widać wyczuł jego obecność, bo okrzyknął się gwałtownie i uniósł rękę z zaciśniętą pięścią, jakby szykował się do zadania ciosu.

– Moja córka – jęknął, wpatrując się w Reilly’ego dzikim wzrokiem.  
– Porwali ją!

– Zaraz, moment... – zaczął Reilly, zasłaniając się ręką w obronnym geście.

– Kelly! – przerwał mu mężczyzna. – Moja córka, zostawiłem ją w aucie. Mój pick-up stał dokładnie tutaj. A teraz go nie ma. Ktoś go zabrał i wyjechał na autostradę.

Reilly już wiedział.

Najpierw podpalił niewinnego człowieka, by skorzystać z zamieszania i zgubić się.

A teraz jeszcze to.

Porwał córkę tego faceta.

A wszystko przez niego.

Poczuł ogarniającą go wściekłość.

– Drzwi były zamknięte od środka – jęknął mężczyzna, ponownie zwracając wzrok ku autostradzie. – Ale szyby opuszczone, a kluczyk zostawiłem w stacyjce.

Reilly ułożył dłonie w uspokajającym geście.

– Ma pan przy sobie telefon? – spytał.

Tamten spojrzał na niego nieprzytomnym wzrokiem.

– Co?

– Pytam, czy ma pan przy sobie telefon.

Mężczyzna pokiwał głową, poklepał się po kieszeniach i z tylnej kieszeni wyciągnął komórkę.

Reilly wyjął mu ją z ręki.

– Jest zablokowany?

– Co? Nie. Kim pan, u diabła, jest?

Reilly zignorował pytanie, kiwnął głową i odsunął się na parę kroków. Nie było chwili do stracenia. Liczyła się każda sekunda. Rozejrzał się i skupił wzrok na małym wiśniowym kombi, które właśnie ruszało z miejsca. Bez namysłu skoczył mu przed maskę i rozłożywszy ręce, dał znak kierowcy, że ma stanąć.

Samochód zapiszczał hamulcami i zatrzymał się niecałe pół metra przed Reillym. Nie tracąc ani chwili, Reilly podbiegł, jednym ruchem

otworzył drzwi i wyciągnął ze środka oniemiałego kierowcę – siedemdziesięcioletniego mężczyznę w okrągłych okularach przeciwsłonecznych i spranym T-shircie z koncertu Steely Dana.

– FBI. Potrzebuję pańskiego samochodu – rzucił, wskakując za kierownicę.

Zatrzasnął skrzypiące drzwi, włączył bieg i ruszył...

Ujechał ledwie kilka metrów, gdy musiał gwałtownie wdepnąć hamulec, bo drogę zagroził mu ojciec porwanej dziewczynki.

Stał przed maską, wpatrując się w Reilly’ego z mieszaniną złości i zdumienia.

A po paru sekundach szarpnął drzwi po stronie pasażera i usiadł obok Reilly’ego.

Reilly obrzucił go szybkim spojrzeniem.

– Powiedziałaś: FBI? – spytał mężczyzna.

– Tak – potwierdził Reilly.

Mężczyzna zaczerpnął powietrza.

– No to jedź.

Reilly skinął głową, skierował auto ku wyjazdowi z parkingu i popędził na autostradę.

\*\*\*

Kristoff wypatrzył pick-upa z dziewczynką w sfoferce i od razu pomyślał, że w stacyjce mogły zostać kluczyki. Dojrzał ją po tym, jak chlusnął benzyną na spaślaka przy dystrybutorze i rzucił zapaloną zapalną. Puff! Tłuszcioch błyskawicznie zajął się ogniem, skwiercząc, jak kiełbasa trzymana za długo nad ogniskiem.

Ludzie rzucili się oglądać przedstawienie, on jeden wodził wzrokiem po parkingu. Był pewny, że na widok płonącego człowieka paru kierowców wyskoczy z zaparkowanych samochodów, w pośpiechu zapominając zabrać kluczyki. Nagle zobaczył forda z dziewczynką siedzącą w środku.

Ruszył biegiem w jego stronę, ściskając w rękach pojemnik ze szczotkowanego aluminium. Musiał na chwilę go odłożyć, by pokrywą spłuczki sedesowej walnąć w głowę kapusia z FBI, ale zaraz potem znów go chwycił i już nie wypuszczał. Pojemnik miał trzydzieści centymetrów długości, pięć centymetrów średnicy i z wyglądu



przypominał zwykły termos. Wewnątrz nie było jednak kawy ani herbaty. O nie, tego, co było w środku, na pewno nikt nie chciałby wypić. Ani do śniadania, ani w ogóle.

I tylko Reilly się uparł, żeby mu to odebrać.

A Kristoff zdecydowanie nie chciał mu tego oddać. Zawartość pojemnika znaczyła dla niego bardzo dużo. Tyle że opłacało się dla niej zabić.

Porwanie pick-upa z dzieckiem w środku było najmniejszym z jego wybryków.

Dobiegł do forda i szarpnął drzwi tak gwałtownie, że niemal zdarł sobie paznokiec, kiedy się okazało, że są zablokowane od środka. Na szczęście szyba była opuszczona, więc wystarczyło wsadzić rękę i zwolnić blokadę.

– Hej! To nie pana samochód! – krzyknęła dziewczynka.

No, coś takiego.

Usiadł za kierownicą, licząc, że kluczyk będzie w stacyjce. Alleluja, Bogu niech będą dzięki, jest! Niemal zachichotał w duchu. Chwalenie Boga w chwili, gdy ma się w ręce coś, co może zniszczyć tak wiele z tego, co ten Bóg stworzył, zakrawało na ponury dowcip.

Wcisnął pedał hamulca, przekręcił kluczyk i uruchomił silnik, układając pojemnik między swoim udem a centralną konsolą.

Dziewczynka nie przestawała się wydzierać.

– Pan przestanie! To samochód mojego taty! Wynoś się!

Kristoff wrzucił bieg i nacisnął pedał gazu.

Spojrzał w lusterko wsteczne na tłum stojący nad nieszczęsnym spaślakiem. Właściwie nie czuł wyrzutów sumienia. Pod wieloma względami facet miał szczęście. Odszedł jako pierwszy i uniknie nieszczęścia, które spadnie później na wszystkich.

– Stać! – krzyknęła dziewczynka.

Kristoff spojrzał na nią. Dziewięć, może dziesięć lat, całkiem miłe dziecko. Trochę podobna do jego siostrzenicy. Ale najlepiej o niej nie myśleć. Ani o niej, ani o reszcie rodziny. Nie czas teraz na sentymenty.

Dziewczynka nagle się przechyliła i spróbowała wyrwać kluczyk ze stacyjki.

Kristoff błyskawicznie uderzył ją w nadgarstek, dziewczynka pisnęła, cofnęła rękę i wtuliwszy się w drzwi, zaczęła pochlipywać.

– Zamknij się! – wrzasnął. – Cicho bądź, bo cię wyrzucę.

Właściwie chętnie by to zrobił, ale chcieć a móc to dwie różne sprawy. Nie dałby rady sięgnąć tak daleko, by otworzyć drzwi z drugiej strony i wypchnąć ją na szosę. Nie przy szybkości stu trzydziestu kilometrów na godzinę, z jaką pędził, wciskając do dechy pedał gazu. Jeśli ma się pozbyć smarkuli, będzie musiał stanąć na poboczu, obieć samochód i otworzyć jej drzwi od zewnątrz.

W sumie niezły pomysł, ale oznaczało to niepotrzebną stratę czasu. A do umówionego spotkania czasu zostało mu już bardzo mało.

Ale skoro nikt go nie ściga...

Ponownie zerknął w lusterko wsteczne.

Od wyjazdu z parkingu zdołał wyprzedzić kilka samochodów. Nikt na szosie nie jechał szybciej od niego.

Ale był jeden samochód z tyłu, którego sylwetka w lusterku wydawała się rosnąć.

Wiśniowe nieduże auto, kombi, sądząc po bagażniku na dachu. Może jednak nie przywalił Reilly'emu wystarczająco mocno w ten jego parszywy łeb. Może ten sukinsyn zabrał komuś samochód i teraz go ściga.

Więc może obecność tej małej nie tylko nie będzie zawadą, ale wręcz się przyda. No bo co Reilly może zrobić? Próbować zepchnąć go z drogi? Zacząć strzelać w opony? Ryzykować śmierć dziecka?

Tyle że nigdy nie można było przewidzieć, co zrobi Reilly. Należał do tych gliniarzy, którzy widzą sprawy w szerszej perspektywie. Mógł uznać, że śmierć jednego dziecka jest czymś lepszym od śmierci milionów.

Kristoff machinalnie dotknął pojemnika przy udzie, z czułością myśląc o zamkniętej w nim potędze.

Spojrzał na dziewczynkę, która nie przestawała pochlipywać.

– Słuchaj no, przestań beczeć. I nie próbuj sięgać do kluczyka, bo możesz nas oboje zabić.

Dziewczynka pociągnęła nosem, otarła łzy z policzków i podniosła na niego rozszerzone ze strachu oczy.

– Dobra, mała – powiedział. – Jak ci na imię?

– Kelly – szepnęła.

– Kelly. Ładne imię. Lepiej zapnij pas, Kelly. Bo będziemy szybko

jechać.

\*\*\*

Reilly trzymał pedał gazu wciśnięty do końca, ale to nie wystarczało. Samochód – chevrolet vega kammback kombi z lat siedemdziesiątych, z drewnianymi panelami na bokach karoserii i wiśniową tapicerką z PCW, która sama w sobie musiała stanowić zagrożenie dla zdrowia – rzeził z wysiłku, ledwie przekraczając setkę. Ale i tak mogło być gorzej, pomyślał. Mógł trafić na AMC gremlina. Albo na pacera. Albo właściwie na cokolwiek ze znaczkiem AMC.

Jadący przed nimi ford F-150 niepokojąco się oddalał, co nie uszło uwagi jego właściciela, który siedział sztywno wyprostowany, wlepiając wzrok w samochód wiozący jego córkę.

– Ucieka nam – wybuchnął wreszcie. – Trzeba było zarekwirować skuter. Może byłby szybszy.

Reilly skrzywił się i jeszcze mocniej wcisnął pedał gazu w nadziei, że wydusi więcej z rzeżącego silnika, ale bez efektu. Zapewne wskazówka szybkościomierza vegi rzadko – jeśli w ogóle – przekraczała kreskę pięćdziesięciu mil, czyli osiemdziesięciu kilometrów.

– Paliwo – mruknął Reilly. – Ile miałeś w baku?

Mężczyzna zmarszczył brwi, próbując sobie przypomnieć.

– Niedużo. Mniej niż ćwierć zbiornika. Chciałem zatankować, jak zjemy.

– Czyli w przeliczeniu na kilometry? Na ile mu to wystarczy?

Tamten znów przez chwilę się zastanawiał.

– Na jakieś sto dwadzieścia, sto trzydzieści kilometrów.

Reilly zerknął na wskaźnik paliwa vegi. Bak był niemal w połowie pełny. Policzył w myślach. W fordzie, przy tej prędkości, paliwa starczy mniej więcej na godzinę jazdy. A biorąc pod uwagę, że ford jedzie szybciej od nich o jakieś piętnaście, dwadzieścia kilometrów na godzinę – może nawet więcej – wkrótce zniknie im z oczu. I to mimo całkiem płaskiego terenu i niemal prostej drogi, którą pędzili. No, może bardziej się toczyli.

Musiał coś wykombinować, i to natychmiast.

– Kim on jest? – spytał siedzący obok mężczyzna. – O co tu,

u diabła, chodzi?

Reilly popatrzył na niego z ukosa. Gość był już dostatecznie zestresowany.

– Interesujemy się nim – odrzekł wymijająco. – Musimy go dopaść. Mężczyzna spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Mówisz poważnie? – warknął ze złością. – Więc to tak? Zamierzasz się migać pod hasłem „ściśle tajne”? Ten drań ma moją córkę. Porwał Kelly.

Reilly poczuł ucisk w żołądku. Doskonale rozumiał rozgoryczenie mężczyzny. Sam niedawno przeżył coś podobnego z udziałem swego pięcioletniego synka, Alexa. Zerknął ukradkiem na swego pasażera. Wiedział, co on czuje i jakie myśli chodzą mu po głowie.

– Teraz musisz wiedzieć tylko jedno: że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by uwolnić twoją córkę. To dla mnie najważniejsze. Wszystko inne schodzi na dalszy plan. Rozumiemy się?

Wypowiadając te słowa, Reilly aż skręcił się w środku. Wiedział, że to nie do końca prawda. Oczywiście uratowanie dziewczynki było bardzo ważne, ale nie najważniejsze. Jasne, zrobi wszystko, co w jego mocy, by ją uwolnić z rąk porywacza, tyle że ów porywacz – ktoś, kogo Reilly znał jedynie pod sieciowym nickiem Faustus – stanowił potężne zagrożenie. Śmiertelne. I dlatego należało go unieszkodliwić.

Reilly miał nadzieję, że nigdy go to nie spotka. Że nie znajdzie się w sytuacji zero-jedynkowej, w której trzeba podjąć decyzję: to albo to, ale nie to i to razem. Pewne decyzje były tak straszne, że wołał nawet o nich nie myśleć. Podczas szkolenia w Quantico nazywano je decyzjami „typu Coventry”, nawiązując w ten sposób do powszechnie znanej, choć nieprawdziwej historii z czasów drugiej wojny światowej, kiedy to ponoć Churchill świadomie poświęcił Coventry i jego mieszkańców, by Niemcy nie zorientowali się, że alianci złamali szyfr nazistowskiej Enigmy i wiedzą o planowanym nalocie na miasto. To była oczywista bzdura, bo nasłuch aliantów nie wiedział, że celem nalotu miało być Coventry, ale ta wersja wydarzeń zdobyła światowy rozgłos i mit Coventry trwał do dziś.

Reilly miał tylko nadzieję, że nie czeka go podjęcie tego typu decyzji.

Mężczyzna zdawał się nieprzekonany zapewnieniami Reilly’ego.

– Bądź pewny, że moja córka jest najważniejsza. Już ja tego dopilnuję.

Reilly wytrzymał świdrujące spojrzenie mężczyzny.

– Jak się nazywasz? – spytał.

– Garber. Glen Garber. A ty?

– Sean Reilly.

– To prawdziwe nazwisko czy też ściśle tajny pseudonim?

– Prawdziwe – mruknął Reilly.

– A gdzie reszta twoich ludzi? – spytał Garber. – Nie masz przynajmniej partnera czy kogoś takiego? Przecież zawsze pracujecie parami, nie?

Reilly się skrzywił. W normalnych okolicznościach Garber miałby rację, ale ta sprawa od pierwszej chwili była daleka od normalności.

– Pracowałem pod przykryciem i nie miałem telefonu – wyjaśnił. – A potem wszystko zaczęło się dziać błyskawicznie i musiałem improwizować. Zamierzałem zadzwonić do moich ludzi z centrum obsługi.

– Ale tego nie zrobiłeś?

Reilly pokręcił głową.

– Nie, jesteśmy tu sami.

– No to teraz masz już telefon – burknął Garber. – Użyj go. Wezwij pomoc.

Ale Reilly miał już inny plan.

– Zrobię to. Ale najpierw mi coś powiedz. Czy twoja córka ma przy sobie komórkę?

Twarz Garbera się zachmurzyła. To pytanie wyraźnie go zaniepokoiło.

– Tak, ma. A co?

Reilly podał Garberowi telefon.

– Zadzwon do niej – powiedział.

\*\*\*

Kelly nie spuszczała z niego wzroku.

Gdy jesteś dzieckiem, wszyscy cię ostrzegają, że masz nie ufać obcym. Kelly była już na tyle duża, żeby wiedzieć, że każdy może stanowić zagrożenie, ale kiedyś wyobrażała sobie obcych jako groźnie

wyglądające straszdyła o długich szpiczastych nosach i diabelskich uszach, z krzaczastymi brwiami i psującymi się zębami.

A ten obcy wyglądał zupełnie zwyczajnie. Mógłby być kimś zatrudnionym w firmie taty i razem z nim remontować domy.

Tylko jego oczy wydawały się jakieś dziwne. Były lodowate.

A nawet gorzej. Były zupełnie martwe.

Gdy popatrzył na nią tymi oczami, a ona spojrzała na niego, od razu przypomniał jej się ten dzień, gdy pojechali do miasta i tata zabrał ją do zoo w Central Parku. Od czasu śmierci mamy wszystko robili razem. Pamiętała szklaną klatkę z gadami i to, że gdy spoglądały przez szybę, nie można było poznać, czy naprawdę na ciebie patrzą, czy nie.

Miały przerażające, nieruchome oczy.

Jak on.

Zauważyła też coś jeszcze. Co chwila dotykał tego termosu, który wetknął w szparę między nogą a centralną konsolą.

Kelly właśnie o tym myślała, gdy dźwięk jej komórki spowodował, że aż podskoczyła. Komórka tkwiła w jej torebeczce, która leżała obok na siedzeniu.

– To twoja? – spytał Kristoff, zwracając ku niej głowę.

– Tak. – Wyjęła telefon, rzuciła okiem na wyświetlacz i stwierdziła, że dzwoni do niej tata.

Aż trudno było uwierzyć, że sama nie wpadła na to, by do niego zadzwonić, ale była tak przerażona, że niezbyt jasno myślała.

– No! – mruknął mężczyzna. – To odbierz.

– Tato! Jeden pan ukradł nasz samochód – powiedziała do słuchawki. – Jestem z nim teraz w samochodzie.

– Wiem, kochanie – odrzekł Glen. – Jadę za wami z... z jednym policjantem. Nic ci nie jest? Nic ci nie zrobił?

Kelly spojrzała na mężczyznę.

– Uderzył mnie w rękę, kiedy próbowałam zabrać kluczyk. Ale aż tak mnie nie bolało.

– Dziecinko, wszystko będzie dobrze. Musimy tylko zdecydować, jak...

– Daj mi ten telefon – warknął Kristoff. Zawahała się, ale on spojrzał na nią tymi swoimi strasznymi oczami. – No już!

Kelly podała mu komórkę i Kristoff przyłożył ją sobie do ucha.

– Ty jesteś ojcem tej małej? – burknął.

– Nie – odparł Reilly. – Jej ojciec rozmawiał przed chwilą, teraz mówię ja.

Kristoff się uśmiechnął.

– To ty jedziesz za mną tym kombiakiem, tak? Tą vegą? Takie rzęchy nie chciały jeździć, nawet jak były nowe, czterdzieści lat temu. Jeśli nie masz w niej wyrzutni rakiet, to raczej masz przesrane.

– Wypuść dziecko, Faustus. Zatrzymaj sobie pick-upa, ale wypuść dziecko.

Kristoff zachichotał.

– Chyba coś ci się poprzestawiało we łbie, jak cię wyróżnałem tą pokrywą.

– Zjedź na pobocze, ja zrobię to samo. Będzie nas dzielił prawie kilometr. Wypuść dziecko. Ja wysadzę jej ojca. Od tej chwili będziemy tylko ty i ja. Nie potrzeba nam przypadkowych ofiar.

Kristoff ponownie zachichotał.

– Mówisz serio? Według mnie przypadkowych ofiar będzie o wiele więcej, nie tylko jedna dziewczynka. – Docisnął gaz. – W moim lusterku robisz się coraz mniejszy. Musisz mocniej pedałować.

Prędkość forda dochodziła już do stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Rozpędzony pick-up minął przydrożną kępę drzew i przyczajony za nią radiowóz policji stanowej.

Kelly aż obróciło do tyłu na widok policji, po czym spojrzała na mężczyznę.

– Chyba mieli radar. Dadzą pan mandat – powiedziała z satysfakcją w głosie, jakby naprawdę wpadł w poważne tarapaty.

– Sukinsyny – prychnął Kristoff.

Wrzucił telefon w zagłębienie na konsoli i spojrzał w lusterko. Radiowóz wyprysnął z ukrycia i buksując kołami, wypadł na jezdnię. Rozbłysły światła, zawyła syrena.

\*\*\*

– Jasna cholera! – mruknął Reilly.

– Jak to? – zdziwił się Garber. – Ma na karku gliny. To chyba dla nas dobrze, nie?

Reilly nie odpowiedział.

\*\*\*

– Zdaje się, że czeka nas niezła zabawa – parsknął Kristoff.

Radiowóz był podrasowanym fordem crown victoria, zwanym „przechwytywaczem”. Kristoff wiedział, że bez trudu może uciec Reilly’emu, jadącemu małym kombi, ale policyjny crown victoria to już całkiem inna sprawa.

Radiowóz szybko go doganiał.

Nie był w stanie mu uciec i nie miał szans go pokonać. Ale pod jednym względem jego ford górował nad policyjnym wozem: był masywniejszy i cięższy.

Może uda się zepchnąć tamtych z drogi. Tylko najpierw musi się z nimi zrównać.

Kelly siedziała wykręcona do tyłu, wpatrzona w zbliżający się radiowóz.

– Lepiej niech pan się zatrzyma – powiedziała – bo inaczej dadzą panu straszny mandat. I jeszcze zamkną pana za kradzież samochodu taty.

– Cicho bądź.

Radiowóz pędził lewym pasem, błyskając lampami i wyjąc. Gdy dzieliła ich już ledwie długość samochodu, policjant pokazał ręką na pobocze, każąc Kristoffowi zjechać i stanąć.

Kristoff wdepnął hamulec. Raz, z całej siły.

Radiowóz znalazł się tuż obok, na sąsiednim pasie.

W tym momencie Kristoff ostro skręcił kierownicę w lewo i walnął lewym błotnikiem w bok radiowożu.

Radiowóz rzuciło w lewo, lewe koła ześlizgnęły się z zaokrąglonej krawędzi jezdni, uniemożliwiając kierowcy odzyskanie kontroli i powrót na szosę.

Samochód z impetem wpadł na trawiasty pas między jezdniami autostrady, dwa razy okręcił się wokół własnej osi, po czym i stanął w chmurze pyłu i żdźbeł trawy.

Kristoff z uśmiechem spojrział w lusterko wsteczne.

– Chyba tatusiowi nie spodoba się to wgniecenie na błotniku – parsknął, zwracając głowę w stronę Kelly.

I go zatkało.



Kelly ścisnęła w ręce jego aluminiowy pojemnik. Podczas gdy on zmagał się z radiowozem, dziewczynka wyjęła go ze szpary przy fotelu. I trzymała go teraz prawą ręką w otwartym oknie.

– Wypuść mnie – powiedziała. – I oddaj tatusiowi jego samochód.

\*\*\*

– Chryste Panie!

Garberowi serce podeszło do gardła, gdy patrzył, jak radiowóz zostaje staranowany przez jego pick-upa. W poczuciu bezsilności przyglądał się zderzeniu obu pojazdów, wpijając palce w podłokietnik z taką siłą, że zbieleły mu kostki. Nieco odetchnął, widząc, że radiowóz stacza się z jezdni i znika w tumanie kurzu na środkowym pasie zieleni.

Spojrzał na Reilly'ego, który też w napięciu obserwował dramatyczne wydarzenia na drodze.

– Dzwon do swoich i wzywaj pomoc – jęknął. – Nie możesz narażać Kelly na następne takie zderzenie. Ten drań... jak ty go nazwałeś? Faustus?... on tak łatwo się nie podda.

– Nie liczyłem na to.

Glen ze złością wskazał telefon.

– No to dzwoni! Tylko im powiedz, żeby uważali. Mamy kontakt telefoniczny. Możemy z nim rozmawiać. Negocjować. Nie wiem, cokolwiek, byle nie kolejne sceny jak z *Szybkich i wściekłych*. Tam jest moje dziecko!

Reilly przeniósł wzrok z oddalającego się pick-upa na wykrzywioną gniewem twarz Garbera i skinął głową.

– Ogłoszę alarm – powiedział. – Uprzedzę, żeby go nikt nie atakował. Ale nie możemy mu pozwolić odjechać za daleko. Jak wypuści twoją córkę. Musimy zrobić jedno i drugie. Ją uwolnić, ale jego złapać.

– Dlaczego? Teraz liczy się tylko Kelly. Jak wam ucieknie, to złapiecie go później. Zawsze tak robicie.

– To nie takie proste.

– Dla mnie tak! Mamy uwolnić Kelly. To najważniejsze, pamiętasz? Użyjecie swoich dronów, zdalnej inwigilacji, komputerowego rozpoznawania twarzy i wszystkich innych sztuczek, jakimi się posługujecie, i dopadniecie drania. Ale dopiero potem, gdy już

uwolnicie moją córkę.

Reilly się skrzywił. Nienawidził takich sytuacji. Chciałby wytłumaczyć temu nieszczęśnikowi powagę sprawy i to, jak niewyobrażalne konsekwencje może pociągnąć za sobą ucieczka tamtego, ale nie mógł nic powiedzieć. Wszystko było ściśle tajne. Tak tajne, że istniał pisemny protokół określający, komu wolno znać prawdę.

Garber chyba wyczuł jego wahanie, bo naciskał dalej:

– Co to za jeden? I co to za imię Faustus? Chryste, to brzmi jak postać Stana Lee<sup>18</sup>.

– Chciałbym, żeby tak było – odparł Reilly.

– No więc co to za jeden?

– Żywi urazę – rzekł Reilly, bardzo ostrożnie dobierając słowa. – Ogromną urazę. I dysponuje środkami, by bardzo boleśnie się odegrać.

– Urazę? – powtórzył Garber. – Do kogo?

Reilly obrzucił go szybkim spojrzeniem.

– Do wszystkich – powiedział.

\*\*\*

Kristoff musiał walczyć z sobą, by odrywać wzrok od pojemnika w ręce dziewczynki i patrzeć na drogę. Cholerna smarkula! Po tym wszystkim, co przeszedł, kiedy już udało mu się dotrzeć tak daleko – nawet jeśli na razie było to tylko pustkowie, odległe od dużego miasta, gdzie mógłby uwolnić demona, dla którego tak dużo ryzykował – od tej smarkatej zależał teraz jego ostateczny sukces. Jednym ruchem mogła wszystko zniweczyć.

Nie mógł do tego dopuścić.

– Oddaj mi ten pojemnik, Kelly – syknął. – Natychmiast.

– Nie.

Co za cholerna gówniara. Był na nią wściekły, choć jednocześnie czuł coś na kształt podziwu. Zawzięta smarkula. Nie jakaś żalosna, pochlipująca beksa. Dzieciak z charakterem. Tylko pogratulować.

Co nie znaczyło, że cokolwiek powstrzyma go przed odebraniem jej pojemnika. Nawet jeśli w tym celu musiałby własnoręcznie skrócić jej kark.

Nie mógł tak po prostu sięgnąć i go chwycić. Trzymała pojemnik

w ręce wystawionej przez okno. Nie mógł ryzykować, że go wyrzuci.

Pojemnik miał być wstrząsoodporny, ale jeśli wyleci z samochodu jadącego sto trzydzieści kilometrów na godzinę i rozbije się o asfalt lub zostanie zmiądzony przez samochód jadący za nimi...

Nie, to nie byłoby dobre.

Przyjdzie taki moment, że on sam z radością uwolni zawartość pojemnika do atmosfery, ale jeszcze nie teraz.

Kristoff musiał mieć więcej czasu na uciezkę. Nie chciałby stać i wdychać tego świństwa.

I dlatego trzeba było przekonać tę coraz bardziej irytującą smarkulę, by ostrożnie obchodziła się z pojemnikiem.

– Kelly, musisz mi to oddać – odezwał się, nadając swemu głosowi możliwie najłagodniejszy ton. – Chcesz wiedzieć dlaczego?

Niechętnie spojrzała na niego. Grymas na jej twarzy świadczył o determinacji, choć przebijał też cień niepewności.

– Dlaczego? – burknęła po chwili milczenia.

– No więc ci powiem, że jesteś mi potrzebna i że w ogóle jeszcze żyjesz dzięki temu pojemnikowi. Jesteś dla mnie jak siatka zabezpieczająca w cyrku. Sposobem na to, żeby gliniarze trzymali się z daleka i pozwolili mi dojechać tam, gdzie chcę. Ale jeśli stracę ten pojemnik, to nie będę już musiał nigdzie jechać. Co oznacza, że nie będziesz mi już potrzebna.

Przez chwilę rozważała jego słowa.

– To znaczy, że mnie wtedy wypuścisz?

– Nie. To znaczy, że będę mógł cię wtedy zabić – rzekł spokojnie, cedząc słowa. Spojrzał na nią i przez chwilę się w nią wpatrywał, korzystając z tego, że jadą prostym, płaskim odcinkiem drogi. – Rozumiesz? Jeśli chcesz przeżyć, jeśli chcesz na to zasłużyć, musisz mi to oddać.

Kelly patrzyła na niego i najwyraźniej dręczyły ją coraz większe wątpliwości.

– Chcesz umrzeć, Kelly? – rzucił ostrzejszym tonem. – Tak? Naprawdę tego chcesz?

Widział, jak dolna warga zaczyna jej drzeć w miarę, jak jego słowa docierają do jej świadomości. Ale wciąż milczała.

– Kelly, chcesz umrzeć? – powtórzył, dodając gazu na

rozpoczynającym się długim i prostym podejździe.

Drżenie dolnej wargi jeszcze się wzmogło, spuściła wzrok i wolno pokręciła głową.

– Nie – wymamrotała. – Nie chcę umierać.

– To mi to oddaj. Oddaj, a nic ci się nie stanie.

Uniosła wzrok i spojrzała mu prosto w oczy, a on skinął głową, wyciągnął ku niej prawą rękę i wyczekująco uniósł podbródek.

Czuł, że już złamał jej opór, a ona już się pogodziła z porażką. Widział, jak opadają jej ramiona i wiotczeje szyja. Cofnęła od okna rękę z pojemnikiem i położyła go sobie na kolanach.

– Grzeczna dziewczynka.

W tym momencie z tyłu nastąpiło głośnie uderzenie, które szarpnęło autem do przodu i wcisnęło ich w oparcia foteli

– Co do...? – Zerknął w lusterko wsteczne i ze zdumienia aż otworzył usta, po czym z niedowierzaniem obejrzał się do tyłu.

Taranował go ten sam radiowóz.

Tyle że teraz nie było w nim gliniarzy.

Za kierownicą siedział Reilly, a obok niego ojciec dziewczynki.

I szykowali się do kolejnego ataku.

\*\*\*

– Czyś ty oszalał?! – wrzasnął Garber, gdy Reilly staranował pick-upa radiowozem. Pick-up miał dużo wyższe zawieszenie, przez co Reilly walnął w jego zderzak osłoną chłodnicy.

– Trzeba nim potrząsnąć – mruknął Reilly, wlepiając przed siebie zawzięty wzrok.

– I przy okazji zabić Kelly! Zepchniesz go z drogi, samochód przekoziółkuje i jak myślisz, co się z nią stanie? Wypadnie przez okno!

– Ma zapięty pas – mruknął Reilly, nie odrywając oczu od pick-upa.

Przejęcie radiowozu wydało się Reilly'emu dobrym pomysłem. Wiedział, że nie ma szans dogonić forda vegą. Gdy radiowóz obróciło dwa razy, po czym stanął na pasie zieleni, Reilly gwałtownie zahamował i wyskoczył z auta.

Garber sądził, że agent FBI chce sprawdzić, w jakim stanie jest policjant, i pomyślał nawet, że gliniarz sobie poradzi, a oni powinni

martwić się o Kelly.

Szybko się jednak okazało, że Reillym bardziej kieruje pragmatyzm niż współczucie. Dobiegł do radiowozu, mignął policjantowi odznaką FBI i otworzył drzwi. Kierowca był przytomny i tylko oczy zalewała mu krew kapiąca z paskudnego rozcięcia na czole.

– Rekwiruję twój radiowóz – rzucił Reilly.

– Co?!

– Wszystko z nim w porządku? – Silnik wprawdzie pracował, ale układ kierowniczy mógł być uszkodzony.

Policjant otarł krew z oczu i wlepił w Reilly'ego wściekłe spojrzenie.

– Nie dam samochodu jakiemuś jebanemu federalowski, który...

Reilly nie dał mu dokończyć. Bez słowa sięgnął do środka, złapał go za koszulę i wyciągnąwszy na zewnątrz, pchnął w kępę chwastów. Padając na plecy, gliniarz zaczął gmerać przy kaburze, ale Reilly zdążył już wskoczyć do radiowozu i tylko rzucił przez ramię:

– Nie radzę ci strzelać do funkcjonariusza federalnego, kolego. Kluczyki od vegi są w stacyjce.

Garber podbiegł do radiowozu z drugiej strony i też wsiadł.

Reilly przesunął dźwignię biegów na „D” i dodał gazu. Samochód ruszył, szorując podwoziem po trawie i chwastach, wjechał na jezdnię i zapiszczał oponami na twardej nawierzchni.

Reilly wyprostował kierownicę, wcisnął pedał gazu i radiowóz wystrzelił jak z procy. Widząc, jak auto gwałtownie przyspiesza, Garber niespokojnie rozejrzał się po kabinie za uchwytem na rękę.

– Odjechał nam kawał drogi, ale go dopadniemy – powiedział Reilly.

– Kim jest ten facet? – spytał Garber. – Czego ty, u diabła, od niego chcesz? Co on ci takiego zrobił?

Pewnie miał nadzieję usłyszeć, że jego córkę porwał nie seryjny zabójca, tylko jakiś notoryczny, ale niegroźny oszust czy malwersant. Wskazówka na jego osobistej skali paniki od zera do dziesięciu mogłaby wtedy opaść na jakieś piętnaście.

\*\*\*

Nawet gdyby Reilly uważał, że ojciec dziewczynki zasługuje na to, by poznać prawdę, nie mógł mu jej zdradzić.

Poinformowanie go, że córka jedzie w samochodzie z kimś gotowym pozbawić życia setki tysięcy, a może miliony ludzi, z kimś mającym dostęp do tak tajnego rządowego programu badań nad bronią biologiczną, że Waszyngton w ogóle zaprzeczał jego istnieniu, z szaleńcem przekonany, że najlepszym sposobem zwrócenia na siebie uwagi jest ślanie do instytucji rządowych komunikatów, w których jako „Faustus” groził biologicznym Armagedonem – no cóż, powiedzenie Glenowi, że jego córka znalazła się w rękach kogoś takiego, mogło tylko pogorszyć sprawę.

I dlatego Reilly praktycznie powtórzył swoją wcześniejszą odpowiedź.

– Stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa.

Na co Garber zareagował ironicznym parsknięciem.

– No coś takiego.

Sylwetka jadącego przed nimi pick-upa rosła w oczach i Garber mógł już dojrzeć przez tylną szybę czubek głowy córki.

Autostrada biegła lekko pod górę i silniki obu pojazdów zaczęły ciężiej pracować.

– I co dalej, jak ich dogonimy? – spytał Garber.

Reilly sięgnął do kieszeni po komórkę Garbera, przytknął ją do ucha i spojrzał na niego.

– Wciąż mamy połączenie – powiedział. – Słyszę głosy w tle. Hej, Faustus! Jesteś tam?

Trzymając telefon przy uchu, przez chwilę się przysłuchiwał.

– I co? – spytał Garber.

– Rozmawiają o pojemniku.

– Jakim pojemniku?

Reilly rzucił mu spojrzenie.

– Ciii... – syknął.

Jeszcze przez chwilę słuchał, po czym zaklął pod nosem i podał komórkę Garberowi.

Garber przycisnął ją do ucha i zaczął wykrzykiwać imię córki. Reilly dodał gazu, przekraczając sto sześćdziesiąt na godzinę.

Pick-up był już bardzo blisko.

A potem Reilly z całym impetem wjechał mu w tył.

Właśnie wtedy Garber wrzasnął do niego, czy oszalał.

Bez wątpienia, pomyślał w duchu Reilly, niewątpliwie.

\*\*\*

Gdy radiowóz policyjny walnął w nich z tyłu, Kelly krzyknęła ze strachu i uderzyła głową w zagłówek. Zanim zdążyła się odwrócić i zobaczyć, kto w nich uderzył, nastąpiło drugie walnięcie.

Pojemnik zsunął jej się z kolan, spadł na podłogę i potoczył się po gumowym dywaniku.

Dopiero teraz zdołała się obrócić do tyłu i zobaczyć, co się dzieje. Radiowóz był kawałek za nimi, ale w tym, kto siedział obok kierowcy, i tak rozpoznała swojego tatę.

– Tato! – wrzasnęła, choć wiedziała, że nie może jej słyszeć.

Może z ruchu jej warg tata zorientuje się, że do niego krzyczy.

Pomachała mu ręką, on też jej pomachał.

– Podnieś to! – krzyknął Kristoff, wskazując pojemnik. – Natychmiast!

Wpadł na pomysł, jak się pozbyć Reilly’ego. Postraszy go tak samo, jak dziewczynka postraszyła jego. Pojemnikiem. Chwyci go i wystawi przez okno, jakby był gotów go wyrzucić.

Reilly musi się tego wystraszyć.

– Nie dam rady – powiedziała Kelly, próbując się pochylić, ale pas bezpieczeństwa ograniczał jej ruchy.

– Odepnij ten cholerny pas! – wrzasnął Kristoff.

– Tata każe mi zawsze mieć zapięty – odparła.

Kristoff obrzucił ją spojrzeniem z gatunku „żarty sobie stroisz?” i Kelly od razu wcisnęła przycisk, zsunęła pas i nachyliła się, by podnieść pojemnik.

I równocześnie zaczęła intensywnie myśleć.

Bardzo intensywnie i bardzo szybko.

Kelly różniła się od innych dzieci. Miała tylko dziesięć lat, ale w swym krótkim życiu przeżyła wiele złych chwil. Takich, jakich dziewczynki w jej wieku nie powinny przeżywać.

Oczywiście najgorsza była strata matki. Żadne dziecko nie powinno tracić swojej mamy. I żadne dziecko nie powinno tracić mamy w taki sposób, jak Kelly.

Ale to dopiero był początek.

Niedługo potem ktoś ostrzelał jej dom. Pocisk stłukł szybę w jej pokoju, kiedy tam siedziała.

A potem było jeszcze gorzej. Nim ta straszna passa w jej życiu dobiegła końca, ktoś groził jej pozbawieniem życia. I to nie ktoś obcy, tylko ktoś, komu ufała i kogo uważała za dobrego.

I kto ją z tego wszystkiego ratował? Oczywiście tata. Jak zwykle znalazł się przy niej, ale to ona sama sobie poradziła. Sama znalazła sposób, jak powstrzymać tamtego drania na tyle, by przechylić szalę na swoją stronę.

I to błyskawicznie.

Kelly zastanawiała się, czy teraz, w tej sytuacji, też nie dałoby się czegoś wymyślić. Czegoś, co pozwoliłoby zyskać na czasie. Żeby tata i ten policjant zdążyli przyjść jej z pomocą.

I wtedy jej wzrok padł na stojący w zagłębieniu konsoli papierowy kubek z gorącą kawą.

\*\*\*

– Świetny pomysł! – wrzasnął Garber. – Staranować go! Tego was uczą w FBI?

Reilly musiał przyznać, że nie jest zbyt pewny swego. Nie miał żadnego wsparcia i był bez broni. (Pocieszał się jedynie, że Faustus też jest nieuzbrojony. Zdążył go obszukać tuż przed tym, jak tamten go zaatakował). Tak naprawdę potrzebował pieprzonego śmigłowca z laserem, tyle że to nie był film z Jamesem Bondem.

To było realne życie.

Dlatego potrzebował czegoś, co tamtego zaskoczy i na moment wytrąci z równowagi. Na przykład żeby złapał gumę. Lub żeby zabrakło mu benzyny w baku, na co jednak – według tego, co mówił Garber – trudno było liczyć. Albo żeby z lasu wyskoczył cholerny łoś, któremu zachciało się przebiec na drugą stronę.

Przynajmniej bak w radiowozie był pełny. Musi powiedzieć Garberowi, żeby zaczął dzwonić, żeby spróbował skłonić policję do ustawienia blokady na szosie lub może...

Co jest, do cholery?

Pick-up gwałtownie szarpnął i zatańczył po jezdni.



\*\*\*

– Łap – powiedziała Kelly.

Zsunęła się na brzeżek fotela, schyliła i uchwyciwszy prawą dłonią pojemnik, rzuciła go mężczyźnie prosto w twarz.

– O Jezu! – wrzasnął Kristoff.

Odjął lewą rękę od kierownicy, złapał pojemnik, nim ten wypadł przez otwarte okno, i położył go sobie na udach. Pojemnik stoczył mu się w stronę kolan i Kristoff spróbował go złapać, żeby znów nie upadł na podłogę, bo mógłby wtedy wtoczyć się pod pedały.

Właśnie ten moment Kelly wybrała, by zdjąć wieczko z kubka z kawą.

Tata miał rację. Mówił, że kawa będzie gorąca aż do końca ich podróży. Jak ktoś w ogóle może pić taki wrzątek?

Wyjęła kubek z wgłębienia w konsoli i trochę kawy się wychlapało, parząc jej palce. Zabolało jak diabli, jak by powiedział jej tata, ale nie było czasu rozczulać się nad sobą. Miała tylko ułamek sekundy na to, by chlusnąć gorącym płynem w twarz tego okropnego człowieka.

I bez wahania to zrobiła.

Czarna ciecz przeleciała łukiem w powietrzu i chlusnęła na prawy policzek i szyję Kristoffa. A także na prawe oko, sądząc po tym, jak gwałtownie się za nie chwycił.

Kristoff wrzasnął, ale tym razem nie było to „O Jezu!”. Tym razem jego wrzask zabrzmiał jak ryk bólu. Jak coś bardzo pierwotnego.

Starał się trzymać kierownicę lewą ręką i patrzeć na drogę lewym okiem, ale samochód już zaczynał tańczyć po jezdni. Pojemnik spadł na podłogę i zaczął się turlać z boku na bok, w rytm szarpnięć auta.

Kristoff odjął prawą rękę od twarzy i zrobił wściekły zamach w stronę Kelly, ona jednak wcisnęła się w najdalszy kąt przy drzwiach. Nie mógł jej dosięgnąć, ale i tak zaczęła się zastanawiać, czy nie lepiej przeleźć przez oparcie fotela i schować się w wąskiej szczelinie za nim. Uznała jednak, że nie, bo gdy samochód w końcu się zatrzyma czy choćby tylko zwolni i nadarzy się okazja do ucieczki, musi mieć łatwy dostęp do drzwi.

Samochód rzeczywiście zwalniał. Kristoff zdjął nogę z gazu, a ponieważ wciąż jechali lekko pod górę, prędkość pick-upa szybko zaczynała spadać. Nie wcisnął hamulca, ale było oczywiste, że nie widzi

dobrze drogi i nie będzie mógł utrzymać dotychczasowej prędkości.

Wykonał jeszcze kilka pustych zamachów w stronę Kelly i ponownie przyłożył prawą dłoń do twarzy, jednak zaraz ją odjął, bo oparzona skóra za bardzo bolała. Na prawe oko nic nie widział.

– Oślepiłaś mnie! – zawył. – Ugotowałaś mi oko, ty mała dziwko!

Kelly chyba nigdy w życiu nie była tak przerażona – nawet wtedy przed kilku laty, gdy tamten drań groził jej śmiercią – choć jednocześnie czuła satysfakcję. Przemknęło jej wprawdzie przez myśl, że mogą ją oskarżyć o uszkodzenie temu mężczyźnie oka, ale zaraz pomyślała, że chyba tata nie będzie się o to czepiał.

Tata w ogóle rzadko się czepiał o cokolwiek.

Obejrzała się i stwierdziła, że radiowóz wciąż za nimi jedzie. Pick-up znów zatoczył się na boki, a ona pomachała tacie ręką.

A potem usłyszała dobrze znajomy chrzęst opon na żwirze. Odwróciła głowę i stwierdziła, że pick-up zjechał z asfaltowej jezdni na pobocze. Mężczyzna nacisnął hamulec, zwiesił głowę i zaczął nią kiwać w przód i w tył, próbując zapanować nad bólem.

Nim jeszcze samochód całkiem się zatrzymał, Kelly szarpnęła za klamkę, otworzyła drzwi i wyskoczyła.

\*\*\*

– Kelly! – wykrzyknął Glen Garber na widok córki wyskakującej z toczącego się jeszcze pick-upa i wypadł z radiowozu, nie czekając, aż Reilly przesunie dźwignię biegów na „P”.

Kelly wylądowała w wysokich trawach tuż za twardym poboczem. Kolana się pod nią ugięły: skuliła się, znikając ojcu z oczu.

Glen rzucił się w jej stronę.

– Kelly! Kelly!

Nie zdążył dobiec, gdy wychyliła głowę z traw, pomachała do niego ręką i zawołała:

– Tu jestem!

I w tym momencie Garber usłyszał za sobą wrzask Reilly’ego:

– Uciekajcie!!!

\*\*\*

Reilly’emu nie był obojętny los Garbera i jego córki, miał jednak

teraz ważniejsze sprawy na głowie.

Na przykład losy człowieka znanego mu jako Faustus, który otworzył drzwi po stronie kierowcy i wytoczył się z pick-upa. Jednak zanim wysiadł, schylił się i podniósł coś z podłogi. Stał teraz krok od otwartych drzwi i trzymał to coś nad głową.

Aluminiowy pojemnik.

No tak.

Reilly nie wiedział, co się wydarzyło w szoferce pick-upa, ale dostrzegł, że połowę twarzy mężczyzny pokrywają sinoczerwone plamy, a skóra miejscami wygląda tak, jakby zaraz miała odpaść. Prawe oko było zamknięte.

Wtedy właśnie Reilly wrzasnął do Garbera i dziewczynki, by uciekali.

– Zrobię to! – krzyknął Faustus. – Rozbiję go o jezdnię! Rozleci się na kawałki! Chcesz tego?

Agent FBI uniósł otwartą dłoń.

– Daj spokój – powiedział. – Przecież sam też wtedy zginiesz. Nie dożyjesz swojej chwili triumfu.

– To już teraz nieważne.

Jadące autostradą samochody zaczynały zwalniać, kilka z nich zatrafiło.

Reilly nie odrywał wzroku od Faustusa. Musiał go o to spytać.

– Co ci się, u diabła, stało w twarz?

– Gorąca kawa – parsknął Faustus. – Może wystąpię o odszkodowanie.

W tym momencie Reilly dostrzegł, że pick-up wolno rusza do tyłu. Zatrzymali się na łagodnym podjeździe i ford zaczynał się po nim staczać. Widać Faustusowi zbyt szybko się spieszyło i nie do końca przesunął dźwignię na parkowanie.

Faustus też to zauważył, ale było już za późno.

Otwarte drzwi kierowcy grzmotnęły go w plecy i pchnęły na jezdnię, jakby ktoś go zaatakował od tyłu. Dolna krawędź drzwi uderzyła go w głowę z taką siłą, że padł na asfalt jak długi, rozrzucając ręce na boki.

Znieruchomiał, jego palce zwiotczały i pojemnik zaczął się turlać po jezdni w stronę Reilly'ego, podskakując na kamykach i nierównościach.

„Tylko się nie otwórz, błagam, tylko się nie otwórz”.

Reilly rzucił się do przodu i nakrył ciałem pojemnik, przytrzymując go, jakby to był granat. Choć nie mógł wybuchnąć, był groźniejszy od tysiąca granatów. Pick-up przejechał obok, tocząc się tyłem w stronę rowu.

Dobre pięćdziesiąt metrów dalej Reilly dostrzegł Garbera i jego córkę, którzy biegli ku ciągnącej się wzdłuż autostrady linii lasu. Garber obejrzał się, zobaczył leżącego na jezdni Reilly’ego i chwycił Kelly za łokieć, by ją zatrzymać.

– Zostań tu – rzucił.

Po czym popędził z powrotem.

– Jesteś ranny?! – zawołał z daleka.

– Nie!

– A on?

– Chyba nie żyje. Dostał mocno w głowę drzwiami, potem walnął nią jeszcze o asfalt. W każdym razie się nie rusza.

– To czemu leżysz na...?

– Masz w samochodzie jakąś torbę? Plastikową reklamówkę? A właściwie kilka? Albo coś szczelnego? – Przyszło mu coś do głowy. – Wiem! W radiowozie muszą być torebki na dowody rzeczowe.

Garber podskoczył do radiowozu, wyjął kluczyk ze stacyjki i podbiegł do bagażnika. Na znalezienie torebek potrzebował nie więcej niż piętnaście sekund. Przezroczyste plastikowe torebki ze szczelnym zamknięciem, podobne do wielkich toreb na kanapki. Wyjął całą garść i ruszył w stronę Reilly’ego, przyglądając się, jak jego pick-up z wciąż pracującym silnikiem przechyla się i zjeżdża tyłem do rowu.

Tuląc pod sobą pojemnik, Reilly wyciągnął rękę.

– Daj mi je – powiedział.

Do Garbera zaczynała docierać powaga sytuacji.

– Mam uciekać? – spytał niepewnie.

– Chyba nie ma sensu. – Reilly się skrzywił. – Albo obaj jesteśmy bezpieczni, albo nie. A jeśli nie, to i tak nie zdążysz uciec.

Wsunął pod siebie torbkę, jednym szybkim ruchem podniósł się na kolana, włożył do niej pojemnik i ścisnął zamknięcie.

Garber uświadomił sobie, że przygląda się temu, wstrzymując oddech.

– W tej torebce jest koniec świata, tak? – powiedział.

– Coś w tym rodzaju – odrzekł Reilly. – Daj mi jeszcze jedną. Zrobimy podwójne zabezpieczenie. Może nawet potrójne.

– Mogło się coś wydostać?

– Skoro tu stoimy i rozmawiamy, to raczej nie.

Wyciągnął rękę do Garbera, który pomógł mu się podnieść. Przez chwilę stali w milczeniu, patrząc na siebie. Garber zerknął na zegarek.

– Trzydzieści sekund – powiedział.

– Jeszcze chwilę odczekajmy – rzekł Reilly.

– Jeśli się coś stanie, to konkretnie co?

– Lepiej, żebyś nie wiedział. Jediną pociechą jest to, że odbędzie się to bardzo szybko.

Garber nie odrywał teraz wzroku od zegarka.

– Minęło półtorej minuty.

– Myślę, że przeżyjemy. – Reilly lekko się uśmiechnął. – Twoja mała chlusnęła mu kawą w twarz, tak?

Garber pokiwał głową.

Uśmiezek Reilly’ego zamienił się w szeroki uśmiech.

– Zawołaj ją.

Garber pomachał do Kelly. Po krótkiej chwili podbiegła zdyszana. Widać było, że jest roztrzęsiona, ale wie, że już po wszystkim.

Reilly położył ręce na jej ramionach.

– Ależ z ciebie dzielna dziewczyna – powiedział.

Kelly blado się uśmiechnęła.

– Naprawdę, mówię poważnie. Jeśli będziesz kiedyś potrzebowała czegoś, daj tylko znać.

Kelly przez moment się zastanawiała, po czym oznajmiła:

– Nigdy nie dostałam tych nuggetsów z kurczaka.

**JOHN LESCROART**  
**i**  
**T. JEFFERSON PARKER**

Geneza tego tekstu sięga roku 2009, kiedy to John i Jeff, wspólnie pisząc opowiadanie do antologii zatytułowanej *Hook, Line & Sinister*, odkryli w sobie pasję do łowienia ryb. W roku 2011 zaowocowało to wyprawą na głębokowodne wędkowanie muchowe na Przylądku Wschodnim i u wybrzeży wyspy Cerralvo w Kalifornii Dolnej. Przez siedem dni z rzędu, każdego ranka wsiadali na pangie (meksykańskie łodzie rybackie) i ruszali na połów tuńczyków, dorad, serioli, sierpików czy czegoś innego, co akurat brało. Ich opiekunami byli znający te wody jak własną kieszeń wspaniali rybacy, zwykle członkowie jednej z wielopokoleniowych rodzin z pobliskiej wioski Aqua Amarga.

Gdy zwrócono się do nich obu z propozycją, aby napisali opowiadanie do zbioru *Twarzą w twarz*, natychmiast wpadli na pomysł, że połączą Wyatta Hunta (*The Hunt Club, Treasure Hunt i The Hunter*), autorstwa Johna, z Joem Troną (*Silent Joe*), autorstwa Jeffa. Obaj są w zbliżonym wieku, obaj wysportowani i obaj w ten czy inny sposób związani z organami wymiaru sprawiedliwości, więc wysłanie ich razem na wyprawę wędkarską do Kalifornii Dolnej było łatwe. Od pierwszej chwili wspólnego wędkowania zadziałała między nimi wyraźna i mocna chemia, a ich twórcy doszli do wniosku, że gdyby istnieli naprawdę, zapewne byłiby przyjaciółmi. Przyjaźń przyjaźnią, ale chodziło o antologię krótkich thrillerów i autorzy musieli wymyślić intrygę, która postawiłaby obu bohaterów w obliczu niebezpieczeństwa.

Jeff zaczął szperać w materiałach na temat działalności meksykańskich handlarzy narkotyków, zwanych *narcotraficantes*. Nagłówki gazet z całego świata bezustannie alarmują, że w tym rejonie występuje poważny problem narkotykowy, cóż więc mogło być lepszego (z punktu widzenia fabuły) niż nasłanie narkotykowych

gangsterów na jedną z rodzin ciężko pracujących rybaków? Tylko co takiego mogli posiadać biedni rybacy, żeby *narcotrafficientes* mieli im zagrażać? Przecież nie narkotyki, bo tym rybacy się nie zajmują. Nie zajmują się też polityką. Zajmują się łowieniem ryb i grą w baseball. Ale w Kalifornii Dolnej jest jeszcze coś, co nie do końca zbadano i co przyciąga uwagę gangsterów.

Kopalnie złota.

Ukryty skarb, który może ożywić senną wioskę rybacką, umożliwiając zakup nowego generatora prądu do zamrażarek wytwarzających lód i do ulicznego oświetlenia. Pieniądzy starczyłoby też na kupno nowych silników do łodzi rybackich. Niestety, pogłoski o złocie docierają do *narcotrafficientes*, którzy jednak nie wiedzą, gdzie jest ukryte ani kto go strzeże. By się tego dowiedzieć, nie zawahają się torturować i zabijać.

Kto może im w tym przeszkodzić?

Dwaj Amerykanie, Wyatt Hunt i Joe Trona, przebywający w Meksyku na wyprawie wędkarskiej.

## **Cichy połów (SILENT HUNT)**

Wyatt Hunt dotarł do wyznaczonej bramki w międzynarodowym porcie lotniczym w Los Angeles na godzinę przed jej otwarciem i wpuszczeniem pasażerów na pokład samolotu, który w południe odlatywał do La Paz. Miał z sobą jedynie bagaż podręczny – nowiutką brezentową torbę z jasnobrązowymi wzorami na ciemnobrązowym tle. Spakował do niej wart blisko dwa tysiące sprzęt do wędkarstwa muchowego, kosmetyczkę, dwie zmiany bielizny, spodnie z długimi nogawkami, które można było odpiąć i otrzymywało się szorty, oraz dwie koszule z długimi rękawami. Te ostatnie zakupił kilka dni wcześniej w składnicy turystycznej z myślą o panujących w tamtym rejonie upałach. Czekąło go tkwienie na wodzie po osiem godzin dziennie w pełnym słońcu, przy średniej temperaturze ponad czterdzieści stopni Celsjusza.

Był wrzesień i jego towarzysze z dziesięcioosobowej wyprawy wędkarskiej – których osobiście nie znał – liczyli na połów dorad i różnych odmian tuńczyków, może nawet merlinów, skrzydlic i rekinów. Żadna z ryb nie miała prawa ważyć mniej niż pięć kilo, ale można też było trafić na pięćdziesięcikilogramowe i większe. Hunt, zapalony wędkarz muchowy, przywykły łowić w strumieniach pstrągi ważące średnio po ćwierć kilo, miał wątpliwości, czy jego sprzęt nadaje się do łowienia tak wielkich ryb, ale postanowił zaryzykować.

W każdym razie był maniakiem sprzętu wędkarskiego i jego nowe nabytki – wędki na dziesięcio- i dwunastogramowy ciężar wyrzutu, kołowrotki po sto metrów linki, o trzydziesto- i czterdziestokilogramowej wytrzymałości, oraz kolczaste, kunsztownie zdobione piórkami haczyki – z całą pewnością przedstawiały się bardzo okazale. W ostatnim miesiącu czterokrotnie odwiedził Baker Beach w San Francisco, gdzie w towarzystwie prawdziwego fachowca



starał się opanować technikę zarzucania wędki i podwójnego zacinania przy wyciąganiu, co przy powierzchniowym łowieniu w słonej wodzie ma kluczowe znaczenie. Daleko mu jeszcze było, by mógł się nazwać ekspertem, miał jednak nadzieję, że przynajmniej się nie skompromituje.

Hunt miał godzinę do wejścia na pokład, a czując się mało przytomny po zerwaniu się z łóżka o piątej rano, znalazł wolny stółek przy końcu baru, upchnął pod nim torbę i zamówił dużą kawę. Gdy wypił mniej więcej połowę, spojrzał na łysawego, korpulentnego faceta w jaskrawej hawajskiej koszuli w czerwono-zielone wzory, siedzącego obok, i powiedział:

– Przepraszam, zechciałby pan rzucić okiem na moją torbę? Muszę pójść się odpryskać.

Facet, który już raczył się jakimś drinkiem z parasolką, spojrzał na torbę Hunta i mile się uśmiechnął.

– Wciąż ostrzegają, żeby nie zostawiać bagażu pod opieką nieznanym, prawda?

– Tak, bez przerwy. – Hunt przykrył już filiżankę serwetką i wstał ze stołka, jakby nagle zaczęło mu się spieszyć. Nachylił się ku łysemu i zniżając głos, dodał: – Daję słowo, że w środku nie mam bomby. Może pan sprawdzić.

– Zaufam panu – odrzekł mężczyzna. – Niech pan idzie.

Zmierzając do męskiej toalety, Hunt po raz kolejny pomyślał, że chociaż Osama bin Laden nie żyje, w pewnym sensie wygrywa pierwszą rundę w wojnie z terroryzmem. W ciągu dzisiejszego poranka Hunt musiał już dwukrotnie zdjąć buty do kontroli, opróżnić wszystkie kieszenie i wypiąć się przed rentgenem Służby Ochrony Lotniska. Gdyby nie to, że właśnie zmieniono przepisy, podczas licznych porannych kontroli na lotnisku w San Francisco straciłby też (już po raz trzeci) scyzoryk armii szwajcarskiej, który nieopatrznie zostawił w kieszeni.

I jeśli nawet był gotów zgodzić się z ogólną zasadą, która temu przyświecała, i tak strasznie go to wszystko wkurzało.

No bo właściwie to tak, jakby jego sąsiad przy barze miał mu ukraść brezentową torbę podróżną, choć pewnie by jej nawet nie udźwignął. Jakby w ogóle ktoś, kto przeszedł już wszystkie kontrole i siedzi

w poczekalni przed bramką, mógł być zagrożeniem dla czyjegoś bagażu.

Dał się ponieść frustracji i zaczął fantazjować. Po pierwsze, potencjalny złodziej musiałby posiadać ważną kartę pokładową oraz dokument tożsamości ze zdjęciem; po drugie, musiałby mieć za sobą kontrolę, podczas której został rozebrany do rosołu i prześwietlony, i liczyć na to, że ktoś zostawi swój bagaż „niezaopiekowany” – Hunt kochał takie biurokratyczne potworki językowe – a jemu uda się go ukraść. Dobrze, i co dalej? Wróci z tym bagażem do hali odlotów? Kiedy ostatnio coś takiego się zdarzyło? Czy kiedykolwiek się zdarzyło? Czy w ogóle jest to możliwe? Kto wymyśla takie bzdury? Ile wynosi przeciętne IQ funkcjonariusza Służby Ochrony Lotniska? Lub, nie przymierzając, samego szefa Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego?

W najlepszym razie utrzymuje się w strefie stanów średnich, pomyślał, wychodząc z toalety...

...akurat w porę, by dojrzeć faceta mniej więcej w jego wieku i jego postury, ubranego w dżinsy, kraciastą koszulę i naciągniętą na oczy bejsbolówkę z logo San Diego Padres, który z bardzo charakterystyczną torbą, przewieszoną przez ramię, zmierzał w stronę bramek kontroli bezpieczeństwa. Z jego torbą! Chryste Panie!

– Hej! – krzyknął Hunt. – Hej, ty tam! Zaczekaj!

Facet jakby nigdy nic szedł dalej.

Hunt zaczął biec.

Mężczyzna, od którego dzieliło go jeszcze około dwudziestu metrów, już dochodził do bramki. Poruszał się ze swobodną nonszalancją, stawiając długie kroki. Nie zwalniał ani nie przyspieszał, po prostu szedł i szedł, i szedł... Do wyjścia zostało mu już ledwie parę metrów.

Gdy było trzeba, w Huncie odzywał się sportowiec, potrafiący też biegać. Teraz więc puścił się pędem i odległość między nim a złodziejem zaczęła się szybko zmniejszać. Zawołał: „Zatrzymajcie tego człowieka”, nie bardzo wiadomo do kogo, ale przyciągnął tym uwagę znajdujących się w pobliżu pasażerów. W końcu go dopadł, gdy ten był już o krok od bramki.

Hunt podbiegł od tyłu i obiema rękami chwycił torbę.

– Hej! Chwila! Co ty sobie wyobrażasz?! – krzyknął i szarpnął za pasek.

Facet okręcił się i zrobił tak błyskawiczny wymach łokciem, że Hunt z trudem zdołał uniknąć ciosu. Ale po tym jednym ruchu poznał, że ma do czynienia z kimś silnym, doskonale wyćwiczonym i szybkim jak błyskawica. On sam miał czarny pas w karate, jednak ten koleś – chociaż z ciężką torbą na ramieniu – był co najmniej równorzędnym partnerem, a już na pewno kimś, z kim należało się liczyć. Swym wymachem zmusił Hunta do cofnięcia się, po czym od razu, jak każdy doświadczony zabijaka, podjął atak. Rzucił torbę na podłogę i prawą ręką wymierzył cios, który Hunt sparował przedramieniem. Zabolowało go tak, jakby się zaślaniał przed łomem.

Szykując się teraz do ataku, Hunt po raz pierwszy spojrział tamtemu prosto w twarz i oniemiał. Prawie połowę jego twarzy pokrywały okropne blizny oparzeniowe – tak rozległe, jakby twarz niemal uległa stopieniu.

Huntowi od razu przeszła chęć do walki, choć nadal ciężko dyszał.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz? – warknął.

– Co ja wyprawiam? – powiedział złodziej irytująco spokojnym głosem. – To ty się na mnie rzuciłeś. Ja się tylko broniłem.

– Próbowalesz uciec z moją torbą.

– To moja torba, nie twoja. I wcale z nią nie uciekałem. Szedłem kupić gazetę w tamtym sklepie. – Wskazał ręką.

Przez tłum gapiów przebiło się trzech funkcjonariuszy Służby Ochrony Lotniska i jeden z nich – niejaki Hillyer, jak widniało na identyfikatorze – wysunął się do przodu i rozłożył ręce na znak, że przejmuje dowodzenie.

– Dobra, ludzie, spokojnie. Tylko spokojnie. Co się tu dzieje?

– Ten gość próbował zwać z moją torbą – wyjaśnił Hunt.

– To moja torba, proszę pana. – Głos człowieka z bliznami nadal był zupełnie opanowany.

Hillyer spojrział mu w twarz i najwyraźniej też poczuł się wstrząśnięty, bo dopiero po chwili przeniósł wzrok na Hunta.

– To moja torba – rzekł Hunt. – Może pan sprawdzić. W środku mam sprzęt wędkarski. Właśnie lecę do Meksyku.

– Ja również – powiedział człowiek z blizną. Sięgnął do kieszonki

koszuli i pokazał kartę pokładową. – Jeśli pan pozwoli – dodał, przyklękając. Przesunął do przodu plakietkę na pasku torby i pokazał ją najpierw funkcjonariuszowi, potem Huntowi. – Proszę, Joe Trona. To ja. – Wstał, sięgnął do tylnej kieszeni spodni, wyjął portfel i wyciągnął odznakę policyjną, w którą Hillyer bardzo długo się wpatrywał, jakby czytał każde słowo z osobna. Dwa razy przeniósł wzrok z odznaki na twarz mężczyzny. – Jestem oficerem policji i zapewniam, że nie ukradłem temu człowiekowi torby.

Hillyer mimo to rozsunał zamek i zajrzał do środka. Hunt zrobił to samo i ujrzał równo poukładane kołowrotki i szpule linki rybackiej, podobne do jego własnych. Hillyer popatrzył na Tronę, a potem na Hunta.

– Kiedy pan ostatnio widział swoją torbę?

– Zostawiłem ją w barze i poszedłem do toalety. Siedzący obok mnie mężczyzna miał jej popilnować. Jednak gdy wyszedłem z toalety, zobaczyłem... – Przerwał, bo nagle go zatkało. – Boże, zachowałem się jak osioł. Panie Trona, jestem panu winien przeprosiny.

Trona spojrział na Hunta, ale nic nie powiedział.

– Chodźmy sprawdzić, czy pańska torba nadal leży w barze – powiedział Hillyer do Hunta. – Jak to mówimy w naszych komunikatach, bagaże często wyglądają bardzo podobnie. Jeśli tam jest, to nie pozwolimy, żeby dłużej pozostawała niezaopiekowana. Co pan na to?

\*\*\*

Joe Trona stał w cieniu pod ścianą terminalu La Paz, chroniąc się przed piekielną spiekotą Kalifornii Dolnej. Oklejona taśmami wiązka wędek w futerałach leżała na ziemi, obok torby podróźnej i przenośnej chłodziarki. Van miał lada chwila podjechać.

– O, pan osioł.

– Hunt brzmi lepiej.

– Przeprosiny przyjęte.

Hunt stanął obok Trony i wyciągnął do niego rękę.

– Wyatt – powiedział.

– Jedzie pan do Baja Joe's na ryby?

– Po raz pierwszy w życiu.

– To zawsze jest przygoda.

Trona przyglądał się grupce urodziwych meksykańskich stewardes, które przeszły obok, zmierzając do budynku. Jedna z nich obrzuciła go ukradkowym spojrzeniem i szybko uciekła wzrokiem do góry, jakby nagle zainteresował ją nadlatujący odrzutowiec pasażerski. Mimo naciśniętej na czoło bejsbolówki pokryta bliznami twarz Trony zwracała uwagę. Żył z nią od ponad trzydziestu lat i czasami nie pamiętał o niej, ale przypomnieniem były zawsze reakcje innych – dorosłych, dzieci, a nawet psów.

– Jest pan tym szeryfem z okręgu Orange – domyślił się Hunt. Trona kiwnął głową i z satysfakcją przyjął nieuniknioną chwilę milczenia. – Minęło już dziesięć lat.

– Miło znów żyć w zapomnieniu.

– Coś o tym wiem – mruknął Hunt.

– Te zbrodnie w San Francisco, którymi pan się zajmował, narobiły u nas na południu dużo szumu. Ludziom przypominał się siedemdziesiąty ósmy i Jonestown<sup>19</sup>.

– To nie takie dawne czasy.

– Nie – przyznał Trona. – Zwłaszcza w porównaniu z Ryszardem Trzecim zjawiającym się pod parkingiem<sup>20</sup>. Co słychać?

Hunt wzruszył ramionami.

– Czytałem o kartelach narkotykowych w La Paz. Podobno Los Zetas wydali wojnę La Familii.

– Byle tylko Baja Joe's zostawili w spokoju – skrzywił się Trona.

– Liczę na sześć dni spokoju, relaksu i łowienia ryb. No, może jeszcze kropelkę burbona.

– Popłynemy jutro razem. Pokażę panu, czego się tu nauczyłem.

– Z miłą chęcią.

Van z sześcioma pasażerami pojechał dziurawą wąską szosą ku zatoce. Trona patrzył na kaktusy, rozłożyste drzewa i krążące po błękitnym niebie sępy, nie mogąc się już doczekać wypłynięcia na wodę. Kierowca vana zwolnił na widok funkcjonariusza Policia Preventura, stojącego przy furgonetce, za którą ciągnął się rząd flar plujących różowym dymem. Dalej stały inne samochody. Policjant zamienił kilka słów z kierowcą i sprawdził jego dokumenty, po czym obrzucił uważnym spojrzeniem wszystkich pasażerów i dał znak ręką,

że mogą jechać. Gdy mijali samochody, Trona dostrzegł, że jeden z nich – lśniący nowością biały suburban – ma podziurawione kulami i zbryzgane czerwienią szyby. Wewnątrz widać było dwa nieruchome ciała, dwa inne leżały na poboczu, jedno okryte kocem, drugie nie. Kolejny policjant ponaglił ich niecierpliwym machnięciem ręki.

– W tym rejonie mamy niewielką przestępczość – powiedział szybko kierowca. – Bardzo niewielką. Tylko okazjonalnie.

Trona był ciekaw, co tym razem stanowiło okazję. Popatrzył na Hunta, który chyba myślał o tym samym.

\*\*\*

Świt zastał ich na łodzi płynącej po Zatoce Kalifornijskiej. Obaj z czapkami w rękach, siedzieli pośród rozbryzgów wody, wpatrzeni w horyzont rozjarzony czerwienią wschodzącego słońca. Wyspa Cerralvo wznosiła się w oddali niczym szary olbrzym. Szyper miał na imię Israel, jego panga nazywała się *Luna Sombrero*. Był milczkiem i rzucał obu wędkarzom nieufne spojrzenia. Hunt robił zdjęcia, machając aparatem na prawo i lewo. Nim zdążył pomyśleć, sfotografował też Tronę, i to dwukrotnie. Trochę się zmieszał, że tak bezceremonialnie narusza jego prywatność, i schował aparat do jednej z wielu kieszeni swojej wędkarskiej koszuli, potem jednak dostrzegł na twarzy Joego cień radości. Radości silniejszej od pamięci o przekłętym dzieciństwie. Radości bycia na wodzie.

Dwaj chłopcy wychowywani przez przybranych rodziców płyną razem na ryby, pomyślał Hunt. Ale fajnie!

Wysłuchany w warkot yamaha, Hunt zobaczył, jak Israel nagle odejmuje ręce od steru i robi zamach wyimaginowanym kijem baseballowym – całkiem niezły, trochę w stylu Bustera Poseya. Siedzący obok niego Trona uniósł oba kciuki, a osłoniętą ciemnymi okularami twarz szypra rozjaśnił uśmiech.

– O co chodzi? – spytał.

– Baseball – odparł Trona. – Israel jest fanem baseballu. Mówi, że dziś wieczorem grają mecz. To fajna zabawa, jeśli masz ochotę.

– Jasne.

Morze o poranku było zielonkawe, spokojne, z perłowym blaskiem. Słońce ledwie wychyliło się znad horyzontu. Mimo to Hunt już

zaczynał odczuwać żar jego promieni i ze strachem pomyślał, co się będzie działo, gdy stanie w zenicie.

Israel gwałtownie obrócił ster i panga ostro skręciła w lewo, kierując się w stronę małej zatoczki z przycumowaną w niej łodzią, którą Hunt dopiero teraz zauważył. Płynąca za nimi flotylla łodzi, które wiozły wędkarzy z Baja Joe's, zrobiła to samo i po chwili wszystkie zebrały się wokół łodzi z przynętami. Hunt był zaskoczony, bo zaopatrzywszy się w tyle pięknych muszek, nawet nie pomyślał o przynęcie, jednak zdawało się to należeć do rytuału. Pomyślał, że wkrótce się okaże, jak to działa.

Do łódek załadowano porcje sardynek, szyprowie odbyli krótką naradę i wszyscy znów wyruszyli na pełne morze, szybko oddalając się od brzegu. Israel przewodził całej flotylli i choć nikt się nie posługiwał GPS-em, wszyscy zdawali się dokładnie wiedzieć, dokąd płyną. Hunt próbował wypatrzeć jakieś punkty orientacyjne – boje czy markery – ale bez rezultatu.

Jednak po dobrych dziesięciu minutach i przepłynięciu jakiejś mili morskiej ujrzeli znak: galonowy kanister po chloroxie, przywiązany sznurem do kotwicy wbitej w dno i kołyszący się na falach. Patrząc na plastikowy pojemnik, Hunt nie mógł się oprzeć myśli, że odnalezienie takiej drobiny w tym ogromnym bezmiarze wody świadczy o niezwykłych umiejętnościach nawigacyjnych szypra.

– Są tu ryby? – spytał.

– Mówią, że jest szansa – odrzekł Trona. – Ale to może dużo znaczyć.

Szyper zgasił silnik, Trona wziął swoje wędkę i zajął dość ryzykowną pozycję na dziobie.

– Zaczynamy show! – wykrzyknął, wypuszczając zwiniętą u jego stóp linkę.

Hunt pozostał w środkowej części pangi i tak jak szyper zaczął rozrzucać przynętę.

Nic.

Chwilę odczekali, ale w wodzie nic się nie poruszyło. Po paru minutach wygładziły się drobne fale wywołane przez inne łodzie i zapanowała martwa cisza. Hunt obrzucił spojrzeniem pozostałe cztery łodzie. Ich szyprowie też pogasili silniki i łodzie utworzyły

półkole. Nagle Israel wychylił się do przodu i klepnął go ciężką ręką w ramię.

– Hej! Hej! – wykrzyknął, wskazując na dno łodzi przy stopach Hunta.

Hunt spojrział pod nogi, ale niczego nie dostrzegł.

– Co? – Popatrzył na Tronę. – Czego on ode mnie chce?

Trona oderwał wzrok od wody.

– Pokazuje ci, że stoisz na swojej lince.

Hunt zrobił krok do tyłu, a Israel rzucił mu pod nogi duże plastikowe wiadro.

– Włóż do niego linkę – rzekł Trona. – Nie będzie ci się plątała. I nie pozwól, żeby owinęła ci się wokół nóg. Zresztą wokół dłoni, a szczególnie palców, też nie. Trafi się pięćdziesięciokilowy tuńczyk i linka migiem ci je amputuje.

Israel wrzucił do przejrzystej wody kilka kolejnych sardynek, Trona powiódł wzrokiem po morzu.

A potem woda tuż przy łodzi nagle się zakotłowała i Israel gwałtownie się ożywił.

– Dorada! Dorada! – wykrzyknął.

Hunt zarzucił wędkę, wypuścił kawał linki i pociągnął ku sobie, oczekując trwającą wieczność chwilę, by – tak jak go uczono – ponownie ją zwolnić. Tym razem ledwie jego mucha dotknęła wody, natychmiast chapnęła ją wielka ryba.

Nawet nie przyszło mu do głowy, że ryba potrafi tak gwałtownie przyspieszyć. Błyskawicznie, a właściwie od razu, cały zapas linki z plastikowego wiadra – jakieś piętnaście, dwadzieścia metrów – został wyciągnięty i Huntowi pozostało już tylko operowanie kołowrotkiem, w którym żyłka też szybko zbliżała się do końca. Trzymał wędkę jedną ręką, kołowrotek terkotał pod drugą, złapana ryba coraz bardziej oddalała się od łodzi, po czym, jakieś sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt metrów od niej, nagle wyskoczyła z wody, potem jeszcze raz i jeszcze.

Nie panując nad emocjami i chyba nawet nie zdając sobie z tego sprawy, Hunt wydał z siebie radosny okrzyk.

– Ju-huu!!!

– Masz ją! – zawołał Trona. – Pozwól jej trochę popływać. Zachowaj spokój. Już jest twoja.



\*\*\*

Po powrocie i krótkiej sjeście w hotelu Joe wypożyczył vana, by pojechać do Los Planes na mecz baseballu. Od lat był fanem tego sportu. Rybacy byli dobrymi graczami i mecz toczył się między drużyną z Aqua Amarga, małej wioski Israela, a drużyną z La Paz. Hunt postanowił do niego dołączyć. Gdy tylko zaszło słońce i upał nieco zelżał, zawodnicy zaczęli grać przy sztucznym oświetleniu, dopingowani przez liczny i wojowniczy tłum kibiców. Stojący na wzgórku dla miotacza Israel uważnie mierzył wzrokiem potężnie zbudowanych pałkarzy La Paz.

Trona i Hunt pili piwo Pacificos i pogryzali pikantne orzeszki i mimo woli porównując nowy kalifornijski umiar z tutejszą nędzą. Hunt zauważył, że tu i tu dobrze grają w baseball, a Joe pomachał do siostry Israela, Angeliki, która siedziała kilka rzędów niżej z trójką z czworga dzieci Israela. Na meczu nie było żony Israela i jego najstarszego syna. Joe czuł pieczenie na karku – coś, czemu w Baja żadna ilość kremu przeciwsłonecznego nie jest w stanie zapobiec – ale nie było najgorzej i przepełniło go radosne podniecenie.

W połowie trzeciej rundy na piaszczystej pustyni pojawiły się cztery czarne SUV-y, które przedzierając się przez chaszczce i podskakując na wydmach, pędziły w stronę boiska z różnych kierunków. Boisko, na którym rozgrywano mecz, nie było ogrodzone i nic nie dzieliło graczy od intruzów. Po widowni przetoczył się cichy pomruk, odezwały się pojedyncze okrzyki, część widzów wstała z miejsc i ruszyła ku zaparkowanym bezładnie samochodom.

Israel wyprostował się czujnie i w milczeniu obserwował intruzów ze swojego miejsca. Samochody były nieoznakowane, dachy bez lamp i anten.

– To chyba nie są kibice – mruknął Hunt.

– Och, na pewno nie.

– Granatnik zostawiłem w domu.

Joe odruchowo poszukał swojej czterdziestki przy pasku, ale jej nie było. Ani też czterdziestki przy kostce u nogi, ani czterdziestkiczwórki w kieszeni spodni. Trudno, przepisy meksykańskie są przepisami i dotyczą też gringo, nawet jeśli jest on

gliniarzem. SUV-y kolejno podjechały do boiska, zatrzymały się w tumanach kurzu i wysiadło z nich kilku uzbrojonych po zęby mężczyzn. Trona dojrzał naszywki Zetas na pagonach i przeszył go dreszcz. Razem z Huntem dołączyli do grupy opuszczającej trybunę i zanurkowali pod jedną z ławek, po małpiemu rozplaszczając się na ziemi.

Przez szpary obserwowali Israela, który nadal stał na wzgórku i czekał na idących ku niemu przez całe boisko czterech Zetas. Ich M-16 połyskiwały matowo w stadionowych światłach, a zawodnicy stali jak sparaliżowani, bezradnie im się przyglądając. Boisko obstawili pozostali Zetas – łącznie dziewięcioosobowa banda uzbrojonych drabów.

Kibice spieszyli na parking, w ślad za biegnącymi przodem dziećmi, trzaskały drzwi samochodów. Na boisku czterech Zetas okrążyło Israela, wciąż stojącego na wzgórku, jeden z nich podszedł bliżej i widać było, że obaj o czymś rozmawiają, a Israel kiwa głową. Pozostałych pięciu Zetas puściło się biegiem w jego kierunku. Wiele lat temu Joe znalazł się w podobnej sytuacji i zabił wtedy kilku napastników, ale i tak nie uratował człowieka, którego przyrzekł chronić.

Ktoś dotknął jego ramienia i Joe gwałtownie się poderwał. Zobaczył Angelicę z trójką dzieci Israela.

– Ten człowiek to Hector – powiedziała. – Pięć lat temu opuścił Aqua Amarga, żeby przystąpić do Zetas. Lubi się popisywać swoim okrucieństwem. Teraz przyjechał po niego.

– Po Israela?

Pokręciła głową.

– Nie, po Joaquina, syna Israela – odrzekła. – Joaquin zwykle przychodzi na mecze, ale dziś go nie ma.

Pięciu Zetas dotarło już do drugiej bazy, zmierzając wprost ku Tronie i Huntowi oraz Angelice z dziećmi Israela.

– Czas się stąd zwijać, Joe – rzucił Hunt.

– Jeśli go tu nie znajdą, pojedą do Aqua Amarga. Oni wiedzą.

Joe wziął Angelicę za rękę i kuląc się, poprowadził ją i dzieci obok stoiska z napojami, oddalając się od parkingu. Wyatt szedł ostatni. Przy końcu trybuny stanęli i zbiwszy się w ciasną gromadkę, ukryli za

rusztowaniem z lampami oświetlającymi boisko.

Od strony parkingu dobiegł ich terkot broni maszynowej, rozległy się krzyki, po czym zapadła cisza. Parę lamp parkingowych z hukiem pękło i zadymiło, wywołując salwę śmiechu. Kolejna seria i kolejne lampy przestały świecić.

Trona widział Israela na wzgórku, jak cały i zdrowy wodzi wzrokiem po trybunie, szukając siostry i dzieci. Trzej Zetas, którzy wcześniej byli z Hectorem, zajęli pozycje na drugiej bazie, w punkcie pośrednim, i na pierwszej bazie, nie opuścili jednak broni. Hector ruszył na boisko, położył automat na trawie i wziął do ręki kij zostawiony przez gracza La Paz. Machnął nim parę razy na próbę, po czym ustawił się na pozycji pałkarza.

Tymczasem pięciu *narcotrafficientes* skrupulatnie przeszukiwało już trybuny, na których chwilę wcześniej siedziała siostra Israela i jego dzieci.

\*\*\*

Israel wziął zamach i rzucił wolną piłkę, Hector odbił ją na lewy środek i odrzuciwszy kij, triumfalnie wzniosł ręce nad głowę. Israel zszedł ze stanowiska i z podniesionymi w geście poddania rękami ruszył przez boisko ku grupce Zetas, zagradzających mu drogę. Hector coś wrzasnął, Zetas się rozstąpili i Israel spokojnie ich minął.

– Jak im się znudzi ta zabawa, pojedą do Aqua Amarga i poszukają Joaquina – powiedziała Angelica. – I wtedy zabawy już nie będzie.

Trona i Hunt spojrzeli po sobie.

– Coś mi się zdaje, że powinniśmy tam dotrzeć przed nimi – mruknął Hunt.

Kuląc się w mroku, poprowadzili Angelicę i dzieci do vana. Trona wyjechał z parkingu na zgaszonych światłach i dołączył do kawalkady samochodów zmierzających ku szosie. Kilka minut później już pędzili nią do wioski.

– Czego oni chcą od Joaquina? – spytał Joe. – Ile on ma lat? Piętnaście?

Angelica nie odpowiedziała i Joe powtórzył pytanie. Zwróciła się ku niemu i w bladej poświacie deski rozdzielczej dojrzał jej przerażoną twarz.

– Joaquin znalazł w górach złoto, w jednej ze starych kopalni. Jest tu ich pełno i chłopcy wciąż w nich kopią i szukają. To złoto jest własnością wioski. Chcieliśmy za nie przerobić nasze stare pangie, żeby były bezpieczniejsze. Chcieliśmy też kupić nowy silnik do łodzi Gordy i furgonetkę dla Luisa, bo stara już się rozlatuje. Mieliśmy posłać Marię Hidalgo Lucero do szkoły w La Paz, bo to bystra dziewczynka. No i kupić dla całej wioski nowy generator do zamrażarek i do ulicznego oświetlenia. A kiedy wydalibyśmy wszystko, Joaquin z chłopakami wróciliby do tej samej kopalni i znaleźli więcej złota. Chcieliśmy użyć tego złota dla wspólnego dobra Aqua Amarga. Tyle że Joaquin nie potrafi trzymać języka za zębami. Wiadomość rozeszła się jak ogień po stepie i Hector już wie. Odbierze nam złoto i zmusi Joaquina, żeby go zaprowadził do tej kopalni. Może nawet coś gorszego.

Angelica pokazała im skrót do Aqua Amarga i Joe zjechał z szosy w wąską polną drogę.

– Sami z paroma mieszkańcami nie damy rady powstrzymać Hectora i jego bandy – powiedział Joe.

– Mam pewien pomysł – odrzekł Hunt. – Może nie cały pomysł, ale kawałek.

– Ja też – dorzucił Trona.

\*\*\*

Tak jak wszystkie domy w wiosce, dom Israela był otynkowaną na biało parterową chatą ze sterczącymi na dachu prętami konstrukcji, co stanowiło komunikat dla władz, że budowa wciąż trwa. A skoro tak, dom nie może podlegać opodatkowaniu.

Chata stała przycupnięta na samym końcu polnej drogi, na skraju Aqua Amarga. Dalej widać było już tylko kaktusy i chaszczki, pustynię przeciętą kilkunastoma wyschniętymi parowami, którą na horyzoncie zamykał łańcuch wzgórz, wyraźnie rysujący się w blasku księżyca. Biała ściana chaty blado połyskiwała w świetle umieszczonej nad wejściem gołej żarówki.

Cztery SUV-y zatrzymały się z ostrym poślizgiem, wzbijając chmurę pyłu. Nim kurz zdążył osiąść, drzwi pasażera w pierwszym samochodzie się otworzyły, wysiadł jeden z Zetas, z automatem

w rękach, i otworzył tylne drzwi. Wypchnięty ze środka mężczyzna w stroju baseballisty upadł na ziemię.

Israel.

Bandzior kopnął go i Israel przetoczył się po ziemi, zakrywając sobie głowę rękami. Przekręcił się jeszcze raz, po czym zerwał się na nogi, stając twarzą do swojego prześladowcy i kątem oka obserwując następnego Zetas, który też wysiadł. Jak na komendę z pozostałych samochodów wysypała się reszta bandy. Wszystkie reflektory były włączone, oświetlając cały teren, tak że nikt nie zdołałby wymknąć się niepostrzeżenie z domu Israela. Przednie drzwi pierwszego SUV-a otworzyły się i wysiadł z niego Hector.

– *Basta!* – wrzasnął i członkowie bandy zamarli niemal w postawie na bacność, a on ciągnął po hiszpańsku: – Teraz Israel i ja sobie pogadamy. To rozsądny człowiek.

Israel splunął na ziemię.

Hector podszedł do bandziora, który wcześniej kopnął Israela, i wyciągnął rękę po automat, a ten bez słowa mu go oddał. Hector jakby na moment się zawahał, po czym oddał trzy strzały w ziemię, dokładnie w miejsce, gdzie Israel przed chwilą splunął.

Israel odskoczył i w tej samej chwili za jego plecami rozległ się głośny krzyk kobiety. Drzwi gwałtownie się otworzyły, siatka walnęła o ścianę i w wejściu stanęła Angelica, z przerażeniem krzyżując ręce na piersiach.

Hector wolno się odwrócił, nieprzejęty pojawieniem się kobiety i jej krzykiem. Obojętnie skinął jej głową i znów spojrzał na Israela.

– Gdzie Joaquin? – spytał łagodnym tonem.

– W domu. Z tym złotem to nieprawda. Bajki dla dzieci. Nie ma żadnego złota!

– To zaproś mnie do środka i pogadamy. Gdzie się podziała twoja gościnność?

– Nie! – krzyknęła Angelica.

– I tak wejdzie – rzekł Israel. – Niech Joaquin sam mu powie, że to wszystko zmyślił.

\*\*\*

Trona i Hunt obserwowali całą scenę zza wraka amerykańskiego

samochoodu, który ktoś kiedyś porzucił przy drodze, jakieś pięćdziesiąt metrów od domu Israela. Dzięki skrótowi dotarli na miejsce dobre dziesięć minut przed bandą, która przyjechała dłuższą drogą po szosie. I tylko tyle czasu mieli, by zdążyć z przygotowaniem wszystkiego.

Choć właściwie nie bardzo było co przygotowywać. Zgromadzili to, co mogli: jeden sześciopalcowy colt, czterdziestkępiątkę ze zleżalą amunicją, trzymany przez Israela w skrytce podłogowej pod łóżkiem, złamany kij baseballowy marki Louisville Slugger, którym dawno temu grał jeden z jego zawodników, oraz butelkę tequili Herradura.

– Na razie wszystko idzie dobrze – szepnął Hunt, gdy Hector ze swym gorylem i Israelem zniknęli we wnętrzu domu.

Członkowie bandy powyłączali silniki w SUV-ach i zgasili reflektory i teren znów utonął w mroku, rozświetlanym tylko blaskiem księżyca i żarówką nad wejściem. Siedmiu bandziorów rozeszło się po samochodach, kilku zapaliło papierosy, wszyscy odłożyli broń na siedzenia.

Hunt z powagą kiwnął głową do Trony i obaj wstali, jednak na tym powaga się skończyła, bo chwiejnym krokiem wytoczyli się na środek drogi i ruszyli w stronę chaty Israela. Trona w jednej ręce trzymał butelkę tequili, drugą ręką objął Hunta, który parsknął pijackim chichotem. Ledwo trzymając się na nogach i podpierając się kijem baseballowym jak laską, próbował śpiewać własną wersję melodii z *Tequila Sunrise*.

Dwaj urzędnicy amerykańscy turyści, beztrósco pakujący się w sam środek bandy Zetas.

Wszyscy znów wysiedli z samochodów, ale tylko dwóch sięgnęło po broń. Najwyraźniej żaden z nich nie przejął się zbyt dwoma pijaczkami. W ich pojawieniu się nie było nic niezwykłego i przywykli już do takich obrazków. Tania tequila i upijający się nią Amerykanie na urlopie stanowili podstawę tutejszej gospodarki. Los Zetas przyjechali tu w konkretnym celu i obecność dwóch intruzów niewątpliwie trochę komplikowała sprawę, ale nic ponadto.

Jeden z bandziorów rzucił jakieś polecenie i dwaj z bronią odłączyli od reszty i ruszyli w stronę pijaków z szeroko rozłożonymi ramionami, jakby zapędzali bydło.

A sio!

Hunt i Trona nie przestawali się zataczać, radośnie podśpiewując. Do SUV-ów zostało im trzydzieści metrów, dwadzieścia pięć, dwadzieścia. Idący przodem bandzior zagroził im drogę, uniósł automat i wykrzyknął:

– *Alto! Ahora, alto!*

Hunt i Trona zatoczyli się na siebie, stanęli i wlepili spojrzenia w wyrosłą przed nimi zjawę.

Hunt się roześmiał, a Trona wybełkotał:

– Szeperszam, koledzy. *No habla español, por favor.*

Hunt obserwował spod oka, jak dwaj Zetas odwracają się do kolegów, jakby szukali u nich rady, co mają zrobić z tymi amerykańskimi pajacami. Dwóch następnych postanowiło do nich dołączyć i pomóc im przepędzić pijaków. Żaden nawet nie pomyślał, by sięgnąć po broń.

Hunt popatrzył na karabiny maszynowe, które trzymali dwaj pierwsi, i uniósł rękę, jakby wreszcie do niego dotarło, z kim ma do czynienia. Jednocześnie Trona wyciągnął ku nim butelkę tequili, co pozwoliło mu zrobić kolejny krok do przodu. Następni dwaj byli tuż-tuż.

– No to... – powiedział beznamiętnym tonem – ...teraz!

Hunt zamachnął się kijem baseballowym i trafił najbliższego w ucho. W tym samym momencie Trona zrobił to samo butelką tequili i powalił stojącego przed nim bandziora, szybko wyluskując mu pistolet z kabury. Skierował lufę na pozostałych dwóch i wrzasnął:

– Nie ruszać się! Ręce do góry! Nie ruszać się!

Hunt błyskawicznym ruchem wyszarpnął automat z rąk pierwszego bandziora, zanim ten zdążył runąć na ziemię, po czym bez sekundy zwłoki skoczył w stronę trzech, którzy stali przy SUV-ach. Wszystko odbyło się tak szybko, że nie zdążyli nawet dobrze się wyprostować, gdy ujrzeni tuż przed sobą amerykańskiego komandosa, którego ruchy i postawa świadczyły, że wie, do czego służy automat M-16, i nie omieszka go użyć.

Wszyscy posłusznie podnieśli ręce, przyglądając się, jak Trona – uzbrojony teraz w drugi automat i pistolet – doprowadza dwóch pozostałych jeńców, z rękami w górze. Pierwsze dwie ofiary ataku leżały nieruchomo twarzami do ziemi, z ich rozbitych głów sączyła się

krw.

Trona pilnował jeńców, a Hunt obszedł samochody i zebrał pozostałą broń. W ciągu paru minut wszyscy Zetas leżeli na ziemi, zakneblowani taśmą izolacyjną do rur i związani żyłką wędkarską o wytrzymałości dwudziestu pięciu kilogramów. Znaleźli tę żyłkę w skrzynce z narzędziami w vanie i teraz przydała się do skrępowania bandziorów, boleśnie wrzynając im się w ciało, gdy tylko próbowali się ruszyć.

\*\*\*

Negocjacje nie układały się po myśli Hectora. Urodził się w tej wiosce i dopiero od kilku lat chodził w mundurze Zetas, stosując ich bandyckie zasady. Dlatego wiedział, jak uparci potrafią być tutejsi mieszkańcy. I jak przesądni. Ot, tępi rybacy!

Nawet mierząc w Joaquina ze swej pozłacanej czter-dziesiątki, z wygrawerowanym wizerunkiem Malverdego, musiał dobre dziesięć minut przekonywać Israela, że jego próby oporu są całkowicie bezcelowe. Oraz że znajdujące się w Aqua Amarga złoto należy do Zetas. A konkretnie do niego, Hectora, *verdad*? I że jeśli wioska w ogóle jeszcze istnieje, to tylko dzięki pobłażliwości Hectora Salidy! Czy on nie zdaje sobie sprawy, że Hector mógłby pozabijać wszystkich mieszkańców Aqua Amarga – mężczyzn, kobiety i dzieci – i nikt nie ruszyłby nawet palcem? Nikt by się tym nie przejął. Bezużyteczne i skorumpowane władze nic by w tej sprawie nie zrobiły. Dlatego sprzeciwianie się woli Hectora to pewna śmierć. Czy Israel życzy sobie, żeby zabił Joaquina tu i teraz, czy woli dobrowolnie oddać złoto? Bo do tego się to sprowadza. Hector obrzucił spojrzeniem Joaquina, dorodnego chłopaka, który leżał skulony na podłodze, dygocąc ze strachu. Lufą swego szpanerskiego rewolweru rozgarnął jego gęstą czarną czuprynę.

Israel popatrzył na syna, potem na Hectora, potem na Angelicę.

– Nie – powiedziała.

– Tak – powiedział Israel.

Hector przyglądał się bez słowa, jak Israel wstaje i wskazuje goryłowi, żeby poszedł za nim. Obaj zniknęli w głębi korytarzyka i po chwili rozległ się hurgot odsuwane mebla. Hector spojrzał na



Angelice.

- Tęsknię za tą wioską – rzucił z uśmiechem.
- Ale ona nie tęskni za tobą – mruknęła.
- Lepiej być legendą niż niewolnikiem.
- Jesteś niewolnikiem chciwości.

Chwilę później obaj mężczyźni wrócili. Goryl Hectora targał ciężki wór po ryżu, Israel patrzył tępym wzrokiem zbitego psa. Hector odwrócił broń od Joaquina i kazał mu wstać. Chłopiec stanął na drżących nogach i Hector wskazał lufą rewolweru worek. Joaquin go rozwiązał, odwrócił i wysypał ciężką zawartość na stary drewniany stół. Hector odłożył broń i przegarnął palcami łup, około trzydziestu kilogramów kwarcu z grubymi, dobrze widocznymi żyłami złota. Czystego złota musiało tu być z pięć, może osiem, może nawet dziesięć kilogramów. Prawdziwa fortuna.

Hector wiedział, że szczęście wreszcie się do niego uśmiechnęło.

- A teraz miejsce – powiedział. – W której kopalni to znalazłeś?

Joaquin zerknął na ojca i spuścił głowę.

– Daję ci dziesięć sekund na odpowiedź, która to kopalnia, bo inaczej ją zastrzelę – warknął Hector, wtykając lufę rewolweru między piersi Angeliki. – Raz, dwa, trzy...

– Tato?

– Cztery, pięć...

– Dobrze, synu, powiedz mu.

– Sześć, siedem, osiem...

– Tato?

– Powiedz mu.

– Dziewięć...

– Szyb dziewięćdziesiąty szósty! – wykrztusił Joaquin. – Przy drodze do San Antonio.

– To państwowa kopalnia! – wrzasnął Hector. – Ukradłeś państwowe złoto? W jaki sposób?!

Joaquin znów spojrział na ojca, a ten przyzwalająco skinął głową.

– Mam kolegę w ministerstwie – rzekł Joaquin. – Wie, że kradnę, i odpalam mu dołą.

– Nazwisko?

– Jak ci powiem, to on mnie zabije. A jak nie, to ty mnie zabijesz.

- Strasznie mi z tego powodu smutno. Nazwisko?
  - Narcisso Rueda – wymamrotał Joaquin. – Boże, zbaw mnie.
- Ktoś zapukał do drzwi. Hector i jego goryl skierowali w nie broń.

\*\*\*

Hunt przywarł plecami do ściany obok drzwi, szykując się na to, że zaraz rozpocznie się kanonada. Przywołując swój najlepszy hiszpański akcent, wykrzyknął:

– *Hector! Policia! Vamos!*

Drzwi się uchyliły i wyrzwał przez nie goryl Hectora. Hunt chwycił go za kark i wepchnął z powrotem do środka dokładnie w chwili, gdy Hector wystrzelił. Hunt poczuł potężne uderzenie pocisku kaliber .45 w kamizelkę kuloodporną goryla, a fala uderzeniowa była tak silna, że niemal się zachwiał. Rzucił goryla na podłogę i w tej samej chwili Israel walnął krzesłem w wyciągniętą rękę Hectora, wytrącając mu jego złoty rewolwer, który szurnął po podłodze, a Angelica grzmotnęła bandziora w głowę żeliwną prasą do tortilli. Od tyłu wparował Trona z jednym ze zdobycznych automatów i wymierzył go prosto w głowę Hectora, który na wpół ogłuszony, upadł na kolana.

Hunt podniósł z podłogi złoty rewolwer, wyjął zza paska swój i walnął nim w głowę goryla, po czym kazał wszystkim podnieść ręce i ustawić się pod ścianą.

– No już! – warknął.

Joe podszedł i ich popchnął.

Angelica podniosła ręce i spojrzała na Tronę.

– Diabeł wcielony – jęknęła. – Zobaczcie jego twarz.

– Jak miło, że zauważyłaś – rzekł cicho Joe. – Ale nazywano mnie już dużo gorzej.

– Precz z mojego domu – warknął Israel.

– Pieprzeni gringos, zostawcie nas w spokoju! – wrzasnął Joaquin.

– Zostawić was? – odezwał się Hunt. – Po tych rozmowach twojego starego przez radio na łodzi? Gadał bez końca, bo myślał, że nie znamy hiszpańskiego. Opowiadał, jak jego syn znalazł złoto, które dokona cudów w Aqua Amarga. I mielibyśmy was teraz zostawić?

Israel sprawiał wrażenie speszonego swym gadulstwem. I całkowicie pokonanego.

– A więc pięknie dziękujemy, kapitanie – dodał Trona. – Nie mogliśmy zmarnować okazji, by wam to zabrać. A skoro ten *hombre* nas wyprzedził, teraz zabierzemy to jemu. *Le gusta? Es bueno?*

Nie spuszczał oka z Hectora i nie odkładając broni, Trona zgarnął stertę rudy do worka i zarzucił go sobie na ramię.

– Przysięgam, że odbiorę wam moje złoto i was zamorduję – wychrypiał Hector.

– Bylibyśmy zawiedzeni, gdybyś tego nie zrobił – odparł Joe.

– Zmywajmy się, współniku – rzucił Hunt.

– Tylko jeszcze dla pewności ich zwiążemy – mruknął Trona.

\*\*\*

Mieli samolot o dziewiątej rano z lotniska w La Paz i nie mogli się już doczekać wezwania na pokład.

Przyglądając się, jak dwie niemal bliźniacze torby podróżne przechodzą kontrolę rentgenowską, Hunt powiedział:

– Marzę tylko o tym, by znaleźć się już za tą bramką. Nie sądzę, żeby odważyli się wtargnąć na lotnisko.

– Na razie wciąż jeszcze leżą związani. – Trona wzruszył ramionami. – Israel trochę luźniej od innych, ale nic więcej. A co do Hectora i jego chłopców, to niby kto miałby ich uwolnić? Mieszkańcy wioski?

– Miejmy nadzieję, że się nie mylisz.

– Nie zrozum mnie źle. To nie znaczy, że nie mam oczu otwartych.

– Trona ściszył głos. – Liczę tylko na to, że nikt się nie zorientuje, że nie wywozimy żadnego złota. Bo wtedy mogliby zacząć się zastanawiać, gdzie się podziało.

– Kto by się miał zorientować? Myślisz, że Hector pobiegnie do glin na skargę: „Ludzie, ci dwaj gringos ukradli mi złoto, które sam przed chwilą ukradłem”. Nie sądzę. Po prostu wsiadamy na pokład i zachowujemy spokój. W rozumieniu Hectora dokonaliśmy skoku i zwialiśmy z łupem. Nie przyjdzie mu nawet do głowy, że mogliśmy schować worek w pandze Israela.

– Tak, wiem. Tyle że przysiągł odzyskać swoje złoto, a nas zabić, pamiętasz?

Hunt uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Nie uda się mu. Podobnie jak nie znajdzie złota w szybie numer dziewięćdziesiąt sześć.

\*\*\*

Mieli raptem dziesięć minut na obmyślenie wraz z siostrą Israela planu działania i wiele spraw musieli rozstrzygać na bieżąco. Pierwszą przeszkodą do pokonania była nieufność i wrogość piętnastoletniego, napompowanego testosteronem Joaquina. No bo niby czemu miał uwierzyć, że Hunt i Trona odbiorą Hectorowi złoto tylko po to, by je zwrócić Israelowi i mieszkańcom Aqua Amarga? Jak ciotka może tak ufać dwóm gringos, których dopiero co poznała? A w ogóle co to za jedni?

Prawdziwy moment próby nadszedł, gdy Joaquin wyjął ze skrytki starego colta i przez chwilę obracał go w rękach, patrząc na Joego i Wyatta. Dopiero Angelica go przekonała, że naprawdę nie mają wyboru. Hector i jego gangsterzy zjawią się tu lada chwila i jeśli Hunt i Trona naprawdę chcą zatrzymać złoto dla siebie, to ani Joaquin, ani nikt inny nic na to nie poradzi.

– Moglibyśmy ich zabić, a potem zabić tylu ludzi Hectora, ilu się da, zanim oni zabiją nas – powiedział Joaquin.

– Wiemy, że w ziemi jest jeszcze złoto. Nikt nie musi umierać za to, które już mamy – odparła Angelica.

W końcu, tuż przed pojawieniem się Hectora i jego bandy, Joaquin się poddał.

Ale i tak zostawała jeszcze jedna sprawa. Nie mieli żadnego pomysłu na to, jak zapobiec powrotowi Hectora i obrabowaniu przez niego kopalni, którą odkrył Joaquin, z zalegających w niej resztek złota. Nie było wątpliwości że Hector nie odpuści, póki nie wycisnie z Joaquina informacji, gdzie znajduje się ta kopalnia. Nawet jeśli Huntowi i Tronie uda się uratować wydobytą rudę, Hector wróci i nie spocznie, póki nie wykopie całego pozostałego złota.

– Będzie chciał się dowiedzieć, gdzie je znalazłeś – rzekł Trona – i będzie tak długo cię torturował, aż mu to powiesz. Więc masz tylko jedno wyjście.

– Jakie?

– Musisz mu podać fałszywe dane. Musisz go oszukać.

- Jak oszukać?
- A to już ojciec i ty musicie sami wymyślić.

\*\*\*

Cztery dni po powrocie Hunta i Trony do Stanów Narcisso Rueda, zapalony wędkarz i wieloletni stały klient Izraela, siedział na dziobie jego pangi, która znajdowała się około stu metrów od brzegu. Czekał na nagłe zwiększenie obrotów silnika, który pchnie łódź po coraz płytszej wodzie do miejsca, w którym Izrael wprawnym ruchem uniesie wyjąca śrubę i zgasi silnik, pod dnem pojawi się piasek i panga wryje się dziobem w plażę. Bez względu na obfitość połowu – a dziś Narcisso złowił dwie dorady i dwa tuńczyki – ten moment zawsze go pasjonował, jako ostatni akord emocjonującej wyprawy.

Jednak dzisiaj, mimo iż mogli już dobijać do plaży, Izrael nie dodawał gazu i trzymał łódź na jałowym biegu. Narcisso był w rzeczywistości szefem służby chroniącej państwową eksploatację kopalni złota w rejonie La Paz i oczywiście nigdy nie wszedł w żadne nielegalne konszachty z synem Izraela. Wręcz przeciwnie, cieszył się opinią nieprzekupnego urzędnika państwowego, który w przeciwieństwie do wielu przedstawicieli meksykańskich organów ścigania – zwłaszcza tych, którzy stykali się z *narcotraficantes* – skutecznie ścigał i doprowadzał do skazania zarówno kradnących złoto górników, jak i skorumpowanych pracowników korporacji. W wyniku jego nieustępliwych działań siedziało obecnie za kratkami co najmniej dwa tuziny przestępców.

Kiedy Narcisso wysłuchał opowieści Izraela, w kącikach jego ust zagościł uśmiezek.

– Słyszałem co nieco o Hectorze Salidzie – powiedział. – Niezły gagatek. Sądzi, że zdoła mnie przekupić?

Izrael skinął głową.

– W zeszłym tygodniu płynęliśmy razem na Cerralvo – skłamał. – Ma długi jezor i wygadał się, że podobno ktoś znalazł złoto w jednej ze starych, nieczynnych kopalni. Złoto, o którego istnieniu podobno nie wiecie.

Narcisso wybuchnął śmiechem.

– Ach, to złoto. I myśli, że za łapówkę pozwolę mu eksploatować tę

żyłę i udam, że nic nie widzę, tak? O to chodzi?

– Tak się przechwalał. Pewnie się do ciebie odezwie.

– Już się cieszę na tę rozmowę, którą na pewno nagram. Nie on pierwszy wpada na taki pomysł. A nasze sądy uznają takie nagrania za bardzo... przekonujące.

– Po prostu pomyślałem, że powinienem cię o tym uprzedzić.

Narcisso pokiwał głową.

– Zawsze dobrze wiedzieć. Pozwala to skuteczniej zwalczać takich drani.

**STEVE BERRY**  
**i**  
**JAMES ROLLINS**

W thrillerze *Czarny zakon* James Rollins wysła swojego bohatera, Graya Pierce'a, do Danii, gdzie przez dwa dni myszkuje on w „zapyziałych księgarniach i antykwariatach przy wąskich kopenhaskich uliczkach. Najbardziej owocna okazuje się wizyta w antykwariacie przy Højbro Plads, należącym do byłego adwokata z Georgii”. Bez nazwiska. Mimo to dla fanów Cottona Malone'a, bohatera powieści Steve'a Berry'ego, było jasne, kogo Pierce ma na myśli. Jim chciał w ten sposób sprawdzić, czy jego czytelnicy kojarzą i potrafią powiązać bohaterów jego i Steve'a.

I okazało się, że tak.

Czytelnicy bez pudła skojarzyli, a Jim i Steve dostali łącznie kilka tysięcy e-maili (kolejne wciąż nadchodzą). Gdy Jim się zrewanżował i w swej następnej powieści wspomniał o oddziale Sigma Force (tajnej agencji, w której pracuje bohater Jima, Gray Pierce), czytelnicy znowu nie zawiedli. Obaj autorzy ciągnęli ten eksperyment przez kilka następnych powieści, po czym dołączył do nich trzeci autor thrillerów, Raymond Khoury (występuje także w niniejszej antologii). Wszyscy trzej uznali to za świetną zabawę, ale jednocześnie uświadomili sobie, że czytelnicy chętnie widzą takich bohaterów razem.

Nie było to możliwe aż do chwili powstania tej antologii.

Malone'a i Pierce'a łączy wiele podobieństw. Obaj są byłymi wojskowymi i singlami po przejściach. Obaj pracują w tajnych agencjach rządowych: Pierce w Sigmie, firmowanej przez Departament Obrony; Malone – choć już na emeryturze – nadal współpracuje ze swym dawnym pracodawcą, wydziałem Magellan Billet przy Departamencie Sprawiedliwości. Pierce'a interesuje bardziej nauka, a mniej historia, Malone poświęca więcej uwagi historii, a tylko trochę nauce.

Steve wyszedł z propozycją umieszczenia akcji w Ameryce Południowej, w dżungli amazońskiej. Jim podchwycił ten pomysł i stworzył wstępny szkic całości. Szkic trafił do Steve'a, który go rozbudował, a potem Jim nadał mu ostateczny kształt.

W rezultacie powstała opowieść o jakichś trzech godzinach z życia Graya Pierce'a i Cottona Malone'a.

Zaczyna się na statku w amazońskiej dżungli.

Wszystko dzieje się bardzo szybko.

Co dla tych dwóch nie jest niczym niezwykłym.



## **Kości diabła (THE DEVIL'S BONES)**

Komandor Gray Pierce stał na balkonie swej kajuty, na pokładzie luksusowego statku rzecznoego, i rozglądał się po okolicy.

Pora zacząć przedstawienie.

Minęły dwa dni od wypłynięcia z brazylijskiego portu Belém, u ujścia Amazonki, i godzina od ostatniego postoju statku w kipiącej życiem nadrzecznej wiosce. Statek płynął do Manaus, miasta leżącego w głębi lasu deszczowego, gdzie obserwowany obiekt miał się spotkać z nabywcą.

Do czego Pierce nie mógł dopuścić.

Wielki statek rzeczny *MV Fawcett* sunął po czarnych wodach Amazonki, w których odbijała się porastająca brzegi dzungla. Z gęstwiny dochodziły wrzaski wyjców i co rusz rozbłyskiwały szkarłatne i złociste plamy, dowodzące obecności rozlicznych gatunków papug. W dzungli zapadał zmierzch i nadrzeczne nietoperze zaczynały już łowy pod zwisającymi gałęziami, pikując w płataninę czarnych korzeni i wywołując popłoch wśród żab, które z głośnym pluskiem uciekały do wody.

Ciekawe, co Seichan teraz robi. Ostatni raz widział ją w Rio de Janeiro, gdy wkładała szorty khaki i czarny T-shirt, bez biustonosza. W niczym mu to nie przeszkadzało. Im mniej na sobie miała, tym lepiej. Patrzył, jak wciąga botki, a na jej twarz i szmaragdowe oczy opada kaskada długich czarnych włosów. Ostatnio coraz częściej o niej myślał.

Co miało swoje dobre i złe strony.

Na pokładzie zadźwięczał gong.

Zaproszenie na kolację.

Spojrzał na zegarek. Kolacja rozpocznie się za dziesięć minut i jak zwykle potrwa około godziny. Musiał przeszukać tamtą kajutę, nim

obiekt skończy jeść. Raz jeszcze sprawdził węzeł na linie przywiązanej do balustrady. Tak wymierzył linę, by sięgała tylko do balkonu poniżej, skąd można było wejść do kajuty obiektu.

Edwarda Traska, etnobotanika z uniwersytetu w Oksfordzie.

Pierce'owi przekazano jego dokładne dossier. Trzydziestodwuletni naukowiec zaginął w brazylijskiej dżungli przed trzema laty, a pięć miesięcy temu znów się pojawił. Wrócił wychudzony, spalony słońcem, z niezwykłymi opowieściami o swoich przygodach, życiu w ubóstwie, o zaginionych plemionach i oświeceniu, jakiego doznał. Z dnia na dzień stał się celebrytą, a jego twarz o surowych, męskich rysach widniała na okładkach „Time” i „Rolling Stone”. Brytyjski akcent i czarująca skromność były wręcz wymarzone dla telewizji, dzięki czemu zapraszano go do niezliczonych programów ogólnokrajowych, od *Good Morning America* po *The Daily Show*. Szybko też znalazł się nowojorski wydawca, któremu za siedmiocyfrową kwotę Trask sprzedał prawa do swoich wspomnień. I tylko jeden szczegół z historii Traska nie miał nigdy trafić do publicznej wiadomości. Coś, co odkryto dopiero tydzień temu.

Że Trask jest oszustem.

I to niebezpiecznym.

Pierce uchwycił linę i szybko zsunął się w dół. Bez trudu wylądował na balkonie poniżej i stanął obok drzwi.

Przez rozsunięte firanki zajrzał do środka, po czym nacisnął klamkę.

Drzwi nie były zamknięte.

Uchylił je i wślizgnął się do środka. Kajuta była identyczna jak ta jego, pokład wyżej, tyle że Trask wyglądał na bałaganiarza. Na podłodze walały się różne części garderoby, na niezasłanym łóżku leżały zmięte wilgotne ręczniki, na stole poniewierały się resztki jakiegoś posiłku. Pierce'owi to oczywiście odpowiadało, bo łatwiej będzie mu zatrzeć ślady przeszukania.

Należało zacząć od najbardziej oczywistego miejsca – sejfu. Musiał to jednak zrobić bardzo cicho, by nie zaalarmować pilnującego drzwi ochroniarza. Właśnie jego obecność zmusiła go, by wymyślić inny sposób dostania się do kajuty.

Znalazł sejf w szafie w sypialni i wsunął do szczeliny zamka kartę

połączoną z elektronicznym dekodere. Wcześniej skalibrował zestaw na analogicznym sejfie w swojej kajucie i dekodere bez trudu odczytał kod. Pierce otworzył sejf, jednak w środku zobaczył tylko portfel Traska, trochę gotówki i paszport.

Nie o to mu chodziło.

Zamknął sejf i przystąpił do systematycznego przeszukiwania wszelkich zakamarków. Poruszał się wolno i cicho. Wcześniej dokładnie zbadał swoją kajutę i wiedział, gdzie można w niej ukryć coś małego.

Było wiele takich miejsc.

W łazience sprawdził pustą wnękę pod umywalką, szpary pod szufladkami i otwór rewizyjny pod wanną z hydromasażem.

Pusto.

Na moment przestał szukać i ogarnął wzrokiem małe pomieszczenie, upewniając się, że niczego nie pominął. Marmurowy blat szafki łazienkowej był pokryty plamami zaschniętej pasty do zębów. Leżały na nim zużyte waciki i stała cała bateria kremów i żelów do ciała. Na podstawie obserwacji z ostatnich trzech dni wiedział, że Trask wpuszcza tutaj raz na dzień jedynie pokojówkę i portiera, i to tylko w towarzystwie ochroniarza – ponurego draba z wygoloną czaszką i wiecznie skrzywioną twarzą.

Wyszedł z łazienki.

Następna była sypialnia.

Nagle od drzwi kajuty dobiegło go stęknienie.

Zamarł w bezruchu.

Czyżby Trask już wracał? Tak wcześnie?

Stęknieniu towarzyszył głośny szmer, jakby coś ciężkiego ześlizgnęło się po drzwiach i zważyło na podłogę.

Zasuwka się cofnęła, gałka u drzwi się obróciła.

O cholera.

Będzie miał towarzystwo.

\*\*\*

Cotton Malone pochylił się nad strażnikiem i przyłożywszy palec do jego umięśnionej szyi, sprawdził puls. Nie był zbyt mocny, ale wyczuwalny. Zaskoczył ochroniarza chwytem za gardło od tyłu, ale

musiał go przytrzymać dłużej, niż sądził. Ochroniarz wprawdzie już leżał, lecz pozostała kwestia usunięcia go spod drzwi. Malone wszedł na pokład w czasie ostatniego postoju statku, zaledwie godzinę temu, i wszystko, co robił, było w dużej mierze improwizacją. Ale nie przejmował się tym. Miał wprawę.

Otworzył drzwi kajuty, ujął strażnika pod pachy i wciągnął do środka jego bezwładne ciało. Przy okazji wymacał kaburę na naramiennej uprząży pod marynarką i szybko zabrał mu pistolet. Ze względu na pośpiech nie miał nawet czasu zaopatrzyć się w broń. Jeszcze wczoraj był w Buenos Aires na aukcji antyków, polując na rzadkie pierwsze wydania książek do swego antykwariatu w Kopenhadze. Towarzyszyła mu Cassiopeia Vitt. Ich podróż do Argentyny miała łączyć przyjemne z pożytecznym. Liczył, że spędzą trochę czasu razem. Słońce i plaża. Jednak wszystko legło w gruzach po telefonie Stephanie Nelle, jego dawnej szefowej z wydziału Magellan Billet.

Pięć miesięcy temu doktor Edward Trask, zaginiony przed trzema laty, powrócił z brazylijskiego lasu deszczowego, przywożąc całą masę rzadkich próbek botanicznych – korzeni, kwiatów, liści i kory – dla firmy farmaceutycznej, która sfinansowała jego wyprawę. Botanik twierdził, że jego odkrycia mają w sobie ogromny potencjał leczniczy, łącznie z szansą na lekarstwo nowej generacji na raka, leki nasercowe oraz lek na impotencję. Miał też pełno opowieści o przywiezionych próbkach, historii, które rzekomo słyszał od tamtejszych szamanów i tubylców. Jednak w ciągu następnych kilku miesięcy zaczęto coraz głośniej szeptać po kątach, że jego próbki są bezwartościowe, a większość nie jest niczym nowym. Jeden z naukowców z firmy farmaceutycznej najlepiej to podsumował w prywatnej rozmowie: „Wygląda to tak, jakby drań zgarniał wszystko, co mu wpadło w ręce”. By ratować twarz i nie dopuścić do gwałtownego spadku wartości akcji, firma wydała swym pracownikom zakaz wypowiedzania się w tej sprawie. Jej szefowie liczyli, że sprawa jakoś przyschnie.

Ale tak się nie stało.

Co gorsza, do amerykańskich agend rządowych zaczęły docierać wieści, że Trask jednak nie wyszedł z lasu z pustymi rękami i że w jego zbiorze próbek tkwi – niczym ziarno pośród plew – prawdziwy

botaniczny klejnot. Jeszcze niesklasyfikowany rzadki kwiat z rodziny orchidei, zawierający organiczną neurotoksynę, sto razy bardziej niebezpieczną od sarinu.

Czyli niezły klejnot.

Trask wykazał tyle sprytu, by rozpoznać i docenić wartość swego odkrycia. Zlecił analizę i wyabstrahowanie toksyny prywatnemu laboratorium i zapłacił za to z własnej kieszeni, która dzięki zaliczce za książkę i licznym występom w telewizji była wystarczająco zasobna. Zamieniając się po części w P.T. Barnuma<sup>21</sup>, po części w potwora, Trask w ubiegłym tygodniu zgłosił swoje odkrycie na aukcję, oferując nabywcy skład chemiczny, dokładny opis badań toksykologicznych i wideo ukazujące efekt trucizny na kilku szympanсах zamkniętych w klatce. Małpom szła krew z oczu i nosów, dusiły się i padały martwe w wypełniającej klatkę żółtawej mgiełce. Wiadomość o nowej truciznie wzbudziła żywe zainteresowanie organizacji terrorystycznych na całym świecie, ale także amerykańskich agend wywiadowczych. Wydział Magellan Billet, dawny pracodawca Malone'a, otrzymał z Białego Domu polecenie, by nie dopuścić do sprzedaży trucizny i zdobyć jej próbkę. Błąd Malone'a polegał na tym, że w ubiegłym tygodniu, w towarzyskiej rozmowie ze Stephanie Nelle, swoją była szefową, mimochodem wspomniał, że on i Cassiopeia wybierają się właśnie do Argentyny.

Stephanie zadzwoniła do niego wczoraj i oświadczyła, że do sprzedaży dojdzie w Manaus.

Znał to miejsce.

– Oficjalnie Trask płynie tam luksusowym statkiem rzeczonym razem z ekipą filmową Discovery Channel po to, by odwiedzić tamtejsze lasy deszczowe i zrobić zdjęcia do specjalnego programu o jego pobycie w dżungli. Jednak prawdziwym powodem podróży do Manaus jest sprzedaż skoncentrowanej próbki. Musimy ją przejąć, a ty jesteś najbliżej.

– Jestem na emeryturze.

– Dopilnuję, żeby ci się opłaciło.

– Skąd będę wiedział, że to znalazłem?

– Fiolki z tym trzyma w małym metalowym pudełku wielkości talii kart.

- Domyślam się, że mam działać w pojedynkę.
- Byłoby najlepiej. To ściśle tajna operacja. Powiedz Cassiopeii, że nie będzie cię tylko przez parę dni.

Cassiopeia nie była zachwycona, ale rozumiała zlecenie Stephanie. „Dzwoń, jeśli będę ci potrzebna”, powiedziała tuż przed jego wyjazdem na lotnisko.

Wtaszczył ochroniarza do kajuty, zamknął za sobą drzwi i zaciągnął zasuwkę.

Czas poszukać tych fiolek.

Ciszę zakłócił jakiś szmer.

Odwrócił się i w mroku ujrzał ludzką sylwetkę. Stała z uniesioną ręką i wycelowanym w niego pistoletem. Wiedział, że Traska nie ma w kajucie, bo siedzi w sali restauracyjnej. Sprawdził to, zanim tu przyszedł.

No więc, co to za jeden?

W ręku wciąż trzymał zdobyczny pistolet, który teraz wycelował w napastnika.

– Na twoim miejscu bym tego nie robił – rzekł tamten ochrypłym głosem, z lekkim teksaskim akcentem.

Malone znał ten głos.

– Gray, pieprzony Pierce – parsknął.

\*\*\*

Pierce jeszcze przez chwilę mierzył do intruza, szybko jednak rozpoznał jego charakterystyczny zaśpiew.

– Cotton Malone. Coś takiego! To jak tchnienie przeszłości.

Przebijając wzrokiem półmrok, przyjrzał się eksagentowi. Po czterdziestce, wciąż w dobrej kondycji fizycznej, brązowe włosy z leciutką domieszką siwizny. Wiedział, że Malone jest już na emeryturze, mieszka w Kopenhadze i prowadzi antykwariat z rzadkimi książkami. Parę lat temu nawet go tam odwiedził. Chodziły pogłoski, że Malone od czasu do czasu chałturzy dla swojej dawnej szefowej, Stephanie Nelle. Malone należał do oryginalnej dwunastki agentów Magellan Billet i pracował tam aż do przejścia na emeryturę. Pierce dobrze znał ten wysoce specjalistyczny wydział. Funkcjonował w strukturach Departamentu Sprawiedliwości i podlegał wyłącznie

prokuratorowi generalnemu i prezydentowi.

Opuścił broń.

– Tylko tego mi potrzeba. Cholernych prawników.

– Równie miłe jak praca z panem Magikiem – mruknął Malone i też opuścił broń.

Pierce zrozumiał aluzję. Jego macierzysta agencja o nazwie Sigma Force działała w strukturach DARPA, czyli Centrum Badawczo-Rozwojowego Armii Amerykańskiej. W Sigmie pracowała ściśle tajna grupa byłych agentów służb specjalnych, których dodatkowo przeszkolono w dyscyplinach naukowych. O ile Sigma specjalizowała się w tematyce naukowej i miała niewiele do czynienia z historią, o tyle w Magellan Billet zajmowano się zagrożeniami globalnymi, kładąc większy nacisk na uwarunkowania historyczne.

– Niech zgadnę – powiedział. – Dowiedziałeś się o Trasku i jego neurotoksynie.

– Jestem tu po to, żeby mu ją zabrać – odparł Malone.

– Wygląda na to, że nasze służby zapomniały się porozumieć. Trenerzy wysłali na jedno boisko dwóch rozgrywających.

– Nic nowego. To może ja wrócę do Buenos Aires, a ty się tym zajmiesz.

Pierce od razu wyczuł, co jest grane.

– Zostawiłeś tam dziewczynę?

– Tak jakby.

Statkiem wstrząsnęła potężna eksplozja – na tyle silna, że zatrzęsł się cały kadłub, od dziobu po rufę, a obu mężczyznami rzuciło o ścianę. Zderzyli się i walnęli w coś twardego, ale nie wypuścili broni z rąk. Huk eksplozji rozpląnął się w powietrzu i cały statek wypełniły krzyki przerażenia.

Statek przechylił się na prawą burtę.

– Niedobrze – mruknął Malone, gdy obaj odzyskali równowagę.

– Tak myślisz?

Przechył statku coraz bardziej się zwiększał, co wskazywało, że kadłub nabiera wody. Przez drzwi balkonowe widać było bijący w niebo słup czarnego dymu.

Na statku wybuchł pożar.

Zza drzwi dobiegł ich łomot ciężkich buciorów, rozległ się huk

wystrzału, pocisk rozwalił zasuwkę i drzwi z trzaskiem się otworzyły. Obaj skierowali broń w wypełniony dymem otwór. Do kajuty wpadło dwóch mężczyzn w mundurach komandosów, z czarnymi chustami na twarzach. Jeden trzymał w rękach dubeltówkę, drugi miał karabin szturmowy. Pierce strzelił do napastnika z dubeltówką, Malone jednym strzałem położył tego z karabinem.

– Ciekawostka – rzucił Malone, gdy Pierce pospiesznie wyjrzał na korytarz, by sprawdzić, czy napastników było tylko dwóch. – Wygląda, że nie my jedni interesujemy się trucizną Traska. Udało ci się ją znaleźć?

Pierce pokręcił głową.

– Zdążyłem przeszukać tylko połowę kajuty. Ale to nie powinno długo potrwać...

Z oddali dobiegały odgłosy strzałów.

Pierce nadstawił uszu.

– To chyba z sali jadalnej – powiedział.

– Nasi goście pewnie dopadli Traska. – Malone pokiwał głową. – Może to mieć przy sobie.

Co było całkiem możliwe. Jemu też przyszło to do głowy i dlatego tak ostrożnie przeszukiwał kajutę. Nie chciał niepotrzebnie alarmować Traska i wzmacniać czujności.

– Skończ przeszukiwanie – powiedział Malone. – Ja się zajmę Traskiem.

Pierce nie miał wyboru. Wszystko działo się za szybko i niezgodnie ze scenariuszem. Prawnik czy nie prawnik, przyda się jego pomoc.

– Dobra – mruknął.

\*\*\*

Malone pobiegł w dół pochyłego korytarza, przytrzymując się ściany, by zachować równowagę. Nie widział Pierce'a od czasu, gdy ten przed kilku laty odwiedził jego antykwariat. Facet od razu mu się spodobał. Pod wieloma względami byli do siebie podobni. Obaj dawni wojskowi i obu zwerbowano do pracy w wywiadzie. Obaj dbali o kondycję fizyczną, natomiast zasadniczo różnili się wiekiem. Pierce był co najmniej o dziesięć lat młodszy, a to duża różnica. Zwłaszcza w tym biznesie. Różniło ich też to, że Pierce był nadal w czynnej



służbie, Malone działał już tylko z doskoku.

I wiedział, jak istotne ma to znaczenie.

Z poślizgiem zatrzymał się przed schodami prowadzącymi w dół do sali jadalnej. Teraz już ostrożnie. Przez okno widać było rzekę. Statek tkwił pod kątem, znoszony przez wartki nurt. Kawalek dalej Malone ujrzał stalowoszary kuter patrolowy, który wolno wyłonił się z chmury dymu. Na rufie stał mężczyzna w mundurze i czarnej chuście na twarzy. Na ramieniu trzymał rurę granatnika raketowego.

Zapewne właśnie z niego trafił w statek.

Obszedł podest i zobaczył w dole dwuskrzydłowe drzwi do jadalni. Obok, w kałuży krwi, leżał człowiek w uniformie kierownika sali. Malone ostrożnie zszedł po schodach, podszedł do drzwi i zajrzał do środka.

Wśród poprzewracanych krzeseł i stolików leżało więcej ciał.

Co najmniej dwadzieścia kilka.

Duża grupa pasażerów stłoczyła się w kącie przestronnej sali, pilnowana przez dwóch uzbrojonych mężczyzn. Dwaj inni chodzili wśród leżących, pochylając się i patrząc na twarze. Jeden z nich trzymał w ręku fotografię, która zapewne miała pomóc rozpoznać Traska. Malone dojrzał botanika w grupie stłoczonych ludzi. Dostał jego zdjęcie e-mailem od Stephanie. Trask stał plecami do strażników, kuląc się w swoim smokingu i niby przypadkiem zasłaniając twarz. Starał się wtopić w tłum.

Ale jego wysiłki nie mogły zdać się na wiele.

Trask miał przystojną, nieco łobuzerską twarz, sterczące w nieładzie kasztanowe włosy i wyraziste rysy. Można było łatwo zrozumieć, dlaczego stał się ulubieńcem mediów, ale tym samym wyróżniał się z tłumu. Było oczywiste, że napastnicy lada chwila go zidentyfikują.

Malone nie mógł do tego dopuścić.

Dlatego schylił się i unurzał dłoń w krwi kierownika sali. Niezbyt to higieniczne, ale nie miał wyjścia. Rozsmarował sobie krew po twarzy, po czym wsunął pistolet z tyłu za pasek i wyciągnął koszulę na wierzch.

Sam nie umiałby wyjaśnić, po co robi takie rzeczy.

Wkroczył do sali, mocno kulejąc i przytykając rękę do zakrwawionej twarzy.

– Pomocy! – wykrzyknął błagalnie i zrobił kilka kroków w głąb sali, ale zaraz drogę zastąpił mu jeden z napastników pilnujących pasażerów.

Warknął do niego coś po portugalsku.

Malone zrobił zmieszaną minę i pokręcił bezradnie głową, choć w rzeczywistości wszystko zrozumiał. Zawdzięczał to swej ejdetycznej pamięci, która ułatwiała zapamiętywanie obcych słów. Bez sprzeciwu dał się doprowadzić do grupy pasażerów i wcisnął się między nich. Potrącił zażywną kobietę, którą mocno obejmował mąż. Przesunął się dalej i lekko się rozpychając, dotarł do botanika. Wyjął pistolet i przystawił go Traskowi do boku.

– Zachowuj się cicho i spokojnie – szepnął. – Jestem tu po to, żeby uratować twój żaloszny tyłek.

Trask odwrócił głowę i wydawało się, że chce coś powiedzieć.

– Milcz – syknął Malone. – Jestem twoją jedyną nadzieją na ujście stąd z życiem. Więc nie zaglądamy darowanemu koniowi w zęby.

Niemal nie poruszając ustami, Trask wyszeptał:

– Co mam robić?

– Gdzie masz biotoksynę?

– Uwolnij mnie stąd, a ja dopilnuję, żeby ci się opłaciło. – Typowy oportunist, który umie szybko się dostosować. – Nic ci nie powiem, póki mnie stąd nie uwolnisz.

Facet wyczuł, że ma chwilową przewagę i może stawiać warunki.

– Mogę cię wydać tym panom – rzekł Malone.

– Mam fiołki przy sobie. Jeśli choć jedna się stłucze, zginą wszyscy w promieniu stu metrów. Uwierz mi, nie da się tego inaczej zatrzymać, jak tylko spalić. – Trask obrzucił go zwycięskim spojrzeniem. – Więc lepiej się pospiesz.

Malone spojrzał na czterech napastników. Dwaj sprawdzający ciała zbliżali się już do końca. By zwiększyć swoje szanse, Malone musiał poczekać, aż będą wszyscy razem. Tymczasem spróbuje odzyskać przewagę nad Traskiem.

– Gdzie znalazłeś tę orchideę?

Botanik lekko pokręcił głową.

– Albo mi powiesz, albo ucieknę stąd sam i zostawię cię im na pastwę. I dopilnuję, żebym był wtedy dalej niż sto metrów od ciebie.

Trask zacisnął zęby, ale pewnie uznał, że nic nie wskóra.

Obaj wciąż patrzyli na koszmar trwający w jadalni.

– Po sześciu miesiącach pobytu w dżungli usłyszałem o roślinie nazywanej przez miejscowych *Huesos del Diablo* – powiedział Trask, prawie nie poruszając wargami.

Malone szybko to sobie przetłumaczył.

Kości diabła.

– Dopiero rok później natrafiłem w górnym biegu Amazonki na plemię, które ją znało. Zamieszkałem w ich wiosce i zostałem uczniem szamana. W końcu zaprowadził mnie do ukrytych w dżungli ruin. Było to ogromne zbiorowisko świątynnych fundamentów, które ciągnęły się wiele kilometrów. Szaman powiedział mi, że niegdyś mieszkały tam dziesiątki tysięcy ludzi. Cała ogromna, nieznaną nam cywilizacja.

Malone słyszał opowieści o namierzanych przez satelity ruinach w amazońskim interiorze, w których nikt już nie mieszkał. Podważało to obiegowy pogląd, że lasy deszczowe nie nadają się do zamieszkania przez ludzi. Szacowano, że niegdyś mogło tam mieszkać ponad sześćdziesiąt tysięcy osób, a ich los pozostawał nieznany. Badacze tych terenów przypuszczali, że główną przyczyną zagłady mieszkańców musiał być głód i choroby.

Ale może istniało jakieś inne wytłumaczenie.

Dwaj napastnicy w jadalni kończyli już przegląd ciał, stojący nieco dalej uzbrojeni kompani patrzyli to na nich, to na grupę pasażerów.

– W ruinach leżały stosy kości, wśród nich wiele było spalonych. Inne szczątki wyglądały tak, jakby ludzie nagle padali i umierali. Szaman wspominał o wielkiej zarazie, która zabijała w ciągu paru sekund, powodując oddzielanie się mięśni od kości. Pokazał mi też rosnącą w pobliżu niezwykle czarną orchideę. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, czy ten kwiat może być źródłem zarazy, ale szaman się upierał, że jest śmiertelnie niebezpieczny. Twierdził, że samo jego dotknięcie może zabić. A potem pokazał mi, jak go bezpiecznie zrywać i wyciskać truciznę z płatków.

– A kiedy się już nauczyłeś uzyskiwać toksynę?

Trask spojrział na niego.

– Wtedy oczywiście musiałem ją przetestować. Najpierw na szamanie, potem na mieszkańcach wioski.

Malone'a zmroziła obojętność, z jaką Trask przyznawał się do masowego morderstwa.

– Żeby mieć pewność, że posiadam jedyne źródło surowca – ciągnął Trask – spaliłem potem wszystkie kwiaty, jakie udało mi się znaleźć. A więc jak widzisz, mój zbawco, jestem posiadaczem jedyne go klucza do całej sprawy.

Malone usłyszał wystarczająco dużo.

– Trzymaj się mnie – szepnął niemal bezgłośnie.

Przesunął się ku brzegowi grupy, Trask zrobił to samo. Malone wiedział, że musi obezwładnić czterech uzbrojonych mężczyzn, i to błyskawicznie. Chwila zaskoczenia potrwa jedynie kilka sekund. Wreszcie wszyscy czterej stanęli razem. W magazynku miał tylko siedem naboń, co dawało bardzo wąski margines błędów. Spojrzał na przewrócony stolik i uznał, że jego marmurowy blat może stanowić całkiem przyzwoitą zasłonę. Musiał jednak odsunąć się od pasażerów, nim dojdzie do strzelaniny.

Chwytał Traską za łokieć i wskazał głową stolik.

– Ruszaj za mną. Na mój znak.

Szybko policzył do trzech i skoczył, jednocześnie wyciągając pistolet, ale w tym samym momencie podłoga pod nim gwałtownie szarpnęła, wyrzucając go w powietrze jak z katapulty. Przeleciał obok stolika i zwałił się ciężko na podłogę, pistolet zsunął się po niej i znalazł poza zasięgiem jego rąk. Malone przekręcił się na bok i zobaczył, jak cały przód sali jadalnej się odrywa, sypie się szkło i ściany z trzaskiem pękają.

Do wnętrza wdarła się dżungla.

A potem zrozumiał.

Statek uderzył w brzeg i wbił się w zarośla.

Uderzenie zwałiło z nóg wszystkich, łącznie z napastnikami. Malone rozejrzał się za Traskiem i dostrzegł, że rzuciło go w sam ich środek. Botanik usiadł z opuszczoną głową, ale nawet krew kapiąca z rozbitego nosa nie mogła ukryć jego rysów. Wśród napastników rozległy się podniecone okrzyki, wszyscy wycelowali w niego broń, a on podniósł ręce w geście poddania.

Malone szukał wzrokiem pistoletu, ale nigdzie go nie widział.

Trask patrzył na niego z przerażeniem i błaganiem w oczach. Bez

trudu można było odczytać jego przekaz: „Albo mi pomożesz, albo...”. Malone pokręcił głową i przyłożył palec do ust. Miał nadzieję, że botanik zrozumie, że wydając go napastnikom, niczego nie osiągnie.

Malone musiał zachować wolność, by mieć szansę mu pomóc.

Trask zawahał się. Jeden z mężczyzn poderwał go na nogi, ale botanik nie powiedział słowa.

W głębi dżungli żałośnie zaskrzeczała papuga, jakby podzielała frustrację Malone'a, który mógł tylko bezsilnie patrzeć, jak napastnicy biorą swojego jeńca i znikają w gęstwinie.

\*\*\*

Pierce rozejrzał się po zdemolowanej jadalni i przeniósł wzrok na widoczną w wyrwie dżunglę.

– Czyli ci uciekł – mruknął.

– Niewiele mogłem zrobić. – Klęcząc na podłodze, Malone grzebał w rumowisku porzucanych stolików i krzeseł. – Zwłaszcza kiedy statek walnął w brzeg.

Pierce nie znalazł nic w kajucie Traska, ale i tak już wiedzieli, że botanik trzyma próbkę przy sobie. Malone pokrótce przekazał mu to, co usłyszał od Traska.

Sięgnął pod obrus i wydobyl spod niego pistolet, którego szukał.

– Rychło w porę – mruknął. – To co robimy dalej?

– Nie musisz się już tym zajmować. Jesteś na emeryturze. Wracaj do swojej damy w Buenos Aires.

– Chciałbym. Ale Nelle by mi nie darowała. Obawiam się, że jesteś skazany na moje towarzystwo. Spróbuję jednak nie wchodzić ci w drogę.

Pierce dosłyszał w jego głosie nutę sarkazmu.

Ta krótka współpraca między resortami sprawiedliwości i obrony nie przyniosła jak dotąd rezultatów, ale teraz, kiedy Traska wprowadziło do dżungli jakieś ugrupowanie partyzanckie, członkowie guerrilli, musiał niechętnie przyznać, że pomoc mu się przyda.

Malone przedarł się przez rumowisko, podszedł do wyrwy w ścianie i uklęknął. Poza nimi w jadalni nie było nikogo, bo wszystkich uratowanych pasażerów ewakuowano już łodziami do brzegu.

– Są tu ślady krwi, które prowadzą na zewnątrz – powiedział.

Pierce dołączył do niego.

– To musi być krew Traska – dodał Malone. – Miał rozbity nos i mocno krwawił.

– A więc pójdziemy tym tropem.

– Wcześniej widziałem kuter patrolowy. Mogli go nim zabrać.

– Też go widziałem z okna kabiny – potwierdził Pierce. – Ale odpłynął, gdy tylko uderzyliśmy w brzeg. Wystrzał z granatnika, pożar, kraksa, wszystko to przyciągnęło uwagę wielu statków na rzece.

– Może nasi napastnicy i załoga kutra zaplanowali spotkanie w jakimś innym miejscu? Gdzieś, gdzie nie będą obserwowani przez tyle par oczu?

– Brzmi rozsądnie. I stanowi dla nas szansę.

– Znikomą, która w dodatku coraz bardziej się kurczy. – Malone wskazał na plamkę krwi, rozmazaną butem któregoś z napastników. – W głębi dżungli i po ciemku będzie bardzo trudno ich szukać.

– Ci ludzie się spieszą i nie przypuszczają, że ktoś może ich śledzić – rzekł Pierce. – I będą musieli trzymać się blisko rzeki, żeby w odpowiedniej chwili spotkać się z kutrem. Myślę, że czterej ludzie z krwawiącym jeńcem zostawią po sobie dostatecznie wyraźny trop.

\*\*\*

I rzeczywiście tak było.

Wdrapawszy się chwilę później na błotnisty brzeg, Pierce stwierdził, że bez trudu da się ustalić miejsce, w którym partyzanci zanurzyli się w zarośla. Obejrzał się na statek, którego kadłub leżał przechylony na bok, a z rufy bił w niebo czarny słup dymu. Otaczała go gromada różnego rodzaju łodzi, które przyplnęły rozbitkom na pomoc. Płomienie coraz bardziej się rozprzestrzeniały i z pokładu pospiesznie sprowadzano ostatnich pasażerów.

Odwrócił wzrok od wraku *MV Fawcett*.

Statek niewątpliwie nazwano na cześć znanego brytyjskiego podróżnika, Percy'ego Fawcetta, który zaginął bez śladu, poszukując legendarnego zaginionego miasta w amazońskiej dżungli, i nigdy się nie odnalazł. Pierce miał nadzieję, że ich nie czeka podobny los.

– No to chodźmy – rzekł, ruszając przodem.

Wystarczyło zagłębić się kilka metrów w gąszcz, by resztki światła

całkowicie się rozmyły i otoczyła ich ciemność. Ograniczyli się do jednej małej latarki, którą Pierce świecił sobie pod nogi, podążając za śladami butów na podmokłej ziemi i połamanymi gałązkami na krzakach. Odnajdywanie tropu nie sprawiało kłopotów, ale trudno było za nim iść. Pnącza miały ostre ciernie, gałęzie zwisały nisko, a zarośla były tak splątane, że bardziej przypominały stalowe zasieki.

Parli uparcie do przodu, starając się zachowywać jak najciszej. Narastająca kakofonia głosów nocnych stworzeń pomagała zagłuszać ich kroki. Wokół słyhać było piski, krzyki, brzęczenie i pohukiwanie, a światło ich małej latarki wyławiało z mroku błyski oczu obserwujących ich zwierząt. Do drzew tuliły się małpy, z gniazd spoglądały na nich papugi. Zaświeciła para znacznie większych oczu – żółte plamy z czarnymi cętkami.

Może jaguar, może pantera.

Po czterdziestu minutach ostrożnego przedzierania się przez dżunglę Malone szepnął:

– Tam, po lewej. Czy to nie luna ogniska?

Pierce przystanął i osłonił latarkę dłonią. W otaczających ciemnościach widać było sączącą się przez gałęzie purpurową poświatę.

– Urządzili sobie biwak? – zdziwił się Malone.

– Może czekają, żeby później wyjść na brzeg i spotkać się z kutrem.

– Jeśli to w ogóle oni – dodał Malone.

Był tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać.

Pierce zgasił latarkę i ruszył w stronę luno. Jak się okazało, trop, którym podążali, też skręcał w tę stronę. Dotarcie do celu zajęło im dwadzieścia minut ostrożnego przedzierania przez gąszcz. Zatrzymali się w kępie drzew oplecionych pnączami roślin, które zapewniały bezpieczny punkt obserwacyjny.

Pierce ogarnął wzrokiem roztaczającą się dalej polanę.

Stojące na niej lepianki kryte słomą wskazywały na tubylczą wioskę. Na środku polany stała zbита w ciasną gromadkę grupka dzieci i dorosłych, wśród nich pomarszczony starzec ze zranionym ramieniem. Wszystkich pilnował jeden z uzbrojonych mężczyzn ze statku. Widać blask płomieni przyciągnął także ich uwagę.

Trask klęczał obok ogniska, a pochylony nad nim mężczyzna

najwyraźniej coś krzyczał, jednak słów nie dawało się rozróżnić. Trask pokręcił głową i natychmiast został ukarany ciosem w czaszkę, po którym upadł jak długi na ziemię. Tymczasem podszedł inny z napastników, trzymając na wyciągniętej dłoni metalowe pudełeczko. Porywacze widocznie obszukali Traska i znaleźli przy nim pudełko z fiolkami. Na wieczku blado świeciły lampki ledowe.

- Elektroniczny zamek szyfrowy – domyślił się Malone.
- A oni chcą ten szyfr z niego wydusić – dodał Pierce.
- Jak go znam, będzie twardo negocjował.

Pierce doliczył się czterech napastników, wszyscy byli uzbrojeni po zęby. Nie wyglądało to dobrze. Dwóch na jednego. A w dodatku każda strzelanina groziła ofiarami wśród mieszkańców wioski.

Nagle z dżungli wyłoniła się kolejna grupa zamaskowanych mężczyzn. Przyszli dobrze wydeptaną ścieżką, zapewne prowadzącą ku rzece. Było ich sześciu, a siódmy, najwyższy, miał twarz odsłoniętą i jego lewy policzek przecinała długa, głęboka blizna, sięgająca aż do brody. Rzucił na prawo i lewo polecenia, które bezzwłocznie były wykonywane.

Niewątpliwie dowódca.

Stosunek dwóch na jednego zmienił się w pięciu na jednego.

Przybysze byli uzbrojeni w karabiny szturmowe, granatniki i strzelby.

Pierce pomyślał, że w tym układzie są bez szans.

Ale Malone nie wydawał się zbyt przejęty.

- Poradzimy sobie – powiedział.

\*\*\*

Malone przyglądał się, jak dowódca podrywa Traska na nogi i obraca go twarzą ku rzece.

– Nie możemy pozwolić, żeby dotarli do wody – powiedział. – Ale jak tylko wyjdą z wioski, wykorzystamy dżunglę, by zyskać przewagę nad nimi.

– Jak w wojnie partyzanckiej – mruknął Pierce. – To mi się podoba. Uczyli cię tego na studiach prawniczych?

– Nie, w marynarce.

– Może w zamieszaniu uda nam się wyszarpnąć Traska i jego fiolki



– rzucił z uśmiechem Pierce.

– Wystarczą mi same fiolki.

Obiekt ich zainteresowania opuścił wioskę, eskortowany przez oddział partyzantów guerrilli.

Obaj skulili się i ruszyli biegiem obok siebie. Co ciekawe, ich wrogowie nawet nie starali się zachowywać cicho. Polecenia wykrzykiwano pełnym głosem, tupot nóg i trzask łamanych gałęzi docierał aż nad rzekę. Tak jakby cały teren należał do nich, co zapewne na swój sposób odpowiadało prawdzie. Byli u siebie i grali na własnym boisku. Co nie znaczy, że drużyna gości nie może też zdobyć paru punktów.

Dobiegając do wioskowej polany, Malone zauważył, że nie wszyscy partyzanci ją opuścili. Dwóch zostało, nadal trzymając mieszkańców pod bronią.

A więc problem.

Pewnie postanowili pozbyć się wszystkich świadków. Malone dał znak Pierce'owi, na migi wyjaśniając mu swój plan, a ten skinął głową. Pokonali ostatni kawałek i wpadli na polanę tuż za plecami dwóch partyzantów.

Pierwszy, ledwie się odwrócił, został trafiony w klatkę piersiową i runął na ziemię.

Pierce zastrzelił drugiego.

Po lesie rozszedł się głośny huk wystrzałów.

Malone przyklęknął i złapał w powietrzu karabin padającego partyzanta. Skierował lufę w górę i puścił długą serię w niebo. Liczył na to, że strzały z pistoletów i seria z karabinu zostaną uznane przez partyzantów za dowód na to, że ich kompani krwawo rozprawiają się z mieszkańcami wioski.

Pierce dał tubylcom znak, że mają zachować ciszę i udawać martwych. Wyglądało na to, że starszy wioski zrozumiał polecenie, bo kiwnął głową i gestami uciszył swoich pobratymców. Kazał matkom uspokoić wystraszone dzieci, mężczyznom zebrać dobytek i przygotować się do ucieczki.

Pierce schował swego sig sauera i wziął do ręki zdobyczny karabin. Malone zabrał drugi. Zauważył leżący na ziemi granatnik i nawet przez chwilę się zastanawiał, czy też go nie wziąć, uznał jednak, że w dżungli

będzie on tylko zawadą. Muszą poprzestać na karabinach i pistoletach.

Ruszyli ścieżką w ślad za partyzantami.

Po kilkudziesięciu metrach zamajaczyła im na ścieżce sylwetka mężczyzny. Widać partyzanci kazali któremuś ze swoich zawrócić i sprawdzić, czy w wiosce wszystko w porządku. Mężczyzna pierwszy otworzył do nich ogień, siekąc kulami liście i zmuszając ich do zanurkowania w gęstwinę.

Malone ukrył się za pniem grubego drzewa i uniósł głowę w chwili, gdy na końcu lufy karabinu Pierce'a rozbłysła pierwsza seria.

Nieźle. Szybki jest.

Trafionego w klatkę piersiową partyzanta aż rzuciło do tyłu.

Ciało z łomotem zważyło się na ziemię.

– Chodźmy – powiedział Pierce. – Trzymajmy się blisko nich.

Malone przełknął jęk bólu, jaki sprawiały mu chore kolana. Wojna partyzancka w dżungli to jednak zdecydowanie zajęcie dla kogoś młodszego.

Ale da sobie radę.

Ruszył do przodu.

\*\*\*

Pierce przedzierał się do przodu, dostosowując się do tempa Malone'a. Ich głównym celem będzie uszkodzenie czekającego kutra tak, by nie był w stanie odpłynąć. Niestety, brakowało im rąk i Pierce zdawał sobie sprawę, że na miejscu będą musieli improwizować.

Podążali przez las, równolegle do ścieżki, którą odeszli partyzanci. On po jednej stronie, Malone, teraz niewidoczny w gęstwinie, po drugiej. W gałęziach szumiał wiejący od rzeki wiatr. Nagle gdzieś przed nim rozległ się krzyk, który zmroził mu krew w żyłach. Ktoś krzyknął najpierw po portugalsku, zaraz potem po angielsku:

– Wychodź, bo inaczej twój człowiek zginie.

Pierce przesunął się do przodu i przykucnął.

Kawałek dalej widać było przerwę w gęstwinie. Jedno z wielkich drzew musiało niedawno runąć, miażdżąc niższe zarośla. Pośrodku wyłomu, w blasku gwiazd, stał przywódca partyzantów, trzymając w wyciągniętej ręce metalowe pudełeczko z wciąż świecącymi lampkami, a jeden z jego ludzi wciskał lufę karabinu w tył głowy

Traska. Po opowieści Malone'a o tym, w jaki sposób Trask zdobył swoje trofeum, jego życie nic dla Pierce'a nie znaczyło. Chodziło mu tylko o przejęcie próbki toksyny, by nie dostała się w łapy międzynarodowych terrorystów, którzy mogliby rozpocząć jej produkcję na masową skalę.

– Wychodź albo on zginie – powtórzył przywódca partyzantów.

Z gąszczu wyłoniło się dwóch następnych partyzantów i dopiero na ich widok Pierce zrozumiał swoją pomyłkę.

Dowódca powiedział: „twój człowiek”.

Dwaj nowi wyprowadzili z dżungli drugiego jeńca.

Cottona Malone'a.

\*\*\*

Malone trzymał dłonie splecione na czubku głowy. Wpadł w zasadzkę zaraz po rozdzieleniu się z Pierce'em. Z ciemności za nim wyłonił się cień, zatkał mu usta dłonią i zacisnął gardło ramieniem. Potem drugi cień wgniół mu w żołądek kolbę karabinu i zwałił z nóg. Oszołomionego Malone'a zakneblowali chustą z twarzy jednego z partyzantów i poprowadzili przed sobą pod lufami karabinów. Stał teraz przy powalonym drzewie, wpatrując się w ciemność i zaklinając w duchu Pierce'a, by się nie pokazywał.

Niestety, jego zaklęcia nie zostały wysłuchane.

Kawałek dalej z gęstwiny wyszedł Pierce, unosząc nad głową karabin na znak poddania.

Jeden z partyzantów pchnął Malone'a do przodu.

Pierce zdążył uchwycić jego spojrzenie i odczytać z ruchu warg: „Szykuj się do ucieczki”.

\*\*\*

Pierce minął Malone'a, krzyknął: „Poddaję się” i odrzucił karabin daleko od siebie.

Tak jak przewidywał, wszyscy odprowadzili karabin wzrokiem, on zaś w tej samej chwili opuścił rękę, wyszarpnął z pochwy sig sauera i strzałami z biodra położył dwóch najbliższych napastników.

Został mu jeszcze ten najważniejszy.

WyceLOWał w dowódcę i strzelił.

Jednak tym razem pocisk nie trafił czysto w cel. Kula zawadziła o pudełeczko w dłoni mężczyzny, i dopiero potem trafiła go w klatkę piersiową. Z pudełeczka wydobył się obłok żółtawej mgiełki i natychmiast otulił stojących w pobliżu ludzi. Pierce pamiętał słowa botanika, które mu przytoczył Malone: „Jeśli choć jedna fiolka się stłucze, zginą wszyscy w promieniu stu metrów”.

Zagrożenie już się rozprzestrzeniało.

Rozległy się krzyki.

Unoszona wiatrem mgiełka popłynęła ku niemu i Pierce zaczął się cofać. Malone, nadal zakneblowany, rzucił się w stronę ścieżki. Pierce już miał popędzić za nim, gdy z trującej chmury wyłoniła się jakaś postać.

Trask.

Jego twarz wyglądała jak ugotowana, z oslepłych oczu ciekły łzy. Zrobił jeszcze parę kroków i wijąc się w drgawkach, runął na ziemię.

Trafiło na właściwego człowieka.

Pierce popędził za Malone’em, ścigany kłębiącą się na wietrze chmurą żółtawego pyłu. Obejrzał się, chcąc sprawdzić, jakie czyni spustoszenia. Małpy spadały z gałęzi, ptaki zrywały się do lotu, by zaraz paść bez życia na ziemię. Wszystkie pełzające, biegające i fruwające stworzenia ginęły niemal natychmiast. Dogonił Malone’a i chwilę później razem wpadli na wioskową polanę.

Która, niestety, nie była pusta.

Tubylcy nie zdążyli się ewakuować i wciąż się tutaj kręcili. Dzieci rzuciły się do nóg matek, wystraszone nagłym pojawieniem się dwóch obcych. Pewnie myślały, że za nimi wrócą też partyzanci, a grozę dodatkowo budził widok zakneblowanego i zakrwawionego Malone’a. Pierce stanął i obejrzał się za siebie. Ponad korony drzew zerwało się stado nietoperzy, by wyruszyć na nocne łowy. Nagle jeden po drugim zaczęły spadać na ziemię – najpierw te dalej od polany, potem coraz bliżej.

Dosięła je niesiona wiatrem śmierć.

Pierce popatrzył na mieszkańców i ujrzał przerażenie na ich twarzach. Nikt – łącznie z nim samym – nie miał szansy uciec przed śmiertelnością chmurą.

Jego jeden niecelny strzał przesądził o losie ich wszystkich.

\*\*\*

Ale Malone jeszcze się nie poddał. Opadł na kolana i chwycił porzucony na ziemi granatnik.

Jeden rzut oka pozwolił mu się upewnić, że jest załadowany.

Bogu dzięki.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyknął Pierce.

Nie było czasu na wyjaśnienia.

Oparł rurę granatnika na ramieniu, wycelował w ścieżkę i odpalił. Broń walnęła go w twarz i wypluła z tyłu kłęb dymu, a z przodu wyrzuciła granat z napędem raketowym. Pocisk z gwizdem pognął w głąb ścieżki.

Nocne ciemności rozświetliła potężna eksplozja.

Szczałki wyrwanych z korzeniami drzew zaczęły opadać w postaci ognistego deszczu liści i gałęzi.

Ogarnęła ich fala gorąca. Czy to wystarczy?

W głowie dźwięczały mu słowa Traska: „Nie da się tego inaczej zatrzymać, jak tylko spalić”.

Od miejsca, gdzie wybuchł granat, zaczynał się rozprzestrzeniać pożar. Płomienie strzelały w niebo, dym przesłaniał gwiazdy, szalejący ogień pochłaniał wszystko wokół, w tym również – oby! – wiszącą w powietrzu toksynę. Malone wstrzymał oddech, choć nie dlatego, że mogłoby go to uratować, gdyby chmura tutaj dotarła. Nagle z dżungli coś wyskoczyło i wpadło na polanę. Pierwszy ślad życia.

Pantera.

Zaryła poźółkłymi pazurami w ziemię, jej oczy lśniły refleksami płomieni. Wielki kot groźnie zasyczał i obnażył kły, po czym dał susa w bok i zniknął w gęstwinie.

Przeżył.

Dobry znak.

Malone odczekał minutę. I jeszcze jedną.

Śmierć nie nadchodziła.

Podszedł do niego Pierce.

– Tworzymy niezły duet. – Poklepał go po ramieniu. – I jesteś szybki jak błyskawica, staruszk.

Malone opuścił granatnik.

– Kogo nazywasz staruszkim? – burknął.

**LEE CHILD**  
**i**  
**JOSEPH FINDER**

Gdy Joseph Finder postanowił stworzyć bohatera cyklu powieściowego, obdarzył go wieloma cechami Jacka Reachera, bohatera książek Lee Childa. Joe nazwał swojego Nick Heller i uczynił go nie tyle prywatnym detektywem, ile prywatnym wywiadowcą. Nick szpieguje dla polityków, instytucji rządowych i wielkich korporacji, docierając do tajemnic, które ich posiadacze woleliby zachować dla siebie. Motorem działania jest dla niego, podobnie jak dla Jacka Reachera, szukanie sprawiedliwości. Nick stanowi zlepek cech inteligenckich i robotniczych. Jako syn sławetnego malwersanta z Wall Street, wczesne dzieciństwo spędził w atmosferze wielkich pieniędzy, które nagle wyparowały, gdy ojciec trafił do więzienia, a on lata młodzieńcze przeżył w środowisku robotniczym na przedmieściach Bostonu.

Jest z natury kameleonem. Potrafi tak samo łatwo odnaleźć się wśród elity korporacyjnej, jak i w towarzystwie marines.

I oczywiście z całego serca kibicuje bostońskim Red Soxom.

Natomiast Jack Reacher jest zagorzałym kibicem Yankees i wywodzi się z zupełnie innego środowiska, ale jego życiorys jest równie pogmatwany. Jako syn wojskowego, dzieciństwo spędził w amerykańskich bazach w różnych krajach świata, co czyni z niego Amerykanina bez ojczyzny. Reacher to samotnik, który nie angażuje się uczuciowo, chociaż jest bezwzględnie lojalny. I nie cierpi durniów.

Nick Heller i Jack Reacher. Podobni jak dzień do nocy, jak to się mówi. Nie mogłoby więcej ich różnić i jednocześnie tyle łączyć.

Co można również powiedzieć o obu autorach.

Lee i Joe są przyjaciółmi. Łączy ich miłość do pisania, baseballu i najlepszych amerykańskich hamburgerów, których uparcie poszukują. I nie chodzi o żadne dzieła sztuki kulinarnej. Po prostu

zwykle, smaczne prawdziwe burgery. Lee wspomina, jak kilka lat temu poszli na hamburgera do hiszpańskiej restauracji (tak, tak, wyobraźcie sobie!) przy Dwudziestej Drugiej Ulicy w Nowym Jorku. Rozmowa zeszła na najbliższe plany i Joe zaczął opowiadać o swym pomysle stworzenia serii książek z jednym bohaterem. Przedstawił wtedy Lee obszerną i dogłębną analizę wszystkich jego wad i zalet, pozytywnych i negatywnych cech, mocnych i słabych stron.

– Szkoda, że nie miałem wtedy włączonego dyktafonu. Mógłbym zapis jego wywodów sprzedać do „Writer’s Digest”, gdzie stałby się kamieniem z Rosetty dla wszystkich tego typu zamierzeń – mówi Lee.

Ostatecznie Joe zrealizował swój pomysł w pierwszej powieści z Nickiem Hellerem, *Zniknięcie*, napisanej z właściwą mu mieszaniną bogatej wyobraźni i żelaznej dyscypliny.

Lee nie planuje, nie tworzy szczegółowych konspektów swoich powieści. Wszystko rodzi się w sposób naturalny. Dla Joego byłoby to jak chodzenie po linii bez siatki zabezpieczającej. Lee zaproponował, by akcja zaczynała się w bostońskim barze, gdzie spotykają się obaj protagoniści. Reacher, jak zwykle, miał być tym obcym, Heller znajdowałby się u siebie, w ukochanym Bostonie. Lee spodobał się pomysł umieszczenia za barem lustra, w którym można obserwować twarz sąsiada, co pozwala rozmawiać od serca i zarazem zachować dystans. Heller i Reacher mieli wdać się w rozmowę o kimś i z kimś, kto wpadł w tarapaty. W końcu postanawiają mu pomóc, bo obaj zawsze tak robią, jednak ta pomoc przybiera bardzo różne formy.

Opowiadanie powstawało korespondencyjnie. Lee wysłał e-mailem pierwszy fragment, a Joe natychmiast spytał: „Jak wyobrażasz sobie dalszy ciąg?”.

W typowy dla siebie sposób Lee Child odpisał: „Nie mam pojęcia. Okaze się, jak go napiszesz”.

Z czym Joe świetnie sobie poradził.

Najpoważniejszym problemem dla obu okazała się decyzja, kto ma zwyciężyć w meczu Yankees przeciwko Red Soxom, który stanowi punkt wyjścia całej opowieści.



## **Należna i sowita gratyfikacja (GOOD AND VALUABLE CONSIDERATION)**

Bar powstał sto lat temu z przeznaczeniem dla ubrudzonych atramentem przedstawicieli miejscowej klasy pracującej. Urzędników, skrybów, drukarzy i innych biuralistów wszelakiej maści, którzy wylegali na wąskie uliczki, szukając po długim dniu pracy w uciążliwych warunkach miejsca, gdzie mogliby odetchnąć. Dzisiaj była to tylko jeszcze jedna bostońska ciekawostka historyczna – z przyćmionymi światłami i jasnobezową glazurą, z mosiężnymi okuciami i mahoniem, głównie na barze, którego blat ze starego drewna o bardzo drobnych słojach wypolerowały do niezwykłego połysku miliony rękawów. Jedynym dysonansem w wystroju, ale też jedynym powodem, dla którego Reacher zdecydował się na ten lokal, był wielki płaski telewizor, włączony na transmisję z meczu Yankees w Fenway Park.

Reacher stanął przy drzwiach, by wybrać sobie najdogodniejsze miejsce. Miał dobry wzrok i nie musiał siadać blisko, ale wiedział z doświadczenia, że obraz na płaskim ekranie źle widać, jeśli patrzy się pod zbyt ostrym kątem. Należało więc znaleźć miejsce gdzieś pośrodku. A to praktycznie zawężyło wybór do jedyne go wolnego stołka w centralnej części baru, mniej więcej naprzeciwko ekranu. Gdyby chodziło o teatr, pewnie byłoby to najdroższe miejsce na widowni. W środku pierwszego rzędu. Po lewej stronie od niego siedziała plecami do sali ciemnowłosa kobieta, po prawej łysiejący tłuścioch, dalej szczupły, krótko ostrzyżony mężczyzna z mocno umięśnionym karkiem, za nim następną kobietą – blondynką w szpilkach, które trzymała zahaczone o metalową obręcz wokół stołka. Jaszczurzy mózg Reachera od razu mu podpowiedział, że jedynym klientem przy barze, z którym należy się liczyć, jest krótko ostrzyżony byczek. Nie żeby Reacher spodziewał się jakiegóś rozróby, ale

znajdował się w Bostonie i był kibicem Yankees.

Na ścianie baru, za gąszczem butelek, znajdowało się wielkie lustro i Reacher zauważył, że byczek go w nim obserwuje. Zwyczajny odruch człowieka, który zwraca uwagę na otoczenie, co jedynie potwierdzało ocenę jaszczurzego mózgu Reachera. Nie gliniarz, ale ktoś z gatunku samotnego wilka. Twardziel, rozluźniony i pewny siebie. Zapewne były wojskowy, którego życie nauczyło, że czasami warto popatrzeć w lustro – lub ponieść konsekwencje niepatrzenia.

A potem tłusciuch siedzący po drugiej stronie wolnego stołka też spojrzął w lustro i zrobił to dużo bardziej ostentacyjnie. Ten zupełnie nie wyglądał na rozluźnionego i pewnego siebie. Wlepił wzrok w odbicie Reachera i śledził całą jego drogę od drzwi do wolnego stołka przy barze. Reacher usiadł obok tłusciucha, zakołysał się z boku na bok, by zaznaczyć należącą do niego przestrzeń, i oparł łokcie o mahoniowy blat. Facet odwrócił wzrok od lustra i spojrzął wyczekująco na Reachera, jakby nie wiedział, czy ma do niego zagadać, czy raczej poczekać, aż Reacher odezwie się pierwszy. Reacher milczał. Rzadko wdawał się w rozmowy z obcymi. Zwykle starczało mu własne towarzystwo.

W końcu tłusciuch odwrócił głowę i przeniósł wzrok, jednak nie na ekran, tylko z powrotem na lustro. Miał wysuniętą dolną wargę, która sterczała niczym dziób, poniżej zwisało wielkie podgardle, które tak gładko spływało na kołnierzyk koszuli, jak gdyby wewnątrz nie było żadnej struktury kostnej. Opływowe i jakby nadmuchane kształty ciągnęły się przez całe ciało, aż po drobne stopy, i facet w sumie przypominał balon z cielistego jedwabiu. Jego skóra wyglądała na suchą i miękką w dotyku. Na lewej ręce widniała obrączka, wrzynająca się głęboko w tłusty palec, podobny do przewiązanego serdelka. Facet był ubrany w garnitur uszyty z drelichu na robocze kombinezony, a spodnie musiały mieć w pasie dobre sto pięćdziesiąt centymetrów.

Reacher spojrzął na ekran. Pierwsza runda zakończyła się bezpunktowo, w bazie pozostawał jeden gracz. Zaczęła się przerwa reklamowa, z pierwszym spotem namawiającym do leasingu samochodu marki, o której Reacher nigdy w życiu nie słyszał. Barman skończył serwować drinki w innej części baru i przemieścił się w stronę Reachera, który poprosił o pełnego buda w butelce i parę sekund

później piwo stało przed nim, lodowato zimne, z pianką.

– Jestem Jerry DeLong – odezwał się tłuścioch.

W pierwszej chwili Reacher nie był nawet pewny, do kogo on to mówi, i dopiero drogą eliminacji doszedł do wniosku, że musi chodzić o niego.

– Naprawdę? – mruknął.

Krótko ostrzyżony byczek obserwował całą scenę w lustrze. Reacher spojrział na jego odbicie, potem na odbicie tłuściocha, który w lustrze patrzył wprost na niego. Oto barowa zażyłość. Patrzymy sobie w oczy, lecz nie bezpośrednio.

– Przyszedłem obejrzyć mecz – dodał Reacher.

Wyjaśnienie chyba usatysfakcjonowało tłuściocha, bo odwrócił głowę, jakby uznając sprawę za załatwioną. Reacher nie potrafił precyzyjnie ocenić kątów padania i odbicia, ale był prawie pewien, że tłuścioch obserwuje drzwi wejściowe. Co chwila niespokojnie posapywał, wybałuszone oczy z lekka mu łzawiły, ale poza tym zdawał się panować nad sobą. Jego nalana blada twarz była bez wyrazu, wielkie cielsko trwało w bezruchu.

Reklamy się skończyły i obraz powrócił na stadion Fenway. Małe zielone podwyższenie pięknie prezentowało się w blasku świateł. Ubrani w szare stroje wyjazdowe zawodnicy Yankees byli już na boisku, miotacz wykonywał ostatnie rzuty w ramach rozgrzewki. Nie prezentował się zbyt dobrze.

\*\*\*

Nick Heller wszedł do baru trzy minuty wcześniej i natychmiast wtopił się w panującą tam atmosferę radosnego podniecenia po dniu pracy, przesyconą wonią potu, wody kolońskiej i piwa. Przypominało to domowe party w pełnym rozkwicie: bezładna kakofonia rozmów, dzwoniący w uszach gwar, głośne wybuchy śmiechu.

Był to jeden z ulubionych barów Hellera w jego rodzinnym mieście, bo był autentyczny. Nie serwowano w nim dziwactw w rodzaju piwa pszenicznego o smaku malinowym. Tu się piło beczkowego narragansetta, któremu bostończycy pozostawali wierni, nawet jeśli smakowało jak wodniste pomyje.

Przy barze były dwa wolne miejsca, po dwu stronach jakiegoś

spaślaka. Ciekawe. A może tłuscioch trzyma je dla znajomych? To by znaczyło, że jest nietutejszy. Nikt z tutejszych nie robi czegoś takiego jak rezerwowanie miejsc przy barze.

Heller przepchnął się przez tłumek i ruszył do bufetu. Jedną z rzeczy, jakie tutaj lubił, było lustro na ścianie za rzędami butelek. Dzięki niemu człowiek mógł przyjrzeć się twarzom siedzących przy barze, zanim sam przy nim usiadł. Albo przyglądać się twarzom wchodzących. Można było rozmawiać z sąsiadem i patrzeć mu prosto w twarz, ale nie bezpośrednio. Utrzymywać z nim kontakt wzrokowy, ale tylko w lustrze. Heller lubił się zrelaksować przy drinku, a nigdy nie wiadomo, kto może się napatoczyć.

Idąc do baru, zauważył, że jedna z twarzy w lustrze ma wbite w niego oczy. Tłuscioch. Dziwna twarz z cofniętym podbródkiem i obwisłym podgardlem, które opadało na kołnierzyk koszuli jak fartuch. Niesympatyczna. Facet natarczywie mu się przyglądał. Zupełnie tak, jakby na niego czekał. Heller nigdy wcześniej go nie widział, a tamten nie odrywał od niego wzroku. Wydawało się, że na kogoś czeka, ale nie wie, jak ten ktoś wygląda.

I że tym kimś może być Heller. Dziwne. Nie znał człowieka.

Usiadł na wolnym stołku i kiwnął tłusciochowi głową.

– Co słyhać? – zagadnął tłuscioch.

– Hej – odrzekł Heller tonem niebyt przyjaznym, choć i nie niegrzecznym.

Tłuscioch milczał przez chwilę.

– Jerry DeLong – przedstawił się, wyciągając rękę.

Heller nie miał ochoty się zaprzyjaźniać ani nie chciało mu się gadać. W Fenway Park trwał mecz Red Soxów z Yankees, a było to w Bostonie doniosłe wydarzenie. Miejscowy rytuał, prawie jak igrzyska gladiatorów w rzymskim Koloseum. I nie znał lepszego miejsca niż ten bar na oglądanie ważnego meczu.

Dlatego dopiero po chwili podał tamtemu rękę i powiedział: „Nick”. Tylko imię, bez nazwiska. Heller nie lubił nim szafować. A potem od razu odwrócił się w stronę wielkiego ekranu telewizora nastawionego na mecz. Jakżeby inaczej. Właściciel baru i kumpel Nicka też był zagorzałym kibicem Red Soxów, podobnie zresztą jak barman Sully. Czasami tylko dochodziło do sporów, gdy równoległe na innym kanale

transmitowano mecz Bruinsów. Bo bostończycy kochali też swoich hokeistów. Zdarzały się nawet wieczory, gdy na czterech różnych kanałach szły równocześnie mecze Red Soxów, Bruinsów, Celticsów i Patriotsów. Wtedy lepiej było trzymać się z dala od takich barów jak ten. Potrafiło zrobić się niesympatycznie.

– Nick – przywitał go barman, bez pytania sięgając po budweisera.

– Sully – odrzekł Nick.

– Ważny wieczór, co?

– Bez pudła ich załatwią.

– Jasne – potwierdził Sully, stawiając kufel z grubą warstwą białej piany.

Pokiwał przy tym uroczyście głową, jakby mówił: „Niech słowo ciałem się stanie”.

Heller wyczuł, że tłuścioch znów mu się przygląda.

– Czy my się znamy? – spytał obojętnym głosem.

Tłuścioch sączył gin z tonikiem.

– Mmm, a pan tu przyszedł z kimś się spotkać? – odpowiedział pytaniem.

– Przyszedłem obejrzeć zwycięstwo Soxów – odrzekł Heller, tym razem ciut przyjaźniej, ale wciąż bez zachęty w głosie.

– O, to przepraszam.

– Nie szkodzi.

W lustrze za barem zauważył rosnącego mężczyznę, który zmierzał do wolnego miejsca po drugiej stronie DeLonga. Instynkt od razu mu podpowiedział, że to ktoś, z kim należy się liczyć. Był lepiej zbudowany i wyższy od przeciętnego mężczyzny – miał dobrze ponad metr dziewięćdziesiąt i ważył grubo ponad sto dziesięć kilogramów. Niezwykle szeroki w barach. Prawdziwy czołg. Same mięśnie, bez grama tłuszczu, na pewno były wojskowe. Ciuchy z lumpeksu i źle ostrzyżone włosy nadawały mu niedbały wygląd. W każdym razie nie sprawiał wrażenia kogoś, kto na wizytę u fryzjera wydaje więcej niż dziesięć dolców.

Ale w jego oczach widać było spryt, inteligencję i czujność. Poruszał się ze swobodą typową dla kogoś, komu ludzie schodzą z drogi i kto nie musi udowadniać swojej fizycznej przewagi. A jeśli już, to zawsze zwycięża. Swoim wyglądem onieśmiał ludzi i chyba było mu to

obojętne.

A więc to na niego czeka DeLong. Heller poczuł ulgę. Nie będzie musiał opędzać się od gaduły, który mógłby mu popsuć przyjemność oglądania meczu.

Usłyszał, jak Jerry DeLong przedstawia się mężczyźnie, a ten reaguje równie niechętnie jak on sam przed chwilą.

Heller położył łokieć na mahoniowym blacie, tuż obok paskudnej dziury wypalonej papierosem – pamiątki po dawnych dobrych czasach, kiedy w barach wolno było palić, i łyknął piwa. Było cierpkie i zimne. Nigdy nie mógł pojąć, dlaczego Brytyjczycy wolą piwo o temperaturze pokojowej.

Miotacz Yankees wykonywał ostatni rzut w ramach rozgrzewki. Niestety, był dobry. Pełen gracji, z silnym wymachem. Rzucał palcami, podkręcając piłkę, która szybowiała po lekkim łuku, wprowadzając pałkarza w błąd. I co najważniejsze, nie tracił niepotrzebnie sił, zachowując je na grę. Nie należał do tych wielu przeciętnych miotaczy, którzy słabną na długo przed setnym rzutem.

Jasne, że był dobry. Był jednym z największych młodych talentów w Red Soxach, a potem Yankees podkupili go za takie pieniądze, że nikt by się im nie oparł. Najlepsze, jakie da się zarobić miotaniem. Gdy jeszcze w barwach Red Soxów grał na Yankee Stadium, miejscowi kibice bezlitośnie na niego buczeli, potem jednak, gdy zaczął rzucać asy dla Yankees, szybko zmienili front.

Heller nie był z tych, co zmieniają front.

Zacząła się druga połowa pierwszej rundy, pałkarz Red Soxów ustawił się na płycie i precyzyjnie odbił pierwszy rzut, wybijając piłkę poza boisko i zaliczając bazę domową. Piłka poszybowiała nad Zielonym Potworem – tą idiotycznie wysoką ścianą po lewej stronie boiska, która niejedną pozornie pewny bieg do bazy domowej zamieniła w podwójne zabicie. Piłka prawdopodobnie stłukła szybę w którymś ze sklepów przy Lansdowne Street. Widzowie w barze powitali odbicie głośnym aplauzem.

Przy tej okazji Heller zauważył trzy rzeczy.

Po pierwsze, Jerry DeLong wcale nie interesował się meczem. Przenosił wzrok na ekran z lekkim opóźnieniem, jakby tylko chciał zobaczyć, czego dotyczy wrzawa w barze.

Po drugie, drągała po jego lewej ręce wcale nie cieszyły dobre zagrania Soxów. Nawet się nie uśmiechał. Z uwagą obserwował wydarzenia na boisku, ale chyba nie był kibicem Soxów. Po zdobyciu przez ich zawodnika bazy domowej lekko się skrzywił i cicho parsknął. Nie wyglądał na uszczęśliwionego. Znaczący jakiś nowojorczyk, kibic Yankees. Trzeba mieć niemały tupet, żeby być kibicem Yankees i oglądać ich mecz z Soxami w takim barze jak ten. Albo to, albo mieć gdzieś, co myślą inni. Chyba jednak to drugie, pomyślał Heller.

A potem zadzwonił telefon komórkowy, tłuścioch wyjął go z kieszeni i przyłożył do ucha, tuż przy tłustym policzku. Drugą dłonią osłonił telefon przed panującym w barze hałasem.

– Hej, kochanie – powiedział ciepłym tonem, ale w jego głosie można było wyczuć napięcie. Czyli jak w głosie wszystkich mężów we wszystkich barach. – Nie, nie, zupełnie nie. Oglądam mecz z Howiem i Kenem.

I to była trzecia rzecz. Tłuścioch okłamywał żonę.

Mężowie okłamują żony z niezliczonych powodów, wśród których na samym szczycie jest niewierność. Ale tłuścioch nie był tu na randce w ciemno. Nie przyszedł w sprawie seksu. Nie był odpicowany w sposób typowy dla faceta, który wybrał się na podryw. Nawet nie przeczesał włosów i nie spryskał się wodą kolońską.

Za to wyglądał na mocno wystraszonego.

\*\*\*

Reacher miał na imię Jack i nie wątpił, że byczek po drugiej stronie tłuściocha też nie ma na imię Howie czy Ken. Oczywiście mógł mieć pecha i dostać na chrzcie jedno lub drugie imię, ale jeśli chciał przeżyć w świecie, w którym się obracał, szybko by je sobie zmienił na coś bardziej twardego i męskiego. A to znaczyło, że tłuścioch kłamie jak z nut. Nie oglądał meczu z Howiem i Kenem. Ściślej mówiąc, w ogóle go nie oglądał. Gdy z podwyższenia wystrzeliwała udana wysoka piłka, facet w ogóle nie patrzył na ekran i rzucał na niego rozbiegane spojrzenie dopiero wtedy, gdy w barze rozlegały się owacje. Poza tym siedział nieruchomo, wgapiony w lustro. Obserwował wejście. Oczekiwał kogoś nieznanego. Stąd jego niepewna próba sprzed chwili. „Jerry DeLong”, przedstawił się, jakby to cokolwiek miało

znaczyć.

Reacher wyciągnął rękę za potężnymi plecami DeLonga i stuknął byczka w ramię, a ten odchylił się lekko do tyłu, nie odrywając wzroku od ekranu. Tak jak Reacher. Pałkarz Soxów zamachnął się i chybił. Trzecie uderzenie. Już lepiej.

– Który z was był tu pierwszy, ty czy on? – spytał.

– On – odparł byczek.

– Też ci się przedstawił?

– Też.

– Trzymał te miejsca dla kogoś?

– Wątpię.

– Czyli teraz czeka, żeby ktoś podszedł i klepnął go w ramię. Wtedy wstanie i pójdzie ubijać z nim jakiś interes.

– Też tak sądzę.

Na stanowisku pojawił się trzeci pałkarz Soxów.

– Ciekawe, co to za interes – powiedział Reacher. – Może znalazłem się w miejscu, w którym nie powinienem być?

– Jesteś z Nowego Jorku?

– Niezupełnie.

– Ale im kibicujesz.

– To nie zbrodnia myśleć rozsądnie.

– Miejsce jest w porządku. Nie wiem, co ta beka smalcu kombinuje.

– Mógłbyś go spytać.

– Ty też.

– Nie jestem specjalnie ciekaw.

– Ani ja. Ale coś go gnębi.

Trzeci pałkarz Soxów trafił i wybił piłkę wysoko, ale nie poza boisko. Akurat jak znalazł dla drugiego bazowego Yankees.

– Nazywasz się jakoś? – zapytał byczek.

– Każdy się jakoś nazywa.

– A ty jak?

– Reacher.

– Ja jestem Heller. – Facet wyciągnął za plecami DeLonga lewą pięść, Reacher stuknął w nią swoją prawą. Nie był to pierwszy w życiu kontakt jego pięści ze zwolennikiem Soxów, ale z całą pewnością najłagodniejszy.



Pałkarz Soxów rzucił piłkę do miotacza i runda dobiegła końca. Jeden zero dla Bostonu. Niedobrze, ale jeszcze nie tragedia. Na razie.

– Jak go tak poobgadujemy za plecami, to może w końcu się nam zwierzy – rzekł Reacher.

– Dlaczego miałby się zwierzać? – zdziwił się Heller.

– Bo coś go gryzie.

– A ty kto? Matka Teresa?

– Nie podoba mi się nasza gra. Powinni ich jakoś podejść.

– Stul uszy i siedź cicho.

– Jak ty przez ostatnie sto lat?

Akurat w tym momencie w barze zapadła nagła cisza, jaka się zdarza, gdy nastroje tłumu falują, i barman dosłyszał ostatnie słowa Reachera. Odwrócił głowę i groźnie na niego spojrział.

– No co? – zachnął się Reacher.

– Wszystko gra, Sully – rzucił szybko Heller.

I właśnie wtedy Jerry DeLong spojrział w lewo, spojrział w prawo i jęknął:

– Bo czekam tu na kogoś, kto ma mi połamać nogi.

\*\*\*

Heller obrzucił Reachera spojrzeniem.

Wychodziło na to, że Reacher miał nosa. Czuł, że z tłuściochem coś nie gra. Że czegoś się boi. Zabawne, że Hellerowi intuicja podpowiadała to samo. Czyli że z tego Reachera naprawdę bystry gość.

Tłuścioch był naprawdę przerażony.

Ale zamilkł i już nic więcej z siebie nie wydusił.

Zacząła się pierwsza połowa drugiej rundy. Dwie piłki, wybiecie, trzecia piłka. Miotacz drużyny z Bostonu bacznie się rozglądał. Nie chciał rozpocząć rzutem na spacer do bazy.

– Szykuje mu kiksa – zauważył Reacher. – Chce go podpuścić.

Pałkarz Yankees też to wyczuł i zjadliwie się uśmiechnął.

Miotacz nie rzucił kiksa. Rzucił z całej siły, pałkarz zamachnął się kijem w powietrzu i piłka wylądowała w rękawicy łapacza.

Reacher odwrócił głowę od ekranu.

– Może mógłby nam wyjaśnić, co jest grane – powiedział. – Z jego

nogami i w ogóle.

– Myślisz?

– Albo i nie.

– Lepiej nie, bo nie chcę, żeby połamali mi też ręce – sapnął tłuścioch.

Ostatnia piłka, znów z całej siły. I znów pudło. Punkt.

Heller obrzucił tłuściocha badawczym spojrzeniem.

– Nigdy wcześniej cię tu nie widziałem, co?

– Nigdy wcześniej tu nie byłem.

– Ale jesteś tutejszy, tak?

Tutejszy. Typowo bostońskie słówko. Bostończycy zawsze lubią wiedzieć, czy jest się jednym z nich. Bo nie zawsze da się to poznać po akcencie. Choć są słowa kluczowe. Pijesz napój czy „tonik”? Czy coś jest „do luzu”? Idziesz do monopolowego czy do „wódopoju”? Zawracasz na jezdni czy robisz „odwyrtek”? I od razu demaskują tych, co podszywają się pod miejscowych. Heller urodził się pod Nowym Jorkiem, ale w wieku kilkunastu lat przeniósł się do Melrose, robotniczego miasteczka pod Bostonem. Jego ojciec trafił do więzienia i matka została bez grosza. Mógł uchodzić za tutejszego, jeśli tego chciał. Albo i nie.

Jednak DeLong zdecydowanie należał do tutejszych.

– Tak. – DeLong wzruszył ramionami.

– Pracujesz gdzieś tu?

Ponownie wzruszył ramionami.

– W Centrum Rządowym.

– Nie podoba ci się ichni pub irlandzki?

– Mam biuro przy Cambridge Street.

Widać było, że DeLong niechętnie się otwiera. Z jakiegoś powodu nie chciał mówić ani co dokładnie robi, ani gdzie pracuje, co dla Hellera było jak migająca lampka ostrzegawcza. Bo to znaczyło, że zajmuje się czymś delikatnym albo tajnym, albo nieprzyjemnym. Ale ponieważ wyglądał na zwykłego urzędnika, rządowego gryzpiórka, Heller zaryzykował.

– W starym poczciwym Saltonstall Building, tak? – Miał na myśli jeden z biurowców w posępnym getcie gmachów rządowych u podnóża Beacon Hill. – Jak tam wasz azbest?

Mieszczący kilka instytucji państwowych Saltonstall Building w pewnym momencie opróżniono, stwierdzając wysoki stopień zanieczyszczenia azbestem. Budynek poszedł do remontu, po czym zmuszono urzędników, by do niego wrócili, co spotkało się ze zdecydowanym oporem części z nich. W końcu się poddali, ale budynek przypominał gniazdo os, na które ktoś nadepnął.

– No, azbestu już nie ma.

– Mhm. – Heller uśmiechnął się.

Urzędas państwowy, na sto procent. Widział kiedyś mapę Ameryki, na której wielkość stanów określono nie pod względem obszaru, ale liczby mieszkańców. Rhode Island było na niej dwa razy większe od Wyoming. Gdyby sporządzić analogiczną mapę budynku Saltonstall pod względem liczebności zatrudnienia, największym stanem byłby Urząd Skarbowy.

– Czyli robisz w podatkach – mruknął.

– No, coś w tym rodzaju – przyznał DeLong.

Sądząc po tonie, nie był z tego dumny. Jakby go to w jakiś sposób uwierało. Ale jednocześnie nie chciał się na ten temat rozwodzić.

– Jesteś jednym z tych biegłych księgowych, co?

DeLong uciekł wzrokiem, co raczej potwierdzało trafność domysłów Hellera.

– Jak myślisz, Reacher? – Heller wyciągnął rękę za plecami tłuściocha i klepnął Reachera w ramię. – Ktoś chce uniknąć audytu i robi to w bardzo obcesowy sposób, nie sądzisz?

– Na to wygląda – rzekł Reacher. – Ciekawe, jak często coś takiego się udaje.

– Tym razem się nie uda – odparł DeLong.

Chyba chciał zagrać chojraka, ale nie bardzo mu to wyszło.

– Oho – mruknął Heller, spoglądając w lustro.

Przy małym stoliku nieopodal baru usiadł wyzywająco ubrany facet. Miał ciemne okulary, łańcuchy na szyi i upierścienione palce. I trzymał się dziwnie sztywno. Główny egzekutor albańskiego gangu w Bostonie, Alek Dushku, ksywa Allie Boy, znany z ostrych metod wymuszania należności. Na przykład dusił starszego mężczyznę sznurowadłem tak długo, aż tamtemu oczy wyszły z orbit. Na stoliku przed nim leżała torba na zakupy, mocno czymś wypchana.

– Czekasz tu na Allie Boya? – zapytał Heller.  
Jerry DeLong spojrział w lustro i zbladł.  
– To... on? – wyjąkał.  
– Pewno, że on. – Wskazał głową na stolik. – Czyli pora zaczynać.  
DeLong nie odpowiedział.  
– Co on ma w tej torbie? – spytał Reacher.  
– Forsę – odrzekł DeLong. – Sto tysięcy.  
– Dla kogo?  
– Dla mnie.  
– Czyli co to właściwie jest? Łapówka czy próba zastraszenia?  
– Jedno i drugie.  
– Połamie ci nogi, a potem wręczy sto kawałków?  
– Może najpierw da forszę.  
– Dlaczego?  
DeLong nie odpowiedział.  
– To albański zwyczaj – rzekł Heller. – Któryś z nich liznął prawa. Stosują należne i sowite gratyfikacje. Uważają, że to cementuje interes. Nogi się zrosną, a pieniądze zostają. W domu albo w banku. A to znaczy, że już na zawsze jesteś ich.  
– Nigdy o czymś takim nie słyszałem – powiedział Reacher.  
– Bo nie jesteś tutejszy.  
– Gangsterzy przestrzegający zasad?  
– Niezupełnie. Jak wspomniałem, nogi się zrosną.  
– Ale to naprawdę taki dwuczęściowy deal?  
– Wszystko jest częścią kultury.  
Druga połowa drugiej rundy skończyła się słabym i niecelnym odbiciem, uderzenie trzecie. Wynik nadal jeden zero dla Bostonu. W dodatku nie wyglądało na to, żeby zero miało się zmienić na coś innego. Za to jedynka jak najbardziej. Reacher zwrócił się do tłuściocha:  
– To on ma się z tobą skontaktować, tak?  
DeLong kiwnął głową.  
– Kiedy?  
– Nie jestem pewien. Chyba zaraz. Właściwie to nie wiem, na co czeka.  
– Może patrzy na mecz.

- Nie patrzy – mruknął Heller.
- Czyli nie jest aż tak głupi, na jakiego wygląda.
- Myślisz to co ja?
- Pewnie zależy od tego, kiedy zaczyna się audyt.
- Jutro rano – wtrącił DeLong.
- A co się stanie, jak dziś trafisz na ortopedię?
- Przeprowadzi go kto inny. Mniej skrupulatnie.

Zaczęła się druga połowa drugiej rundy. Na początek spacerek do bazy po czterech rzutach. Beznadzieja. Reacher odchylił się do tyłu i spojrzął na Hellera.

- Mieszkasz tutaj? – spytał.
- Nie w tym barze – odrzekł Heller.
- Ale w tym mieście?
- A co, nie powinienem?
- Pewnie ktoś musi. Martwią cię Albańczycy?
- Jeśli Allie Boy nie zapamięta mojej twarzy, będzie mniej zwracania głowy.

- Gdzie służyłeś?
- U generała Hooda.
- Wyszedłeś o czasie?
- Bez szwanku.
- To ci się chwali.
- A ty gdzie?
- W żandarmerii wojskowej – odrzekł Reacher. – Z tego, co wiem, Hood wciąż stacjonuje w Leavenworth.

- Bo tam jest jego miejsce.
- Masz przy sobie broń?
- Jakbym miał, to już bym cię zastrzelił. Kiedy mi dogryzłeś tymi stoma latami. Bo naprawdę było niecałe dziewięćdziesiąt.
- A ten Albańczyk jest uzbrojony?
- Prawdopodobnie. Pewnie ma siga. W tylnej kieszeni spodni. Dlatego tak sztywno siedzi.

– Chyba się nie zmieścimy w przerwie reklamowej. Trzeba będzie poświęcić połowę rundy.

- Drugą połowę następnej.

W drużynie Bostonu biegło w tej chwili dwóch zawodników.

– Nie jestem pewny, czy nasz korpulentny kolega wytrzyma tak długo.

– O czym wy w ogóle mówicie? – wtrącił Tłuscioch.

Reacher dostrzegł w lustrze, że Albańczyk kładzie rękę na torbie i szykuje się, by wstać.

– Teraz – powiedział Heller.

Reacher odwrócił się plecami do DeLonga.

– Wstawaj, już – rzucił. – Idź szybkim krokiem prosto do wyjścia, nie oglądaj się, nie zatrzymuj.

– Mam stąd wyjść?

– Na ulicę. Już.

– I co dalej?

– Skręć w lewo. Jak nie wiesz, dokąd iść, zawsze skręcaj w lewo. To złota zasada, która ci się przyda.

– W lewo?

– Albo w prawo. To naprawdę bez znaczenia. Najszybciej jak możesz.

Co w jego przypadku nie oznaczało szybkości błyskawicy, ale było w miarę szybkie. Tłuscioch okręcił się na stołku i niemal z niego zleciał. Chwilę odczekał, by fałdy tłuszczu przestały się trząść i falować, po czym zaczął się przeciskać przez tłum do wyjścia. Szedł niespodziewanie lekko na swych drobnych stópkach i niemal już minął Albańczyka, gdy ten go zauważył i ruszył za nim. Reacher i Heller chwilę odczekali, po czym też zsunęli się ze stołków i podążyli za tamtymi dwoma, zajmując pozycje trzecią i czwartą w tym króciutkim pochodzie: pierwszy kroczył DeLong, za nim Albańczyk z wypchaną torbą na zakupy, dalej Reacher i na końcu Heller. DeLong miał nad resztą tę przewagę, że pruł niczym okręt fale, a ludzie się przed nim rozstępowali, by nie zostać stratowani. Albańczyk nie mógł liczyć na podobne względy, bo jego postura nie robiła takiego wrażenia, i musiał się przepychać. Za to na widok Reachera i Hellera ludzie wręcz schodzili z drogi.

DeLong pchnął drzwi wyjściowe i zniknął im z oczu. Albańczyk dotarł do wyjścia sekundę później i też wyszedł, Reacher i Heller szli tuż za nim, mieli go praktycznie na wyciągnięcie ręki. Uliczka była ciemna, cicha i wąska, jak to w starym Bostonie. Tłuscioch skręcił

w lewo i jego zwalistą sylwetkę widać było na chodniku jakieś dwadzieścia metrów dalej. Albańczyk też go dojrzał i już ruszał za nim, gdy Reacher mruknął:

– To jak, robimy to tutaj?

– Może być tutaj. Miejsce dobre jak każde inne – odrzekł Heller.

– Allie Boy?! – zawołał Reacher.

Albańczyk drgnął, ale się nie zatrzymał.

– Tak, do ciebie mówię, zasrańcu – dodał Reacher.

Albańczyk się obejrzał.

– Te wszystkie twoje świcidelka – ciągnął Reacher. – Mamusia cię nie uczyła, że głupio tak spacerować w biednej dzielnicy miasta?

Albańczyk stanął i odwrócił się.

– Co jest? – warknął.

– Może cię ktoś napaść – powiedział Heller.

– Napaść? – powtórzył Allie Boy.

– No wiesz, nagle dwóch gości podchodzi i wszystko ci zabiera. Nie macie tego w Albanii?

– Wiecie, kim ja jestem?

– Oczywiście. Przecież właśnie nazwałem cię po imieniu i wspomniałem o Albanii. Nie trzeba być geniuszem, żeby się kapnąć.

– Wiecie, co się z wami stanie?

– Nikt nie wie, co się z nim stanie. Przyszłości nie da się przewidzieć. Ale w tym przypadku nic specjalnego. Może dostaniemy parę dolców za twoje świcidelka. Bo na pewno nie będziemy w nich chodzić. Mamy lepszy gust.

– Żarty sobie ze mnie stroicie?

– A to był klub komediowy, skąd przed chwilą wyszliśmy?

Z baru dobiegł głośny wybuch radości. Pewnie potrójne zdobycie bazy domowej. Reacher się skrzywił, Heller uśmiechnął. Albańczyk wepchnął torbę pod lewą pachę. Co zostawiało mu prawą rękę wolną.

Heller dał krok do przodu i w prawo, Reacher ruszył w lewo. W tym momencie Albańczyk powinien był obrócić się na pięcie i rzucić do ucieczki. Tak postąpiłby ktoś rozsądny. Zwłaszcza ktoś na tyle szybki, żeby uciec. Ale on tego oczywiście nie zrobił. Był przecież twardzielem i ulice należały do niego. Dlatego sięgnął po broń.

Co było bardzo głupie, bo w ten sposób sam wycofał swoje ręce

z gry. Jedną przytrzymał torbę, druga sięgała do tylnej kieszeni spodni. Reacher wymierzył mu mocny prawy prosty w sam środek twarzy i teraz nie miało już znaczenia, gdzie są jego ręce, bo centralny ośrodek kontroli nad nimi został chwilowo wyłączony. Facet wypuścił torbę, ugięły się pod nim nogi, z nosa trysnęła mu krew i właściwie można go było wyliczyć na stojąco.

Jednak do niego samego jeszcze to nie dotarło. Pierwsza zasada ulicznych bójek mówi, że nie ma żadnych zasad. Heller kopnął go prosto w jaja, na tyle silnie, by uwolnić mu nogi od ciężaru ciała. Facet runął na ziemię i skulił się, jednak Heller nie dał mu spokojnie poleżeć. Czubkiem buta przekręcił go na bok, Reacher wymierzył mu kopniaka w głowę i Albańczyk stracił przytomność.

– Myślisz, że wystarczy? – spytał Heller.

– Na amnezję? Trudno powiedzieć. Amnezja jest cholernie nieprzewidywalna.

– Ale jak sądzisz?

– Zawsze lepiej poprawić, niż potem żałować.

Heller wybrał więc odpowiedni punkt i kopnął Albańczyka w lewą skroń, co powinno spowodować boczne przesunięcie mózgu. Statystycznie rzecz biorąc, czterokrotnie bardziej efektywne od przesunięcia na osi przód–tył. Reachera to nie zdziwiło. U generała Hooda uczą takich rzeczy na wczesnym etapie szkolenia. Ci od Hooda nie są tacy źli. Na ogół, choć nie wszyscy.

Kawałek dalej Jerry DeLong stał i patrzył.

Reacher podniósł torbę. Była pełna studolarówek, używanych i z lekka pogniecionych, ułożonych w paczki ściśnięte pomarańczowymi gumkami. Reacher miał w spodniach cztery kieszenie: dwie z przodu, dwie z tyłu. Wyjął z torby cztery paczki i upchnął po jednej do każdej z kieszeni. Potem zerwał z Albańczyka złote łańcuchy, ściągnął mu z palców pierścienie i wyjął z kieszeni sigę, obszukał pozostałe kieszenie i opróżnił ze wszystkiego. Na koniec podał torbę Hellerowi.

– Wkrótce zjawią się tu gliny – powiedział Heller. – U nas nie zostawia się ludzi na ulicy. Tu nie Nowy Jork.

– Popytają ludzi w barze – rzekł Reacher.

– Od tego zaczną.

– Rozchodzimy się, ja idę na wschód, ty na zachód. Miło mi się



z tobą pracowało.

– Mnie też.

Podali sobie ręce i rozplnęli się w ciemnościach, odchodząc w przeciwne strony i zostawiając na chodniku pechową ofiarę napadu, której zrabowano należną i sowitą gratyfikację, nim trafiła do DeLonga na przypiecztowanie zawartej transakcji. A skoro nie trafiła, to nie doszło do transakcji. Tak mówiły ich własne zasady, zatem DeLong nie miał zobowiązań i nie miał co zdradzać. Zupełnie jak w Albanii. To było częścią kultury.

\*\*\*

Reacher obejrzał końcówkę meczu w barze kilometr dalej na wschód. Był pewien, że Heller zrobił to samo, w barze kilometr na zachód. A jeśli tak, to oglądali dwa różne wydarzenia sportowe. Reacher beznadziejną i żalosalną porażkę. Heller wspaniałe i triumfalne zwycięstwo. Ale takie jest życie. Wszystkiego nie da się wygrać.

## Noty o autorach

**David Baldacci** zrobił na scenie literackiej furorę swoją pierwszą powieścią *Władza absolutna*. Wkrótce na podstawie powieści powstał filmowy przebój Clinta Eastwooda, który był jego reżyserem i odtwórcą głównej roli. Od tamtej pory David wydał dwadzieścia sześć powieści, a wszystkie stały się krajowymi i światowymi bestsellerami. Jego książki przetłumaczono na ponad czterdzieści pięć języków i wydano w ponad osiemdziesięciu krajach, w łącznym nakładzie ponad stu dziesięciu milionów egzemplarzy. Urodzony i wychowany w Wirginii, David skończył politologię w Virginia Commonwealth University oraz prawo w University of Virginia School of Law, po czym podjął praktykę prawniczą w Waszyngtonie. Jest też znanym filantropem i wraz z żoną, Michelle, założył fundację Wish You Well, która wspiera nauczanie, tworząc i rozwijając programy oświatowe i edukacyjne. W roku 2008 ich fundacja, we współpracy z Feeding America, wzięła udział w akcji Feeding Body & Mind, mającej uświadomić powiązania między poziomem oświaty, biedą i głodem. W ramach akcji zebrano ponad milion nowych i używanych książek, które za pośrednictwem lokalnych banków żywności trafiły do czytelników w całym kraju. David mieszka z żoną i dwojgiem nastoletnich dzieci w Wirginii. Więcej informacji znajdziecie na [davidbaldacci.com](http://davidbaldacci.com).

**Linwood Barclay** już w wieku dwudziestu kilku lat miał parę napisanych powieści, tyle że nikt nie chciał ich wydać. („Może dlatego – mówi Linwood – że nie były najlepsze”). Zdecydował się więc podjąć pracę, która pozwalała mu codziennie pisać i zarabiać na tym pieniądze. Przez następne dwadzieścia siedem lat pracował w największej kanadyjskiej gazecie „Toronto Star”, z czego ostatnie piętnaście jako autor stałej rubryki. W roku 2004 ukazała się jego powieść *Bad Move* i wreszcie mógł zacząć robić to, co zawsze chciał. W 2008 roku zrezygnował z pracy dziennikarskiej i zajął się pisaniem

książek w pełnym wymiarze czasu. Dotąd ukazało się kilkanaście jego powieści, które zostały przetłumaczone na prawie trzydzieści języków – w tym *Bez śladu* i *Na własne oczy*. Na tę ostatnią Warner Bros. kupił prawa filmowe. Linwood mieszka pod Toronto z żoną, Neethą, z którą mają dwoje dorosłych dzieci. Jego strona internetowa to [linwoodbarclay.com](http://linwoodbarclay.com).

**Steve Berry** jest autorem cyklu powieści z Cottonem Malone’em – które trafiają na listy bestsellerów „New York Timesa” i zyskały już międzynarodową popularność – a także czterech thrillerów i czterech opowiadań. Jego książki przetłumaczono na czterdzieści języków i wydano w pięćdziesięciu jeden krajach, w łącznym nakładzie siedemnastu milionów egzemplarzy. Podstawą wszystkich utworów Steve’a jest tematyka historyczna – jego osobista pasja, którą dzieli z żoną, Elizabeth. Ta pasja skłoniła ich do powołania fundacji History Matters, której celem jest ochrona zabytków. Od 2009 roku Steve i Elizabeth przemierzają kraj, ratując zagrożone zabytki i zbierając fundusze na ich ochronę poprzez wygłaszanie odczytów, wydawanie przyjęć, gali, obiadów i bankietów, a także organizowanie popularnych warsztatów pisarskich. Steve jest członkiem komisji doradczej Smithsonian Institution Libraries i członkiem założycielem International Thriller Writers, gdzie przez trzy lata pełnił funkcję wiceprezesa. Więcej informacji o Stevie i fundacji History Matters znajdziecie na stronie [steveberry.org](http://steveberry.org).

**Lee Child** był już reżyserem telewizyjnym, działaczem związkowym, technikiem teatralnym i studentem prawa. Wyrzucony z pracy, żyjąc na zasiłku, wpadł na szalonego pomysłu napisania powieści, aby ratować rodzinę przed finansową ruiną. Wydana w roku 1997 książka *Poziom śmierci* zdobyła międzynarodowy rozgłos. Jej główną postacią był niejaki Jack Reacher, a siedemnaście powieści później Reacher jest światowym fenomenem. Miliony egzemplarzy sprzedano na świecie w nieprzebranej liczbie języków, a w 2012 roku Tom Cruise wcielił się w Reachera na wielkim ekranie. Lee urodził się w Anglii, ale od lat mieszka w Nowym Jorku. Lubi mawiać, że opuszcza Manhattan „tylko pod przemożnym wpływem sił, nad którymi nie

udaje mu się zapanować”. Odwiedźcie Lee online na [leechild.com](http://leechild.com).

**Michael Connelly** jest autorem dwudziestu sześciu powieści i jednej pozycji niebeletrystycznej. Pracując jako dziennikarz w „Los Angeles Times”, zajmował się przestępczością i wymiarem sprawiedliwości w swoim mieście. W jego osiemnastu powieściach występuje Hieronimus „Harry” Bosch, detektyw policyjny z Los Angeles, który w świecie zbrodni zadebiutował w 1992 roku w książce *Czarne echo*. Michael napisał też kilka powieści z adwokatem Mickeyem Hallerem, który pojawił się w roku 2005 w książce *Prawnik z lincolna*. Na świecie sprzedano ponad pięćdziesiąt milionów egzemplarzy książek Michaela, a dwie z nich – *Krwawa profesja* i *Prawnik z lincolna* – zostały sfilmowane. Michael urodził się w Pensylwanii i wychował na Florydzie, ale najwięcej czasu spędza w Kalifornii, gdzie zbiera materiały do swych powieści. Jego strona internetowa to [michaelconnelly.com](http://michaelconnelly.com).

**Jeffery Deaver** był dziennikarzem, śpiewakiem folkowym i adwokatem. Obecnie jest cieszącym się międzynarodową sławą autorem bestsellerów, sprzedawanych w stu pięćdziesięciu krajach i tłumaczonych na trzydzieści jeden języków. Napisał trzydzieści dwie powieści, trzy zbiory opowiadań i książkę z dziedziny prawa. Jego powieść *Porzucone ofiary* została w roku 2009 uznana przez International Thriller Writers za Książkę Roku. Zdobył też nagrody Stalowego Sztyletu oraz Sztyletu za krótkie opowiadanie, które są przyznawane przez British Crime Writers’ Association i Nero Wolfe. Wkroczył nawet do świata Jamesa Bonda jako autor wybrany przez spadkobierców Iana Flemminga do napisania *Carte Blanche* (2011), książki, która stała się światowym bestsellerem. Jego powieść *Paniński grób* została sfilmowana przez HBO z udziałem Jamesa Garnera i Marlee Matlin, a na podstawie *Kolekcjonera kości* powstał film kinowy z Denzelem Washingtonem i Angeliną Jolie. Na podstawie książki *Łzy diabła* nakręcono pełnometrażowy film dla Lifetime Network i tak, to nie plotka, Jeff zagrał skorumpowanego reportera w swojej ulubionej operze mydlanej *As The World Turns*. Urodził się pod Chicago, skończył dziennikarstwo na Uniwersytecie Missouri

i prawo na Fordham. Więcej o tym fascynującym pisarzu na [jefferydeaver.com](http://jefferydeaver.com).

**Linda Fairstein** przez trzydzieści lat była prokuratorem w nowojorskiej prokuraturze okręgowej, dziś jest autorką piętnastu kryminałów z Alex Cooper w roli głównej, które trafiły na listy bestsellerów „New York Timesa” i zdobyły międzynarodową popularność. Jest też autorką publicystycznej pozycji *Sexual Violence: Our War Against Rape* nagrodzonej przez „New York Times” tytułem Wybitna Książka Roku. Wśród wielu wyróżnień warto wymienić przyznawaną przez International Thriller Writers nagrodę Srebrnej Kuli, którą Linda otrzymała w roku 2010 za pracę z poniżanymi i maltretowanymi kobietami. Więcej o dokonaniach Lindy możecie znaleźć na [lindafairstein.com](http://lindafairstein.com).

**Joseph Finder** jest autorem dziesięciu książek, które znalazły się na listach bestsellerów „New York Timesa”. „Boston Globe” nazwał Findera „mistrzem nowoczesnego thrillera”. Jego pierwszą powieść *The Moscow Club* (1991) zaliczono do dziesiątki najlepszych powieści szpiegowskich wszech czasów. Z kolei w roku 2007 stowarzyszenie International Thriller Writers uznało książkę *Instynkt zabójcy* (2006) za Najlepszą Powieść Roku. Finder podjął też udaną współpracę z teatrem i filmem. W roku 2013 na ekrany wszedł film z Harrisonem Fordem, Garym Oldmanem i Liamem Hemsworthem, którego scenariusz oparto na powieści Findera *Paranoja*. Wcześniej jego powieść *Pod karą śmierci* posłużyła do nakręcenia hitu kinowego *Bez przedawnienia*, z Morganem Freemanem i Ashley Judd. Joe jest absolwentem Yale College i Harvard Russian Research Center. Należy do Council on Foreign Relations oraz do Association of Former Intelligence Officers. Mieszka w Bostonie. Poczytajcie o nim na [josephfinder.com](http://josephfinder.com).

**Lisa Gardner** jest autorką książek z listy bestsellerów „New York Timesa”, a jej powieść *Sąsiad* została uznana za Najlepszą Powieść w Twardej Okładce w roku 2010. Początkowo pracowała w gastronomii, ale gdy kiedyś jej włosy zajęły się ogniem, wzięła to za

wskazówkę i postanowiła skupić się na pisaniu. Z łącznym nakładem swoich powieści na poziomie szesnastu milionów egzemplarzy Lisa uważa, że postąpiła słusznie. Mieszka w górach w New Hampshire z mężem kierowcą wyścigowym, córką narciarką wyścigową, dwoma okropnie szczekliwymi psami i jednym głupim szczeniakiem. Pełną informację o Lisie znajdziecie na [lisagardner.com](http://lisagardner.com).

**Heather Graham** jest autorką ponad stu książek z list bestsellerów „New York Timesa” i „USA Today” – od thrillerów, przez powieści o tematyce paranormalnej i historycznej po bożonarodzeniowy mainstream. Mieszka w Miami na Florydzie, dzięki czemu może bez trudu wyskakiwać na Keys i oddawać się swojej pasji nurkowania. Podróże, zbieranie materiałów do książek i taniec towarzyski też zajmują jej немало czasu. Jest szefową Slush Pile Productions, firmy nagraniowej i domu produkcyjnego dla wielu przedsięwzięć o charakterze dobroczynnym. Poszukajcie jej na [eheathergraham.com](http://eheathergraham.com).

**Peter James** stworzył nadkomisarza detektywa Roya Grace’a, bohatera serii powieści kryminalnych, które trafiły na pierwsze miejsca list bestsellerów „Sunday Times”, zostały przetłumaczone na trzydzieści sześć języków i osiągnęły łączny nakład ponad czternastu milionów egzemplarzy. Trzy jego powieści zostały sfilmowane, nad dwiema kolejnymi trwają prace przygotowawcze, a planowana jest także adaptacja teatralna. We wszystkich powieściach Petera przebija jego zainteresowanie sprawami wymiaru sprawiedliwości. Przy zbieraniu materiału do kolejnych powieści – co robi z legendarną wręcz skrupulatnością – Peter sięga do nauk ścisłych, medycyny i wiedzy o zjawiskach paranormalnych. Wystąpił też jako producent wielu filmów, w tym takich hitów jak *Kupiec wenecki* z Alem Pacina, Jeremym Ironsem i Josephem Fiennesem. W roku 2010 przyznano mu doktorat *honoris causa* Uniwersytetu w Brighton. Przez dwie kadencje pełnił funkcję prezesa Crime Writers Association i jest członkiem zarządu International Thriller Writers. Dzieli swój czas pomiędzy dom w Notting Hill w Londynie a posiadłość w pobliżu Brighton w hrabstwie Sussex. Odwiedźcie Petera na jego stronie

internetowej [peterjames.com](http://peterjames.com).

**Raymond Khoury** jest autorem czterech książek, wpisanych na listy bestsellerów „New York Timesa”, o przygodach Reilly’ego i Tess: *Ostatni templariusz*, *Zbawienie templariuszy*, *Diabelski eliksir* i *Cień Rasputina*, a także dwóch nienależących do tej serii powieści: *Sanktuarium* i *Znak*. Jego debiutancka powieść, *Ostatni templariusz*, przez dwadzieścia tygodni znajdowała się na liście bestsellerów „New York Timesa” i została zaadaptowana dla telewizji przez NBC. Książki Raya przetłumaczono na ponad czterdzieści języków i wydano w ponad dziesięciu milionach egzemplarzy. Raymond skończył architekturę i studia podyplomowe MBA, by ostatecznie zdecydować się na karierę literacką. Jest także scenarzystą – pracował między innymi przy brytyjskim serialu *Tajniacy* i *Budząc zmarłych*. Możecie się z nim skontaktować na stronie [raymondkhoury.com](http://raymondkhoury.com).

**Dennis Lehane** dorastał w Bostonie. Zanim stał się pełnoetatowym pisarzem, pracował jako opiekun niepełnosprawnych umysłowo i molestowanych dzieci, był także kelnerem, parkingowym, szoferem limuzyny, ekspedientem w księgarni i ładowaczem naczep. Jego pierwsza powieść, *Wypijmy, nim zacznie się wojna*, zdobyła w 1995 roku Shamus Award. Od tego czasu wydał kolejne dziewięć powieści, które przetłumaczono na ponad trzydzieści języków i które wszędzie stały się bestsellerami – wśród nich takie perełki, jak *Ciemności*, *weź mnie za rękę*, *Pułapka z za grobu*, *Gdzie jesteś*, *Amando?*, *Modlitwy o deszcz*, *Rzeka tajemnic*, *Wyspa skazańców*, *Miasto niepokoju*, *Mila księżycowego światła* i *Nocne życie*. Był też jednym ze współscenarzystów słynnego serialu HBO *Prawo ulicy*, obecnie zaś jest scenarzystą i producentem pokazywanego czwarty sezon serialu HBO *Zakazane imperium*. Dowiedzcie się o nim więcej na [dennislehane.com](http://dennislehane.com).

**John Lescroart** jest autorem dwudziestu czterech powieści, z których większość trafiła na listy bestsellerów „New York Timesa”. Jego książki przetłumaczono na dwadzieścia dwa języki i wydano w łącznym nakładzie ponad dziesięciu milionów egzemplarzy w ponad

siedemdziesięciu pięciu krajach. John ufundował też doroczną nagrodę Maurice Prize w wysokości pięciu tysięcy dolarów dla studentów Uniwersytetu Kalifornijskiego w Davis za wybitne wartości tekstu literackiego. Ponadto jest członkiem rady nadzorczej Cal Humanities, niezależnego partnera non profit National Endowment for the Humanities. I wreszcie – co zapewne jest mniej znaną dziedziną jego działalności – John uwielbia gotować. Jego własne przepisy kulinarne ukazały się w czasopiśmie „Gourmet” i w książce kucharskiej *A Taste of Murder*. John mieszka z żoną, Lisą Sawyer, w północnej Kalifornii. Jego adres internetowy to [johnlescroart.com](http://johnlescroart.com).

**Steve Martini** jest autorem wielu książek, które znalazły się na listach bestsellerów „New York Timesa”, w tym takich pozycji, jak *Shadow of Power*, *Podwójne trafienie*, *Lista*, *Sędzia* i *Formy nacisku*. Na podstawie dwóch ostatnich nakręcono miniseriale w NBC i CBS. W sumie Steve napisał piętnaście powieści, z czego dwanaście stanowi serię z Paulem Madrianim w roli głównej. W swoim czasie Steve pracował w gazecie jako reporter oraz jako korespondent Kapitolu Stanu Kalifornia. Był sędzią prawa administracyjnego. Obecnie dużo podróżuje i dzieli swój czas między dom nad Pacyfikiem w północnej Kalifornii a mieszkanie w osiedlu nad Zatoką Tajlandzką. Jeśli chcecie dowiedzieć się więcej o jego ciekawym życiu, wejdźcie na [stevemartini.com](http://stevemartini.com).

**T. Jefferson Parker** jest autorem dwudziestu powieści kryminalnych, między innymi *Cichy Joe* i *California Girl*, nagrodzonych Edgar Award dla najlepszych kryminałów. Swoje ostatnie sześć książek sam nazywa „sekstetem pogranicza”. Ich bohaterem jest agent ATF<sup>22</sup> Charlie Hood, który próbuje walczyć z przemytem nielegalnej broni ze Stanów Zjednoczonych do Meksyku. Jeff lubi wędkowanie, piesze wędrówki i jazdę na rowerze. Mieszka z rodziną w południowej Kalifornii. Jego strona internetowa to [tjeffersonparker.com](http://tjeffersonparker.com).

**Douglas Preston i Lincoln Child** stanowią od dawna tandem pisarski. Stworzyli całą serię międzynarodowych bestsellerów



z agentem specjalnym Aloysiusem Pendergastem. Na podstawie ich powieści *Relikt* wytwórnia Paramount Pictures nakręciła hit kinowy, a *Relikt* oraz powieść *Gabinet osobliwości* zaliczono w ankiecie National Public Radio, przeznaczonej dla zagorzałych czytelników literatury sensacyjnej, do pierwszej setki najlepszych thrillerów wszech czasów. Gdy nie piszą w tandemie, robią to oddzielnie. Lincoln jest autorem pięciu bestsellerów oraz byłym redaktorem wydawnictwa St. Martin's Press. Tak właśnie poznał Douga – redagując jego debiutancką powieść. Doug Preston też napisał szereg własnych powieści, a ponadto kilka pozycji należących do literatury faktu. Na podstawie jego najnowszej książki *Potwór z Florencji*, która jest prawdziwą historią seryjnego mordercy, powstaje film z George'em Clooneyem w roli głównej. Doug pisuje też w „New Yorkerze” i prowadzi zajęcia z pisarstwa na Uniwersytecie Princeton. Lincoln mieszka w New Jersey i jest miłośnikiem szybkich samochodów, egzotycznych papug, elektrycznych gitar i sztuki kulinarnej. Doug mieszka w Nowym Meksyku i preferuje przebywanie na wolnym powietrzu, poświęcając dużo czasu na jazdę na nartach, górskie wspinaczki i płytkie nurkowanie. Więcej o obu pisarzach znajdziecie na [prestonchild.com](http://prestonchild.com).

**Ian Rankin** jest autorem serii książek z inspektorem Rebusem. Pierwszą powieść z tej serii, *Supelki i krzyżyki*, napisał w roku 1987, będąc jeszcze słuchaczem podyplomowych studiów na Uniwersytecie Edynburskim. W ciągu następnych lat powstało osiemnaście kolejnych książek, a także kilka filmów telewizyjnych, ukazujących postać zadziornego i niegardzącego alkoholem inspektora policji. Ian zajął się też literaturą faktu i napisał *Rebus's Scotland: A Personal Journey*. Jest także autorem dwóch zbiorów opowiadań i kilku thrillerów, które wydał pod pseudonimem Jack Harvey. Bohaterem ostatnich powieści Iana jest Malcolm Fox, gliniarz zatrudniony w Wydziale Spraw Wewnętrznych. Książki Iana przetłumaczono na trzydzieści pięć języków, a wśród jego licznych nagród znajdują się Złote i Diamentowe Sztylety, Edgar Award oraz nagrody literackie w Danii, Niemczech, Francji, Włoszech i Hiszpanii. Posiada pięć tytułów *honoris causa*, a także Order Imperium Brytyjskiego za ogromny wkład w literaturę.

Mieszka w Edynburgu – mieście, które nie przestaje go zdumiewać, intrygować i fascynować – z żoną i dwoma synami. Jego adres internetowy: [ianrankin.net](http://ianrankin.net).

**James Rollins** jest autorem książek znajdujących się na listach bestsellerów „New York Timesa” i przetłumaczonych na ponad czterdzieści języków. W swych powieściach o wydziale Sigma Force opisuje tajemnicze podziemne światy, naukowe odkrycia i zagadki historii. Ale interesuje go także teraźniejszość i przyszłość, to bowiem z jego inicjatywy powołano do życia Authors United for Veterans – stowarzyszenie autorów bestsellerów, którzy uczestniczą w zbieraniu funduszy dla USA Cares, organizacji non profit, wspomagającej byłych żołnierzy i ich rodziny. Gdy nie pisze ani nie podróżuje, oddaje się łażeniu po grotach, płytkiemu nurkowaniu i pieszym wędrówkom. Mieszka z rodziną i trzema golden retrieverami w górach Sierra Nevada, w domu wypełnionym psimi zabawkami i skarbami paleontologicznymi. Jeśli chcecie się o nim dowiedzieć więcej, odwiedźcie jego stronę [jamesrollins.com](http://jamesrollins.com).

**M.J. Rose** jest wielokrotnie nagradzaną autorką ponad tuzina powieści o statusie międzynarodowych bestsellerów, a także trzech pozycji należących do literatury faktu. Serial telewizyjny *Past Life* oparto na jej książkach o reinkarnacji. Jej powieść *Seduction* z 2013 roku została uznana przez „Suspense Magazine” za Książkę Roku. W 1999 roku Rose dokonała przełomu, publikując w internecie e-booka i stając się pierwszą w historii autorką, którą wielkie wydawnictwo odkryło w sieci, po czym podpisało z nią umowę wydawniczą. Była jedną z członkiń założycielek ITW i obecnie pełni funkcję wiceprezeski tego stowarzyszenia. Jest też inicjatorką pierwszej internetowej firmy marketingowej AuthorBuzz.com, która szybko stała się jednym z podstawowych narzędzi marketingowych dla pisarzy. Przed podjęciem kariery pisarskiej Rose była dyrektorką kreatywną w jednej z wielkich agencji reklamowych. Mieszka w Connecticut z tajemniczym kompozytorem i ich rozpieszczonym psem o imieniu Winka. Więcej na [mjrose.com](http://mjrose.com).

**John Sandford** to pseudonim literacki Johna Campa. John przez wiele lat był reporterem i redaktorem „Miami Herald”, a także reporterem i autorem stałej rubryki w „St. Paul Pioneer Press”, stając się w 1986 roku laureatem dziennikarskiej Nagrody Pulitzera. Jest autorem trzydziestu jeden powieści, które wszystkie trafiły na listy bestsellerów „New York Timesa”. Napisał też dwie książki niebeletrystyczne, jedną o operacjach plastycznych, drugą o sztuce. Jego powieści przetłumaczono na niemal wszystkie języki świata. John jest też głównym sponsorem Beth-Shean Valley Archaeological Project w dolinie rzeki Jordan w Izraelu. Poza archeologią John żywo interesuje się sztuką i fotografią, a także polowaniem, łowieniem ryb, kajakarstwem górskim i narciarstwem. Mieszka w Santa Fe w Nowym Meksyku. By poznać go lepiej, zajrzyjcie na jego stronę [johnsandford.org](http://johnsandford.org).

**R.L. Stine** jest jednym z najpopularniejszych autorów książek dla dzieci w historii literatury dziecięcej, a także jednym z najliczniej wydawanych pisarzy wszech czasów. Jego seria „Gęsia Skórka” osiągnęła w samych Stanach Zjednoczonych ponad trzysta milionów sprzedanych egzemplarzy, a przetłumaczona na trzydzieści dwa języki, stała się też fenomenem wydawniczym w innych krajach. Wśród jego innych popularnych serii książek dla dzieci warto wymienić: „Ulica Strachu”, „Mostly Ghostly”, „The Nightmare Room” i „Rotten School”. Firmowany przez niego serial telewizyjny *R.L. Stine’s The Haunting Hour* zdobył nagrodę Emmy w kategorii programów dla dzieci. W roku 2014 Bob obchodził trzydzieste urodziny „Gęsiej Skórki”. Wielu z jego pierwszych czytelników ma dziś po dwadzieścia kilka, trzydzieści lat i przerzuciło się na czytanie jego książek dla dorosłych, jak choćby *Red Rain* czy *Przesądny*. Bob mieszka w Nowym Jorku z żoną, Jane, redaktorką i wydawcą. Dużo więcej o nim znajdziecie na [rlstine.com](http://rlstine.com).

**F. Paul Wilson** jest autorem ponad pięćdziesięciu powieści, a także blisko stu opowiadań z dziedziny science fiction, horroru, medycyny i praktycznie wszystkiego, co mieści się między nimi. Jego książki regularnie trafiają na listy bestsellerów „New York Timesa”. Powieść *Tomb* została nagrodzona przez „West Coast Review of Books”

Nagroda Porgie, powieść *Wheels Within Wheels* zdobyła Nagrodę Prometeusza, a opowiadanie *Aftershock* nagrodzono Bram Stoker Award. Na światowym zjeździe miłośników horroru został wybrany Wielkim Mistrzem i otrzymał nagrodę Horror Writers of America za całość osiągnięć pisarskich, a także prestiżową San Diego Comi-Con Inkpot Award. W 1983 roku na podstawie jego powieści *Twierdza* wytwórnia Paramount nakręciła wizualnie poruszający, ale (cytując Paula) „poza tym niezrozumiały film”. Hollywood nadal przymierza się do zakupu praw franczyzowych do postaci Jacka Repairmana. Wydano ponad dziewięć milionów egzemplarzy książek Paula, w tłumaczeniu na dwadzieścia cztery języki. Paul mieszka w Jersey Shore, a więcej informacji o nim znajdziecie na [repairmanjack.com](http://repairmanjack.com).

# Notatki

[←1 ]

Paisley (ang.) – ozdobna tkanina w orientalne wzory.

[←2 ]

Arizona Cardinals i Sun Devils – drużyny futbolu amerykańskiego, Phoenix Suns – drużyna koszykówki, Phoenix Coyotes – drużyna hokejowa, wszystkie z Arizony; BarcaLounger – obszerny fotel wypoczynkowy z odchylanym oparciem i wysuwającym podnóżkiem.

[←3 ]

Keith Moon – perkusista zespołu The Who, zmarły w Londynie w 1978 roku.

[←4 ]

Krajowe Stowarzyszenie Emerytowanych Policjantów.

[←5 ]

Jerry Mahoney – kukła słynnego brzuchomowcy Paula Winchella (1922–2005), który w latach pięćdziesiątych był gwiazdą cyklicznych programów telewizyjnych.

[←6 ]

Dim sum – chińskie przystawki gotowane na parze i podawane w bambusowych koszyczkach.

[←7 ]

StairMaster – przyrząd gimnastyczny, symulujący wchodzenie po schodach.

[←8 ]

Aluzja do zabójstwa prezydenta Kennedy’ego.

[←9 ]

Tytuł jest grą słów: *rhyme* po angielsku to „rym”.

[←10 ]

*L’art du merde* (fr.) – dosł. „gówniana sztuka”; w przenośni: barachło.

[←11 ]

Wszystkie trzy skróty odnoszą się do potocznych nazw części południowego Manhattanu. NoHo (North of Houston Street) – na północ od Houston Street; SoHo (South of Houston Street) – na południe od Houston Street; TriBeCa (Triangle Below Canal Street) – trójkąt poniżej Canal Street.

[←12 ]

Gracie Mansion – oficjalna siedziba burmistrza Nowego Jorku.

[←13 ]

Albany – stolica stanu i siedziba władz okręgu Nowy Jork.

[←14 ]

Twin Cities – St. Paul i Minneapolis traktowane jako jedna aglomeracja.

[←15 ]

Percy Dovetonsils – komiczna postać z programów telewizyjnych, stworzona w końcu lat pięćdziesiątych XX wieku przez komika węgierskiego pochodzenia, Erniego Kovacsa.

[←16 ]

William Congreve, *The Mourning Bride* (1697).

[←17 ]

Po'boy lub poor boy – bagietka z wędliną lub owocami morza, serem, cebulą i ostrym sosem.

[←18 ]

Stan Lee (1922–) – słynny amerykański autor komiksów.

[←19 ]

Osada w Gujanie, ośrodek sekty Świątynia Ludu, gdzie w 1978 roku 909 wyznawców popełniło zbiorowe samobójstwo pod naciskiem przywódcy, Jima Jonesa.

[←20 ]

W 2012 roku, podczas remontu parkingu w Leicester, znaleziono szczątki króla Ryszarda III (1425–1485).

[←21 ]

P.T. Barnum (1810–1891) – amerykański showman i biznesmen, znany z licznych mistyfikacji.

[←22 ]

ATF (Bureau of Alcohol, Tobacco, Firearms and Explosives) – agencja Departamentu Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych do walki z przemytem alkoholu, tytoniu i broni.



**empik**